LEGENDY

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1885.

w Katowicach
Wojewódzkie Publiczne Biblioteki Pedagogiczne

821.162.1-4

Kolegium Nauczycielskie * Gliwice * BIBLIOTEKA

Państw. Lic. Pedag. Katowice

79

Studium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice

Politechnika Śląska BIBLIOTEKA Kolegium Pedagogiczne

SN 13595

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXIX.

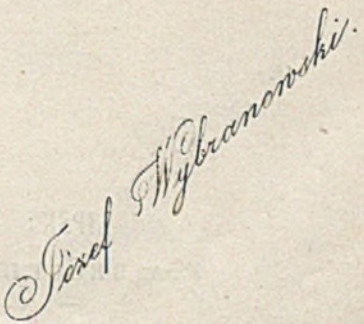

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM DWUNASTY.

LEGENDY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1885.

SPIS LEGEND.

strona

Ulani 1
Jeszcze gawęda o kawalerji 37
Trzech Janów 61
Ikbala 107
O jeźdzcach i o koniach 147
Z czasów hetmana Lacha 213

UŁANI.

UFAZL

Dziwnem będzie Polakom, którzy, chociaż już na dobre, z buńczucznej szablistości praojcow, przeszli na dyletantyzm artystyczny, handlowy i przemysłowy, ale zostali jeszcze wiernymi tradycjom; parlamentarnemu rezultatowi polityki, wstrętowi do pierwiastka zachowawczego i ładu i opozycji władzy, jakaby ona nie była i skądby ona nie pochodziła — powiedzenie, że Franciszek Ksawery Branicki, [poźniejszy Hetman koronny, Wielkiej Buławy, był pierwszym założycielem sławy i odczajduszostwa Ułanów Polskich. — A tak było. —

Były sławne jazdy w Polsce, Husarze, Pancerni, Kopijnicy, ale ci mieli swoich Żółkiewskich, Gąsiewskich, Chodkiewiczów, Potockich, Kalinowskich, Lubomirskich, Sapiehów, Sobieskich, Zamojskich; długi szereg sławnych Pułkowodzców. Była Dragonja i ta miała swojego Stefana Czarnieckiego. Byli Kozacy i ci mieli swoich Wiszniowieckich, Rożyńskich, Sahajdacznych, Konaszewiczów, Sanguszków, Wyhowskich, Hulunickich, Doroszenków, Mazepów, Palejów i niemały poczet dziarskich i przezornych Atamanów.

Ale Ułani mieli tylko swoje nazwisko, czy to od Tatarskiego wyrazu Ogłan, młodzieniec, mołodec; czy też od krzyku wojennego, kiedy szli do ataku: Uła-uła, co odpowiadało Tatarskiemu i Tureckiemu ałła-ałła, czyli Ałłach-Bóg. I to dało powód Kozaczemu poecie, Padurze, w pieśni swojej, do księcia Romana Sanguszki wypowiedzieć: —

Kołyb iszcze wijna buła
Pobaczyłab tebe Ula —

Może to dawne uła przeszło na dzisiejsze hurra; ale to wszystko nie wwodziło jeszcze ułanów w historję wojenną i nie sławiło ich nazwy. —

Kiedy jeszcze za Sasów szkicowano spis stutysięcznego wojska Polskiego regularnego, pod nazwą nowego Autoramentu, postawiono w nim dwa pułki ułanów: jeden z nazwą Królewski, drugi Byszewskiego, bo Byszewski nim dowodził. Do Królewskiego pułku wszedł na ochotnika młody Franciszek Ksawery Branicki na swoim koniu, ze swoją bronią i ze swojem sercem odczajduszowskiem; nie podarkami, nie pokłonami, ale swoją spisą, wykuł sobie wszystkie stopnie do Pułkownika, Dowódzcy pułku Królewskich Ułanów! —

Wówczas w Białym-Stoku, jeszcze pomnym Jagielonów, dogorywał Jan Klemens Branicki, Hetman Koronny Wielkiej Buławy. Dumny Pan, między Panami, starożytnym swoim karmazynowym rodem; popularny między szlachtą, krwią Stefana Czarnieckiego, która po kądzieli płynęła w jego żyłach. W Krym za Tatarami się nie uganiał, pod Byczyną, na Niemca Szwaba nie chodził, na Moskiewskich ziemiach nie brodził, ani Turczynowi, ani Szwedowi w oczy nie zaziera! — ale był pan i hetman.

W apartamentach pełno panów szlachty i karmazynowej i szaraczkowej — duchowieństwa kościoła katolickiego rzymskiego, prałatów i opatów, kanoników i kleryków — wszyscy czekali na skinienie umierającego, gotowi i na koń i na sejmiki. Milczenie było i szerokie i głębokie, kiedy wszedł pierwszy dworzanin szatny, czy piwniczy z oznajmieniem, że jakiś pułkownik uprasza Jaśnie Oświeconego Hetmana o posłuchanie, ale bez świadków, sam na sam.

Hetman zezwolił. Wszedł pułkownik dziarski, strojny jak ułan piosnki: Hej ułani, ułani, malowane dzieci — prawdziwy młodzieniec wojny.

„Panie Hetmanie, umierasz bez spadkobierców płci męskiej i ja się nazywam Branicki. Śmiałem sercem i silną wolą doszedłem stopnia pułkownika, usynowij mnie, zostaw mnie spadkobiercą, nie twoich skarbów, tych nie potrzebuję i nie chcę, ale twojej świetnej i zasłużonej Polsce nazwy, a ja czuję w sobie wolę i siłę do podniesienia jej wyżej w sławie i znaczeniu, od wszystkich istniejących dotąd, najświetniejszych rodów Polski i Litwy i Rusi.“

Serce mu biło w łonie, oczy ogniem płonęły prawdą poczucia i pewnością wykonania onego. —

Dumnemu hetmanowi krew uderzyła do głowy, nie słowem ale ręką wskazał, żeby wyszedł z komnaty.

Potem zawołał swoich doradzców przybocznych i spisano akt, że umierający hetman nie zostawia żadnego naślednika płci męskiej, że z nim się kończy ród Branickich, herbu Gryf, że poleca, aby po jego śmierci zaraz, na katafalku w kościele Białostockim, herb Branickich Gryf w tarczy, był rozbitym kopią przez rycerza woźnego (herolda).

Ten akt podpisał umierający i po jego podpisie podpisało się więcej stu szlachty Karmazynów i Prałatów, jako świadków, i przesłanym został do oblaty i do przechowania, do archiwów Grodzkich miasta Łucka.

Hetman wkrótce zmarł, ceremonja potrzaskania tarczy z herbem dokonaną została w kościele Białostockim. Pułkownik ułan był jej przytomnym. Kiedy herold dokonał roztrzaskania i obyczajem przyjętym rzucił kopię na podłogę, pułkownik ją podniósł.

«Tą kopią zdruzgotano starożytny herb Gryf, a tą kopią ja go skleję w potęgę i w znaczenie i odnowię nowym świetnym rodem. —“

Wziął kopię, wsiadł na koń i pojechał. —

Zmarły hetman śmiertelny polityczny grzech popełnił, pozbawił Polskę nowego Jeremiego Wiśniowieckiego, a może i Stefana Batorego.

I trzeba sobie po wschodniemu powiedzieć: — Te klęski chciały wyroki Boże i tak się stało.

Od świadków naocznych, od współuczestników, od ułanów nowego autoramentu nasłuchałem się o odwadze, o śmiałości, o odczajduszostwie Franciszka Ksawerego, pułkownika ułanów. — Gromił niesfornych Konfederatów, na lój i masło, miażdżył Hajdamaków. Z kilku, z kilkunastu ułanami napadał na sotki i na tysiące, bił, rozbijał, zawsze na przodzie z kopią Białostocką, z głosem — za mną. Ułani stali się postrachem, wilkołakami na chałastrę niesfornych i tłuszczy zbrodniczych i po sobie zostawili — wszędzie — ład i bezpieczeństwo.

Kopią Białostocką dostąpił hetmaństwa Wielkiej Buławy, skleił strzaskaną tarczę z Gryfem i olśnił herb nową potęgą i zamożnością.

Gdyby Polacy nie byli w kurzej ślepocie politycznej, jak to im się często zdarzało i często zdarza, i nie byli widzieli tak ciemno, tak czarno konfederacji Targowickiej, a nie olśniwali błędnym ogniskiem uroku aż do szaleństwa konfederacji Barskiej, Polska byłaby się ostała w dawnych granicach z królem, hetmanem i z ułanem.

Mówiono mi, że kiedy cesarz Alexander I. proponował pani hetmanowej Branickiej za mężów dla jej córek jakieś książątka niemieckie udzielne, pani hetmanowa odpowiedziała:

«Znam ich państwa — langsam na chromej szkapie objedzie ich granice, z końca w koniec, w pół doby — a państwa mego Brania (tak nazywała swego męża) najdzielniejszy mój kozak na najdzielniejszym bachmacie i za dziesięć dni nie objedzie.»

I wydała córki za dwóch Potockich Polaków i za Worończowa Rusina.

Gdyby Branickiego ułana hetmana chciano znać w Polsce, jak na to zasługiwał, gdyby go nie odpychano, gdyby nim nie poniewierano, jak to zazwyczaj się dzieje w tej Polsce, brykającej nieładem i prywatą, jakieby to były granice polskie w porównaniu z jej sąsiadami, Niemcami Szwabami i Niemcami Teutonami! Polacy prawie dobrowolnie oddali swoje granice Niemcom, a pani Branicka, choć proszona ulubionym przez siebie Monarchą, odmówiła Niemcom swoich córek — wierna pamięci i świętej woli hetmana ułana, który miał zwyczaj powtarzać:

«Co do Polski należy, w Polsce zostać powinno. Do Polski należą ułani i polskimi zostać powinni. Darmo ich nam kradną Niemcy Teutoni i Niemcy Szwabi, u pierwszych szperaczami, jak byli w najechanej Francji, u drugich palaczami, jak w zawłaszczonej Bosnji i Hercegowinie, ale nie będą polskimi ułanami.

Konfederacja ułanów nie miała, bo ich się bała: oni byli za królem i władzą. «Konfederacja za złotą wolą», za nieładem, co kto lubi. I Kościuszko nigdzie, nawet pod Maciejowicami ułanów nie stawił, bo i on w złotą wolność się bawił. — Krakus zastąpił ułana, jak kmiotek, chłopek

szlachcica i pana. Boć i to była konfederacja, wolność, konstytucja — a dla ułana trzeba króla, władzy i pana.

Ułan w odskakiwanie, w przyskakiwanie bawić się nie lubi. — Spisy w dłonie i na biodra, ostrogi w konie i ławą naprzód, wszystko wali na łeb, na szyję, niszczy i nie pyta czyje. Taka wola pana, to dość dla ułana, a jak mu się nie uda, to biada, biada. — Już mu w parlamentaryzmie, choćby ogniowym, ratunku, zbawienia nie szukać, nie zda się na nic pukać, trzeba zmykać i zmykać, póki się wroga z pleców nie straci, het daleko, i znowu się szykować ławą do ataku. Tak się zawsze i wszędzie dziać musi z ułanami, więc ułan nie może być tylko żołnierzem władzy, która nie szarmycuje, tylko na prawdę chce zostać panem.

Pierwsze legjony nawet Henryka Dąbrowskiego ułanów nie pokazały, boć i one i rzeczypospolite, którym służyły, ani monarchów, a zatem i rządów na prawdę nie miały. Dopiero z pokazaniem się Napoleona Wielkiego, ułani jak z rękawa sypnęli się ryczałtem.

Pod Kiudat Rodrigo, czy innym grodem Hiszpanii, kiedy wojsko marszałka Soulta, rozbite i gnane przez dwie kolumny Anglo-Hiszpanów, już dyszało ostatniem życiem — generał Lasalle puścił do ataku szwadrony ułanów pułkownika Stokowskiego; bataljony na bataljony padały pod naciskiem tego uraganu, ułani spisami kłuli a kłuli, a konie z trupów na trupy wskakiwały. Zmiecione wojsko anglo-hiszpańskie z pola bitwy i z miasta, a francuskie orły nad polem i nad miastem zabłyszczały. — Zwycięztwo było kompletne.

Lordowie Londondory i Ponsonby wyrażali się w raportach:

«Ułani polscy swoimi spisami i przez mury i przez płoty kolą ludzi, nawet Anglików. —»

W kilka tygodni, kiedy Napoleon przybył do Hiszpanii i marszałek Soult przedstawił Napoleonowi ułanów zwycięzców i ich dowódzcę, w pochodnym stroju w płaszczach, bo była niepogoda, między Napoleonem a Stokowskim zaszła się taka rozmowa:

«Mianuję ciebie pułkownikiem. —»

«Jestem nim Najjaśniejszy Panie.»

«Mianuję cię komandorem legii honorowej. —»
«Jestem nim Najjaśniejszy Panie.»
«Mianuję cię baronem cesarstwa. —»
«Jestem nim Najjaśniejszy Panie.»
«Królem cię nie zrobię, bo dałem koronę hiszpańską memu bratu Józefowi, a drugiej na teraz nie mam, więc cię mianuję generałem brygady tych dzielnych ułanów.»

Słyszałem o tym wypadku od majora Trzcińskiego, który służył w pułku ułanów Stokowskiego.

Ten major miał także swoje wspomnienie, warte opisu ułańskiego.

Był on bardzo walecznym, a przytem bardzo nabożnym. Po sławnej bitwie i opanowaniu miasta, będąc kapitanem i komendantem kompanji, bo wtenczas kompanje były to, co dziś szwadrony, a szwadrony co dziś dywizjony, poszedł do kościoła dziękować Bogu za odniesione zwycięztwo, a że się zwał Jan, uklękł przed figurą świętego Jana z Kompostelli. Figura świętego była wielkości człowieka, nie dęta, ulana z czystego srebra, które Pizar i jego współtowarzysze przysyłali z nowego świata, w darze do kościołów ojczystych. Podobała się bardzo kapitanowi i tak mu było słodko i lubo modlić się do niej, że postanowił się z nią nie rozstawać — usque ad finc. Zawołał ułanów i z całym ceremoniałem religijnym włożył świętego Jana w pakę i nie do Kompostelli, ale na swój ułański furgon. Woził go po wszystkich ziemiach hiszpańskich, niemieckich, słowiańskich, gdzie tylko ułani chodzili. Co rano, co wieczór, a nawet często i w dzień modlił się do niego, a w ciężkich razach religijnie, na klęczkach upiłowywał paluszek od nogi, od ręki, kawałek łytki, krzyżem świętym się żegnając, modląc, a nawet pokłony bijąc. Bo często przechodziły te kawałki w ręce niewiernych, w ręce żydowskie, żeby było o czem żyć i w czem chodzić.

Kiedy przechodził przez most na Berezynie, szedł za furgonem dzwoniąc i wołając:

«Święty Jan z Kompostelli z drogi, na bok!»

I wyśpiewywał antyfony i Veni Creator do Świętego Jana z Kompostelli I tak zajechał aż w Sandomierskie, gdzie się rodzili i umierali jego ojciec, praojciec, gdzie się

i on rodził i gdzie chciał umrzeć. Wszyscy go znali i wiedzieli o świętym Janie z Kompostelli i na ulicach wołali:

«Jasiu, gdzie podziałeś swego Jasia?»

Cesarzewicz Konstanty, naczelny wódz wojska Polskiego, lubił wiedzieć o wszystkiem i o każdym. Wiedział o Trzcińskim i o świętym Janie z Kompostelli, że wyszedł z wojska, zagospodorował się dostatnio i wygodnie. Zdybawszy go na Krakowskiem przedmieściu, przebranego już po cywilnemu, zatrzymał.

«Jasiu, ułanie z Sandomirskiego, coś zrobił z świętym Jasiem z Kompostelli?»

«Wasza Cesarzewiczowska Mość, żeby nie być sknerą i samolubem, Jasia popiłowałem na kawałeczki, na relikwie i za te relikwie kupiłem porządny majątteczek, a teraz ostatnią głowę przywiozłem na manele dla żony. —»

«Toś się ożenił Jasiu?»

«Ożeniłem się Wasza Cesarzewiczowska Mość.»

«Oj Jasiu, Jasiu przepadniecie obydwa, za głową świętego pójdzie i Twoja ułańska głowa — bądź mi zdrów!»

A cztery wiatskie kłusaki pomknęły z powozem dziwnego turkotu, który, kiedy żołnierz polski — kiedy Warszawianin, cywilny zasłyszał — jeden drugiemu powtarzał: jedzie, jedzie.

Kiedy w Hiszpanii nad Ebrem czy nad Tagiem, lepiej nie odjeżdżać, żeby znowu tam nie przyjeżdżać.

W roku 1807, w augustowskim, jakaś panna Kunegunda Konopczanka miała przypadeczek. Zanadto pilnie się wzięła do nauki języka francuskiego z margrabią Szatelleru (Chatel le Roux), pułkownikiem huzarów francuskich, potomkiem niegdyś feodalnego pana tego miasta, leżącego na drodze do Tuluzy, gdzie mieszkała jego rodzina.

Nastąpiły mdłości, nudności, potem malutkie niemowlątko, które, jak usta otworzy, pewnie będzie szczebiotało po francusku.

Margrabia pomaszerował z pułkiem, może gdzie i głową nałożył, wołając: niech żyje cesarz.

A panna strofowana przez rodziców, na swoje tłumaczenie odpowiadała:

«Cóż ja miałam robić, to huzar, a do tego Francuz? —»

Na tem poprzestano, ale brat poprzysiągł się zemścić, a był już szefem szwadronu w siódmym pułku ułanów. Odebrał rozkaz z pułkiem udać się do Hiszpanii. W sześć godzin po odebraniu rozkazu, ułani z Frankfurtu nad Menem, gdzie stali garnizonem jak u siebie, bo wojska Napoleońskie w całych Niemczech były jak u siebie, szli wojennym szlakiem, zwanym Tuluski. Konie z po nad Niemna, z po nad Wisły kroczyły za Renem jak u siebie. Trębacze marsz po marszu trąbili, a pieśń polska — Boga Rodzica — brzmiała nie na polskiej ziemi, ale na ziemi wojsk Napoleońskich. Młody pułkowódzca dumał, plan zemsty układał i ułożył i z nim wchodził do Szatelleru. —

Margrabiego w lennem mieście jego przodków nie było. Bóg wie, w jakim zakątku ziem wojsk Napeleońskich się znajdował ze swoimi huzarami, może pod ziemią, ale zawsze zawojowaną wojskami Napoleona.

Mieszkańce przyjęli Polaków ułanów jak braci, bo oni Napoleońscy, a mieszkańcy Napoleońscy takoż. Niech żyje cesarz — vive l'empereur — brzmiało po ziemi i leciało w niebiosa.

Był miesiąc Maj, powietrze tchnęło wiosną, lubością i roskoszą, drzewa się zieleniły, a łąki były usłane kobiercem zielonej murawy, przewijanej różnobarwnem kwieciem.

Konopka zaprosił całe wyższe towarzystwo miasta na bal powitalny i pożegnalny zarazem, zwany przez ułanów postrzemiennym — na tańce na murawie.

Łąka była oświecona światłami ziemskiemi, tak jasno jak się oświeca Wenecja księżycem i gwiazdami wszystkiemi — w nocy Wenecjańskiej.

Pod drzewami wezgłowia, sofy, miękkie siedzenia, jak na wschodzie, tej kolebce roskoszy i nauki jak żyć potrzeba. Fontanny z pieniącym szampanem i z sorbetami, stoły gięły się pod przysmakami rozmaitych krajów, bo to wszystko w mig i bez cła sprowadziło się drogami napoleońskich wojsk, dla wojska Napoleońskiego. Trębacze w trąbki grali, muzyka brzmiała — czysty raj, lecz nie chrześciański tylko muzułmański.

Przyszły huryski z matkami, z ciotkami, z ojcami, z mężami i z braćmi, — huryski, któreby nie ustąpiły w niczem huryskom Islamu, a w wielu rzeczach byłyby od nich górą.

Do koła ten raj ułani ogrodzili końmi; stali, siedzieli, leżeli przy koniach, jak komu się spodobało.

Zaczęły się tańce i biesiada, wszystko żyło życiem uciechy, życiem wesela, jak w siódmem muzułmańskiem niebie. Konopka zaproponował mazurka ogólnego, czambułem; wówczas tańcowano mazura w całym zachodnim świecie, bo ułani polscy w tym świecie znani byli za czelnych rycerzy, z figurami, które górna fantazja polska stworzyła. Tańczono, gaza i muślin trawę muskały, ostrogi hołubcami brzęczały, obracano, za ręce ściskano, kibić obejmywano, kiedy krzyknął Konopka:

«Same damy!»

Mężczyzni wszyscy wyszli za szpaler ułanów — ułani polscy wrócili nazad w koło, francuzi za kołem zostali, bo ich szpaler ułanów nie przepuścił.

Światła jak czarodziejskim dmuchem pogasły, i z nocy Wenecjańskiej została noc Erebu. Jaki to tam był taniec, tego nikt nie widział, ani nie słyszał, bo wrzawa i hałas francuzów, wpierających się w koło i prośby i groźby ułanów, by nie leźli pod konie, wszystko głuszyła.

Tak trwało aż do brzasku dziennego, z brzaskiem zatrąbiono na koń i ułani pomaszerowali, a w mieście zamięszanie, wymówki, spory, przeklinanie i jedne i też same odpowiedzi — jak Konopczanki z Augustowskiego:

«Cóż tu było robić, to ulani i Polacy. —»

Poszły raporta, skargi wprost do cesarza Napoleona i przyszły rozkazy od niego do władz wojskowych i cywilnych: pułk zatrzymać, rozbroić, dowódzcę i oficerów oddać pod sąd wojskowy, doraźny, surowo sądzić i surowo karać, niebacząc na żadne względy.

Ale ułanów już nie było w Tuluzie, przeszli granice, pod Logrono, pod Pampeluną wpadli na bataljony szkockie, rozbili, wykłuli co do jednego, żeby i nasienie nie zostało.

Ułani Mazury wołali:

«Dyć to sromota Boża, bez pokrycia chodzą, i jak nasze błazny Warszawskie panią starą w oczy ludziom świecą — co za hardość, trzeba ich nauczyć gwizdać po kościele.»

I kłuli.

Ułani Rusini mruczeli:

«Oto mi wirny Skoty, Skotyna bez hajdawarów, sram Boży — koły taj koły.»

Kilka tysięcy tego Skota wykłuli, a harmat i sztucerów, riflerów nie mało nabrali. Marszałek Soult cieszył się i radował tem zwycięztwem. O ułanach i o panu Konopce pisał do cesarza, że spadli jak z nieba, wszysto wykłuli, zdeptali, że z takimi ułanami za miesiąc oczyścimy Hiszpanią ze wszystkiego co nie nasze.

A kiedy nadeszły surowe rozkazy Napoleona ukarania za gwałty, marszałek Soult, który miał wzięcie u cesarza, bo umiał zwyciężać i zwyciężał, odpisał:

«Nie masz nic złego, ani morderstwa, ani grabieży, a Wasza Cesarska Mość będziesz miał porodę polskich ułanów, co nam się zda.»

I na tém zaprzestano, Konopka dalej wojował, ułani kłuli Anglików i Hiszpanów i Szkotów, co pod spisę ułańską podpadło, to i z tego świata przepadło.

W Szatelleru malutkich ułanków pojawiło się niemało i od tego czasu do dziś dnia mieszkańców tego miasta, w całej okolicy zowią — mali ułani polscy — les petits lanciers polonais.

A pan Konopka, dzielny ułan, nie wiem, czy lubił luleczkę, ale lubił dzieweczki i karteczki. I ta ostatnia miłość na złe mu wyszła. W 1811 roku wysłany do Słonima do formowania nowego pułku młodej gwardji ułanów z Litwinów i Żmudzinów, zagrał się w karty i zapomniał o Bożym świecie. Ale pan Czaplic ani zapomniał o świecie, ani o panu Konopce; z Konnopolcami, takoż ułanami, ale cesarza rosyjskiego, wpadł do Słonima i jak bydło z obory, zabrał Konopkę i nową młodą gwardyę ułanów, żeby ją w Sybirze wyuczyć na starą. I to ułańska stuczka, ba i pan Czaplic i jego Konnopolce jacy tacy, byli Litwini, Rusini i Polacy.

O Samosierze już tyle napisano, narozprawiano, nadrukowano i taktycznie i retorycznie i poetycznie, że nie zostaje tylko powiedzieć słowa Napoleona:

«Dla ułana polskiego nie ma nic niepodobnego, gdzie dzika koza się wydrapnie, tam ułan polski koniem doskoczy.»

I słowa Murata, króla Neapolu:

«Jeźli ci powiedzą, że jeździec z koniem wskoczył w przepaść, a ztamtąd jak na skrzydłach wyleciał pod górę, a dodadzą, że to był ułan polski, temu wierz.»

Kozietulski na swoim siwym polskim koniu, ze stada Mira, skakał naprzód i naprzód, a za nim czwórkami ułani — i ułani padali i konie padały, w przepaść między urwiska skał. A Kozietulski pod gradem kul skakał naprzód i naprzód, ułani po zabitych luki zapełnili i dalej skakali i nie stanęli póki nie wpadli aż na harmaty, i harmaty zamilkły.

Kozietulski z przebitą kitą u ułańskiéj czapki, w mundurze poszarpanym kulami, stał i patrzał z dumą i chlubą, jak wojska Napoleońskie spokojnie, swobodnie, bezpiecznie jak na paradzie, przechodziły niedostępne przejście, którego nikt otworzyć nie mógł, tylko ułan polski.

Napoleon podjechał do niego, uściskał, ucałował:

«Ściskając i całując ciebie mój ty ułanie, ściskam i całuję wszystkich ułanów polskich.»

Obejrzał go jeszcze od stóp do głowy:

«Ciebie takim jak dziś jesteś zawiozę na bal do Józefiny, będziesz z nią tańcował mazurka.»

Stu gromami zabrzmiały okrzyki.

«Niech żyje cesarz!»

I wojska Napoleońskie poszły dalej a dalej, a ułani drogę znaczyli tak jak zawsze.

Napoleon słowa dotrzymał, ułan, bohater z pod Samosiery, w podartym, opylonym mundurze, z przebitą kitą u czapki ułańskiej, z cesarzową Józefiną w postuki, w hołubce mazurka wycinał, a Napoleon i w mazurku poklaskiwał ułanowi polskiemu.

W roku 1809 pojawił się nowy choć stary ułan, na polskim świecie — Wołyniak Kwaśniewski, dawny rotmistrz z pułku królewskiego, a raczej Branickiego ułanów. W oczajduchostwie uczeń Franciszka Ksawerego Branickiego, w miłości ojczyzny czyli patrjotyzmie współwyznawca Ludwika Kropińskiego, sąsiada i takoż ułana, a przytem Wołyniaka. Jeden ostrzył szablę, drugi temperował pióra na Niemca Szwaba i obydwa pojechali do Warszawy do księcia Józefa Poniatowskiego. Generał Kropiński został

w sztabie przy generale Morawskim, a Kwaśniewskiemu dano w dowództwo siódmy pułk ułanów. Miał on płachę czyli pałę obosieczną z napisem po łacinie — pro lege et pro rege — bronić praw, o których nie wiedział, a może i wiedzieć nie chciał, bronić króla, którego widział przed wojskiem, a nie tego, którego nie widział. Miał konia gniadego ze stajni księcia Eustachego Sanguszki, lecz nie z dzisiejszej porody arabskiej, ale z dawniejszej, jeszcze dawnego kniazia Romana, na której to porody koniach ten kniaź z kniaziami ruskimi, pobratymcami Ostrogskim, Koreckim, Zasławskim, wodził swoje kozacze chorągwie na Turki i na Tatary. Kwaśniewski utrzymywał, że jego koń ułański, czystej krwi polskiej i innej być nie może, tak jak ułan być nie może tylko Polak. Obczyznę czyli cudzoziemczyznę wyganiał jak zarazę, tak że z regulaminu wygonił słowo — Marsz, a jego miejsce zastąpił komendą po polsku — Suń się!

Wojaczka z Niemcami Szwabami szła gładko jak z płatka. Ułani kłuli Szwabów jak prosiaki, a Madziarów jak warchlaki, a Szwaby i Madziary z polskiej ziemi zmykali i o resztę nie pytali.

Ułani dokazywali. — Strzyżewski ze szwadronem trzeciego pułku ułanów pod Czortkowem wziął w niewolę generała Bikinga z dziewięciu tysiącami szwabskiego wojska, w którem regiment madziarskich huzarów Mertensa — z harmatami, odprowadził do Lwowa i zdał generałowi Sokolnickiemu, a tym swoim szusem wojennym zyskał szlify pułkownikowskie — a szlifami i mazurkiem serce i rękę hrabianki Potockiej, na Złotym Potoku, hetmańskiej, kasztelańskiej i wojewódzkiej prawnuki, wnuki i córki.

Czosnowski z pięciu ułanami i trębaczem zmusił dwa bataljony czaraparów szwabskich do złożenia broni w Tarnopolu i ustanowił w mieście i w okolicy rząd narodowy.

Trzeciewski, Dwernicki, Gawroński, Prażmowski, Ryszczewski i Marcin Tarnowski, z ochotnikami ułanami z Podola i z Wołynia Zbrucz przeszli. Ze Złoczowa, z Żółkwi, z Kołomyi Szwabów i Madziarów pognali za Karpaty obławą. — Sądny dzień na niemieckie plemię, jak zające uciekają w lewo, w prawo, w tył, a nigdzie im przykucnąć nie dają.

Arcyksiąże Ferdynand nie czekał dalej i on pojechał, kiedy wszyscy uciekali.

Książe Józef Poniatowski osiadł w Warszawie pod blachą i nie rząd, nie organizację wojska tam zaprowadził — powtarzając:

«Dąbrowski, Sokolnicki, Rautenstrauch, Fiszer, Wawrzecki, Mostowski, Niemcewicz, Morawski, Koźmian, a nawet Molski i Ziółkowski niech tam radzą, detaliczne raporta podadzą Napoleonowi — a on to wszystko załatwi. My rozpalajmy ułańskiego ducha!»

I hulali, tańcowali i śpiewali!

Jadą wozy za wozami —
Nadybali panieneczkę —
Siadaj z nami
Ułanami!

Byłaś panieneczką,
Będziesz pani,
Jak cię rozcałują
Dziarscy chłopcy ułani.

albo:

Przez wieś jechali,
Wszyscy patrzali,
Co to za jedyna,
Co to za dziewczyna,
Co z rycerzem jedzie
Na złotym rzędzie.

albo:

Hej ułani, ułani, malowane dzieci,
Nie jedna dziewczyna za wami poleci,
Nie jedna dziewczyna, nie jedna wdowa
Za wami polecieć gotowa.

Święte pismo napisało,
Że mąż z żoną jedno ciało;
Jednak mąż tego nie czuje,
Kiedy ułan żonę pocałuje.

To były piosnki ulubione księcia Józefa Poniatowskiego, i te śpiewano pod blachą.

Książe Józef Poniatowski był najpopularniejszym człowiekiem między Polakami, odkiedy się Polacy na świat pojawili. Nie nauczał, nie dokuczał, nie gderał, w nic nie wzierał. Wesół, przystępny, zawsze żwawy, czy do pieszej, czy do konnej rozprawy. Dzielny jeździec, niepospolity tancerz,

Państw. Lit. Pedag. Bibliotek

rębacz, strzelec, choć jaka biada, to hoc — jakoś to będzie. Takim wodzem karz nas Boże, choćby do końca świata!

Tak pod blachą hulali, póki się Napoleona nie doczekali, z jego przybyciem wszystko poszło inaczej.

Rautenstrauch zajął posadę ministra wojny, Dąbrowski sztaby formował, Sokolnicki w baterje artylerję zwodził, Chłopicki stroił piechotę, a Rożniecki jazdę sztyftował. Robota się paliła, o niczem nie zapomniano, nawet do każdego pułku dano grosmajora (majora administracji). Francuza wielkiej armji, żeby wojsko żywili, kiedy pułkownicy Polacy będą się bili — żeby był ład i wojsku na niczem nie brakło — stanęli ułani, szasery, huzary. Wszystko się znalazło, ale straty czasu nie można było odnaleźć.

Gdyby nie siedziano pod Blachą w mieście, ale pod płócienną płachą w obozie, byłoby inaczej — byłoby może dwa albo i trzykroćstotysięcy polskiego wojska, a tak, za nie rachowano z czasem, ledwie sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych Polaków przeszło za Niemen.

Napoleonowi było spieszno, nie gotowi, nie pod bronią, nie na koniach, czekać nie mogą.

Porobiono kadry na Litwę, na papierze, pocyfrowano numerami przyszłe pułki i powiedziano sobie — jakoś to będzie.

Nadzieja w ułanach, ułani i tą razą dopiszą, bo to ułani polscy.

Pod Smoleńskiem stała falanga słowiańska, siła Wschodu, do obrony przeciw napadowi różnojęzycznych hord zachodu. Potężna tabunnym rozumem ludu i wiarą w cara, pomazańca Bożego i śpiewała: Swiaty Boże, Swiaty Welyki, pomyłuj nas!

Słowiańskie wojsko stanęło nie do napadu, ale do odporu napadu. Usiłowało wstrzymać ten uragan na czas jakiś, żeby się przygotować do przyjęcia tych nieproszonych gości, ziemią, wodą, powietrzem, a nie plonami pracy ludzkiej.

Piersi słowiańskich bataljonów formowały szerokie linje fortyfikacyi miasta, to były jedyne wały, jedyne przekopy, rogatka żyjąca, ale silna, bo ruska i słowiańska, — nieprzeparta. Na dwóch skrzydłach dwie baterje po dwadzieścia i cztery harmat każda. Baterje na wzgórzach, oparte o

bezdroża i topielice, z jednej i z drugiej strony broniły od oskrzydlenia linji bojowej, żyjącej fortyfikacji carskich ratników. Koło baterji stały kolumny ściśnięte jazdy, byli tam Barklaj de Tole, Konowniczyn, Jermołow, Rajewski, Miłoradowicz, Paszkiewicz, Niewiarowski i kozaczy Płatow, z Jełowajskim, Orłowem, Denisowem i chmurą kozaków.

Napoleon ze swoimi namiestnikami, koronowanymi, i marszałkami niekoronowanymi koroną, ale laurami zwycięskiemi, którzy rozdawali korony, przebiegał linje wojsk swoich ustawionych do boju, ocenial pozycję swoją i swoje siły i siły i pozycję przeciwnika. Obrócił się do króla neapolitańskiego, hasającego przy nim na andaluzyjskim rumaku:

«Trudne przejście, ale to nie Samosiera. —»

«A gdyby i Samosiera, czyż nie masz Wasza Cesarska Mość ułanów polskich? —»

Atak został nakazanym całą linją — zabębniły bębny, zapiszczały piszczałki, grały muzyki, ściśnięte kolumny piechoty tupotały w takt o ziemię, a wszystko głuszyły okrzyki:

«Niech żyje cesarz — vive l'empereur!»

Zaryczały harmaty, terkotały karabinowe strzały jak stukot młynowej szestierni — na bagnety.

Słychać było: francuskie en avant, włoskie avanti, polskie naprzód — a nawet niemieckie vorwärts.

Jak grochy od ściany, tak bagnety odbiły się od żywej fortyfikacji, od piersi ruskich ratników i ten żyjący mur posunął się naprzód, a żgając przed siebie bagnetem, wysypywał przed sobą wał trupów. Baterje skrzydłowe krzyżowym ogniem dokończyły fortyfikacyjne roboty, w rozmaite kształty, a wszystkie z trupów zachodu.

Trzy razy szły zastępy Napoleona do ataku i trzy razy były odparte rotnictwem ruskiem.

Napoleon się niecierpliwił, ale podjechał do niego Murat i wzkazał ręką na kolumny jazdy, stojące w rezerwie, na czele których stali: siódmy pułk ułanów Kwaśniewskiego i pierwszy pułk szaserów Kurnatowskiego, oficera ze szkoły jazdy pruskiej.

Napoleon w galop przyskoczył do jazdy:

«Faites taire ces goeuls!» — Niech zamilczą te paszcze.

Adjutant Kwaśniewskiego Hempel wytłumaczył, co to ta obczyzna znaczy.

Kwaśniewski zasalutował cesarza dobytym pałaszem, poprawił czapkę na bakier i zakomenderował:

«Ułani suńcie się kłusem!»

I za gniadoszem posunęła cała kolumna w kłus. Z obłoków kurzu widać było, jak pierwszy szwadron rozsypał się w rozsypkę, drugi ukośnie w prawo i na prost, trzeci ukośnie w lewo i na prost, czwarty na prost ławą i wszystkie poniosły się w galop a potem w cwał — harmaty zaryczały śmiertelnym rykiem i zamilkły, a gniadosz ze starym ułanem już byli w baterji, jazda nieprzyjacielska w tył pierzchnęła, baterja wzięta.

Kiedy Kwaśniewski wracał na swoje miejsce z wziętemi harmatami i ze swoimi ułanami, szasery odbici pierzchali kupkami, a z nimi Kurnatowski — rozwścieklony Kwaśniewski zatrzymał mu konia za cugle:

«Niemcze pludrze, bezeceścisz imię polskie, dobrze żeś nie ułan ale szaser!»

Obrócił się do swoich ułanów, zakomenderował:

«Strójcie szwadrony — kłus — suńcie się!»

Po przedzie posunął gniadosz jak pierwszą razą, i to się stało z drugą baterją co i z pierwszą, tylko że kilka zaprzęgów zostało uprowadzonych, Kwaśniewski zeskoczył z konia i siadł na harmatę:

«Albo mnie zabierzcie z harmatą, albo ze mną harmatę tu zostawcie, inaczej nie ruszę.»

Ułani zaprzęgli swoje konie ogonami do harmat i tak przywieźli starego ułana na dawne miejsce, a gniadosz szedł za harmatą.

Napoleon był przy rezerwie, Kwaśniewskiego poklepał po ramieniu, uściskał; mianował generałem brygady, komendorem Legii Honorowej i baronem cesarstwa.

Murat dodał:

«Druga Samosiera; teraz wierzę, że ułani polscy i w niebo wskoczą i w piekło się przedrą, jak Wasza Cesarska Mość skiniesz, że tak chcesz.»

Smoleńsk wzięty i armia Napoleońska poszła dalej. — Pod Borodino, gdzie wojska rosyjskie pokazały, że mogą stawić czoło całemu zachodowi i tam była jedna baterja, która zagradzała drogę do Moskwy. Szli do ataku bawarskie szwoleżery, hiszpańskie huzary na andaluzyjskich koniach,

holenderskie kirasjery, żandarmy westfalskie i litewskie mameluki z bielakiem i z sałtanem, na darmo — jeden tylko piąty pułk kirasjerów francuskich z małym Kolenkurem (Caulincourt) wpadł do baterji, ale i kirasjery od bagnetu poginęli i Kolenkur zginął.

Kwaśniewski ze swoimi ułanami stał na przeciwnem skrzydle. Hempel adjutantując, widział co się tam dzieje, przybiegł do Kwaśniewskiego:

«Generale, tylko twoi ułani mogliby do zamilczenia zmusić tę baterją, gdybyś tylko po swojemu zakomenderował — suńcie się!

Kwaśniewskiemu dwa razy tego nie było powtarzać — wydobył szablę z pochwy, poprawił ułańską czapkę:

«Ułani suńcie się!» i posunęli.

Po za linją w kłus i w galop. Napoleon to widział, ale że to byli ułani polscy, więc nic nie powiedział, tylko patrzał, co to będzie —

Ułani posunęli się naprzeciw baterji, zaszli prawem ramieniem, sformowali kolumnę szwadronową, frontem do baterji a potem po swojemu w rozsypkę, w prawo, w lewo, na prost, w galop, w cząał i już w baterji, harmaty zamilkły.

Napoleon dziękował Kwaśniewskiemu, dziękował ułanom, a stary ułan trzymał za połę szaraczkowego surduta wielkiego pułkowódzcy.

«Imperatore kanon grips, dekoracion niks — i pokazywał, że mu dekoracji nie zawieszono, tego ładnego cacka. Stary ułan skarżył się.

Napoleon uśmiechał się i sam własną ręką udekorował go komandorstwem legii honorowej i dodał komandorstwo Virtuti Militari i pensję dożywotną na wielkiej księdze dochodów cesarskich.

Na polu bitwy Kwaśniewski był pierwszym nawet między ułanami polskimi, ale w odkomenderówce było mozołu niemało, bo nie rozumiał żadnego innego narzecza oprócz polskiego i dla tego mu dano adjutanta, Hempla, wychowańca Puław, choć kuda ułan, i dobrze szły rzeczy.

W marszu do Kaługi adjutant Murata przywiózł rozkaz zapieczętowany, a niestety Hempel gdzieś odjechał w stronę. Stary ułan wytłumaczywszy się, że czytać nie może, bo mu

Biblioteka

komar wlazł w oko, dał innemu oficerowi rozkaz do przeczytania. Ten przeczytał ordre du jour — rozkaz dzienny, a Kwaśniewski wyrwał mu z rąk papier.

«Już wiem, order oprawny, a żur — co też ten najjaśniejszy pan ze mną wyrabia, dla starego ułana to dalibóg już zanadto. Szczęściem, że się pojawił Hempel i wytłumaczył, że to rozkaz dzienny, inaczej byłby poszedł do Kaługi, żeby tam jego i jego ułanów nakarmili nie tylko żurem ale i kwaczą.

W roku 1813 cesarz Napoleon, jeszcze przed bitwą pod Drezdnem, polecił księciu Józefowi Poniatowskiemu wysłać do Drezdna czterech oficerów z wojska polskiego, najwaleczniejszych, po jednemu z każdej broni i wymienił wyraźnie, że chce, aby Kwaśniewski był z jazdy.

Kwaśniewski żadnym językiem cudzoziemskim nie mówił. Stary ułan nad tem dumał, co tu począć i zapytał, czy był Napoleon u Jezuitów w szkołach, a kiedy mu powiedziano, że nie, pomyślał — alwara się nie uczył, więc po łacinie nie umie, damy sobie radę.

Kiedy stanął z innymi przed cesarzem, Napoleon zaczął do niego mówić po francusku — Kwaśniewski, pokłoniwszy się rzekł:

«Imperatore latine.»

Cesarz, który doskonale mówił po łacinie, zaczął mówić tem narzeczem.

Ale stary ułan znowu się pokłonił.

«Najjaśniejszy Panie po polsku.»

Skończyła się mowa przez tłumacza obdarzeniem go sygnetem z kamą wizerunku Napoleona, z napisem brylantami: Najwaleczniejszemu ułanowi polskiemu, ale po francusku.

Później, już dobrze później po Waterlo, po ostatecznej abdykacji Napoleona, kiedy się zjeżdżał z generałem Kropińskim, z którym był w sąsiedztwie i w przyjaźni, a kiedy się kto trzeci zjawiał, wynosił futerał z sygnetem, otwierał:

«Tobie takiego nie dano i nie dadzą — czemu nie ułan, to patent Napoleona.»

Zamykał pokrowiec — i wkrótce schował i swoje ułańskie życie.

Już w rejteradzie w Saksonji.

Październikowy księżyc blado świecił na niebie, saksoński gród Lipsk bladą bielą odbijał się od ciemnej ziemi, jakaś smętna żałoba ociągała i niebo i ziemię, ale nie było ciszy, harmaty grzmiały, rotowy ogień karabinów wygrywał jak w takt po klawiszach. — Napoleońskie wojska cofały się wolno, leniwo, a massy sił nieprzyjacielskich, choć trąby i bębny grały — naprzód, choć słychać było komendy wygłaszane — naprzód, naprzód, one w miejscu stały. Przed niemi nie było ani rzeki, ani przekopów, ani żadnej przeszkody, ale stali ułani polscy, a przed nimi książe Józef Poniatowski; przy głowach koni, błyszczały groty spis, a ułani tak siedzieli w siodłach jak do poskoku z kopyta. I krocie nieprzyjacielskich wojsk z miejsca nie ruszały, bo ułani polscy stoją, a książe Józef burkę odwinął i w oczy migał Sobieskiego pałaszem.

Nareszcie przyskakał adjutant Napoleona.

Wojsko całe przeszło za Elsterę — ustępować.

Szwadrony szły za szwadronami, stępo. Jazda nieprzyjacielska nie ruszyła z miejsca. Piechota nie strzelała, a nuż się odwrócą ułani.

Harmaty od czasu do czasu ognia dawały.

Przeszły wszystkie szwadrony, książe Józef z jednym tylko został i temu kazał iść wpław — a sam z adjutantem Wilczkiem i z ordynansem Kasprem Lewińskim zatrzymał się nad brzegiem rzeki.

Zdaleka tyrolscy strzelcy i dońscy kozacy strzelali.

Popatrzył, wszyscy jego ułani na przeciwnym brzegu, zwrócił swego kasztanowatego konia, bo był na kasztanowatym, a nie na siwym albo karym, jak go malują na obrazach, i ze stromego brzegu skoczył w rzekę, już płynął i był niedaleko przeciwnego brzegu, kiedy kulka błędna ubodła go w ramię, targnął konia, koń rzucił się i jeździec zsunął się w rzekę.

Ułani skoczyli z koni do wody, chwycili księcia z dna i wynieśli ale już nieżywego, wszystkie ratunki nie pomogły — ulubieniec ułanów, ulubieniec całej Polski już nie żył. Ułani jak dzieci płakali, łkali, rozpaczali, cała Polska płakała.

A kiedy książe Sułkowski objął dowództwo nad ułanami i zaportował o śmierci księcia Józefa — Napoleonowi łzy w oczach stanęły:

«On z ułanami wojsko moje ocalił — powiedz to sobie i ułanom, ja na was rachuję.»

A cesarzewicz Konstanty, dostawszy w spuściznie dowództwo polskich ułanów, wyprosił u cesarza brata, by zwłoki księcia Józefa powieziono do Warszawy.

Niech jego prochy, jak jego pamięć będzie z nami ułanami!

I tak było.

Koń kasztanowaty dostał się adjutantowi Wilczkowi, z podków jego porobiono pierścienie żelazne ze złotą nagłówką, z napisem: Żył dla ojczyzny, umarł dla sławy».

Patroństwo tym pierścieniem rycerskim wziął na siebie cesarzewicz Konstanty, naczelny wódz wojska polskiego i jego ułanów.

Koń kasztanowaty przeszedł do Abramowiczów; widziałem go w ich stajniach na jarmarku w Berdyczowie.

I na Elbie byli polscy ułani, stu szeregowych z podoficerami, pięciu trębaczy i siedmiu oficerów w czerwone mundury przybrani, ze srebrnemi ozdobami, barwy narodowe i herb, w czerwoném polu biały orzeł — i rodem to byli sami Mazury i Krakowiacy. Jerzmanowski nimi dowodził, a Piątkowski przy odartym z korony monarsze, ale wielkim pułkowódzcy, pełnił służbę oficera ordonansa. Był to podarek księcia Meternicha, dany zarazem i Napoleonowi Wielkiemu i ułanom polskim — niech przypominają sobie Samosierę, Smoleńsk i Borodino i nad Berezyną ułanów Dąbrowskiego.

Hrabina Sturmer, żona komisarza strażnika, ze strony dworu teścia, zdetronizowanego cesarza, francuska rodem, wychowanica światowa na dworze cesarzowej Józefiny — usiłowała udawać Józefinę i w czarujących rozmowach z Napoleonem i w mazurku z ułanami polskimi, a było ich siedmiu hulaszczych skakunów ze szkoły warszawskiej, z krzywego koła, co to stukają i wierzgają jak konie, co to hołubią taneczki w atłasach i koronkach, jak proste szynkareczki, albo kawiarne dzieweczki. Dla Napoleona to

nie była ani Józefina, ani Kozietulski — ale jakieś mgliste przypomnienie gorzkiego żalu i rozdrażnionego chcenia.

Ale kiedy dla uwięzionego orła przyszedł dzień wylotu w pole, w świat Boży pohulać jeszcze i jeszcze. W Cannes zastali ułani polscy konie okulbaczone i umunsztuczone — wskoczyli na nie i z kopyta w rozsypkę, poskakali od dzwonicy do dzwonicy, po swojemu, po dawnemu okrzykując:

«Niech żyje Napoleon, niech żyje cesarz! — Vive Napoleon, vive l'empereur!»

Dzwony wesoło, szparko, nie jęczały, ale radośnie hukały, — lud się gromadził, wojska szpalerem stawały, na całej drodze z Cannes do Paryża — cała Francja w jeden wielki głos wołała: Niech żyje cesarz! — Vive l'empereur!

Konie dla ułanów były przygotowane przez hrabiego Oktawa de Barrol, krewniaka cesarzowej Józefiny, szefa szwadronu strzelców konnych. Ten dzielny oficer jazdy, od czasu abdykacji w Fonteneblo aż do wylądowania w Cannes nie złożył broni; ale ze swoim szwadronem przebiegał południową Francją od Alp do Pireneów, tam i nazad, a wciąż i myślą i okiem śledził, co się tam dzieje na morzu z Piątkowskim, swoim dawnym towarzyszem broni, porozumiewał się przez rybaków i majtków Słowian. I w czas zebrał remontę z siwych limuzyńskich koni, dla ułanów Polaków i były gotowe.

Nie przypominam sobie, czy w pismach Tiersa, Lascazasa, Vaudenkoura i innych jest wspomnione nazwisko tego dzielnego oficera, ale ja go znałem osobiście i w dobrej zażyłości z nim żyłem; sam mi swoją wojaczkę opowiadał. Był to prawdziwy nasz Szreter, co z Białowiejskiej puszczy wychodził, do niej wchodził i po niej brodził. Jeźli przemilczano o tym dzielnym Francuzie, więc ja temu francuskiemu Szreterowi pozwalam sobie zastąpić miejsce księdza kanonika Praniewicza.

Przyszedł dzień przeklęty pod Waterlo, kiedy Nej ze swoją krzywą huzarską szablą na czele kirasjerów wpadał w czworoboki piechoty angielskiej, a stara gwardja w swoim czworoboku ochraniała Napoleona Wielkiego. Ten wódz kazał Jerzmanowskiemu uderzyć na dragonów Ponsobego, a Piątkowskiego wysłał na poszukiwanie Graczego i przyprowadzenie go z wojskiem na plac boju.

Dragoni Ponsonbego zachodzili w tył kirasjerom Neja i odcinali ich od reszty wojska Napoleona. Dziwnym trafem dragoni Ponsonbego, w czerwonych angielskich mundurach, byli na siwych koniach, tak jak czerwoni ułani polscy (les Lanciers Rouges).

Jerzmanowski uderzył w bok, kolumnę jazdy Ponsonbego rozbił na drobne cząstki, czerwoni ułani pognali w paszczę boju czerwonych dragonów i w niej utonęli.

Nej wrócił do cesarza z niedobitkami, ułan żaden nie wrócił — wszyscy zostali na placu bitwy, zabici lub ranni.

Ponsonby podnosił z ziemi porąbanego i postrzelonego Jerzmanowskiego i obydwa patrzali na to pole usypane trupami w czerwonych mundurach i trupami siwych koni. —

Tak się skończyło czerwone ułaństwo.

I na wyspie Świętej Heleny był ułan polski — Piątkowski; Laskazas o nim mówił:

Często on, choć na chwilę, rozradowywał wielkiego męża wojny swoim mundurem ułańskim, do którego było przywiązanem tyle wspomnień Napoleońskich, — ale niepokoił i na jawie i we śnie cerbera tego piekła Świętej Heleny, Hudsona Love, który i sobie i swoim opowiadał:

«Ułani polscy byli na wyspie Elbie i widzieliście, co się stało — wyprowadzili go, i tu jest ułan polski, wyprowadzić gotów, bo dla ułana polskiego nie masz nic niepodobnego.»

I dopóty się męczył, dręczył, dopóty kłopotał, póki Piątkowski nie był zmuszonym opuścić wyspy Świętej Heleny.

Hudson Love odetchnął.

Piątkowski odjeżdżał, układając w myśli: Trzeba nauczyć tego Ingliszmana, — ten zdradziecki Albion — poadę, nawerbuję ułanów; kiedy tu ludzie dojeżdżają, to i my z naszemi końmi dojedziemy — a wtenczas zobaczymy.

Napoleon pożałował:

«Gdyby Polacy wszyscy byli ułanami, tobym się na nich oparł i z nimi, ułanami, świat przeobraził po swojemu.»

Słowo wielkiego człowieka, to słowo Boże.

Rok 1815, z upadkiem Napoleona, arcymistrza wojennej nauki i sztuki, nie pociągnął za sobą ani upadku, ani schyrlawienia bytu ułanów polskich. Cesarzewicz Konstanty Pawłowicz, ten arcymistrz nauki i sztuki wojskowej, ten arcyznawca ludzi i rzeczy wojskowych, wziął w swoje ręce ułaństwo polskie. Nie zatłumił w niem odczajduszostwa dawnego, zostawił, podniósł je nawet, a wprowadził w nie skład i ład, których mu brakło. Sforność doszła równowagą do odczajduszostwa, i ułaństwo stało się utworem doskonałym, ciałem i duchem.

Zostały organizowane cztery pułki, pierwszy z amarantem czyli karmazynem na gniadych koniach, drugi z białem na koniach siwych, trzeci z żółtem na kasztanowatych koniach, czwarty z ciemnoszafirowem na koniach karych, wronych. Gwardji ułanów polskich nie było, cesarzewicz przyprowadził z sobą swój pułk gwardji ułanów ruskich, którego był i szefem i założycielem. Była w tem myśl, żeby w ten sposób zbratać prędzej i cieśniej dwa narody jednego i tegoż samego rodu — ułaństwem.

Mianował dowódzcami tych pułków Tomickiego, Dwernickiego, Madalińskiego i Kozietulskiego; każdy z tych pułkowników miał swoją przeszłość na swoje kopyto.

Tomicki był hulaka i zawadjaka. Kiedy resztki wojsk polskich szły od Napoleona Wielkiego z Francji do cesarzewicza Konstantego do Warszawy, szły przez Berlin. Prusacy już wiedzieli o wysyłce Napoleona na wyspę Świętej Heleny, zaczęli żartować ze swojej konfuzji i ze swego popłochu pod Jeną i Auerstädt, piwo popijali, po niemiecku szwargotali i dzieci Boga Marsa udawali. Weszło ich kilku wąsatych, brodatych do kawiarni, gdzie gościł Tomicki i

reńskie wino popijał. Mieli z sobą pudla, którego zwali Napoleon — dawaj dokazywać niemieckie figle, pudel przez kij skakał, a Teutony z kuflami pieniącego piwa zachęcali: Hop, hop, Napoleon, z Paryża na Helenę, brawo, brawo!

Tomicki sumował, podkręcał wąsa, wino wypił, zapłacił kielnerowi — drzwi pozamykał, klucze wyjął i do kieszeni. Jedno okno otworzył i zagwizdał Niemcom marsz z pod Jeny, a miał kij bilardowy w dłoni: Przeklęte Ferfluktery, Tajery, zapomnieliście, jak pod Auerstädt i Jeną skakaliście, kulturträgiery, hop, hop, i pierwszego lepszego zamalował kijem przez ślepie, drugiego po karku, trzeciego w potylicę — dalej hop! Teutonów było dziewięciu, bilardowa sala znachodziła się na drugiem piętrze, a za oknem brukowana ulica. Niemcy w gwałt zaszwargotali i w kupę się zebrali, a Tomicki jak cepem walił po łbach i po plecach, bo w oczy mu nie patrzyli. Tomicki jak doskubił jednemu do sytu, ten przez okno pierzchnął — a potem i drugi i trzeci i wszyscy dziewięciu, a w końcu i pudel — hop, hop.

Boki, krzyże pozbijali, z nosów, z ust purpura teutońska się sączyła, a oczy zaszły z łzami jak od chrzanu, dał im dobrej musztardy po piwie, ostatni skoczył pudel i zabił się na miejscu.

Tomicki drzwi otworzył, ułańską kurtkę strzepnął, rzucił garść napoleondorów na zapłacenie szkód i wyszedł, gwiżdżąc marsz z pod Jeny.

Wieczorem był aresztowanym przez Oberpolicmejstra, z rozkazem królewskim w ręce. Wsadzono go do karety i z eskortą szwadronu kirasjerów posłano go do granicy, do Wierzbołowa, a stamtąd już tylko z dziesięciu żandarmami, dwoma oficerami i flügeladjutantem do Warszawy, do cesarzewicza Konstantego.

Raporta były sążniste, po kulturträgiersku pisane, z komami i punktami. Kuruta czytał, a cesarzewicz się śmiał, przywołano Tomickiego:

«Jak się masz panie pułkowniku — ująłeś się za wodzem nieśmiertelnej sławy, to dobrze; napędziłeś Niemcom feferu i to dobrze, uszanowałeś władzę i prawo i to dobrze. Mianuję cię dowódzcą pierwszego pułku ułanów, Karmazynów, to górna fantazja barwy narodowej. Niech twoi nie

dadzą sobie pod nos kiwać, niech uczą tych, którzy żyć nie umieją, przez okna skakać — hop, hop!

I od dowódzcy na ten strój kształcił się cały pierwszy pułk ułanów.

Dwernicki w roku 1814 dowodził pułkiem zbieranym z ułanów rozmaitych pułków, których Warszawianie, rzeczpospolitanie, przezywali Krakusami. Już było zawieszenie broni, ale jeszcze nie ogłoszone. Prusacy z Batiniolów, z Monso, z Małej Polski, z Monaster, a nawet z Romenwilu naściągali mnóstwo gryzetek, loretek i bez nazwy dzierlatek i gnali je do Wersalu, gdzie była główna kwatera kulturträgierów, na pokaz Blücherowi, jaka to kultura w tym francuskim Paryżu. Stary Blücher na pół pijany wyjechał z huzarami całkiem pijanymi na spotkanie tego Jesyru Białych głów. — Dwernicki właśnie w tej chwili z ułanami doszedł w Wersalu od mostu na Sekwanie, kiedy Blücher przyjmował i przeglądał jeńców na moście.

Nagle zabrzmiały ułańskie ula, hurra, niech żyje cesarz! zatętniły kopyta końskie i zabłysły groty spis — Prusacy w nogi, drała. Kto na drogę do miasta, kto do Paryża, do Sen Żermen, a kto z mostu w rzekę, jak z pieca na łeb. Wielu huzarów i koni się pogruchotało, potopiło — a staremu Blücherowi oderwał się sabertasz z flakonami wody długiego życia.

Gryzetki i loretki z ułanami zostały, a Dwernicki się śmiał, że jego koń siwy, siwo-jabłkowity, w ten sposób ciekawość kulturträgierów zaspokoił. Bo to nie on, Dwernicki Józef, ale jego koń siwy Prusakom taką kurtę skroił; tak mówił.

I to była ostania szarża wojsk Napoleońskich na jego wrogów — w raz z abdykacją — i ta była wykonaną przez ułanów polskich.

Cesarzewicz Konstanty o tem wiedział i dając mu dowództwo drugiego pułku ułanów, rzekł:

«Odbiłeś z Jesyru Białogłowy, daję ci dowództwo nad Białogłowami.» — Był to odnos do białych czapek. — «Pokaż, że tyle warte na polu taktycznem, co i politycznem — to będzie dość!»

Madaliński był ze znakomitego małopolskiego wojennego rodu. On i Pac, bawiąc w Paryżu, w tej febrycznej chwili i marnotrawsta, nie tylko nie tracili dochodów ze swoich majątków, ale z oszczędności składali znaczne kapitały. Napoleon o tem wiedział i to niemało go dziwiło. — Polak oszczędny! Przy formacji wojsk w Księstwie Warszawskiem obydwom kazał dać w dowództwo po pułku ułanów. Pac nie przybył do nowego królestwa; cesarzewicz Konstanty dał trzeci pułk ułanów w dowództwo Madalińskiemu.

«Ten rachmistrz nie zmarnotrawi ułanów, zaoszczędzi i będą kadry na nowe pułki.»

Niestety, przerachował się i poszedł dorachowywać w twierdzy Zamościu, w kajdanach, decesów, a Korytowski zajął jego miejsce; to był sobie ułan i nic więcej.

Kozietulski, bohater z pod Samosiery, tancerz mazurka cesarzowej Józefiny — jemu się należało i dostało dowództwo czwartego pułku ułanów.

Przez wyższe poetyczne uczucie, które mało kto posiadał w takim stopniu jak cesarzewicz Konstanty, pułk ten był zorganizowanym z oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy służyli w starej gwardji ułanów Napoleona Wielkiego. Pułk ten został posadzonym na wrone konie, przybrany w ciemne barwy z srebrem — żałoba po Napoleonie Wielkim, którą cesarzewicz Konstanty, dla wojaków całego świata, nie liczył na dnie, tygodnie, miesiące, nawet na lata, ale na wieczne czasy.

Wielkie wojskowe serce tak cześciło pamięć wielkiego wojennego wodza.

Było postanowionem przez cesarzewicza, żeby po pierwszym szwadronie czwartego pułku ułanów wszyscy żołnierze, podoficerowie i oficerowie byli tacy, których piersi ozdobione były Krzyżem Polskim zasługi wojskowej, virtuti militari, i Krzyżem Francuskim legji honorowej. Byli to starcy, którzy i liczbą lat i liczbą odbytych bitw liczyli swoją wojenną służbę.

Kapitan Filibom, dowódzca tego szwadronu, miał ośmdziesiąt lat, po drabinie właził na konia, ale jak dosiadł, to i siedział. Najmłodszy podporucznik Krzyżanowski liczył sobie sześćdziesiąt ośm lat, a starszy wachmistrz Rzążewski

sześćdziesiąt dwa, wszyscy mieli białe wąsy, białe hiszpańskie bródki i na głowie, albo białe włosy, albo łyse pałki.

Cesarzewicz Konstanty lubował się tym szwadronem i pokazywał każdemu księciu Zachodu, który przyjeżdżał do Warszawy, albo przez Warszawę przejeżdżał. Kiedy to było książątko niemieckie, wywoływał z frontu któregokolwiek z ułanów po imieniu, bo znał i pamiętał wsystkie imiona:

«Biłeś się z Niemcami?»

«Biłem, Wasza Cesarzewiczowska Mość.»

«A gdzie i kiedy?»

Ułan w odpowiedzi wyliczał miejsca i daty.

«A nie żałowałeś ich?»

«A czegoż żałować tych drabów!»

Cesarzewicz Konstanty się obracał do niemieckiego księcia, rad, wesół, z radości klepał po sobie dłoniami:

«Widzisz go, to ułan — ułan polski!»

Jednego dnia, na przyjazd księcia Kumberlandu, kazano wystąpić szwadronowi w całym komplecie, na placu saskim. Jeden z ułanów już na placu zachorował; kapitan kazał ułanowi z innego szwadronu przyczepić siwe wąsy, bródkę, wsadzić na koń i wpakować w szereg.

Kiedy przybył cesarzewicz Konstanty, sokolim okiem poznał, że to nie jego stary ułan, ale nic nie mówił, po defiladzie podjechał do frontu i cicho zapytał:

«Którego roku wstąpiłeś do pułku?»

Ułan odpowiedział całą prawdę, że dwa lata na święty Michał.

Cesarzewicz Konstanty kazał po paradzie kapitana, porucznika zwodu i wachmistrza aresztować i oddać pod sąd. Wachmistrz przyjął całą winę na siebie i został degradowanym na prostego żołnierza.

Trzy miesiące przebył żołnierzem, po trzech miesiącach stawionym był przed cesarzewicza Konstantego — ten pociągnął go za ucho:

«Stary, chiałeś mnie oszukać, nie udało się. Oszukiwać władzę, to przestępstwo, nie ładnie; ale ocaliłeś swoich naczelników, to uczciwie, honorowie, po ułańsku, mianuję cię podporucznikiem.»

I nominacja Rzążewskiego została ogłoszoną.

Cesarz Aleksander I., który nadzwyczaj swego młodszego

brata miłował i cenił, wiedząc o jego przywiązaniu do ułanów, zapytał:

«Jak się mają i co robią twoi ułani?»

Cesarzewicz odpowiedział: «Pierwszy pije, drugi poluje, trzeci rachuje, a czwarty tańcuje, a wszyscy gotowi zdobyć wszystkie Samosiery, wiodące do Wiednia.»

Cesarzewicz Konstanty przyprowadził ułanów polskich do doskonałości pod każdym względem, on ich kochał całą miłością wojskową, a oni go uwielbiali, czcili. Ja dotąd sobie wytłumaczyć nie mogę, dla czego roku 1830 opuścili swego naczelnego wodza, czemu nie zostali przy nim, z nim nie poszli choćby na tamten świat — tak go kochali i tak po nim żałowali.

Długie lata przeżyli, a nie mogli ukoić swego żalu. Każdy stary ułan umierający, czy to w ojczyznie, czy na obczyznie, ostatnie słowa wypuszczał z ust:

«Pójdę do naszego Kostusia i tam będę znowu z nim ułanować!»

Ułaństwo polskie za czasów cesarzewicza Konstantego zaczęło sie na dobre bratać z ułaństwem rossyjskiem. Cztery pułki korpusu litewskiego, Konnopolski, Tatarski, Litewski i Wołyński, były duplikatem czterech pułków ułanów wojska polskiego. Miały i one swoje tradycje prawdziwie ułańskie.

W roku 1810 pułk wołyńskich ułanów pod dowództwem grafa Ururga w Ruszczuku, nad Dunajem, po palącym skwarze dziennym wyszedł pławić konie w słowiańskiej rzece. Dowódzca pułku, wszyscy oficerowie i żołnierze byli w koszulach tylko i na oklep.

Wojsko tureckie w liczbie kilkunastu tysięcy wpadło niespodzianie na obóz ruski; dowodził nim Aga pasza. Piechota ledwie z artylerją zdołały uprowadzić połowę dział i cofnąć się na górzystą i lesistą pozycję. Jazda złożona z huzarów i z Dońców, placu nie dotrzymała, pierzchnęła i schroniła sie za piechotę. Turcy gospodarowali w obozie.

Ułani na huk strzałów wyskoczyli z Dunaju i przyskakali do obozu, w którym już byli Turcy. Jakimś szczęśliwym trafem dostali się do swoich spis — chwycili za nie i za-

częli Turków wyganiać z obozu. Obóz oczyszczony, dwóch paszów zabitych i kilkudziesięciu Turków, jeden pasza i pięciuset jeźdźców; sam Aga pasza ranny spisą. Za przewodem dzielnego dowódzcy parli Turków aż do Krazgrady, w koszulach na oklep, ale ze spisami ułańskiemi w dłoni. I to było dzieło ułańskie.

W latach 1811, 1812 i 1813 Czaplic z pułkiem ułanów Kounopolskim był uchem, okiem i ramieniem ruskiego wojska, a jego ułani pod Berezyną widzieli plecy ułanów Kwaśniewskiego, co nikomu dotąd w czasie boju nie zdarzało się.

Odczajduszostwo ułańskie, rozwijane przez cesarzewicza Konstantego, zaczęło przechodzić i w posielenne pułki ułanów.

Na sławnym zborze jazdy ruskiej pod Wozneseńskiem, o którym opowiadał dobrze znany wielki wezyr porty otomańskiej, Aali pasza, że i on i wszyscy przedstawiciele Zachodu na tej uroczystości mdleli i padali na ziemię jak nieżywi od tententu kilkudziesięciu tysięcy koni, skakających w czwał na jeden raz, ziemia się trzęsła, powietrze targało się na wszystkie strony. Sam cesarz Mikołaj osobiście dowodził tą jazdą, i głos jego komendy głuszył wszystko i na jego komendę jazda ruszyła się na wszystkie strony jak w Karuzelu.

Sam cesarz Mikołaj kazał trąbić atak na Boh, Wozneseńskiemu czy Mirgorodzkiemu pułkowi ułanów, nie przypominam sobie dobrze. I tego nie przypominam sobie, czy tym pułkiem dowodził Kaniowski czy Cichocki, jeden z dwóch. Pułk puścił się z kopyta do ataku. Czy z woli cesarza, czy z innego powodu, trębacze przed rzeką nie zatrąbili sygnału: Stój. Pułkownik a za nim cały pułk ławą rzucili sie w rzekę, przepłynęli na drugą stronę i dalej skakali w czwał do ataku. Wtenczas zatrąbiono Stój i Odbój: pułk stanął, odwrócił front w tył i szwadronami, w jak najściślejszym porządku przepłynął na przeciwną stronę Bohu — i to było po ułańsku.

Cesarz dziękował pułkownikowi, podoficerowie i żołnierze dostali po pięć i trzy ruble srebrne na każdego, oficerowie

na całe umundurowanie i na całe osiodłanie, a cesarz Mikołaj miał powiedzieć:

«Dla moich ułanów nie masz przeszkody na tej tu ziemi!»

To mi opowiadał baron Ryk Inflandczyk, potomek rycerzy Mieczowych, który służył wówczas porucznikiem w tym pułku.

Ze śmiercią cesarzewicza Konstantego zaczęło chyrlać i konać nie tylko ułaństwo polskie, ale nawet i ruskie, bo nie stało Pigmaliona, do ciągłego ożywienia tej potężnej formy ułanów.

W roku 1831 odznaczało się śmiertelnemi podrygami ułaństwo polskie, czy z rozpaczy, że ich cesarzewicz Konstanty opuścił — bo i tak to wbili w głowy tych dziarskich a biednych ułanów Konstytucjoniści i honoratka rewolucyjna, które same niewiedziały, czego chciały i dokąd dążyły — czy też z żalu, że odebrano im ich Kostusia, ich naczelnego wodza, ich cesarzewicza; bo tak myśleli.

Rząd Warszawski parlamentarny, mimo obecności w nim Joachima Lelewa, znakomitego numizmata, nie lubił się bawić w antykwarjuszostwo i nie miał żadnego pociągu do antyków. Dyktator znał wojnę i bataljony, jak mechanik znał koła i walce obracające machinę, ale nie znał ani ludzi ani ducha wojska. Zdecydowano, że pierwszy szwadron czwartego pułku ułanów nie wyjdzie w pole do boju, że zostanie w Warszawie, jako gwardja honorowa, do strzeżenia ratusza. Starce protestowali:

«Kiedy wy tacy, my z wami być nie chcemy, do naszego cesarzewicza pójdziemy.»

Tak się rozruszyli, że ledwie ich uspokojono, dając im na dowódzcę pułku hrabiego Władysława Zamojskiego, ulubionego adjutanta cesarzewicza. Znali go wszyscy i mówili jeden drugiemu w ucho: Tak chce nasz Kostuś i tak być musi; pokażemy, co jeszcze umiemy. Pod Kałuszynem na żwirówce starce ze swoimi oficerami dziadami i z młodym dowódzcą czworoboki czterech bataljonów, szóstkami, jedne po drugich rozbili — i to przypomniało Samosierę.

Pod Stoczkiem z Dwernickim, zawsze na siwym koniu, z ułanami, takoż antykami, bo już wysłużonymi, którzy już w domu z babami żyli, jak trąbki zagrały na koń, i baby i pługi rzucili, za szable chwycili, na koń i drała w pole. Przodem pan Kasper Lewiński wiódł białe ułany i Metelski, któremu, kiedy pod Wagram wykomenderował pierwszy — marsz, kulka w otwartą gębę wleciała, wyleciała policzkiem, a on zamykając gębę, drugi raz powtórzył — marsz i z kopyta na madziarskich mariaszów runął, i Kobyliński jednooki. Prusak okulista pod Kulmem bagnetem go zaczepił, a on mu spisę z chorągiewką aż po drzewce wszczepił.

Przyleciał szef sztabu, pułkownik Zadera, partner Chłopickiego, do wista i woła:

«Panie generale zatrzymaj tych szaleńców, my nie mamy tylko tysiąc ośmset spis (ułanów) i ośmset szabel (szaserów), a oni przeszło dwadzieścia tysięcy z Gejsmarem, z Paszkowem, z harmatami.»

Dwernicki poprawił brzuch.

«Ty nie widzisz, kto te spisy te szable nosi, jacy to żołnierze — z drogi, bo mój siwy chce skakać, hura ułani!»

Dywizjony po dywizjonach w cwał poskakały — harmaty wzięte, wojsko Gejsmara rozmiecione.

Zadera stał z nosem spuszczonym na kwintę, Dwernicki brzuch poprawiał:

«Widzisz, co ten siwek narobił; jemu, nie mnie chciało się bitwy.»

I dalej tych swoich ułanów wodził. Zaszedł do Lublina, — gdzie go ugościła piękna pani Debolina, do Borembla na pirogi, na indyki. Panowie oficerowie u Michała Czackiego po staropolsku przez trzy dni i trzy noce hulali, a ułani po ułańsku na huzarów, na dragonów szarżowali. Czwartego dnia nie poszli na odpust do Poczajowa, żeby zaśpiewać na podziękowanie Boga Rodzicy, Dziewicy, choć ruskiej, ale mimo przez Lublin do austryackiej granicy przechrzczonej z Czerwono-Rusi, i tam broń i konie oddali. Ojczysta sprawa zgubiona, ale honor ocalony, tak powiedział pan Józef Dwernicki; ale tego nie powtórzył jego siwy koń.

Niech pilnują Szwaby i Madziary, my będziemy spoczywali. Wszystko bez ładu, bo nie było ani króla pana, ani hetmana pana. Konstytucyjna szajka wlazła do władzy,

przybrała sobie w pomocnicę uliczną szajkę, zwaną — honoratka, i groziła ludziom serca i głowy formułką konstytucyjną, nie wiem czy starą czy nową, ale polską z łacińskiego, zawrócić.

Jak makówka wznosi głowę nad makówki, to ją pod strychulec.

Kiedy pod Iganiami Skrzynecki sprawiwszy wojska, jak przystało na Jana IV w nadziei, słuchał mszy świętej, Michał hrabia Mycielski, dowódzca białych ułanów, panicz Wielkopolanin, trochę encyklopedysta, trochę Wolterianin, stał na koniu przed pułkiem i z cygar hawańskich dym puszczał dla zabawki, żeby się nie nudzić, ale i to go nudziło — spojrzał w oczy ułanom i ci się nudzili, poprawił czapkę na bakier i ułani czapki na bakier poprawili.

«Długo czekać na ite missa est.» Naprzód stępą marsz, ze stępy w kłus, z kłusa w galop — i w cźwał ponieśli się po żwirówce białe ułany, Mycielski na czele. Bataljony cofały się na bataljony, żołnierze broń rzucali, w jesyr się oddawali, ale rdzeń wojska cofnął się do lasu i las zajął.

Skrzynecki z kaplicy wyszedł, konia dosiadł, już na koniu pacierz skończył i przeżegnał się krzyżem świętym, nie było czasu i możności wojsko nieprzyjacielskie odciąć od lasu, ani go dogonić i rozbić — zapóźnił się, zamodlił i armja Dybicza połączęła się z gwardją cesarską; trzeba było stanąć i na nowo się modlić, a ułani nic nie pomogli, choć po ułańsku zaszkodzili.

Cż sami bieli ułani pod Ostrołęką, kiedy inne pułki rozmaitych jazd, szaserów i krakusów, do bagna przyskakiwali, a rażeni strzałami przez grenadjerów ruskich, odskakiwali nazad — oni, bieli ulani, w bagnie grzęzli końmi po brzuch, a skakali i wskoczyli na grenadjerskie bagnety. Od bagnetów zginęli czterej rotmistrze tych dzielnych białych ułanów polskich: Ołtarzewski, Kowalski, Żwan i Sierkowski, prawnuk sławnego Koszowego Sierka. Lecz co dziesiąty ułan wyszedł z tego rozpaczliwego boju.

Tak zakończył drugi pułk ułanów swoje życie ułańskie.

Cześć mu i sława jego pamięci.
Niech się po wiek wieków święci.

Pierwszy pułk ułanów, hulaszcze Karmazyny, na Litwie nie biesiadował, ale wojował po ułańsku, z kopyta, od ucha. W swojem łonie wychował samych ułanów. Krajewski, który imię i sławę polskich ułanów zarzucił znowu za Pireneje, w służbie królowej Izabelli. Ludwik Piotrowski, który zewsząd się wyrąbał i wywinął i dla tego, że był ułan, na całą gębę, jak to mówią, dostał ułaskawienie i został w kraju na ojczystej ziemi. Ignacy Kołowiński ze Steblowa poległ na Litwie. Brochocki, którego ułaństwu Belgja i Hiszpania długie lata cześć oddawała. Ale i te hulaszcze Karmazyny zaprowadzono za granicę, żeby oddali słowiańską broń, słowiańskie bronie Niemcom Teutonom — bo nie było króla pana, ani hetmana pana.

Trzynasty pułk ułanów, zorganizowany z samych Litwinów i Żmudzinów i dowodzony Tatarem Lipka, Janowiczem, wychodzącym z trzeciego pułku ułanów, wsławił się zasłanianiem rejterady naszego polskiego Xenofonta, poczciwego generała Dembińskiego. Musiał dzielnie sprawiać swoją służbę, kiedy tak rozkomosił naszego Xenofonta do rejterad, że ile razy potem wojował, czy to w Polsce, czy to na Węgrzech — wydając rozkazy do ataku, zaraz na tej samej ćwiartce dołączył rozporządzenie do rejterady. I napisał broszurę i wydrukował, że Polacy nie powinni składać broni, złazić z koni, tylko chodzić i brodzić po całym świecie, póki tylko ziemi stanie, byle tylko mieć do zasłaniania rejterady pułkownika Janowicza z trzynastym pułkiem ułanów i z takimi oficerami, jak byli Prozor i Stanisław Drozdowski.

Były i inne sławne pułki ułanów. Piąty, ordynacji Zamojskich pod dowództwem Kraszewskiego — później organizatora jazdy belgijskiej.

Szósty, nadwiślański, z Galicji, dowodzony przez hrabiego Starżyńskiego z dzielnymi oficerami — jak Tytus Sarnecki z Rajgrodka, Szumlański, kilka hrabiów Starżyńskich i inni.

Siódmy, litewsko-ruski, dowództwa ułana odczajduszy Mikołaja Kamińskiego, złożony z samego kwiatu Karmazynów

Wołynia, Podola i Ukrainy — Podhorodeńskich, Czetwertyńskich, Pauszów, Podhorskich, Lipkowskich, Jełowskich, poety Olizarowskiego, Garniszów, a nawet w nim był i sławny adwokat grodu łuckiego, Wątróbka.

Było i wiele innych pułków jazdy, rozmaitych nazw, rozmaitych strojów i krojów, w których tlało ułaństwo, tylko czekało aż się rozpali zarzewie, żeby buchnąć ułaństwem. Ale niestety brakło Kwaśniewskich i Kozietulskich, i na prawdę tylko dwóch takich naliczyć było można w całem tem polskiem wojsku:

Janowicz, rodem Tatar Lipka, z Augustowskiego

i Karol Różycki, z rodu Tatarów Budżackich, z po nad Dniestru.

Karol Różycki, jako pułkowódzca jazdy, nie ustępował ani Stefanowi Czarnieckiemu, ani Iwanowi Brzuchowieckiemu, ani Piotrowi Sahajdacznemu Konaszewiczowi. Wychodził on wprawdzie z pułku Białych ułanów, ale dowodził kozakami z pod Berdyczowa, zwanymi Jazdą Wołyńską.

Historja jego pułku bogata w naukę teorji i praktyki, dla jazdy — nie należy do ułaństwa, ale do kozactwa.

Były dwa pułki kozackie w wojsku polskiem: pierwszy, Karola Różyckiego, na koniach, drugi, Ludwika Steckiego, na pieszo.

Po upadku Skrzyneckiego, bo trzeba było pod stryhulec makówki, co się wznosiły nad inne makówki, za dydaktury Krukowieckiego podanemi zostały dwie prośby — jedna od Karola Różyckiego, który miał pięciuset kozaków a tysiąc kilkaset koni, druga od Ludwika Steckiego, który miał siedmset kozaków a dwadzieścia koni tylko.

Różycki prosił, by dozwolone mu było, oddać luźne konie pieszym kozakom Steckiego.

Ludwik Stecki prosił, by mu dozwolono oddać jego kozaków Różyckiemu.

Dyktator Krukowiecki odpisał:

«Jak pułkownik Różycki będzie miał ochotników z Rusi, to ich wsadzi na swoje luźne konie, a jak hrabia Stecki

kupi za swoje pieniądze konie, wsadzi na nich swoich kozaków. Żadnych zamian, żadnych facjend w wojsku nie masz, i ja na nie nie pozwolę. Wszystko ma zostać jak jest. Podpisane — Dyktator Krukowiecki.»

To wszystko dowodzi, że wojsko polskie nie miało już ani Napoleona Wielkiego, ani cesarzewicza Konstantego, ani nawet Jana Skrzyneckiego — ale dydaktatora z honoratki, tronującego pod ratuszową blachą, nie błyszczącą, nie świecącą, ale zardzewiałą, i to dzielne wojsko musiało się samo dać zjeść rdzy.

Ułaństwo polskie skończyło się z rokiem 1831. A niebawem bronie palne, dalekonośne, często strzelne, zadawały cios kolejno ułaństwu, w różnych krajach. Po najeździe germańskim Francja swoich lansierów, ułanów, przeorganizowała na szaserów, konnych strzelców.

W całej Słowiańszczyznie ułańskie piki poszły na rożny piec indyki — a ułani przeodziani w dragony.

Tylko u Niemców Teutonów zostali ułani szperacze, a u Niemców Szwabów ułani palacze.

Polscy ułani już tylko miłem na dyspozycję poezji albo malarstwa. Ale jeśli kiedy w ich wnukach lub prawnukach ożywi się ułaństwo, śpiewem Bohdana albo pędzlem Brandta — jeszcze będzie Samosiera i — etcetera!

Parchimów, 29. Września 1883.

JESZCZE GAWĘDA O KAWALERJI.

Rozeszła się wieść, niewiem, o ile prawdziwa, że w ministerium wojny rossyjskiem zajmują się ulepszeniem organizacji kawalerji, wprowadzając wiele szczegółów, jakie Karol Różycki w roku 1831 wprowadził — w powstanie, które właściwie nazwać trzeba Berdyczowskiem, a które dostawszy się do Królestwa Polskiego, przeimienowanem zostało na pułk Jazdy Wołyńskiej, albo pierwszy pułk Kozaków Polskich; drugim był pułk kozaków Ludwika Steckiego.

Głównie wprowadzonemi zostały do tej organizacji:

Szyk bojowy w jeden szereg.

Wprawianie do nocnych pochodów — podjazdów i napadów.

Wprawa do strzałów z karabinów i pistoletów z koni i spieszanie się po jednemu z dwójki — i walki na pieszo, mianowicie tyralierki.

Karól Różycki, który wiele czytał, wiele pracował w poznaniu sztuki wojennej, a mianowicie wszystko to co się odnosiło do kawalerji; a przytem w latach 1811 i 1812 był w dobrej szkole przy sztabie generała Latour Maubourg, nie udawacza, nie samego tylko rębacza, ale sumiennego i uczonego oficera jazdy.

Według Karola Różyckiego, jeden szereg dawał możność wyrobienia jeźdźca i łatwiejszego i prędszego.

Dawał więcej samoistności i polotności a nawet swobody jeźdźcom — nie było tego ciągłego oziérania się na poplecznika, co mimo wszystko zatrzymywało polot; każdy pędził przed siebie i nie patrzył tylko na to, co było przed nim.

Usuwał się ten opór naturalny a nie podobny prawie do przezwyciężenia w koniach drugiego szeregu, iść naprzód

bez poprzednika — ta nawykłość stawała się narowem niepoprawnym; jeden szereg stawiał wszystkie konie jazdy do jednakowego działania.

Manewrowanie na polach nie równych, przepadzistych, w kłusie i galopie — nie tylko w kolumnach ściśniętych, ale w zwyczajnym froncie, jeźdzcom mozolniej zachować porządek, a konie mogą się tratować i kaleczyć.

A drugi szereg wcale nie popycha szereg pierwszy naprzód i nie dodaje mu ani siły ani pomocy, chyba wtenczas, kiedy się wsunie w pierwszy szereg i przestanie być drugim.

Może dwuszeregowy szyk jest pokaźniejszym dla oka, ale wcale nie może być skuteczniejszym w użyciu.

Szyk jazdy tatarskiej i arabskiej, jazdy wschodu, która może być śmiało uważana za pierwszy zarodek istotnej bojowej kawalerji świata, był jednoszeregowy, a w niektórych tylko razach rozsypaną masą, bez szeregów — czambułem — w manewrowaniu, w rozwijaniu się i w zachodzeniu, zawsze w porządku jednoszeregowym, czego mamy najdobitniejsze dowody w opisie bitwy pod Koniach, którą można uważać za arcydzieło Tamerlana w wojowaniu kawalerją i we wszystkich rozprawach tatarskich, arabskich i tureckich, mianowicie w porządku tak zwanym półksiężycowym, czyli oskrzydlającym.

Taki szyk jednoszeregowy przechowali Beglerbegowie, Ewrenosy i Michał Oglo, w kawalerji sułtanów otomańskich; taki sam wprowadzili do organizacji akindych Bosnji, dzielnej jazdy, która zawładała ziemiami Madziarów, postrach niosła pod sam Wiedeń i zapuszczała swoje zagony po Styrji, Koryntji, aż do Tyrolu.

Grecy i Rzymianie nie byli wcale mistrzami w kawalerji, a najlepszym dowodem, że na wszystkie swoje wojny dalekie najmowali jazdy Wschodu, numidyjskie, macedońskie i inne. Pierwotna jazda Aleksandra Wielkiego była słowiańsko-wschodnia, która się zwiększała i pokrzepiała jazdami dalekiego Wschodu. W wojnach rzymskich jazda macedońska, czyli bułgarsko-arnaucka stanowiła kawalerję Pompejusza, a numidowa kawalerję cesarza. Toż samo pod Farsalją.

Rzymianie mieli swoje kohorty, Grecy swoje falangi, piesze i wozowe, których używali jako taranów i twierdz,

czyli fortyfikacji przenośnych. Kawalerji istotnie nie mieli, i kiedy ją chcieli stworzyć swoją własną, stroili ją na wzór falang i kohort, na koniach, przerażali ludność bezbronną i nieoświeconą, tak nawet jak na Wschodzie. Stąd się porodziły owe feodalne jazdy taranów i twierdz, opuklerzowanych, okutych żelazem i innemi metalami, i nie mogły być tylko wieloszeregowe.

Krucjaty i walki Słowian, Polaków i Rosjan z Tatarami i Turkami, dały poznać Europie feodalnej i chrześciańskiej co to jest prawdziwa kawalerja — kawalerja Wschodu. Stefan Batory i Bohdan książe Różycki utworzyli kawalerją kozacką, jednoszeregową, która mogła walczyć z kawalerją Wschodu i walczyła. Stefan Czarniecki, ten mistrz jazdy, a może jedyny oficer kawalerji w całem znaczeniu i wymawianiu tego słowa, za czasów królowania królów w Polsce, utworzył dragonją. Jak sam o niej mówił — to moja piechota na koniach, to moja kawalerja na pieszo, i nie była to amfibia, pół ptaka, pół ryby, bo wygoniła i Szwedów i Niemców z Polski. Tatarom i Turkom dawała się we znaki, karciła niesfornych kozaków, stawała zaporą pobratymczym Rosjanom. On pierwszym był twórcą dragonji, jej uzbrojenia, jej służby i jej użycia. Gustaw Adolf był naśladowcą tylko. I ten Raby Sobaka, tak był przezywanym Stefan Czarniecki przez rozsierdzonych na niego kozaków, z powodu ospy, która zrysowała całą jego twarz, był i serca i ducha rycerskiego dawnych wieków, bo pierwsze dwa regimenta, które zorganizował, nosiły zwanie — regiment dragonji królowej Jadwigi, drugi regiment dragonji królowej Anny, Jagielonki, żony Stefana Batorego. Byłby może i trzeci — regiment królowej Marji Ludwiki, żony Jana Kaźmierza, gdyby ta wielka pani nie afektowała politycznie Jana Wyhowskiego i jego kozaków; o tyle ich nienawidzili Jezuici i magnaci.

Raby Sobaka po rycersku, po szlacheccku stawiał pod opiekę płci pięknej swoich dragonów — i było to po polsku. Czyż Polacy nie oddali swoje państwo i swoją koronę królewską pod opiekę Najświętszej Panny Marji Częstochowskiej? Tylko Stefan Czarniecki bił się a modlił — Polacy modlili się a nie bili się.

Kiedy Fryderyk Wielki, król i wódz, z tego rodu Hohen-

zolerów, który jest niezaprzeczonym wzorem dla monarchów świata, z generalem Sejdlicem zająwszy się reorganizacją, a raczej organizacją kawalerji, usunęli z niej siedm szeregów, byliby usunęli i ósmy, jako nie potrzebny, ale przez duch zachowawczy, przez poszanowanie przeszłości zostawili dwa szeregi; a że nie wiedzieli użytku rzeczywistego tego dwuszeregowego szyku — dowód, zdaje mi się dostatecznym, w zdaniu dwóch znamienitych generałów jazdy, którzy służyli w wojsku pruskiem za rządów Fryderyka Wielkiego i służyli takoż w wojsku polskiem jako organizatorowie stutysięcznego wojska nowego autoramentu generałowie Warnery i Kosecki. Pierwszy z nich napisał bardzo szacowną książkę o jeździe, która została tłumaczona z języka niemieckiego na język polski przez Janusza Woronicza. Drugi drukował wiele not i uwag o kawalerji, które podawał królowi Fryderykowi, księciu Józefowi Poniatowskiemu i samemu cesarzowi Napoleonowi I. Zgadzano się na to, że pierwszemu szeregowi trzeba dać spisy, a drugiemu karabiny; tylko nie mogli się zgodzić na to, czy ten drugi szereg trzeba używać wyłącznie do służby spieszonej, czy też, żeby strzelali z koni, pod ramiona pierwszemu szeregowi. W końcu generał Kosecki proponował, żeby całą kawalerją przeformować na ułanów i dragonów, składając pułki zbiorowe z tych dwóch broni, w którychby zajmowali ulani pierwsze szeregi, dragoni szeregi drugie. I to dało zapewnie powód do nazwy — amfibia, ni ryba ni mięso.

Ta dowcipna ocenka wyszła z Warszawy z pod blachy przez pułkownika Fiszera, w odpowiedzi na notę generała Koseckiego i dla tego w bogatej nomenklaturze sił wojennych polskich, Księstwa Warszawskiego i Litwy: nie było dragonów, a byli ułani, konni strzelcy, czyli szasery, huzary, żandarmy, kirasjery, mameluki a nawet gidy, a nie było ani kozaków, ani dragonów, którymi niegdyś nasi praojcowie wojowali, i dobrze wojowali — kirasjery na cześć francuskich kirasjerów, tylko niestety nie mieliśmy ani Kielermanów, ani Hautpalów, ani Bessierów, ani Nansutych, a huzarów, żeby można zaśpiewać: «Węgier, Polak dwa bratanki — do Gulaszu i do szklanki — hejże, ha ha —»

Takim szykiem jednoszeregowym Karol Różycki, pod Mołoczkami, dwoma zwodami, liczącemi czterdziestu jeźdźców,

idącemi jeden za drugim w odstępie powodowym — rozbił pół bataljonu starej i dzielnej piechoty imienia księcia Welingtona, na szlaku okopanym z dwóch stron podwójnemi rowami, mającej przed sobą mostek, który był przez nią przed natarciem zerwany. Uderzenie jazdy było wściekłe, obrona czworoboku uparta, dowódzca batalionu został zakłutym, większa część żołnierzy ubitych lub rannych, a było ich dwiestu pięćdziesięciu, których waleczności nie zarzucić nie było można. Koń pod Karolem Różyckim dostał sześć pchnięć bagnetem, koń pod oficerem, wiodącym czoło kolumny i który po przesadzeniu fosy pierwszy wskoczył w czworobok, dostał dwadzieścia pięć pchnięć bagnetem i trzy kule w szyję, a ubior oficera był postrzępionym bagnetami na drobne frędzle. Dziewiętnastu żołnierzy z jego zwodu miało zęby wybite bagnetami, a podoficer jego zwodu ranny trzema kulami w udo. Na miejscu czworoboku półbataljonu wznosiła się kupa wysoka trupów, podlana kałużą krwi — więc uderzenie jednoszeregowe szyku było skuteczne.

Tymże samym szykiem jednoszeregowym, za Międzyrzeczem Koreckim, Karol Różycki ścigany przez dywizjon strzelców konnych pułku Dorpackiego, pod dowództwem Majora Petersa, przeszedłszy wieś Tyszyce nad Słuczą z dwoma szwadronami, nie liczącemi więcej nad sto sześćdziesiąt jeźdźców, odwrócił front w tył i uderzył na dywizjon strzelców konnych, liczący przeszło trzystu ludzi. Strzelce konni po wystrzylaniu z karabinów byli rozbici, wtłoczeni w bagna nadsłuczańskie i gonieni w wiosce i po polach. Z całego tego pięknego dywizjonu tylko major dowódzca z trębaczem i ordonansem, samotrzeci, zdołał ujść do Międzyrzecza — i jak powiadano, z rozpaczy dostał białej gorączki. Do stu jeńców zostali wsadzeni na statki, szuwaleje, będące na rzece i puszczone jej biegiem. Wielu było ubitych, a więcej rozbiegło się po lesistej okolicy; tabuny koni, wyswobodzone z pod jeźdźców, skryły się w lasy.

Na trzeci dowód, że można bić szykiem jednoszeregowym jazdy i bić dobrze, kładę bitwę pod Iłżą, w Sandomierskiem.

General Samuel Różycki, przysłany z Warszawy dla objęcia dowództwa nad wojskami, zostającemi pod komendą

generała Szeptyckiego, przeznaczonemi do obrony lewego brzegu Wisły. Dla połączenia się z oddziałem wojsk trzech broni, przy sześciu harmatach, prowadzonych z Warszawy przez pułkownika Obachowicza, dla sformowania istotnego korpusu na lewym brzegu Wisły. Zajął miasteczko Iłżę. Siła jego zbrojna składała się z dwóch bataljonów piechoty litewsko-ruskiej, dowództwa pułkownika Kwiatkowskiego, z bataljonu strzelców sandomierskich, pułkownika Grotusa, z bataljonu dwudziestodrugiego piechoty liniowej, majora Nideckiego, z trzech szwadronów pułku Karola Różyckiego, nie liczących więcej nad dwustuczterdziestu jeźdźców, i z dwudziestu pięciu jeźdźców legji nadwiślańskiej galicyjskiej, porucznika Szumlańskiego; harmat nie było.

Generał Rüdiger, doświadczony i przezorny dowódzca, z całym korpusem wyruszył ku Radomowu, dla przeszkodzenia temu połączeniu się. Generał Samuel Różycki, który także dążył do tego miasta, zaskoczonym został w Iłży przez oddział generała Kwiecińskiego, złożony z dwunastu bataljonów piechoty, dwóch baterji artylerji, pułku dragonów, zwanego noworosyjskim, o ośmiu szwadronach, i pułku kozaków-dońskich sześciosotniowym, i musiał przyjąć bitwę — Samuel Różycki.

Miasteczko Iłża, o ile zapamiętać mogę, leży na wzgórzu dość wyniosłym: po prawej stronie pola orne, poprzerzynane wzgórzami piaszczystemi i krzemienistemi i laskami w stronę Wisły; po lewej stronie głęboki wąwoz, tuż koło miasta, przez które droga, a raczej wielki szlak przechodził do Szydłowa i w lasy szydłowieckie; przed frontem, po nad rzeką Iłżewką, długa ulica, osiedlona dość gęsto wiejskiemi chatami aż do stawu i długiej grobli, przez którą trzeba było przechodzić; na drodze do Janowca, w lewo od tej osady, równina kilkowerstowa w kierunku Radomia.

Generał Samuel Różycki zajął miasto z bataljonami legji litewsko-ruskiej i strzelcami sandomierskimi. W wąwozie, po prawej stronie szydłowieckiego szlaku, osadził bataljon dwudziestodrugiego linjowego pułku. Karolowi Różyckiemu powierzył osłanianie lewego skrzydła z jego pułkiem w sposób, jaki mu będzie się zdawał najwłaściwszym.

Zaczęły się strzały harmatnie i kolumny piechoty poszły do ataku. Strzelce sandomierscy złamani, schronili się do

kościoła. Legja litewsko-ruska, będąca w rezerwie, prowadzona przez starego Napoleońskiego oficera, pułkownika Kwiatkowskiego, sparła bataljony, idące do ataku, i zaczął się gorący bój na bagnety. Wtenczas Karol Różycki, widząc już kolumny dragonów, kłusujące równiną do oskrzydlania Iłży, i Dońców rozsypujących się po polu, posłał oficera do majora Nideckiego, żeby był bacznym do przyjęcia ogniem naprowadzonych na niego dragonów. Sam zaś z pułkiem przeszedł za wąwoz, rozwinął się frontem i szedł kłusem do przeciwnika, i ten musiał się takoż rozwinąć we front, nie doszedłszy pięciuset kroków, sformował w tył kolumny zwodowe we wszystkich szwadronach i kłusem cofał się ku wąwozowi. Dragoni szli za nim; dowódzca dragonów, pułkownik Kowen, przez lornetkę przeliczył jeźdźców nieprzyjacielskich, wyrzekłszy:

«Dwiestu czterdziestu; wszyscy nasi!»

Karol Różycki, przeszedłszy wąwoz, pociągnął się w prawo, po nad samym wąwozem, i sformował się galopem w tył, opierając lewe skrzydło o wąwoz, a wyginając ukośnie prawo, tak, że przeciwko dragonom stał równobyłem frontem tylko trzecim szwadronem, przed którym sam się znachodził, ale który był złożonym z najmniej wyprawionych jeźdźców.

Dragoni przechodzili zwodami przez wąwoz i za wąwozem zaraz formowali się we front do natarcia. Bataljon Nideckiego nie dał znaku życia; zatknął się głos majora, zaklęsły palce przy zamkach karabinów u żołnierzy. Dragoni wykonywali przejście bez żadnej przeszkody, formowali się i oskrzydlali pułk Karola Różyckiego, który stał w miejscu. Kiedy już byli na sto kroków od siebie, Karol Różycki zakomenderował:

«Sława Bohu!»

Był to krzyk wojenny i hura i marsz, marsz jego pułku.

Trzeci szwadron kopnął się z kopyta, Karol Różycki był przed tym szwadronem, i waleczny pułkownik Hoven znajdował się przed frontem swojego prawoskrzydłowego szwadronu. Obydwaj dowódzcy starli się z sobą i chwilkę, malutką chwilkę, oba fronty zatrzymały się — czy to z powodu tego rycerskiego pojedynku, czy też z powodu niedoświadczenia trzeciego szwadronu i ze zmęczenia koni dragonów

— ale to trwało chwilkę. Pułkownik Hoven jednym cięciem przeciął wszystkie cztery cugle z tręzli i munsztuku na koniu Karola Różyckiego, a Karol Różycki silnem cięciem pałasza na odwet zwalił z konia pułkownika Howena.

Szwadrony dragońskie dochodziły do frontu, a pierwszy i drugi szwadron jazdy wołyńskiej, zaszedłszy pędem prawemi ramionami — tak silnie uderzyły na flank kolumny rozwijającej się dragonów, że cały ten nawał rzuciły w ogromny jar. Pułkownik Howen został końmi roztratowany, podpułkownik dragonów Hemes ranny i wzięty w niewolę, literalnie cały jar był zasłany trupami, rannymi i zrzuconymi z koni dragonami, o różowych rabatach, a stada dragońskich koni poniosły się w pola; mało który dragon wyskoczył na drugą stronę jaru, ale trzy szwadrony dragonów, które jeszcze nie przeszły wąwozu, zwróciły po nad lewy brzeg jaru, dla zbioru i zasłony rozbitków. Rzecz dziwna, a nawet nie pojęta, że ani jeden jeździec z pułku Karola Różyckiego nie zleciał z konia; wszyscy wyskoczyli z jaru, zdrowi, hoży i ochoczy, i na komendę swoich oficerów zformowali się znowu w jeden szereg i uderzyli migiem na dragonów i rozbili ich znowu. Rotmistrz Michał Grodziński objął chwilowo dowództwo przez czas, nim Karol Różycki przesiadł na innego konia. Zaczęła się gonitwa po obszernej równinie. Kilka razy dragoni, którzy zawsze byli w przewyższającej znacznie liczbie, potrafili się zformować do frontu, i zawsze jazda wołyńska, formując się w jeden szereg, szybka, żwawa, rozbiła dragonów, i tak ich wpędziła w przysiołek pod Iłżę, w którym ulice z obu stron były obsadzone piechotą rosyjską, a na wchodzie do miasteczka stała baterja z sześciu harmat.

W Iłży już nie było boju. Generał Samuel Różycki, porażony i wyparty z miasta, rejterował się wąwozami ku szydłowieckim lasom i tylko sotnie kozaków dońskich szły za nim w pogoń. Generał Kwieciński, po odebraniu raportów o porażeniu dragonów, zwrócił się do przysiołku i drogi do Radomia.

Nawały jazdy uciekającej i goniącej wpadły na ulicę przysiołku, artylerja dała ognia kartaczami kilka razy i nakładła stosy trupów ludzkich i końskich swoich własnych dragonów, strzały piechoty z za płotów zabiły sześciu jeźdz-

ców — między nimi trzech Elieszewiczów, ojca i dwóch synów — w czasie boju wielu było rannych, ale ani jeden nie był schwytanym.

Kiedy się rozpoczął bój na ulicy — na ten odgłos drugi oddział wojska rosyjskiego, pod dowództwem generała Słotwińskiego, ciągnął ku Iłży na huk armat. Dragoński pułk moskiewski, na kasztanowatych koniach, szedł przodem; już czoło jego kolumny, przeszedłszy groblę i mostek na bagnach Iłżenki, wychodziły na błoń przed przysiołkiem. Jeden z oficerów jazdy wołyńskiej, zebrawszy na prędce zwód, jednym szeregiem uderzył na czoło kolumny tak szczęśliwie, że kolumna wtłoczyła się aż za most i miano czas, takowy zerwać. W tej chwili przybył Karol Różycki, wyprowadził pułk z przysiołku, uporządkował i w szachownicę, przeszedł równinę, zabierając jeźdźców i konie bez jeźdźców, których większa część była zabrana już przez bataljon dwudziestodrugiego pułku piechoty.

Nazajutrz jazda wołyńska połączyła się z korpusem w lasach szydłowieckich; nie goniona nawet przez Dońców, przyprowadziła z sobą ośmdziesiąt sześciu jeńców dragonów i stokilkadziesiąt koni. Mówiono nam potem, że ten pułk dragoński tak był zniszczonym przez jazdę wołyńską i przez strzały swojej własnej artylerji, że po bitwie ledwie można było złożyć dwa całe szwadrony.

Przytaczam te trzy przykłady o możności bicia się i dobrze bicia, kawalerji, w jeden szereg.

Przytaczam jeszcze czwarty.

Kiedy cała Ukraina, Kijowskie i Podole zawrzały powstaniem 1831 r., generał Rott z korpusem swoim, którego wojska zajmowały Multany i Wołosze, zawezwanym został na teatr wojny. Znamienity ten wódz, który rozumiał, co to jest wojna, a szczególnie wewnętrzna, powstańcza i że ten wygrywa, kto będzie działał pospieszniej i śmielej, dowiedziawszy się o zebraniu się powstań tych dwóch prowincji — pod Daszowem, dla zorganizowania się i dla obchodzenia wyboru na naczelnego wodza starego generała Kołyski — co tchu tam spieszył z oddziałem, który miał pod ręką. Oddział ten składał się z ośmiu szwadronów dość nielicznych, pułków ułańskich kurlandzkiego i smoleńskiego i ze zwodu artylerji z dwóch harmat.

Siły zebrane w obozie powstańców miały cztery bataljony powstańczej piechoty, pod dowództwem Władysława Zagorskiego, cztery czy sześć harmat na wasęgach karecianych, dowodzonych przez marszałka powiatu Hejsyńskiego, Edwarda Jełowickiego, i dziewiętnaście szwadronów jazdy, dziarskich jeźdźców na dzielnych koniach, dowodzonych przez hrabiego Wacława Rzewuskiego, sławnego Emira Taszkefera, braci Sobańskich, braci Lipkowskich, Skurata Pobiedzińskiego, pułkownika Bydłowskiego, majora Radziszewskiego, Korzeniowskiego, Serpina Juliusza Korsaka i innych starych żołnierzy i najpiękniejszy kwiat obywatelstwa Podola i Ukrainy. Orlikowski, oficer artylerji polskiej, ogromnej reputacji wojskowej, był szefem sztabu, a Wincenty Tyszkiewicz naczelnikiem politycznym tych powstań.

Generał Rott, widząc tak przeważne siły nieprzyjacielskie liczbowie, znając wartość będących na czele, zrozumiał, że każda zwłoka byłaby dla niego niepomyślną, sprawił swoich ułanów w szyk jednoszeregowy, czem z dwóch swoje ośm szwadronów na szesnaście, z niemi manewrował i z niemi jednym szeregiem uderzył na powstanie. Piechota i artylerje powstańców były zabrane, jazda rozbita, tak że na drugi dzień w lasach okolicznych zaledwie mogło się zebrać czterechset kilkudziesięciu jeźdźców.

Że nie była to płocha hołota to powstanie, tego dowiedli wkrótce pod Obodnem i pod Tywrowem. Szybkość działania, śmiałość generała Rotta i jeden szereg dały kawalerji rosyjskiej to sławne zwycięstwo, ten cios śmiertelny, zadany powstaniu, które najwięcej wpłynęło na smutny koniec tej narodowej walki.

Niech sobie co chcą mówią pedanci nauki wojennej — praktyka w mnogich przykładach okazała, że szyk kawalerji w jeden szereg jest najłatwiejszym do zbierania się, do formowania się, do spuszczania, do manewrowania, do napadów, a szczególniej nocnych. Przykłady tego mniemania możnaby miljonami przytoczyć z wojen Wschodu, Tatarów, Arabów, Turków, z wojen kawalerji tak zwanej Beglerbejowską, Spahisów i Akindych, z jazdy polskiej, walczącej pod dowództwem Stefana Czarnieckiego, walczącej przeciw Szwedom, Niemcom i Turkom, z wojennych działań kozaków dońskich pod Płabowem, Jełowajskimi, Orłowem, Denisowem,

Grekowem i innymi wodzami tego konnego wojennego ludu. Ograniczam się na przyłączeniu przykładów z działań pułku Karola Różyckiego, którego zasadniczą wartością był szyk jednoszeregowy, przykładów których byłem i uczestnikiem i świadkiem, więc najsnadniej mi o nich mówić i sądzić.

Powstanie Karola Różyckiego zebrało się w miesiącu Maju 1831 między Berdyczowem a Cudnowem, w przylaskach wsi Korowinczyki, należącej do Jana Omiecińskiego, który sam brał udział czynny i odznaczający się w tem powstaniu.

Zniknięcie hrabiego Tadeusza Walewskiego, dziedzica Połonnego, naznaczonego przez jakieś tam komitety, naczelnym wodzem czyli hetmanem powstań wołyńskich, rzuciło popłoch, nieład na całą tą prowincję, jednem słowem sparaliżowało całe powstanie, które mogło być i liczne i dzielne.

Przy Karolu Różyckim zebrało się niespełno dwiestu ludzi, między którymi ledwie szósta część miała pojęcie praktyczne o wojskowości. Żołnierze składali się z ochotników chłopów, między którymi tak zwani kozacy dworscy i szlachta jednodworska składała nie więcej jak czwartą część. Oficerami byli młodzi obywatele, dziedzice z okolicy. Z Karolem Różyckim sześciu oficerów ze służby wojskowej rosyjskiej i polskiej, i to dwóch starego autoramentu, jeden major z czasów cesarzowej Katarzyny II., drugi z wojska Kościuszki, jeden z Inżynierji za czasów Napoleona I., drugi już kompletny weteran i inwalida; na prawdę dwóch tylko oficerów — Michał Grodziński z Petersburgskiego ułańskiego pułku, wojsk rosyjskich, i Karol Różycki z drugiego pułku ułanów wojsk polskich.

Noc jedna wystarczyła do sformowania trzech szwadronów, o trzech zwodach każdy, który liczył po dwudziestu jeźdźców w jeden szereg. Naznaczeni byli szwadroniści, oficerowie, podoficerowie, cały sztab niższy, jednem słowem cała organizacja oddziału była ukończoną i równo z dniem pułk wyszedł w pochód.

Trzy dni zorganizowana jazda kołowała nad Teterowem, w okolicy między Cudnowem i Tryhurami, przechodząc z jednego na drugi brzeg. W tem kołowaniu odbywała się jak najszczegółowiej szkoła zwodu i szwadronu i cała służba obozowa wojenna i podjazdowanie, przeprawy przeszkód,

pochód po odkrytych miejscowościach, po lasach, jednem słowem wszystko, co stanowiło powinność i wartość jazdy. Jeden szereg ułatwiał żołnierzom pojęcie manewrów i samo manewrowanie, a zdybywanie małych oddziałów huzarów achtyrskiego pułku i garnizowych komend z rekrutami, nad którymi powstanie zawsze odnosiło zwycięstwo, wykończyło szkołę praktycznie, a nawet wpłynęło na moralne poczucie i uznanie karności wojskowej między oficerami — i to się zdało. Wypadek następny do tego posłużył.

Na szlaku z Tryhór do Żytomierza, o kilkadziesiąt werst od tego gubernialnego grodu, zatrzymały się kolumny powstańskie, ale nie zsiadały z koni i oficerowie byli przed frontem na swoich miejscach. W nocy jeszcze przybył jako ochotnik z Żytomierza palestrant Wagutowicz, bez nosa, ale obdarzony złotoustą wymową — choć do parlamentu. Karol Różycki zeszedł na stronę w las, rozmawiać z jakimiś szpiegami.

Wagutowicz wyjechał przed front i zaczął:

«Bracia Obywatele! Czyż na to wzięliśmy w dłoń broń naszych praojców, żeby herboryzować po lasach i zganiać zające po stepach, albo przypatrywać się gwiazdom na niebie, czy która nie spadnie jak przepiórka albo manna Żydom Mojżesza. Bracia obywatele, do kordów!» — i porwał za rękojeść szabli i oficerowie porwali się do szabel. — «Sprawa ojczysta jęczy w Żytomierzu, — na Żytomierz!»

Szable wychwycili z pochew i z kopyta pomknęli szlakiem na Żytomierz. Żołnierze stali w miejscu, a przed frontem zostali tylko Michał Grodziński, Jan Omieciński i Michał Czajkowski.

Była to młodzież rozpoetyzowana poezją i czytaniem opisów rewolucyjnych, wielu z niej byli i sami poeci i znakomici pisarze, a wszyscy jeszcze z tej to szlachty de jure et de hajde, do pióra i do szabli, kipiącej go czynu, dyszącej do działania. — Polecieli. Karol Różycki zerwał się, a dowiedziawszy się, co się stało, uśmiechnął się i rzekł: «Trzeba korzystać!»

Po przebiegu kilku werst sami rozszumieli, a konie zwolniały, i w koniach i jeźdźcach krew i zapał ochłodniały, wracali jeden po drugim — trochę wstydni, trochę skromni, i każdy śmiał się w duszy sam z siebie. Karol Różycki po

ojcowsku wypowiedział im słowa prawdy i nie parlamentarną naukę o ładzie wojskowym i o przykładzie, jaki winni dawać oficerowie. Zakończył:

«Z takimi żołnierzami, jak się okazali, i z takimi oficerami, jacy, się spodziewam, będą z Panów — można iść na koniec świata, póki ziemi stanie.»

I poprowadził swoje powstanie na Podole do połączenia się z powstaniem Ukrainy i Podolu.

Za prawdę powiem, że widziałem wiele rozmaitych wojsk, ale większej dyscypliny i subordynacji między żołnierzami i oficerami nie widziałem jak w pułku Karola Różyckiego. A jednak oficerowie jak najrzeczywiściej stanowili czoło młodzieży inteligientnej, całej okolicy, a żołnierze byli rozbudzeni pieśnią i tradycją dawnej swobody kozaczej.

Powstanie weszło na Podole, już po rozbiciu powstańców podolsko-ukraińskich pod Daszow. Wieść o tej klęsce, o uśpiechach pod Obodnem i Tywrowem, a razem o nieładzie i o niesforności w wojsku generała Kołyski doszły do Karola Różyckiego, o kilkanaście werst od Majdanku, dokąd przyciągnęło to powstanie. Już nad wieczorem przybył Konstanty Bernatowicz, jeden z czelnych powstańców ukraińsko-podolskich, z oświadczeniem, że powstanie chociaż pokrzepiło w sobie ducha, upadłego pod Daszowem, uśpiennemi rozprawami pod Tywrowem i Obodnem — nie czując się w siłach oprzeć energicznemu naciskowi generała Rotta — zbliżyło się do granicy galicyjskiej, w celu schronienia się tam w ostateczności, pójścia za przykładem generała Dwernickiego, dla dodania nowych sił Austrji do przyszłej walki o Polskę, co według zapewnień arystokracji polskiej, dworującej Habsburgom, miało nastąpić. Konstanty Bernatowicz, dzielny i sumienny obywatel, chociaż miał misją ściągnąć Karola Różyckiego do obozu pod Majdankiem, wyraźnie oświadczył, że tam taka niesforność, taki nieład, taki parlamentaryzm wojskowy i taki republikanizm, że nie tylko przypuszcza, ale jest pewnym, że pojawienie się Karola Różyckiego ze swoim oddziałem nie tylko nie rozbudzi ducha w powstaniu Kołyski i nie odciągnie go od wkroczenia do Galicji, ale pociągnie go z sobą do Galicji; powstanie Berdyczowskie tak już pociągnęło powstania Nagorniczewskiego, Gołyńskiego i innych.

Noc była ciemna, wielkie ognie płonęły w obozie powstańczym pod Majdankiem. Między tym obozem a koczowiskiem Karola Różyckiego znachodził się głęboki jar, w którym biwakowały jeden czy dwa bataljony piechoty rosyjskiej pod dowództwem generała Szczuckiego. Można było uderzyć na tą piechotę i ją rozbić, albo przez nią się przebić, ale Karol Różycki nie miał żadnej chęci pomnożenia wojska Habsburgów, do imaginacyjnego dźwignięcia Polski. Wrócił nazad na Wołyń.

Pułk ten, czy to powstanie, kluczące w lewo, w prawo, często nawet w tył, pomiędzy korpusami generałów Rotta, Ridygiera i Kajsarowa, w ciągłych utarczkach i staczając bitwy, zawsze z uśpiechem, uszło przeszło tysiąc pięćset werst, nie zostawując nigdzie maruderów — i zwiększyło się o stu ludzi w Międzyrzeczu Koreckim, z kozaków Józefa Steckiego, jego muzyki i uczniów gimnazjum międzyrzeckiego Księży Pijarów. Pierwszych dni Czerwca doszło do Bugu.

Osaczone przez trzecią dywizją huzarów z silną artylerją, manewrując między szackiemi jeziorami, przerżnęło się przez Lubom i przeprawiło Bug wpław we wsi Przewozach.

W pościgi za powstaniem szedł dywizjon pułku huzarów, białoruski, wówczas zwany księcia Oranji, a na spotkanie powstania wyszedł z Drohobużu pułk kozaków dońskich. Kozacy po krótkiej utarczce zostali spędzeni, a huzary nim zebrali statki do przeprawy, dali czas Wołyńcom wejść w lasy wsi Rudni i tam się przyostanowić.

Trzeba się było dostać do Zamościa. Główna kwatera generała Ridygiera była w Wojsławicach, a cały korpus skoncentrowany niedaleko głównej kwatery. Pod Uchaniami biwakowała grangarda, złożona z całego pułku strzelców konnych, siewierskich. W Hrubieszowie stała brygada dragonów i dwa pułki kozackie do obserwowania twierdzy Zamościa.

W Zamościu oprócz załogi polskiej był korpus generała Chrzanowskiego, który zamierzał wkroczyć na Wołyń. Czujność ze strony Rosjan była nadzwyczajna i między Zamościem a Bugiem były rozstawione cztery pułki dragonów, cztery konnych strzelców i kilka pułków kozackich, tak, że przejście zdawało się niepodobieństwem.

Karol Różycki, zatrzymawszy się na brzegu lasów Rudniań-

skich, wysłał drugi szwadron Grudzińskiego szlakiem na Hrubieszów, który uszedłszy ze dwie wersty, lasem wrócił do stanowiska, gdzie się zatrzymały drugie dwa szwadrony, pierwszy Stanisława Dunina, trzeci Tadeusza Przyborowskiego. Wołyńce stali tak blisko brzegu lasu, że nie tylko słyszeli tentent, ale widzieli białe konie białoruskich huzarów, którzy się zatrzymali, a upewniwszy się śladami, że Wołyńce poszli do Hrubieszowa, przysporzoną stępą udali się w tym kierunku i wysłali zawiadomienie do Uchań i raport do Wojsławic, że powstańce poszli na Hrubieszów i że niebawem będą dognani i zabrani, lub rozbici.

Już się zaczęło zmierzchać, kiedy Karol Różycki wydawszy należne rozporządzenie, ruszył w kierunku wprost na obóz pod Uchaniami.

Józefat Domeradzki i Antoni Szaszkiewicz z oddziałem kilkunastu Wołyńców, przy dobrych przewodnikach miejscowych, udali się naprzód i tak szczęśliwie i tak przezornie im się udało, że wszystkie wedety i placówki były zdjęte i zabrane w niewolę — bez żadnego wystrzału.

W obozie konnostrzelcy mieli konie posiodłane, ale nie pomunsztuczone; munsztuki były na kulach terlic, a konie na uździennicach, uwiązane do konowiązów.

Trzeci szwadron, z przewodnikami, zaprowadzony został na drogę wiodącą z Wojsławic do obozu i tam stanął w obserwacji.

Pierwszy szwadron został przeznaczony do uderzenia na obóz, a drugi z naczelnikiem był w rezerwie. W obozie nie było namiotów, ale szałasy z sitowia i gałęzi.

Uderzenie było tak niespodzianie, że oprócz pułkownika Bohdanowa, dowódzcy Siewierców, żaden oficer, żaden żołnierz nie zdołał siąść na koń, i ten waleczny pułkownik ranny kulą w golenie, zleciał z konia i wzięty był w niewolę.

Sznury konowiązów poprzecinane pałaszami, konie Siewierców wyswobodzone i latające po bojowisku tabunami, rozbijały i ludzi i szałasy. Krzyki wojenne Wołyńców, oszołomienie i wrzaski Siewierców — wszystko razem zmięszane było obrazem piekielnego boju.

Żeby prędzej skończyć, Różycki kazał trzem zwodom drugiego zwodu zabierać jeńców i konie, i wtenczas z Uchań zasłyszał szczekanie psów i szczęk broni.

Między miasteczkiem Uchanie a obozem ciągnęła się dość długa grobla, przez bagno nieprzebyta. Zabrawszy ośmiu jeźdźców, z wachmistrzem Ostaszewskim z czwartego zwodu drugiego szwadronu, kłusem przejechał groblę pod wejście do miasta. Wtenczas usłyszał komendę: Czetwierty uralski pułk w pierod! — I ujrzał kolumnę wychodzącą z miasta szóstkami. Zakomenderwał:

«Pułk naprzód, dyrekcja na prawo — sława Bohu!» I zatokował z kopyta. Noc była dość ciemna, pierwsze szóstki Uralców cofnęły się i cała kolumna nazad wtłoczyła się do miasta. Karol Różycki, zostawiwszy Ostaszewskiego w obserwacji, sam wrócił do obozu i kazał pierwszemu szwadronowi formować się, a drugiemu kończyć robotę w obozie.

Formacja w jeden szereg w mig się wykonała, a był czas, bo zaledwie stanęli Wołyńce frontem przed groblę — nadbiegł Ostaszewski ze swoimi jeźdźcami, a za nim kłusem stanął cały nawał uralskich kozaków, pułkownik na ich czele. Wołyńce stali gotowi.

Zaledwie dwie sotnie Uralców wyszły z grobli, zawrzało powietrze głosem:

«Sława Bohu!»

I Wołyńce uderzyli i rozbili Uralców, i pułkownik uralskich kozaków był cięciem szabli Jana Omiecińskiego zwalonym z konia; Uralce gnani przez Wołyńców przez miasto i za miasto.

W czasie tej ganki, dragoni wysłani z Wojsławic, byli odparci przez trzeci szwadron. Ale w obozie, przy zaczynającym przezierać się blasku dziennym — Siewiercy, zobaczywszy tak małą liczbę wrogów, porwali za drągi i za jaką kto miał broń i wygnali drugi szwadron Wołyńców. Lecz pierwszy szwadron, wracający z pogoni za Uralcami, sformował się i uderzył na obóz. Wołyńce zapalili szałasy i siano, i tym sposobem zmusili Siewierców do wyjścia z nich, gdzie się uparcie bronili. Trzeci szwadron wrócił ze stanowiska, i już przy brzasku dziennym sformowano kolumnę pochodową. W awangardzie szedł pierwszy szwadron w kolumnie zwodami, za nim pod eskortą trzeciego szwadronu jeńce, było ich kilkaset, na ich czele na powozie ranny pułkownik z adjutantem, Cerkin, pułku ze Świeszczeników, na kilka wozach broń i kilka set koni posiodła-

nych, które tak szły porządnie zwodami, jakby na nich siedzieli jeźdzcc; drugi szwadron szedł w ariergardzie. Kolumna była imponująca.

Nie było innej drogi, tylko trzeba było iść przez Uchanie, a tu rynek był zajęty dywizjonem huzarów białoruskich, który wrócił się na strzały i Uralcami, którzy się zbierali pod jego zasłonę.

Pierwsze zwody pierwszego szwadronu Wołyńców szły ze spisami do ataku, czwarty z karabinkami spieszył się i zakrywając się budowlami browaru i innemi, zaszli na flank huzarów i dali ognia tak trafnie, że dwóch oficerów przed frontem zostało zabitych. Wtenczas pierwsze trzy zwody, że tak powiedzieć można, wkłuły się we front huzarski, bo huzary z miejsca nie ustępowali — tykami lano, gifesami pałaszów walczono, za kołnierze się ściągano, i kiedy kozacy uralscy zaczęli pierzchać i huzary gniecieni przez konnych, rażeni przez spieszonych, cofnęli się drogą hrubieszowską, kolumna powstańców zwróciła się w prawo na drogę do Grabowczyka, drugi szwadron wszedł na awangardę, a pierwszy został w ariergardzie.

I pół werstwy nie uszła kolumna pod Uchanie, kiedy huzary i Uralcy zaczęli się okazywać w pościgach. Pierwszy szwadron odstępował w schody zwodami, strzelając i nacierając w zasłonie kolumny. W tem gromady kozaków dońskich zaczęły się okazywać przed Grabowczykiem. Drugi szwadron uderzył na nich i spędził z Grabowczyka. Karol Różycki osadził tą wioskę na wzgórzu po nad wąwozami spieszonymi Wołyńcami z czwartych zwodów i polecił im, bronić wioski, póki kolumna cała, udając się w prawo, pod wioską, nie wyjdzie z wąwozów na płaszczyznę.

Ludzie byli mocno zmęczeni bojem i ciągłym ruchem bez odpoczynku i prawie bez przerwy, przez trzydzieści kilka godzin, ale uśpiechy dodawały im siły i zapału. Na zaradzenie zmęczeniu koni, Karol Różycki rozporządził, ażeby żołnierze przesiadali się zwodami na konie zabrane pod Uchaniami Siewiercom, a swoje zwodami puszczali luzem. Takie przesiadanie, z Uchań do Grabowczyka, miało miejsce cztery razy. W ten sposób Wołyńce ciągle siedzieli na dzielnych i niezmęczonych koniach, a luźne konie szły w największym porządku w kolumnie zwodowej.

Dzielne to były te konie Siewierców, po większej części zawodów Apostołowa, Skorupadzkiego, Czorby, Zawadowskiego i Rozumowskiego. Na tych koniach pułk jazdy wołyńskiej odbył całą kompanią, i śmiało powiedzieć mogę, że jeźli nie przewyższały, to bezzawodnie wyrównywały koniom arabskim, turkmańskim i kurdystańskim jako konie bojowe, i można było wierzyć dawnym, niesłychanym najazdom kozackim, używając te konie.

Po przejściu wąwozu pod Grabowczykiem i mostku na jakiejś lichej ale błotnistej rzeczułce, dwa pierwsze szwadrony Wołyńców sformowały się we front i uderzyły na idących za nimi w pościgi huzarów, dragonów i kozaków, starcie było skuteczne i goniąca jazda odstąpiła.

Wołyńce, w wiosce pod samym Zamościem, przesiadłszy na wybrane konie Siewierców, jednomostki, kasztanowate, jak stary pułk jazdy cesarzewicza Konstantego, z tryumfem, z jeńcami i ze zdobyczą weszli do Zamościa, gdzie na glaserze twierdzy byli przyjęci przez generała Chrzanowskiego — na czele oddziałów wojsk korpusu jego dowództwa.

Wszystko to było dziełem rozgarnionego i praktycznego oficera jazdy, który odrzucając pedantyzm, umiał ocenić i używać szyk bojowy jednoszeregowy, spieszanie jazdy i nocne wojenne działanie.

Zapewnie, że te przypomnienia o wojaczce nie mogą być bez pewnej przyjemności dla ludzi, którzy brali w niej udział. Jest to gawęda ośmdziesięcioletniego starca dla rozpędzenia nudy życia. A może się zda tym, co się zajmują jazdą, w której on przesłużył tyle lat i którą tak gorąco miłował.

Dodaję jeszcze jeden przykład napadu nocnego. Po opuszczeniu Zamościa i przejściu na lewy brzeg Wisły, pułk jazdy wołyńskiej dostał rozkaz zatrzymania się w Solcu, dla ukompletowania swej organizacji. Na prawym brzegu Wisły, na przeciwko Solca, pod wsią Kamieniem, obozował dywizjon dragonów, pułku Kimburgskiego.

Właściciel Kamienia, dawny znajomy i przyjaciel Karola Różyckiego, uskarżał się, że oficerowie dragońscy bałamucą mu pasierbicę, czy siostrzenicę — i opisał miejscowość, zarosłą krzakami, gdzie obozowali dragoni. Tej samej nocy szwadron Wołyńców, każdy jeździec bierze na swego konia

strzelca sandomierskiego, przepłynęli Wisłę. Wołyńce otoczyli obóz, a strzelce wpadli na obóz. Bój był nie długi. Major Korf, dowodzący dywizjonem dragonów, był porąbany i skłuty, tak że go zostawiono na placu boju jako zabitego. Dywizjon i z Lowelasem Kamienia byli zabrani w niewolę i przed świtem przyprowadzeni do Solca, właśnie w chwili, kiedy generał Chrzanowski przyjechał na przegląd pułku.

Później, w lat kilka, zdybywano majora Korfa, leczącego się we Włoszech. A później, dobrze później mówiono mi, że się dragon Lowelas ożenił z pasierbicą, przyczyną napadu; więc dramat wojenny po ludzku i dobrze się zakończył.

W każdym czasie, a mianowicie po ulepszeniach broni, dalekonośnej i często, a celnostrzelnej, szyk jednoszeregowy, który starałem się wykazać nie regułkami, ale przykładami, chroni kawalerją od wielkich strat, od strzałów. Można śmiało powiedzieć, że dwa razy tyle ludzi ginie od strzałów w szyku dwuszeregowym, jak w jednoszeregowym. Nauka łatwiejsza, formacja i ruchy prędsze, zbiór nie mozolny i szybki.

A działanie w nocy jest niejako kompensatą dla kawalerji za odjętą jej możność atakowania frontem i masami mas przeciwnika w dzień na polu bitwy, jak to się działo za Napoleońskich wojen. Chociaż nie można powiedzieć, żeby i to nie było możebnem; przy szczęśliwych okolicznościach, sprzyjającej miejscowości, przy dobrej kawalerji, przy dzielnych i rozgarnionych oficerach, a mianowicie kawalerji na dobrych koniach i dobrze użytej — mogą być jeszcze napady jak pod Jena i Auerstädt i Wagram.

Przereformowanie kawalerji rosyjskiej na dragonów, jest pomysłem nie tylko praktycznym, ale śmiałym i genialnym, bo to dziś jest jedyna broń jazdy, która ma za sobą teraźniejszość i ma przed sobą przyszłość.

Kozacy, ten zakon wojenny rozmaitych nazw i narodowości, w nagrodę wielkich zasług, w zachętę tradycyjną i historyczną, żeby ich przyszłość była taką, jak była ich przeszłość, zostawioną sobie mieli i nazwę kozaków i umundurowanie kozackie, nawet spisy. Ale wprowadzono do nich wyrobienie żołnierza i służbę dragońską, która doskonale się przyjęła, zastawszy tradycyjne spieszanie się i, że tak się wyrażę, wojowanie i na koniu i na pieszo, mniej więcej

używaną, we wszystkich jazdach Wschodu. Więc nie są czem innem, tylko dragonami i tworzą tą masę olbrzymią kawalerji, wyrobionej, praktycznej, której podobnej, pod względem ilości i jakości, żadne inne państwo utworzyć nie może. I to jest rdzeń potęgi wojennej Rosji.

Mogą być ulepszeni i być muszą:

Wprowadzeniem bojowego szyku jednoszeregowego.

Wprawianiem do działań wojennych w nocy.

Spieszanie się szybkie i łatwe.

Strzelanie celne z koni i w rozmaitych ruchach.

Zmiany i ulepszenia w uzbrojeniu i osiodłaniu.

Przyzwyczajenie do ciągłych ruchów i ludzi i koni.

A mianowicie wyrobienie podoficerów i oficerów, nie tylko retorycznie, ale i praktycznie.

Sumiennie mi się zdaje, że nikt lepiej nie pojął tych potrzeb, zmian i ulepszeń, jak feldmarszałek wojsk rosyjskich Wielki Książe Mikołaj Mikołajewicz, starszy inspektor jazdy rosyjskiej, i nikt praktyczniej i genialniej się niemi nie zajmuje, jak on. W zamiłowaniu kawalerji dorównywa on swojemu stryjowi, cesarzewiczowi Konstantemu Pawłowiczowi. Każdy z nich zrozumiał swój wiek i każdy z nich był mistrzem kawalerji swojego czasu.

Cesarzewicz Konstanty, że tak można powiedzieć, kawalerji klasycznej, z pedantyzmem, z wyrobieniem ludzi i koni mechanicznem, nie rozwijając w niej ducha, tylko z wielkiemi ograniczeniami.

Wielki Książe feldmarszałek kawalerji, którą pozwalam sobie nazywać, romantycznej, nie zaniedbując wyrobienia mechanizmu, nie przekraczając ani karności, ani sforności — rozwija w niej inteligencją. Pomny słów poety: «Serce jeźdźca po połowie bije w koniu» — tworzy z nich całość myślącą, przezierającą, zdolną i pochopną do działania w wyższej sferze, jak sam mechanizm.

Stare zdanie ma za sobą prawdę, że kawalerja w wojsku jest to poezja w literaturze. Wielki książe feldmarszałek pojął tą prawdę, i tryb utworzony i przyjęty przez niego, w najdrobniejszych szczegółach wykształcenia kawalerji, jest najlepszym tego dowodem. Dzisiejsze ćwiczenia kawalerji są zupełnie odmiennemi od dawniejszych; dawniejsze wyrabiały machiny, dzisiejsze kształcą ludzi.

Wielki Książę feldmarszałek szczęśliwszy od swego stryja cesarzewicza — ma syna, który się przejął jego duchem i idzie w jego ślady — zapewnia i jemu i Rosji dzielnego pomocnika i następcę opiekuna kawalerji.

W drobnostkowych uwagach o ulepszeniach może najtrudniejszemi do strzelania są:

strzelanie celne, nie złażąc z koni,

i wyrobienie inteligencji i praktyczności oficerów.

Na pierwsze odpowiedzieć można — wprawa i zachęta, a wzór w Nekrasowcach. Ta drobniutka garstka wychodźców z nad Donu tak jest wyćwiczona w celnem strzelaniu z koni, że w czwale konia przebiegające zające i wilki ubijali ze swoich jaszczurek kulami; nie złażąc z koni w lot zabijali bażanty i słomki. Od najmłodszych lat ćwiczyli się w strzelaniu na zbiorowych swoich polowaniach. Krub czyli rada starszych rozdawała nagrody tym, którzy najcelniej strzelali i najmniej swoje konie męczyli.

Wieś zamieszkała przez Nekrasowców nie miała tysiąc domów i dla tego zwała się — Bin tysiąc ewler domów. A z powodu edukacji wojennej swej młodzi, nosiła u rządu Tureckiego szumne nazwanie — Wojsko Ihnatu Nekrasy Kozaków; nosiła je aż do mojego odjazdu z Turcji.

Co do drugiego, generał Józef Dwernicki, będąc pułkownikiem drugiego pułku ułanów, po napisaniu regulamentu dla jazdy polskiej, będąc zapytanym przez cesarzewicza Konstantego, jaka metoda jest najpraktyczniejsza do wykształcenia dobrych oficerów jazdy — odpowiedział:

«Żeby nie pili, nie grali w karty — a wiele czytali i wiele polowali.»

I tak było w drugim pułku ułanów. W r. 1831 był to najznamienitszy pułk z całej starej jazdy polskiej. Pod Ostrołęką czterech rotmistrzów, dowódzców szwadronów, zginęło w bagnetach grenadjerów rosyjskich.

Zaszczytne wieńce, zdobiące gróbułanów polskich.

Napisałem te kilka ćwiartek wskutek wieści, że kawalerja rosyjska ma przyjąć szyk bojowy jednoszeregowy, taki, jaki wprowadził Karol Różycki do pułku powstańczego jazdy wołyńskiej w r. 1831.

To mi przypomniało, że kiedy syn młodszy Karola Różyckiego, Edmund Różycki, był przywiezionym do Peters-

burga do korpusu kadetów i przedstawionym cesarzowi Mikołajowi II., ten monarcha prawdziwie Wielki i Potężny, Namiestnik Boży — powiedział:

«Ty bud' takoj chrabroj, kak twoj otiec, a nie bud' takoj miateżnik, kak on!» (Ty bądź takim walecznym, jak twój ojciec, a nie bądź takim buntownikiem jak on.)

Wspaniałomyślne i rozumne słowa monarchy, który nie wahał się ocenić i przyznać wartość przestępnego przeciwnika.

Tak i dziś ci, którzy wyrzekli zdanie o szyku jednoszeregowym ze wzmianką imienia Karola Różyckiego, poszli w ślady Wielkiego monarchy, pokazali, że są ludźmi czelnymi wielkiego narodu, który umie cenić i przyznawać wartość nawet swoim przeciwnikom, a nie stara się onej zaciemnieć.

Parchimów, 29. Września 1884.

TRZECH JANÓW.

Czytając w gazetach o świetnem i serdecznem przyjęciu w Żytomierzu grona Dramatycznego Małoruskiego, PP. Staryckiego i Kropiwnickiego, uradowałem się mocno nie tylko tem przyjęciem artystów rodowego pobratymstwa, ale zdrowym sensem Żytomierzanów; a tem większa była moja radość, bo i sam jestem Żytomierzaninem.

Znalazłem w jednej z gazet warszawskich przy opisaniu tego przyjęcia uwagę, że cały repertoar teatralny małoruski składa się ze scen ludowych, czyli chłopskich, z karczmy, z szynku, z targu i z ulicy, jednem słowem z obyczajów i poczuć czerni. Gazeta ta nasuwa zręcznie wniosek, że w całej przeszłości kozaczej Małorusi, czyli Rusi, niemasz innych tematów do sztuk dramatycznych, czyli jej utworów.

Jest to dawne, systematycznie ułożone omówienie przez Michała Grabowskiego, Henryka Rzewuskiego i ich naśladowców, którzy nie przez gorący polonizm, bo tego nigdy, ani w myśli, ani w czynie, nie żywili, ale przez przesadzony i źle zrozumiany katolicyzm. W swoich, wyznać trzeba, mistrzowskich pismach stroili to biedne kozactwo małoruskie, czyli ruskie, jako prawosławne, w dziegieć, w smołę, w sadło, w łój i rozmaite robactwo, a oblewali wódką, niedogonem i brahą, na wstręt, na poniewierkę.

Jeden tylko Bohdan Zaleski w swoich dumkach, o Lachu Serdecznym, o Kosińskim Hetmanie i innych, podniósł kozactwo małoruskie do prawdy historycznej, a otrząsał z chlewoty. Ale i ten poeta Ukrainy, jak się zkatolicyzował na Zachodzie, parodiował kozactwo, opisując Żydów Jerycho i Jerozolimy, jak tańczyli tropaka i prysiudy, siudy, tudy, aż ach waj mir. A byli i tacy, co kazali kozactwu, zakonowi rycerstwa prawosławia śpiewać po łacinie Veni creator, Ite missa est.

Zapomnieli o tem, że Ruś, ta kozaczyzna małoruska, miała Wiszniowieckich, Różyńskich, Ostrogskich, Zbarażskich, Koreckich, Sanguszków, Czartoryskich, Konaszewiczów, Wyhowskich i innych, którzy po połączeniu Polski z Litwą i Rusią, szablami swojemi wykuli sławę i potęgę wojenną Polski, a ładem litewskim potęgę państwową tejże Polski. Nie byli to ludzie karczmy i szynku, ale ludzie pańskich zamków i dworów, a nawet monarszych pałaców.

Kiedy szlachtę Rzeczypospolitej polskiej Jezuici, albo cywilizacja zachodu, pchali na awangardę tego zachodu przeciwko Słowianizmowi i prawosławiu i kiedy ta szlachta godziła się z tą swoją nową misją, Małoruś ze swojem kozaczem rycerstwem stanęła przy Słowiańszczyznie, przy prawosławiu, przy Białym Carze, Pomazańcu Bożym Słowiańskim. I Wielkim monarchom Rosji dała takich mężów stanu i wojny, jak Rozumowcy, Potemkin, Bezbródka, Koczubeje, Repniny, Samojłowie, Zawadowscy i długi szereg dyplomatów i pułkowódzców, na których się oparł tron potężnych monarchów Wschodu i Słowian.

Ruś, czyli Małoruś, ze swoimi znamienitymi ludźmi stanu i wojny nie ustępowała ani Polsce, ani żadnej innej słowiańskiej ziemi i nie ustępuje.

Jeźli dziś Polska szczyci się sławą Matejki, Brandta, Siemiradzkiego, Chlebowskiego, Kosaków i wielu innych, i Małoruś ma prawo poszczycić się znamienitością Radeckiego, Dragomirowa, Doroszyńskiego, Krawczenka, Połtoradzkich, Baranowskich i innych znamienitych pułkowódzców potężnego monarchy Rosji.

Znamienici Rusini szablami kreślą zarysy na temata do dramatów; znamienici Polacy pędzlami je malują na płótnie. Każdy swojem natchnieniem, co kto lubi, co kto umie i co kto może.

Przeżuwając te myśli w mojem odludnem ustroniu, wziąłem za pióro i za papier i napisałem nie powieść, nie romans, bom na to za stary, ukończyłem ośmdziesiąt lat życia, ale wypis z kalendarza Kijowskiego, który nie ustępuje w niczem kalendarzowi Berdyczowskiemu Ojców Karmelitów Bosych, już nieboszczykowi. Dodałem, com zapamiętał z dawnych czytań i opowiadań i co mogłem zebrać wiedzy w miejscowości, gdzie mieszkam, i skreśliłem niejako

regiestr do tematów, mogących się przydać do utworów dramatycznych tej epoki, którą nazwać można Chmielnickiego i po Chmielnickim.

Ileż tam tematów na dramata, na tragedje wyższego rzędu, nie uliczne, nie karczemne, ale wojenne i polityczne! Przy Bożej pomocy mogą się znaleść maloruscy Szekspiry, Gietowie, Szylery, co daj Boże; byłby to i zasób i podarek do skarbu słowiańskiego.

Parchimów, 7. Stycznia 1884.

I.

Piękna to kraina ta Boża Ukraina. Bóg ją stworzył dla duszy kozaczej, żeby w niej, jak powiedział poeta, wszystko było inaczej, inaczej. Step okiem nie zgoniony, ani do końców nie dojrzany, nie nudny, nie dziki, ale hoży i hulaszczy. Wzroku nie męczy, nie odpycha, ale ciągnie do siebie, jeszcze i jeszcze, serce do niego skacze, dusza miłuje i hula. Dęby jak ludzie, a ludzie jak dęby; póki młode, smukłe, pną się w niebiosa, głowami natrząsają się z burz i z piorunów; a jak się starzeją, rosochate, gałęziami chylą się ku ziemi, ale ziemi dotknąć nie chcą, bo żywuszcze. I jak dęby walka z wichrem i słotą nieba, tak ludzi walka z ludźmi i z dolą życia krzepi, odmładza i utrzymuje przy życiu.

Temu kozaczemu światu Bóg dał wszystko, czego tylko dusza kozacza zapragnąć może: i step i lasy i bagna nieprzebyte i rzeki ze srebrnemi wody, czystemi jak łza, bystremi jak potoki, i żyzne niwy i trawne ługi. Pełno ryb, od kozaczego jesiotra do żydowskiej płotki. Puszcze i stepy zamożne w zwierzynę, od siwych braci broni, orłów i wilków, do pierzchliwego zająca i purchającego jarząbka. Po futorach siwe woły, rosłe jak słonie, runiaste stada owiec, konie odważne jak lwy, a lotne jak dzikie kozy, charty zoczne i bystre jak sokoły, a zjadłe jak hyeny. Po karczmach i karczemkach Jeki, Mostki, Berki, Herszki, Judki, Srule i sotnie braci Mojżeszowego wyznania, jak Ganimedy

rozlewają wódkę, piwo i miód. Są i siostry wyznania Mojżeszowego, Chajki, Ryfki, niby Hele kozackie. To plemię Izraela jeszcze Chrystusowej wiary nie przyjęło, ale lepiej jak sam Chrzciciel umie chrzcić nie jordańską, ale jakąkolwiek wodą wszystkie trunki na sprzedaż chrześcianom. A w chatach hoże mołodyce, strojne dziewice, czarnobrewe, złotowłose, piwnookie, siwookie, jak pójdą w taniec, a utną tropaka, gotów wyskoczyć ze skóry dziad, choćby jaki, a jak pieśń zapieją, to i włoskie tra-la-la i tyrolskie jodle nie taki, tak mówią kozaki.

II.

Królował wówczas w Polsce Władysław IV. Waza i Jagiełło. Król dzielny, szablisty, nie lubił sejmikować, ale lubił wojować. Jeszcze wówczas o technice, ani o dywidendach, jak to mówią, nie było ani słuchu, ani duchu. Jeszcze wówczas nie myślano, akcjami, parcelacją gruntować inteligientny rozwój sprawy ojczystej. Nie zamierzano burakami osładzać nieudacze, pędzlem zamazywać błędy i nieuśpiechy, muzyką i kantatą gromić i odpędzać wrogów ojczyzny. Braciom i siostrom Mojżeszowego wyznania zostawiono łokieć i kwartę, propinacje i spekulacje, cały gieszeft. A Lachy, szlachta Karmazynowa i Szaraczkowa i nie szlachta z kozakami, jak na tronach na siodłach siedzieli i szablą rozsiewali sławę polskiego oręża, po wszech ziemiach i po wszech krajach zagwożdżali potęgę polskiego narodu, a przy tem wierni słowom przekazanym przez Stefana Batorego: «Ucz się dziecię, a zrobię cię Mościpanem!» uczyli się hramoty, jak Boga miłować, jak za ojczyznę wojować; a nie było w owych naukach ani o akcjach, ani o dywidendach. Bez rafinerji, w cnotę, w siłę i w rozum ufano, i może to było dobrze. Ale już wtenczas gnieździły się w Polsce, więcej jak gdzieindziej — konstytucja i parlamentaryzm, nadobna para, ze swojem dzieckiem, po łacinie «liberum veto», po polsku nie pozwalam. Psoty po psotach broiła i nie pozwalała w kraj wprowadzić ładu i składu. Król to widział, bo miał rozum i serce polsko-słowiańskie, nie polsko-niemieckie, ani tam jakie, i mocno się tem fra-

sował. A że na frasunek, choć koronowanej głowie, nie zawadzi trunek, rozjaśni myśl, podkrzepi, doda animuszu — więc jednego dnia zgryziony i na prawdę zafrasowany, wiedząc, że panowie szlachta Lacka, Sejmikowicze, podszczuwana przez zakon nie słowiański, ale łaciński, a może i braci Mojżeszowego wyznania — boć i tam gieszeft w talmudzie nie wzbraniał, ale nakazywał iść w parze, choćby z jakimi Goimami, kiedy idzie o gieszeft i o oszwabienie Goimów — zaczęli ogromnie nękać królewskie, prawosławne rycerstwo Kozaków, z którem zamierzał pójść na Turka i na każdego, ktoby mu zawadzał, powbijać nowe słupy przy Bolesławowskich i wrócić tę rozsejmikowaną szlachtę Słowiańszczyznie, z dodatkiem do niej szablistych Kozaków i związać silniej ten węzeł, który Bóg związał, a djabeł wciąż rozwiązywał — wychylił hausten i jeden i drugi puhar złocistego tokaju, wziął pióro i własną ręką napisał do atamana Barabasza:

«Macie szable, nie dajcie się, bo szablami tylko możecie zachować swoje prawa, a i mnie się przyda Wasza rozprawa, żeby z kąkolu i z robactwa oczyścić tę piękną polską pszenicę.»

Dając to pismo swoje, opatrzone królewską pieczęcią Bohdanowi Chmielnickiemu, kozackiemu pułkownikowi, przysłanemu przez hetmana Barabasza, dał mu szablę w podarunku.

«Jedź i oddaj, a niech ci szczęści mój podarek; z serca ci go daję!»

III.

W akademji kijowskiej ćwiczyła się w hramocie młodzież kozacza. Z ewangelji i z żywotów świętych Pańskich uczyli się Boga chwalić, a z tłumaczenia historji z Greckiego i z Łacińskiego i kronik, jak wojować i służyć ojczyznie. A było tam tej młodzieży nie mało. Każdy starszyna kozaczy zawoził swych synów i rodnych do akademji, żeby kłam zadać tym klewotnikom, którzy w pisanych przez siebie andronach kąpią Kozaków w dziegciu, pomadują słoniną, robią z niego knieję dla robactwa, i inaczej nie chcą i nie umieją wolnego człowieka pasować na Kozaka.

A nie chcą nawet słyszeć o tem, że Piotr Konaszewicz Sahajdaczny był jednym z najbieglejszych lingwistów narzeczy Greckiego, Łacińskiego i wszystkich wschodnich.

Że dwaj bracia Sierkowie, od których pochodzi rodzina Sierkowskich, byli biegłymi pisarzami w językach wschodnich i zachodnich; że Hanowie Krymu i Budżaku, sprzymierzeńce tych panów Koszowych, kiedy się nie bili z sobą, upraszali ich do prowadzenia swoich przehoworów dyplomatycznych, za pośredników w stosunkach z monarchami zachodu.

Że Piotr Doroszenko korespondował z gabinetem wersalskim i z gabinetem wiedeńskim bez pomocy sekretarza w narzeczach: francuskim, niemieckim i łacińskim. Że do dziś dnia w archiwach ministerium spraw zagranicznych w Francji pokazują jako wzór wytrawny stylu dyplomatycznego, co do jasności myśli i dobrego smaku wyrażeń, pisma Filipa Orlika do margrabiego Szoazel (Choiseul) i samego króla. Według relacji hrabiny Bielskiej, Mazepa był najwytrawniejszym, najrozumniejszym, najznakomitszym mężem stanu, ze wszystkich, jakich zdybywała w wielkim świecie. A żyła w wielkim świecie i zdybywała nie mało mężów stanu, i ona sama była wiele cenioną przez Ojców Jezuitów, ten zakon rozumu i sądu o nim. Maria Ludwika, żona Jana Kaźmierza, taki sam sąd miała o Janie Wyhowskim i dla tego chciała go widzieć Hetmanem Koronnym Wielkiej Buławy. Iwan Brzuchowiecki zostawił po sobie siedm ogromnych woluminów swoją własną ręką pisanych, o wszystkiem i z rozmaitemi nazwami, i za jego uczoność car Alexy Michajłowicz mianował go Bojarem Moskwy. Więc byli hramotni, i przez swoją oświatę ówczesną dostojni byli zasiadać w krzesłach senatorów.

Zły to system piśmiennictwa, poniżać, poniewierać kłamem nawet swoich wrogów; lepiej mówić prawdę i żyć w prawdzie.

Starszyzna kozacza była hramotna i bardzo hramotna, a nawet i prości Kozacy więcej się hramocie oddawali, jak w innych miejscowościach, żeby być starostami cerkiewnymi, starostami siół i posad, do których koniecznością była przywiązana hramotność, choć początkowa.

IV.

Między tą młodzieżą uczącą się było trzech Janów — Jan Wyhowski, Jan Brzuchowiecki i Jan Puszkar; byli oni z sobą złączeni ścisłą przyjaźnią, chociaż każdy miał oddzielne i zupełnie inne pojęcie o życiu i różne sądy w swoich pomysłach, a może też dla tego ten związek porodził się między nimi. Jak w całym świecie cywilizowanym, a raczej niedocywilizowanym, była to epoka dysput i dyskusji, by z przeszłości rozjaśnić przyszłość, ćwiartować wady, zalety społeczności, nad niemi się zastanawiać i wyciągać pewniki dla dogodzenia społeczności, dyskutować; i dyskusja tak silnie przyciągała do siebie ówczesną młodzież, jak dzisiejsze karty, kieliszek, a mianowicie parcelacja i dywidenda.

Wyhowski w chwilach wolnych od nauki brał pod pachę księgi historyczne i między skałami nadbrzeża dnieprowego chronił się od gwaru ludzi, żeby studjować Strabona, Liwiusza, komentarza Juliusza Cezara, albo rozprawy sporów religijnych między kościołem Wschodu, a kościołem Zachodu.

Brzuchowiecki na konno albo na pieszo przebiegał puszczę Muromską, albo Perejasławską, wojował, chwytał zbójców, nawet mordował, na których wówczas nie zbywało w tych puszczach. Nie grał w Herkulesa, ale wyobraził sobie, że jest Dżengu-hanem, albo Timurlengiem. Kreślił w myśli, jak to on kiedyś będzie ogniem, mieczem roznosił sławę kozaczą po całym świecie, dalekim i szerokim.

A Puszkar szedł do Pieczarskiej Ławry, lubował się dźwiękiem dzwonów i rozgłosem pieśni cerkiewnej, a potem pieścił róże i okiem i dłonią, cieszył się różnobarwnem kwieciem w ogrodach. Słuchał słowików i szumu dnieprowej wody i bawił się z dziećmi; dla nich miał w kieszeniach pełno łakoci i pierników.

Wieczorem schodzili się w orzechowych szpalerach bratskiego Monasteru i tam wrzała dyskusja i trwała, póki Puszkar nie usnął z słodką zadumką duszy, Brzuchowiecki ze zmordowania ciała, a Wyhowskiemu nie przyszła chętka zapisania jakiejś myśli wyczytanej, czy też wydyktowanej,

na regułę swojego przyszłego politycznego życia, i to się powtarzało co dnia, nigdy inaczej.

Zwano ich trzema Iwanami. Baby cerkiewne mówiły — jak Trójca święta, trzy osoby a jedno i toż samo; ani na muzyce, ani na hulatyce, nie zajdą do szynku, przez ciekawość, jak baby z monachami tną tropaka, w prysiudy, siudy, tudy, tylko w szkole, albo na odludziu, jak lunatyki, jak niesumowici.

V.

Na Kitaju Prażnik zajęczały dzwony wydubiskiego Monasteru, a im na wtór jak gromy jęczą dzwony Pieczarskiej Ławry; las szumi i wyje, a Dniepr wrzeniem wody przegrywa i jęczeniom dzwonów i powywowi lasu. Pieśń Boża w niebiosa leci, a muzyka djabła po ziemi brzęczy, a ludzie i modlą się i hulają, pokłony biją i tną tropaka — hulatyka, pijatyka, wszystko się mięsza w jeden wielki rozgłos — Prażnik.

Trzej Janowie obchodzili do koła to hulanie żyjącego i półżyjącego świata, ale weń nie wchodzili stopą, ale okiem i uchem.

Pod jednym z rosochatych dębów mnich Czerniec czytał w głos psalmy Dawidowe i dzieci przysłuchiwały się jego nosowemu, jednotonnemu pieniu. Przy drugim cyganka natchniona duchem egipskich tajni, wróżyła przyszłość strojnym dziewicom; ku tej ostatniej podeszli trzej Janowie. Może dla tego, żeby popatrzeć zbliska na dziewice, bo i to pohulanka, zwłaszcza kiedy twarze i oczy grały na wtór tego, co z niemi będzie; bo ludzie, choćby jacy, a zwłaszcza Kozacy wierzyli, a ciekawość do złego i do dobrego wiedzie zawsze do wiedzy. Rzucili złoto i ona im wróżyła, w oczy patrzała, na dłoniach znaczków szukała i palcami obmacywała czaszkę. Potem zadumała się, ustami szemrała, jakby pocichu odmawiała pacierz, modlitwę, albo zaklęcie do swoich duchów — odmawiała długo, nareszcie patrząc im w oczy, cicho i smutnie wyrzekła:

«Żyliście jak rodzeni bracia, jak zdruchowani sercem; gwiazdka ognista zabłyśnie i pod jej promieniem wasza

trójca roztaje, jak śnieg wiosenny pod promieniem słońca i nic a nic z niej nie zostanie, ani w waszych sercach, ani w waszych duszach. Jak Kain na Abla będziecie patrzeli na siebie; ale Bóg zbrodni bratobójczej nie dopuści — krwi jednego nie będzie na drugim, każdy pójdzie swoją drogą. Każdy na niej skończy po swojemu.»

«Ty» — wskazała na Wyhowskiego — «ty strzeż się druha, wyrobionego w twem pojęciu, a którego serce i pojęcie twojej drużbie nie odpowiada i nie odpowie.»

Potem, obracając się do Brzuchowieckiego:

«Poluj, ale nie rozdrażniaj twojej psiarni, bo jak ją rozdrażnisz, a nic stanie zwierzyny, sam możesz paść ofiarą rozdrażnionej wściekłości.»

«A ty» — obróciła się do Puszkara — «miłujesz słowika, miłujesz kwiaty, miłujesz dzieci, miłuj a miłuj, bo dziecię będzie ci aniołem.»

I na tem skończyła.

VI.

Kilka lat przeszło od widubyckiego prażnika. Po całej Rusi, Litwie i Polsce ruch i zamięszanie — od porohów dnieprowych, od kudaka twierdzy kozaczej, którą ludzie zrobili i ludzie rozwalić mogą, aż do wody jeziora Gopła, gdzie się myszy potopiły z rozpaczy, że zjadły monarchję z Popielem, a nie widziały pociechy z Rzeczypospolitej z Piastem kołodziejem. Sam prochownik Srul, czy Berko, tego poeta Zmorski nie powiedział, ale Żyd z Żydów, brat Mojżeszowego wyznania, arędarz karczmy w Kruszwicy, który Piasta nasadził niby na prezydenta Rzeczypospolitej — tak lirycznie opisanej przez tegoż Zmorskiego i wydrukowanej w Poznaniu — nic wiedział, żeby monarchja z rzeczpospolitą mogły z pożytkiem iść na jednej sferze, czy to na łowy, czy to na pokarm zdrowy. I choć ludowi, na rozkaz prochownika wszystkie Herszki, Jeki i Srule, Mortki i Moszki kładli w ucho, że Rzeczpospolita to żona królewska, i dla tego na wszystkich wiciach, na wszystkich dokumentach pisano i czytano — Król i Rzeczpospolita. Lud swoim chłopskim rozumem na to się nie zgodził; u niego król to król, pomazaniec Boży, ojciec ludu, wódz narodu, a Rzecz-

pospolita to szlachta, cywuny, bije, kije i Bóg wie jakie tam plagi na świat Boży, a szarańcza na posiew i plon pomazańca Bożego, i tak to szło przez długie lata.

Bolesławy parli na Ruś, na Wschód, na stary Kijów, żeby Słowianom stanąć na czele; to było dziełem monarchji. A wojewodowie, kasztelany, starostowie, odciągały wojska z pod znaków monarchów, słowami kapłanów, kościoła zachodniego, niszczyli wszystkie zwycięstwa, wszystkie uśpiechy monarchji odstępstwem Rzeczypospolitej, szlachty.

Biskup Stanisław Szczepanowski, później ogłoszony świętym i Patronem Polski, gromił i wyklinał Bolesława Śmiałego, Wielkiego monarchę, za jego miłostki z Rusinkami Kijowa, bo to były Słowianki i to było Słowiaństwo, nie Giermaństwo; a później żaden z prałatów kościoła zachodniego nie gromił i nie wyklinał miłostek Kaźmierza z Żydówką Esterką, bo to była niby Niemka, i to było na korzyść Giermanizmowi. I wygłoszono tego króla Wielkim. Królem Chłopów, Prawodawcą, chociaż jego statut Wiślicki nie usamowolnił chłopów, nie dał im żadnej własności ziemskiej, żadnego samouprawnienia, żadnego obywatelstwa, tylko postanowił, że każdy chłop, nękany postępowaniem pana swego, właściciela, dziedzica, uciekłszy od niego i schroniwszy się na ziemię, należącą do duchowieństwa kościoła zachodniego, nie może być poszukiwanym, ale staje się poddanym, własnością duchowieństwa katolickiego, zachodniego, z temiż samemi prawami dla duchowieństwa, jakie miał poprzedni jego pan i dziedzic. Nie kijem to pałką. Nie był tedy Kaźmierz królem chłopków, ale królem duchowieństwa katolickiego, zachodniego i braci Mojżeszowego wyznania, bo to był nie Słowianizm, ale Giermanizm.

Monarchja Piastów musiała ustąpić Rzeczypospolitej prałatów i magnatów, bo by ją myszy zjadły, tak jak zjadły monarchję Popielów.

Tak było i za Jagiellonów, kiedy monarchja szła w prawo, Rzeczpospolita ciągnęła w lewo, i trzeba było całego ładu rządowego Litwy, całego porządku społeczeńskiego, całej sforności narodu litewskiego, opartej na przedawnych tradycjach, na czynach Giedymina, Kiejstuta i Wielkiego Witolda, żeby nie dać Rzeczypospolitej sponiewierać i zmiażdżyć na gniłe jabłko monarchji.

Kiedy Stefan Batory, król węgierskiej czamary, wodził zwycięskie hufce na Moskwę i na Tatary, w imię i na cześć monarchji, Rzeczpospolita, związawszy ściśle prałactwo z magnactwem — z ojcem Posewinem, dyplomatą szkoły Lojoli, silniejszej i zręczniejszej od szkoły Machiawela — rzucała między wojsko rokosze wojskowe, z koronkami, antyfonami i obedencjami kościelnemi, i chorągwie jedne po drugich obóz rzucały i do domu wracały. I gdyby nie Wielki Jan Zamojski, hetman i kanclerz, a z nim Bohdański, Kniaź Różyński z pułkami kozackiemi nie byli w obozie zatrzymali tej Rzeczypospolitej, wbijając na pal i zawieszając na szubienicę, żeby przy monarchji i monarsze została, byłby król Stefan Batory z Kozakami tylko wrócił do Grodna na szerbet Jezuity Posewina.

Król Władysław IV., choć Waza ale i Jagiellon, o wszystkiem tem wiedział i wszystko to widział, i dla tego w imię monarchji napomykał, jak trzeba uczyć mores Rzeczpospolitą. Żeby było dobrze dla ojczyzny, pisał do atamana Barabasza.

Ale Barabasz, a raczej Barabaszowa, jakaś tam krewniaczka, czy pupilla potężnej Koniecpolskich rodziny, więc Rzeczypospolitej, zrozumiała pismo lepiej, jak jej buławny mąż, włożyła je w szkatułkę srebrną o dwóch żelaznych pokrowcach, a zamkąwszy na trzy klucze, rzekła atamanowi Barabaszowi:

«Niech tam będzie ta droga królewska pamiątka. Ale Chmielnicki, szlachcic z litewskiego rodu, pronoza a przytem Bohdanko po świętym patronie, jak Bohdanko Kniaź Różyński, i z nim był pod Pskowem i pod Wielkiemi Łukami, wiedział jakiemi sposobami przytrzymywać Rzeczpospolitę do dobrej sprawy.

Szkatułkę przez Żyda, taki brata Mojżeszowego wyznania, wymanił od Barabaszowej. Przyniesiono ją na radę kozaczą, w której zasiadł i sam Barabasz, ale tak pijany podanym mu szerbetem przez Żyda, że ledwie mógł otwierać osowiałe oczy. Bez kluczów, szablą, darem króla Władysława, Chmielnicki otworzył wszystkie trzy zamki, wyjął królewskie pismo i kazał pisarzowi Wyhowskiemu odczytać w głos ten królewski reskrypt.

Odczytano i wnet cała rada starszyzny okrzyknęła:

«Bohdanku, ty nasz Chmielu Kozaczy, bądź nam atamanem, przez ciebie król pan nasz miłościwy ten reskrypt swojej świętej woli nam przysłał. Tobie dał szablę do jej wykonania, więc dalej do roboty. My chcemy być z królem panem naszym, pomazańcem Bożym, a nie z Rzecząpospolitą i z Wyzuwitami!»

Wnet odesłano Barabasza paść gęsi, czy na jatki, dość, że między Kozakami go nie stało i oko kozacze już go więcej nie widziało.

Chmielnicki wziął się do roboty.

Żółte Wody, Pilawce, Zborów zawrzały bojami, wszędzie rzezie, pożary, rabunki i Jesyr tatarski. Rzeczpospolita rozbiegła się na wszystkie strony, pierzchała gdzie kto mógł, nawet sam król Jan Kaźmierz, za to że chciał dyplomatyzować z Rzecząpospolitą, a nie stanąć jawnie i otwarcie przy dziele swojego brata Władysława, przed Kozakami, musiał dać drała.

Rzeczpospolita, to jest prałaci i magnaci, w niebogłosy wrzeszczała:

«Oj Chmiel, przeklęty Chmiel, nawarzył nam brahy z chmielem i pić ją musimy!»

A Chmielnicki ze swej strony wołał:

«Król to nasz ojciec, to nasz pan, a wasza Pospolita Rzecz — to z nią precz, precz!

Jak stanę a poglądnę (jak stanu a pl'anu) po Słucz, za Słucz nasze.»

I dalej poił Rzeczpospolitą brahą, z chmielem, na zapój.

Już wówczas trzej Janowie byli dostojnikami starszyzny kozaczej.

Jan Wyhowski dzierżył pieczęć kozaczą i był wielkim Pisarzem Kozackiego Kosza, całej Ukrainy po obu brzegach Dniepru, po wody Słuczu i Donia.

Jan Brzuchowiecki był asawułą przy atamanie Chmielnickim.

A Jan Puszkar pułkownikiem półtawskiego pułku.

Wszyscy trzej tłukli Rzeczpospolitą na łój, na masło, a Wyhowski zalewał sadła na skórę Jezuitom i w Owruczu, Monasterze, w którym osadził Ojców Bazylianów, po Zborowskiej rozprawie, kazał wbijać haki, na sztukaterję Jezuitami.

VII.

Fortuna toczy się kołem, co dziś było górą, jutro musi iść dołem, tak było i z Chmielnickim i z jego chmielem pod Beresteczkiem. Han Krymu i Budżaku, nagrabiwszy złota, srebra do woli, nagromadziwszy nieprzeliczone tłumy Jesyru chrześciańskiego, zatęsknił za domem. Do Bakczyseraju mu pilno. Mydlił i potajkiem znosił się z Lachami. Z przehoworów, na których pobrzękiwano dobitnym argumentem beczułek ze srebrem i ze złotem i obietnicami, zaczął na Chmielnickiego z pod oka patrzeć, nie dowierzać. A kiedy z rozpoczęciem bitwy mirzowie mu donieśli, że Rewucha, Sabatyn, Jarosz i jeszcze kilku z samego kwiatu kozackiego rycerstwa przeszli do Lachów, do króla Jegomości, bo Chmielnicki nie grał im w nutę, na którą oni dawno kozaczyznę podstrajali, artyści nie lubili fałszywych tonów, więc przyszli do króla, może tam będzie lepiej, wszak to pomazaniec Boży i ich koronowany pan, a Chmielnicki z Bisurmanem trzyma, a jeszcze Bóg wie, gdzie ich gotów zaprowadzić — więc poszli, a z nimi liczne sowite poczety.

Wieść odstępstwa przeraziła Chmielnickiego i jemu chmiel fantazji nie mało z głowy wyszedł, jakby ręką odjął, animusz gorączki ochłódł. Z Wyhowskim na radę udał się pod namiot Hana, co tu robić. Han przymrużył i tak malutkie oczy, przyśmiechnął się nawet.

«Niech się Kozacy biją, a my tu nie mamy co robić, pojedziemy do Krymu, będziecie moimi gośćmi i zakładnikami, będę was karmił, poił, a jak uiścicie się z przyrzeczeń, to dam swobodę i znowu możemy zacząć po dawnemu.»

Powiedziano, wykonano i ataman i pisarz, radzi nieradzi, musieli lasami, bagnami, stepem, jarami pędzić z tatarskim czambułem do Krymu, dzień i noc na zmienianych bachmatach, bo hanowi było pilno do żon, i tak przyrzekł Lachom. A verbum nobile debet stabile, to jest, co się rzekło to i dotrzymało, a Kozacy bili się i bili, póki ich nie przebili, gorzej jak na łój i na masło, byli pobici i rozbici.

Ledwie parę tysięcy jazdy regiestrowej wyprowadził Jan Puszkar przez Wołyń na Zadnieprze. Ledwie z trzema tysiącami pieszego Zaporoża Brzuchowiecki przedarł się

w pińskie bagna, a Tatary wczas uciekli i śladu po nich nie zostało.

Tak szczezło to stutysięczne wojsko Chmielnickiego, nie zasiało się ani za Bugiem, ani nawet za Słuczą, Chmielów kwiat tam nie zakwitł, Chmielowe przechwałki prysły jak bańki mydlane. Bóg pokarał dumę i złe myśli, a Ukraina cała krwawo zapłakała po stracie swoich synów, po zwiędnieniu kozaczych wawrzynów.

Lachy górą, bez miłosierdzia tępili, co im pod rękę wpadło, na bagnach, na oparzeliskach, ale nie gnali uciekających.

Niech uciekają, roznoszą klęskę swojego Chmiela, zastąpią gońców i królewskie wiece; a Rzeczpospolita na tych Hajdamaków zaraz włoży jarzmo Chama, a za Żółte Wody, za Pilawce, za Zbaraż, za Zborów będzie kwita i dawny porządek znowu zawita.

VIII.

Tak Lachowie sejmikowali i do domów się rozjechali Jaśnie Oświeceni, Jaśnie Wielmożni, Przewielebni i Wielebni, zwani ojcami narodu. Chorągwie swoje huzarskie, pancerników, kopijników, nawet dragonją z rotmistrzami i z porucznikami wysłali na kresy, na Ukrainę, żeby kury zjadali, z mołodycami i z dziewkami hulali. Niech się podpasą, wyhulają, bo kto wie, co to będzie i udali się na walne sejmy do Warszawy.

Tam lali węgrzyn stary w srebrne, w złote puhary i z krawędzi wychylali, szukając prawdy na dnie, i znaleźli.

Vivat Rzeczpospolita i król niech żyje, póki jej, to jest nam służy, a jak zacznie brykać to i my potrafimy fikać i poszlemy na wędrówkę, do klasztoru na rekolekcje; kiedy nie chciał służyć, niech się modli za Rzeczpospolitę, to jest za nas. — I uradzili wysłać Ojców Jezuitów na kierowników nie tylko sumień ale i działań hetmanów, rotmistrzów, wojewodów, kasztelanów, sędziów, starostów nawet i dodać im na posługi braci Mojżeszowego wyznania na arendatorów. Niechaj dławią, męczą i dręczą schyzmę na pociechę Rzeczypospolitej.

Tak urządziwszy sprawy Rzeczypospolitej, ojcowie narodu i sami zahulali, nawet i w pląsy się puścili, polskiego, obertasa, nawet drabanta. Na nowo uszlachconych, przez powrót na łono Rzeczypospolitej, pod Beresteczkiem, wołali:

«Hop, hoc, po waszemu!» — W prysiudy, siudy, tudy wycinali; Sabatyn jak wiech się wije, Rewucha jak żaba okrakiem skacze, a Jarosz jak szczupak się rzuca.

A Neofici uszlachceni im odpowiadają:

«Hit, huf, po naszemu — i Mojżeszowe plemię groch, jak kszy pochrzcone na polskie ski. W boki się wzięli, dygotali na miejscu, głowami kiwali i jak furki się kręcili, jak nad Czerwonem morzem bankietowali, wołając: Ojcowie narodu — vivat Rzeczpospolita i Ojcowie Jezuitowie. Hif, huf — aj waj mir!»

Kiedy tak w Warszawie radzono i hulano i w Perejasławiu nie drzemano.

Mnogogreszny, pan koszowy, przybył z koszem Zaporoża i z Kureniami rozłożył się obozem w Semipułkach. Jan Brzuchowiecki z częścią tego kosza, ocaloną z pod Beresteczka, wyhulknął w muromską puszczę i był cały kosz, trzydzieści i dziewięć Kureni, jak rybie oko, bo czterdziesty jeszcze za atamana Czajki, Jana Zborowskiego, potonął w dnieprowych porohach; z Kozakami i z Czajkami już go nie odnawiano, ale zawsze liczono — Sorok Kurenij, żeby tak było. — Jan Puszkar już przepłynął Dniepr pod Ryszczowem i pasł konie na ługach perejasławskiej puszczy, — a Hulanicki z sotniami Nieżyńskiego i Połtawskiego pułku zajął Perejasław. Z nim była jego siostra Natalka, zwana Gwiazdą Ukrainy.

Ośmnastoletnia dziewica, na prawdę krasawica, czarnobrewa, piwnooka, nie mała, nie wysoka, a taka smukła jak topola, taka gibka jak leszczyna, i czoło i lice białe jak kalinowy kwiat, a na licu rumieniec jak kaliny jagoda, włos kruczy, ciemnym szafirem szklnący pod słońce. Nosek, uszka, rączki, nóżki i kibić cała, takie ładne, takie składne, jakby wyszły z pod dłuta Praksytela, albo z pod pędzla Rafaela, i Siemiradzki jej postacią mógłby ozdobić swoje obrazy. Usta jak bośniackiej dziewczyny słodyczą cukru do siebie wabiły — cukrowa dziewczyna — a tyle ognia we

wzroku, ile w komecie, co świat pali i ma spalić, i dla tego ją przezwano — Gwiazda Ukrainy.

Kiedy pieśń zanuci, to słowiki milkną i słuchają, a potem próbują na jej tony głos swój podstrajać, a kiedy nóżkami tropaka zastuka, to i stuletni starzec, towarzysz Sahajdacznego, albo Skałozuba, porwie się za nogi i hołubce plaśnie.

A przy tem wszystkiem nie zalotna, nie przewrotna, gospodarna, skromna, mniej o sobie, więcej o drugich pomna, każdemu chciałaby uchylić nieba, żeby pocieszyć jego niedolę; znaczyła swoje życie nie podbojami krasy, ale podbojami chrześciańskiego serca bogobojnej duszy. A rozumna taka, że w całej Ukrainie nie znaleść rozumniejszego dziecka.

Kochała brata, bo w dzieciństwie odumarli rodzice. On jeden został, jego jednego miała na świecie, on ją popieścił, pocałował, w chorobie, w niedoli pożałował. On był jej wszystkiem a wszystkiem między ludźmi na tym Bożym świecie i ona mu była wszystkiem, siostrą, matką, gospodynią, powiernicą i pocieszycielką. Nie rozstawali się z sobą, on ją wszędzie z sobą brał, żeby sama nie zostawała, ona z nim wszędzie jechała, żeby sam nie jechał.

I ludzie, choć dzicy Kozacy, choć krwawi Hajdamacy, a nawet Tatary poganie i Żydzi potępieńce, szanowali to przywiązanie i przed niem się skłonili, jak przed świętością Bożą.

I takie było przekonanie między Kozakami, że gdzie się ukaże Gwiazda Ukrainy, tam było dobrze i musi być dobrze.

IX.

Gwiazda Ukrainy świeciła w Perejasławiu, a hetmana Ukrainy jak nie ma tak nie ma na Ukrainie, i wieść o nim gdzieś zawisła na stepach, na burzanach, po kurhanach. — Brzuchowiecki w puszczach na dzikich bachmatach harcował z nim, na berłach zjadłe sokoły, na smyczach jeszcze zjadlejsze charty. W braku walki z ludźmi z dzikim zwierzem wojował. W puszczach trąby myśliwskie grały, gończe po śladach doławiały i na oko ujadały. Zaporożce z harapów trzaskali i z samopałów palili i na całe gardło owrza-

skiwali. Wilki nie wilki, dziki nie dziki, łosie, sarny, wszystko to trupem padało, a pan asawuła się radował i z chartami lubował. Słał i grubego zwierza i drobną zwierzynę pod nogi Gwiazdy Ukrainy i sam się przed nią stawił, żeby usłyszeć — dziękuję i nic więcej. A kiedy charta jakiego na pochwały Hulanickiego, który często z Brzuchowieckim polował, pogładziła — już ten był towarzysz nieodstępny, ulubieniec pana asawuły, zjadał łakocie i wylegał się na miękkiej pościeli.

Puszkar na ojcowskiej ziemi, nad Ostrem, gniazdo sobie stroił, stawiał dom, stodoły, obory, obsadzał drzewami, kwiatami, gospodarstwo zaprowadzał, powtarzając — wszędzie dobrze, ale u siebie w domu najlepiej. Tak mówił Kozak, u którego kulbaka to dom, a usad'ba gospodarstwo, to świat cały, jak długi, jak szerogi. Nawet mrówiska z mrówkami na swoją ziemię przenosił, żeby przynęcać słowiki.

Ale i on miał dzielne konie, czystej krwi, ukraińskie, i rącze a chwytne charty i mnogą psiarnię, lenne po ojcu, po dziadku; bo Puszkarów rodzina nie dzisiejsza. Jeszcze z Kniaziami Wiszniowieckimi i Różyńskimi wodziła Kozaków na Turków, na Tatarów. Z Ostafim, synem wdowy po zmarłym Daszku od Czarnego morza Bisurmanów odganiła i potęgę chrześciańską nad tem morzem słała. Z atamanem szachem w Carogrodzie gospodarzyła, a z Sahajdacznym pod Kluzynem, pod Chocimem się biła. Jeden z Puszkarów z Lisowskim włóczył się po niemieckich ziemiach, a drugi, potem, dobrze potem, z Janem Sobieskim pod Wiedniem bronił Niemca poganina. Nie dzisiejsza rodzina. Zabytkami i zamożnością w oczy biła, a nawet sioło, gdzie był dwór i usad'ba starszych Puszkarów, zwało się i zwie Puszkarami.

Jan Puszkar miał bojowego konia, garbonosa skarogniadego, jak roztopiona żywiczna smoła, jaśniejsza przy nozdrzach, bo ogień życia tamtędy buchał; miał dwa charty ulubione, płowego Dolota i siwą pstrokatą Chwatkę. Szarak, choćby jaki, nie uszedł przed niemi w krzaki, i wilczysko, jak go zajrzały Dolot i Chwatka, już się nie włóczyło więcej po kozaczym świecie, a skóra wilcza szła na kozacze wilczury. Puszkar polował, bo był Kozakiem, a trzeba było polować, żeby nie zapomnieć kozakować. I ten słał podarki pod stopy Gwiazdy Ukrainy, kwiaty i owoce i

lakocie i sielanki swojego serca, swojej duszy. Ona dziękowała, a raz powiedziała:

«Jak się zwabią słowiki, będziemy je słuchać.» I Puszkar był szczęśliwy tem słowem, szczęśliwszym jak Brzuchowiecki pogłaskaniem charta.

Tak upływały chwile oczekiwania, kiedy jednego dnia, niespodzianie, z brzaskiem dziennym zjawili się i hetman i pisarz, na koniach zmydlonych potem, a sami słojem stepowego kurzu pokryci — zmorzeni zajechali do Hulanickiego, i Gwiazda Ukrainy ich przyjmowała — hetmana i pisarza Ukrainy.

Chmielnicki rzekł:

Wyhowski nas wydyplomatyzował u hana, Iwaśko (tak go zwykł nazywać) mądra głowa, a teraz co zrobi, zobaczymy, jaki duch go natchnie.

Jan Wyhowski spojrzał w oczy Gwiazdy Ukrainy, czoło mu się wyjaśniło, oczy błysnęły ogniem wielkiej myśli. — Poczuł natchnienie, obrócił się do Hulanickiego.

«Stu Kozaków dziarskich i na dzielnych koniach!»

Wziął pióro, umoczył w kałamarzu i napisał na leżącym na stole papierze:

«Od Dońca i nizowych stepów po nad Czarne morze, po Karpaty, po Słucz i pińskie bagna' — każdemu być kozakiem, człowiekiem swobody, każdemu za broń i na koń, i tu do mnie do Perejasławia!»

«Hetmanie podpisz!» Hetman podpisał. — I gońce w skokach koni, jak promienie słońca, rozleciały się po całym kozackim świecie.

Było to na nowiu księżyca i drugi księżyc nie zastąpił tego, który schodził, a już z naliczką sto tysięcy Kozaków było pod bronią, i na pieszo i na koniach. Hetman i pułkownicy sprawili to nowe kozackie wojsko.

I poszły pochodem pułki za pułkami, kurenie za kureniami, jazda, piechota i armaty i obozy.

Na czele tego wojska jechał hetman Bohdan Chmielnicki, dzielny Chmiel z hetmańską buławą, z czaplem piórem u czapki, a z krzywą szablą u boku. Przy nim pisarz z wielką pieczęcią kozaczą. Wiatr rozwijał włosiec buńczuków, różnobarwne chorągwie w powietrzu się kąpały, muzyki

grały, konie rżały, brzęczały szable, ziemia bębniła, a pieśń kozacza leciała w niebiosa.

«Na Białą Cerkiew, tam pomszczę klęskę, odniesioną pod Beresteczkiem. Pokłonię się królowi, pomazańcowi Bożemu, ojcu naszemu i całego narodu, i szablami wypiszę nowy traktat z rzeczpospolitą!»

I tak się stało, zwycięstwo było odnowionem przez Kozaków, Bohdan Chmielnicki pokłonił się aż do kolan królowi, uściskał jego stopy — z rzeczpospolitą był zawartym traktat Białocerkiewski, oddający wszystkie dawne swobody Kozakom i wojsko stotysięczne, żeby szablami bronili swoje prawa, kiedy je nabyli szablami.

X.

Domowa wojna, na szable, ustała, ale rozpoczęła się na dobre, piórem na papierze i perehoworami. Z jednej strony stali: król i królowa, z drugiej rzeczpospolita; między niemi Jezuici i bracia Mojżeszowego wyznania. A wszyscy grali, po swojemu, z Kozakami. Każdy na swoje karty, nawet Szwab z Wiednia zaczął się mięszać do gry, przystawiać karty na poniterki, żeby, jeźli nie rozbić, to podskubać Bank polski, czy kozacki, to Szwabowi na jedno, i jeden i drugi, nie szwabski, nie germański, a mogą być słowiańskiemi.

Do tego działania przeznaczono pana pisarza kozaczej Ukrainy, niech z nimi gra w szachy, a w szory nie da się ubrać. Iwaśko mądra głowa, da sobie radę; ciągle na dyszlu i w podróży, z Kijowa do Warszawy, z Krakowa do Lwowa, i zajrzał nawet do Wiednia. Z królową po francusku parlował i menueta tańczył. Z królem nad losem ojczyzny płakał i nadzieje na zjednoczeniu Słowiańszczyzny budował. Z ojcami rzeczpospolitej kieliohy węgrzyna i zamorskich win wychylał. Z Jezuitami po łacinie o unji rozprawiał. Żydom, bo i to bracia Mojżeszowego wyznania, propinacje na Budżaku i na Zawołżu obiecywał. Z cesarzem szwabskim po niemiecku szwargotał, a ciągle wtykał podarki ze złota, ze srebra i z drogich klejnotów; to sygnet kozaczy z wielkim szafirem, to siodło, wysadzane rubinami i perłami;

to szablę ozdobną w brylanty, zdobytą na Bisurmanach, żeby podarkami przyjaźń utrzymać, nie dać jej zastygnąć, żeby zawsze była gorąca i podarków pragnąca. Cesarz ciągle powtarzał: dziękuję — ich danke — i obiecywał Chmielnickiemu berło i tron ruski — z koronacją przez siebie, Niemca, Szwaba.

Królową Marję tak sobie zyskał, że kiedy Ojciec Krajewski Jezuita przedstawiał jej Stefana Czarnieckiego, pogromcę Prawosławia, i na wyraźniejsze oznaczenie postrachu, jaki wywierał na lud ruski prawosławny, dodał, że go przezwano:

Raba Sobaka —

królowa uśmiechnęła się.

«Bardzo dowcipna i właściwa przezwa; nie myślałam, że Ukraina ma tyle dowcipu, co i Paryż», a mówiąc z Wyhowskim, dodawała: «I na dworze wersalskim i na dworze madryckim byłbyś Waszmość pierwszym kawalerem, pierwszym grandem, a tu w Polsce zrodzony jesteś na hetmana Wielkiej Buławy i na kanclerza państwa.»

Wszystko mu szło jak z płatka, jak po mydle, Chmiel rozkosznie biesiadował w Perejasławiu, odbierał pokłony od swoich i od obcych, i po swojemu przyszłość Ukrainy budował — a Kozactwo ryby łowiło, polowało, gospodarowało, hulało i swobody używało na całą gębę. Wszystko to winne było panu pisarzowi, jego mądrej głowie i jego niezmordowanym zachodom. Iwaśko został dyplomatą i mężem stanu — i choć go Gwiazda Ukrainy nęciła, tak jak jego dwóch pobratymców, Janów — mąż stanu brał przewagę nad człowiekiem.

Ojczyzna przedewszystkiem; jak wszystko ustalę, pokończę — pomyślę o sobie, będzie czas.

Tatary nie dyplomatyzowali, wciąż z Budżaku, z Krymu na kozackie kraje napadali, żgli sioła i futory, ratowali stada bydła i jesyr ludzki, i za Perekop, za Dniester gnali; a nawet wybór dziewic i młodyc sułtanowi i Bisurmanom w podarunku posyłali. Pan hetman Ukrainy na prawdę się zagniewał, przywołał Mnogogresznego do Kijowa, osadził na rekolekcje w Brackim Monasterze na Podolu. Niech się uczy, jak być panem koszowym, albo niech za grzechy pokutuje, kiedy ma mnogie — jak zechce. A Brzuchowieckiego

wysłał na Podpalną rzekę, żeby go Zaporożce panem koszowym obrali, bo inaczej zbabieją, albo się rozpiją na zapój.

Brzuchowiecki został obrany atamanem i panem sławnego zaporoskiego Kosza i zaraz na drugi dzień — Czajki z Zaporożcami puściły się Dnieprem, przez Porohy, na brzegi Krymu, a kurenie Zaporoża ciągnęły szeroką stępą, przez pustynie swiętych Pańskich na Perekop, na Budżak. Pan koszowy na wronym koniu wiódł hufce konne, a Filip Orlik watażył Czajkom.

Oj długie lata popamięta i Krym i Budżak mordy i pożogi, jakiemi grasował po nich pan koszowy z mołodzcami — od Perekopu po gnile Azowskie morze, od Dniestru do słowiańskiego Dunajn i po nad brzegami Krymu, ogniem i mieczem popisał — zniszczenie. Tatary jak dzikie zwierzęta, po górach, po lasach, po jarugach się kryli, na Zawołże, na Kaukaz, a nawet na Multany i na Wołosze się nieśli. Pan koszowy hulał, a o Gwiazdzie Ukrainy wciąż myślał, ale od pohulanki oderwać się nie śmiał, a nawet nie umiał — krew i pożogi, to jego biesiady; używał ich aż do przesytu.

Wtenczas Hulanicki i Puszkar stali ze swojemi pułkami na straży zadnieprskiej Ukrainy, na straży Perejasławia i hetmana, bo już wówczas Moskwa dla swego własnego bezpieczeństwa zaczęła zajmować swojem wojskiem kozaczy kraj; z Homla, ze Smoleńska przyszli bojarowie carscy z ratnikami, zajęli Baturyn, Czernigór i brzegi Desny aż do jej ujścia w Dniepr. W starym Kijowie już gospodarzył bojar carski, w grodzie — a za grodem, obok wojewody kijowskiego, króla i rzeczpospolitej, władającego za grodem — Chmielnicki przez bojara Szeremetowa, rządzącego w Kijowie, i przez pogromcę Tatarów Krymu i Budżaku, Iwana Brzuchowieckiego, którego car Alexy Michajłowicz obdarzył godnością bojara Biało-kamiennej Moskwy i dodał do zaporoskiej buławy soboli kołpak i sobolą szubę bojara — wchodził w układy z carem ruskim, bo ani rzeczpospolitej polskiej ani Jezuitom nie ufał. A król Jan Kaźmierz już się wybierał na odpoczynek do klasztoru i zajęty był z carem jakąś tkanią słowiańskiego zjednoczenia się pod jednym władzcą.

Moskwa była na karku, bo na Desnie i na Dnieprze, a

Piotr Doroszenko z Filipem Orlikiem bisurmańskiemu padyszahowi Chrześciaństwo kozackie, zakon rycerski Prawosławia, oddawali w lenne poddaństwo. Trzeba było opory i tą nie mogła być tylko Moskwa. Hetman Ukrainy to rozumiał, i w tym kotle nową brahę, ze swoim dawnym chmielem, warzył.

Kiedy tak warzył Chmiel na Ukrainie i dla Ukrainy — Puszkar do swoich róż zamanił słowiki i nadosterskie i naddesniańskie, a Gwiazda Ukrainy, Natalka Hulanicka, wierna swojemu przyrzeczeniu, poślubiła w perejasławskiej ławrze Iwana Puszkara i przyjechała do Puszkarów, jak obiecała przyświecać krasie róż i wtorować śpiewom słowików.

Czarodziejska Rusałka, jak w raju, jak w siódmem niebie, panowała; Puszkar zapomniał o wszystkiem, nawet o sobie. Nie widział tylko Gwiazdę Ukrainy, swoją czarodziejkę, nie słyszał tylko głos swojej Rusałki i słowików chór — tak płynęły dnie, tygodnie, miesiące, póki mu nie powiła malutką Rusałkę, której dano imię Natalka takoż i która zakazywała się na drogę Gwiazdy Ukrainy.

Ukraina wzbogaciła się, miała gwiazdę i gwiazdkę.

Trójca trzech Janów rozpadła się, bo gwiazda jedna nie mogła być dla wszystkich trzech. Każdy poszedł w swoją stronę i każdy swoją drogą.

Jeden dyplomatyzował, drugi wojował, a trzeci miłował, roskoszował i gospodarował.

Spełniła się pierwsza przepowiednia Cyganki, z pod wydubickiego dębu.

XI.

Gwiazda Ukrainy była mamką małej gwiazdki, a Puszkar był niańką swojej malutkiej Natalki — w niemowlęctwie innych rąk, innych twarzy nie znała, tylko rodzicielskie, tylko pocałunki i pieszczoty ojca i matki, a jak zaczęła łazić na czworakach, ulubione charty nie odstępowały dziecięcia, i one go lizały po nogach, po rękach, odganiały od niego muchy, komary, piastowały dziecinę. — Tak rosła pod okiem rodziców i chartów.

Kiedy już skakała między różami i uganiała różnobarwne

motyle i skrzydlate babki, charty koło niej i z nią razem uganiały te robaczki, zapomniały o siwych wilkach i o szarych zającach, żeby być z dzieciną razem i z nią uganiać jej zwierzynę. Ale jak poczuły obcego kota, psa lub inne zwierzę, albo nie znanego człowieka, sierć im się jeżyła, oczy krwią zachodziły, gotowe były dławić, rozrywać; jeden nie odstępował dzieciny, drugi biegł na wroga, a usnęła, to oni czuwali i nikomu do niej przystępu nie dawali, i dobrze robili, bo po psiemu dziecinę lubili, bo psia przyjaźń, psie przywiązanie z nawiązką za ludzkie uczucie stanie.

Puszkar się cieszył, radował, głaskał charty, dziecinę pieścił i całował. Łza radości, łza szczęściem przepełnionego serca w oczach mu stała. Dziecko szczebiotało i charty i rodziców po imieniu wołało, a nawet paluszkiem pokazywało litery abecadła na elementarzu. Co rana i co wieczór, wstając i kładąc się spać, na klęczkach modliła się do Matki Dziewicy i do świętej patronki, o zdrowie i pomyślność dla ojca i matki, a po cichutku szemrała w myśli — dla Delota i dla Chwatki.

Tak przeszło lat kilka, Puszkara zostawiono na miejscu, nad siedmiu pułkami w Semipołkach, droga nie daleka do Puszkarów. Co rana Farbonosy przywoził go do pułków, a co wieczór odwoził do domu, do żony, do dzieciny, do błogiej rodziny. Czasa mina siodle przywoził dziecinę Kozakom, i Gwiazda Ukrainy mu towarzyszyła i charty z niemi biegli. Jakaż to była radość, jaka uciecha, ptaki latały, zwierzęta skakały, dziecina w dłonie plaskała, i pleszcze — jeszcze i jeszcze. Ojciec przyciskał do łona, a matka z radości płakała.

Błogie to było, to zacisze kozackiego życia i tak by się żyć chciało po wiek wieków.

Ale tak nie było w Kozaczyznie, hetman nawarzył chmielu i braha choć przystygała, to znowu się burzyła, trudno ją zatrzymać, zwłaszcza że hetman, nie mogąc swoich zamysłów, swoich zamiarów, swoich chęci wyklarować, ze zgryzoty legł na śmiertelnem łożu i dogorywał.

Starszyzna stała przy nim smutna, zamyślona, nie swoja. Bądź co bądź to był i wielki hetman Ukrainy i wielki mąż stanu Kozaczyzny i Rusi całej. On Kozaczyznę na nogi postawił, silną w sobie i u siebie, groźną swoim sąsiadom.

Bronił wiary, ojczyzny, wielkie dzieło zaczął, dobrą połowę przeprowadził, ale nie skończył. Ludzie i lata nie dały mu zakończyć, co chciał. Był smutny i markotny.

«Ja umieram; robiłem, co umiałem i co mogłem, z waszą pomocą wiele zrobiłem, ale jakbym nic nie zrobił, bo wszystkiego nie dokończyłem, a koniec dzieło chwali. — Bracia moi, bracia broni i rady, nam, to jest wam, trzeba wytrawnego wodza i męża stanu, wiedzą, rozumem i wolą, żeby uwieńczyć nasze boje, nasze znoje, silnym bytem państwa. Takim mężem tylko jeden mi się przedstawia, uprośmy go, uproście na mojego zastępcę — tym mężem jest pan wielki pisarz: Jan Wyhowski, mój serdeczny Iwaśko.»

W jednogłosy zawrzeszczeli: «Z Lachami się związał, Lach zapiekły. My chcemy uczcić twoją pamięć, nasz ojcze, nasz oswobodzicielu, pamięć twojego sławnego imienia, niech hetmańska buława dostaje się twojemu synowi i niech spadkiem pozostaje w twoim rodzie po wiek wieków. My nie chcemy elekcji, my nie rzeczpospolita, ale wojsko i zakon i naród wojenny — niech nam hetmani Juraszko Chmielnicki, jak Ty.»

Hetmańskie serce cieszyło się tym objawem wdzięczności kozaczej, a smuciło się obawą niezdolności syna, ale kiedy się zbliżył do łoża Jan Wyhowski i uderzył dłonią w rękoeść szabli:

«Ojcze i druhu, ja mu będę pomocą, radą i sługą, tak mi Boże dopomóż!» —

Hetman drżącą ręką przyciągnął go do łoża, zlodowaciałemi ustami przycisnął się do jego twarzy, wyszemrał — «Mój Iwaśko, Bóg ci zapłać!» i ostatniego ducha oddał z ulebką na ustach, z zadowolnieniem na licu — skonał.

Skonał Chmiel, hetman Ukrainy, wódz ukochany, poniosła się wieść z wichrami, w stepy, lasy, w kurchany — na wszystkie strony świata. Wszędzie Kozacy i Ruś cała zasępili czoła i zapłakali, a sąsiedzi się uradowali. Chmiela nie ma, nie będzie komu warzyć brahy, a nawarzoną — wypijemy i znowu na swojem postawimy.

XII.

Jerzy Chmielnicki z czaplem piórem, w bekieszy, podbitej sobolami, z hetmańską buławą ojca, przybył, już jako hetman Ukrainy, do Kijowa z pokłonami do Pieczarskiej Ławry i do świętych monasterów kijowskich. Ale mimo to, że już był hetman i pan obydwóch Ukrain i Zaporoża, Jerzy, syn Bohdana, znanego Lachom Chmiela, miał zawsze minę Juraszki pokłonnika, nie podobał się bojarowi Szeremetowi, który wprost powiedział Wyhowskiemu i Hulanickiemu, będącym przy hetmanie:

«Lepiejby mu gęsi paść, jak wodzić na boje pułki kozackie!»

I służba bojarska zręcznie mu przemieniła na sztyku pióro czaple na pióro gęsie.

Juraszko tak wziął tą zniewagę do serca, że wszedłszy do Bratskiego monasteru, stamtąd już wyjść nie chciał. Oddał insygnia hetmańskie Wyhowskiemu, klękając przed nim i ze łzami modląc:

Weź buławę, zostań hetmanem, dopełń woli ojca, a pomścij moją zniewagę!»

Wyhowski przyjął, z kołpaka zrzucił gęsie pióra, uściskał Juraszkę i rzekł:

«Póty nie włożę czaplego pióra na ten kołpak sławnego hetmana Bohdana, póki we krwi nie zmażę zniewagi wyrządzonej jego dziecinie.»

W Hulanickim zagrała krew lacka, krew sarmacka, bo i jego ród jeszcze za Piastów i za Jagiellonów był mościpanem, tak jak i Brzuchowieckiego. Obydwaj przysięgli, z hetmanem iść ręka w rękę, ramię z ramieniem, z hetmanem bez pióra czaplego i dostać mu to pióro zmyte ze zniewagi, bądź co bądź; a byli to znani i zawołani pułkowódzcy.

Zaczął się znowu na dobre wojenny taniec — na bojowe gody zbrojno i strojno biegli Kozacy, a na współbiesiadników na gości zaproszeni zostali Tatarzy.

Pod Konotopami, nad Worksłą i Desną, wojsko carskie rozbite, bojarowie w plen zabrani i w podarunku Tatarom oddani, a Hulanicki, który był bohaterem tego zwycięstwa, przyniósł zmyte ze zniewagi czaple pióro i przypiął do kołpaka hetmańskiego, spuścizny po Bohdanie Chmielnickim,

żeby znowu powiewało sławie i swobodzie kozaczej, jak za czasów Chmiela.

Król i królowa polska się ucieszyli, na żądanie hetmana, cały pułk owrucki, który szedł na czele jazdy kozackiej i pierwszy uderzył na wroga, dostał zwanie i herb Wychowskich ze wszystkiemi prawami i przywilejami starej szlachty, jakie mieli Wyhowscy od Jana Olbrachta za bukowińską rozprawę — i dano im ziemie nad Irpeniem na naśledne i wieczne dziedzictwo.

A samemu hetmanowi dano dwa starostwa: Bar i Rudę i hetman zaśpiewał:

«Prodam Bar, prodam Rudu,
A zagram Wyzuwitam w dudu!» i zagrał.

Do dziś dnia na zewnętrznych ścianach owruckiego monasteru sterczą żelazne haki, świadczące o wisielcach Jezuitach, których w ten sposób z monasteru wyrugował, żeby tam Ojców Bazylianów zaintromitować.

Bazylianie tam długo i bardzo długo w tym pojezuickim klasztorze panowali, póki na nich nie przyszła kolej i pobazyliańskim monasterem Prawosławie zawładało.

Na żądanie królowej król go mianował wojewodą kijowskim, bo to droga do wielkiej buławy hetmańskiej.

Nastąpiła hadziacka umowa i Kozaczyzna przeszła pod berło króla — to dobrze, i na łono macosze rzeczpospolitej — to nie koniecznie dobrze.

Puszkar został wiernym przysiędze danej Białemu carowi, i z pułkiem swoim zajął Półtawę. Sam poprowadził wojsko na swoim garbonosie, a dwie Natalki, matka i córka, jechały z licznym taborem pod ochroną wybornej sotni Kozaków połtawskiego pułku. Dolot i Chwatka, dwa wierne charty, za karucą biegły.

Było to po konotopskiej rozprawie. Jan Wyhowski z rdzennem kozaczem wojskiem i trzema tysiącami pancernych husarzy i kopijników pod wodzą Jana Potockiego ciągnął wprost na Półtawę, a Hulanickiego z częścią wojsk wysłał na Kijów, żeby ten słowiański gród nie miał dwóch władzców, tylko albo bojara carskiego, albo wojewodę królewskiego. A Jan Brzuchowiecki z kureniami Zaporoża i z kazanami Tatarów oczyszczał Ukrainę z tego wszystkiego, co nie kozacze. Darmo Mnogogreszny umknął z bratskiego

monasteru i czmychnął aż do Białokamiennej Moskwy, do Cara Alexego, a Doroszenko wabił do Turczyna.

W całej Kozaczyznie było jak w rzeczpospolitej. Jeden ciągnął w prawo, drugi w lewo, ten w tył, a tamten naprzód, a wóz kozaczy targał się na wszystkie strony, przewracał się, obracał, a ani werstwy nie uszedł naprzód, bo jak w rzeczpospolitej nie masz jednego, a są wszyscy, — tego nigdy nie było i nie będzie, żeby było razem, a bez tego wszystko wychodzi na ludową gadkę. Wodę wrzej, woda będzie i nic więcej.

XIII.

Chmurno, smutno na niebie, sklepienie świata zasępione, zadąsane, widać, że Bóg i święci Pańscy nie radzi z tego, co się dzieje na ziemi. Błyskawice po błyskawicach migały, po tem czole oblicza świata; to oznaki gniewu srebrnego archanioła, że jego Kozaczyzna rozhulała się nieładem, zawiścią i niewiarą w Boże przykazania, w cześć i w sławę ludzką. Mordowali się Kozacy z Kozakami i na tą rzeź bratobójczą przyzywali Tatarów, Lachów, Ruskich i Bisurmanów, żeby prędzej i hojniej zczerwienić krwią rzeki kozaczej Ukrainy, zabielić kościami kozaczemi stepy i kurhany Ukrainy. Walka wrzała na dobre, a każdy pułkowódzca wołał:

«Za mną prawda, za mną dobra sprawa i sława!»

Jeszcze tabor z dwoma Natalkami nie doszedł do Bykowa, kiedy na stepie od Periatyna okazały się liczne tabuny jeźdźców, w nieładzie, ale wszyscy skakali ku taborowi, na przodzie sadził wrony rumak, niósł jeźdźca jak na rozbicie, a jeździec błyskał szablą i wołał:

«Naprzód, naprzód, zabrać wszystkich i wszystko, nikogo przy życiu nie zostawić!»

To Iwan Brzuchowiecki, który przez swoich szperaczy wiedział o przelocie Gwiazdy Ukrainy, z Puszkarów do Półtawy, i czatował w stepie na tę zdobycz.

Świeciła dość Janowi Puszkarowi — może zaświeci Janowi Brzuchowieckiemu. Tak dumał i rozdzierał boki swojemu skakunowi.

Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne

Starcie było żwawe i krwawe, ci co się bronili, zalegli trupami czarnoziem Ukrainy, żeby go żyznić na długie a długie lata; to gospodarka kozacza, to nawóz. Ci co się nie bronili, a broń złożyli, poszli w jesyr tatarski, takoż na gospodarkę. A karuca z dwoma Natalkami, matką i córką, wzięte pod srogą straż, pojechały szlakiem do Perejasławia, a za nią biegły Dolot i Chwatka.

Pan Brzuchowiecki jechał przy karucy, ale nie śmiał ani się modlić do Gwiazdy Ukrainy, ani nawet spojrzeć na Gwiazdę Ukrainy, tak mu sromo, że głos stracił, wzrok powłoką zaszedł, źle mu się zrobiło i wstydno i smutno, życie w nim jakby zastygło, ale wrony koń niósł i na krok od karucy nie odstępował.

Tak wjeżdżali do Perejasławia i niespodzianie tam zastali Jana Wyhowskiego.

Pan hetman obydwóch Ukrain, po wypoczynku z konotopskiej rozprawy w swoim zamku naddesniańskim w Ostrze, wyruszył na wyprawę dla zajęcia Połtawy. Doszło jego wiedzy, że Iwan Puszkar, zostawiwszy na czas Połtawę, spieszył do Perejasławia, dla spotkania żony i córki, jadących do niego. Hetmana, dyplomata, chiał zachwycić oboje razem — a co zamyślał, tego nikt wiedzieć nie mógł i nie wiedział.

I kozacze jego wojsko i jego rumak jasnogniady, białonogi i z gwiazdką takoż na czole — czystej porody polskiej, rodowej Wyhowskich — myśleli, że ich wiedzie na nowe jakie Konotopy. Kozactwo homenem wojennej pieśni rozbudzało i ożywiało martwy step Ukrainy, a jasnogniady szeroką stępą parskając, szedł raźno i ochoczo.

XIV.

Dwaj Janowie zdybali się z sobą w perejasławskim grodzie, sławnym w Kozaczyznie po wiek wieki, i tem co się w nim działo i tem co się w nim stało. Trzeciego Jana nie było, Wyhowski pomarkotniał, Brzuchowiecki się dziko rozradował — widać, że każdego z nich inne były zamysły, inne nadzieje; dyplomacja nie szła w parze z uczuciem.

Dwaj Janowie rozmawiali o tej Kozaczyznie, a żaden nie

wspomniał o Gwiazdzie trzeciego Jana, chociaż o niej myśleli, może tyle a może i więcej, jak o tej Kozaczyznie, która ich na wielkich Wielmożów wydźwignęła, a którą oni dotąd na wielką Wielmożą nie wydźwignęli, chociaż ona miała siły i serce i ducha po temu.

W tej samej komnacie, gdzie pisano umowę perejesławską, w tej samej komnacie, gdzie Bohdan Chmielnicki oddawał poddaństwo Białemu carowi Kozaczyzny, gdzie ze starszyzną przysięgał na wierność temu potężnemu monarsze Prawosławia i Słowiańszczyzny — zostały pomieszczonemi dwie Natalki, matka i córka.

Matka w całym rozwoju wieku swego i krasy, córka jedynasty rok życia zaczynała, śliczne dziecię, wiotkie i zgrabne, składne i ładne. Matka jak wszystkie kobiety Wschodu, póki nie zadrasnąć jej serca, nie poniżyć jej cześci niewieściej, potulne, łagodne, bez samowoli, słodkie jak cukier, choć do rany przyłożyć, nie myśli tylko o tem, co w rodzinie, nie frasuje się tylko o tem, co w domu. Ale kiedy serce zaboli, kiedy jej cześć zagrożona, gotowa na wszystko, by nie cierpieć i od razu ze wszystkiem pokończyć. Córka wychowana nie w rodzinie, nie w chacie, ale w obozie, nabrała hartu i uporu, nie dać się złamać ale postawić na swojem. Matka upadała pod nieszczęściem i rozpaczą, córka rosła z nieszczęściem i z rozpaczą, ale obydwie kochały się z sobą. Kochała matka jak jedynaczkę córkę, — kochała córka jak matkę, którą nikt zastąpić nie może; sam Bóg nawet.

Żaden z dwóch Janów nie stawał przed oczyma żony trzeciego Jana; ale obydwa słali, każdy z osobna, posłannictwa uczuć serca, obietnice, prośby, a nawet groźby. Nawet do tego doszło, że Jan Wyhowski zagrażał zamknięciem w klasztorze Bazylianek aż do końca żywota, a Jan Brzuchowiecki jesyrem tatarskim.

Natalka matka nie czuła siły do walki, Natalka córka do walki zachęcała. Wzięła dwa sztylety damasceńskie, dar ojca i męża żonie i córce.

«Matko, brońmy się, ich dwóch i nas dwie, ty jednego, ja drugiego i pójdziemy do ojca. Półtawa niedaleko, jeśli ludzie nam nie pokażą drogi, to Dolot i Chwatka trafią do

swego pana, i my za niemi, wszak on ich pan i nasz pan; wszak prawda matko?»

I całowała jej kolana, jej ręce, jej oczy, dając w jej ręce kindżał, a sama w drobnej ręce trzymając drugi.

Matka płakała i już płakać nie mogła, serce się ścisnęło i pękło. Zsunęła się na ziemię.

Córka ją pocałunkami i łzami ocucała i ocucić nie może, matka lodowacieje w gorących uściskach córki.

W tem drzwi się otworzyły i weszli obydwa Janowie; córka broniła im przystępu do ciała matki swojej, wołając: «Zabójcy, zabójcy, ja się zemszczę!»

I zniemogła, padła na kolana i przytuliła się do trupa matki.

Wszystkie zachody były nadaremne — już nie żyła.

Mała Natalka, martwą rękę matki położyła na swej głowie, jak do błogosławieństwa, zamknęła jej oczy, jeszcze raz omyła łzami jej lice, otarła pocałunkami, wstała z kindżałem w dłoni, zawołała na charty z drugiej komnaty i wyszła z niemi.

Nikt jej nie zagrodził drogi, obydwaj Janowie zaniemieli, stali jak wryci. Ani służba, ani żaden z Kozaków nie śmiał iść za małą Natalką — potracili głowy; a ona szła i szła, a charty za nią, z zaiskrzonemi oczyma, z paszczami do otworu, z których się dawały słyszeć głuche ale groźne zgrzytania zębów.

Tak szła ta kozacza dziecina ze swojemi molosami przez cały Perejasław i wyszła w step. Znikła w stepie, jak gwiazda przelotna, jak widmo ludzkiej ułudy.

XV.

W półtawskim zamku trzej pułkownicy — Puszkar, Nosacz i Jakubowski — radzili o obronie miasta, bo już wieści doszły, że Wyhowski i Brzuchowiecki ciągną na Półtawę. Puszkar, obrany wodzem obrony, był markotnym. Jego Gwiazda i mała Gwiazdka Ukrainy nie pojawiły się jeszcze, a powinny były już mu przyświecać od wczoraj, ale pocieszał się myślą: tam jest brat Hulanicki, a choć i to krew lacka, Hulanicki, Hulanickiej ani krzywdy, ani

obelgi nie da zrobić; bo na starych pobratymców, towarzyszy, nie rachował, i oni wielbili tę samą Gwiazdkę, co i on, a pod jej blaskiem szczezło pobratymstwo. Z resztą Wyhowski, choć nawieszał Jezuitów i sam się zaraził Jezuityzmem, ma rozum i dba o sąd ludzki, bo u Brzuchowieckiego nie masz nic świętego, ani dla serca, ani dla sumienia; kiedy żądza i fantazja zagrają w duszę, to Lach krew z krwi, kość z kości i z rozumu i z sumienia. Tak przedumywał sobie Puszkar, kiedy siadał na koń, do objazdu posterunków za miastem.

Księżyc zimny i blady świecił na niebiosach, które i same pobladniały od blasku księżyca, gwiazdki jak na sen przysłoniły się osłoną tej bladości. Wicher wiał od południa i niósł jak dalekie krzyki tatarskiego czambułu — ałłach — ałłach!

Straże na miejscu, wszystko w porządku na koniach i przy koniach. Jeszcze tego nie bywało, a zapewnie i nie będzie, żeby Kozactwo dało się znienacka napaść, czy to w dzień, czy to w nocy, jak Lachy, jak Bisurmany, czy przy biesiedzie, czy przy modlitwie — oni i na koniu się modlą i na koniu wychylają ze sztofów nektar kozaczy, cali w oku, cali w uchu, a ich konie w uściskach nóg, pod pocałunkami nahajek, zawsze gotowe w mig, skoczyć z kopyta i lecieć strzałą, którędy ich wola kozacza pokieruje.

Puszkar rozweselał trochę.

Jeszcze czuwa i żyje Kozacza — można kozakować. Przejechał łańcuch straży i powałęsał się w step, zanurzył się w burzany i marzenia. Tak jechał, kiedy koń nadstawił uszy i przyspieszył kroku naprzód. W tem nagle w buszanie zaszeleściło, patrzy — to charty jego, on je poznaje i one jego poznają: to Dolot, to Chwatka, coś białego kole nich leży, zlazł z konia, podchodzi, śpiąca dziecina — jego dziecina, Gwiazdka, mała Natalka.

Dziecina się obudziła, na pół śpiące oczy otwarła, rączętami obrzuciła szyję ojca i powisła na niej, a pocałunkami przyczepiła się do twarzy ojca.

«A matka gdzie?»

«Nie ma mamy, nie żyje, umarła, zabili.» I jeszcze silniej ściskała i całowała ojca; on porwał dziecinę i z nią wskoczył

na koń — cisnął ją przed sobą, całował, i w skok puścił się do grodu, a charty za nim.

Rozpacz, żal, gniew, porasta wszystko to zlewało się razem w miłości ku dziecinie — i tę miłość miał przy sobie, ściskał, całował. Serce bolało, ale i roskoszowało razem.

Tak wleciał do zamku, dziecinę złożył w pościeli i sam przykląkł przy niej. W komnacie oprócz ojca, córki i dwóch chartów nikogo nie było.

Ona mu opowiadała i płakała, a on Kozak słuchał i płakał, gładził, pieścił, całował dziecinę, pocieszał siebie i życie dodawał jej widokiem; patrząc na osieroconą, chciał żyć i czuwać, chciał żyć i pielęgnować.

Ona płakać przestała, wyjęła swój kindżał, zacisnęła go w dłoni.

«Trzeba ją pomścić, trzeba się zemścić, on mnie osierocił, bo to on i ja po nim sieroctwo zostawię, wszak prawda, kochany ojcze?» — I znowu opuściła się w łoże i zasnęła snem anioła, choć o zemście śniła i marzyła.

Ojciec długo jeszcze klęczał przy śpiącej dziecinie, wzrokiem ją miłował, i na sercu mu ulżyło; wstał, cichym krokiem szedł do drzwi, charty zaczęły się łasić, i on je gładził, dziękował za czuwanie nad dzieciną; a kiedy drzwi otwierał, one wróciły do swojej malutkiej pani i legły przy jej łożu.

XVI.

Już się zaczęły pokazywać, od strony Perejasławia, podjazdy kozacze i harcować z podjazdami kozaczemi Półtawy. Puszkar sprawiał swoje wojsko. Pułkownicy i sotnicy przyjeżdżali po rozkazy i z rozkazami odjeżdżali. Przy dowódzcy było trzech asawułów i mały Kozaczek na białym koniu, jasnowłosy, piwnooki, strojny i po kozaczemu zbrojny, w kindżał i nahajkę. Koń jego nie rosły, ale czystej krwi uralskiej, prawdziwa rzeźba, śliczna, strojna para. Jeszcze go Kozactwo nie widziało, takoż dwóch chartów przy żadnym atamanie. Tak jeździł tylko Piotr Konaszewicz Sahajdaczny; miał Kozaczka Dziczę i dwa charty wiatronogie, to znak niby, że Puszkar zostanie hetmanem obuch

Ukrain, Biały car przyśle mu kołpak, szubę i buławę; jeśli nie nałoży głową na polu bitwy i nie pojedzie w nieboszczyki.

Puszkar nie czekał na wroga, wyszedł na spotkanie, stoczył bitwę, rozbił pułki Brzuchowieckiego i zmusił do pierzchnięcia: bitwa była żwawa i krwawa, na spisy, na jatagany. Dwaj wodzowie z sobą się spotkali i kiedy Brzuchowiecki, sławny rębacz, płachę spuszczał, z całym rozmachem na cięcie Puszkara, mały Kozaczek szybkim zwrotem swego arabczyka podskoczył pod wrońca Brzuchowieckiego i dźgnął go kindżałem; wroniec się na zadzie zwinął, płacha upadła na ziemię, a Brzuchowiecki zaledwie utrzymawszy się w kulbace, popędził za uciekającymi i przysporzył ich pierzchnięcie. Krwi było nie mało na polu, a trupów jak snopów pszenicy na żyznej czarnoziemi — żniwo obfite. Wróciło półtawskie wojsko do swoich stanowisk, a Puszkar podniósłszy z kulbaki małego Kozaczka, całował go i ściskał, dziękował mu za zbawienie od śmierci, bo kto wie, coby było z Puszkarem po cięciu płachy Brzuchowieckiego.

Wrócono i po kozacku obchodzono zwycięstwo po całej Półtawie. Puszkar tylko czuwał; z małym Kozaczkiem objeżdżał stanowiska i posterunki, bo choć wszyscy wołali: «Dobrze dostali po skórze, trzeba czasu, nim się wyliżą, może nie wrócą!» — Puszkar tylko: «Wrócą!» i wrócili.

Nazajutrz dzień równo ze świtem Połtawa była obsadzoną ze wszystkich stron — Kozactwem Wyhowskiego i Tatarami. Nie można było rzucić okiem, ani ku Dnieprowi, ani w step, żeby nie spotkać band kozaczych, krzyżujących się w rozmaitych kierunkach: oko się męczyło zawsze jednem a jednem — Kozaki i Kozaki, Tatary i Tatary.

Pan Wyhowski jako hetman Ukrainy, potwierdzony przez króla Jegomości i rzeczpospolitą polską, z hetmańską buławą, którą przez tyle lat dzierżał w silnej dłoni Bohdan Chmielnicki na sławę i swobodę kozaczą, i wodził ich przez tyle lat przeciwko wrogom tej sławy i swobody, — wołał o upamiętanie się buntowniczego Kozactwa i poddanie miasta z załogą, na łaskę i niełaskę prawego hetmana, prawego pana.

Jan Puszkar takoż stał uparcie, przy prawie, opartem na przysiędze poddaństwa, wykonanej Białemu carowi, Bohdanem Chmielnickim i całem Kozactwem przeddnieprzańskiem

i zadnieprzańskiem, z którem razem przysięgali i Wyhowski i Brzuchowiecki i Hulanicki — w tymże samym grodzie Perejasławiu zwał Kozaków Wyhowskiego buntownikami i żądał oddania buławy hetmańskiej Chmielnickiego, do rozporządzenia i woli Białego cara. W przeciwnym razie przyjdzie ją odbierać bojem.

Wyhowski dał dwie doby do namysłu — i Puszkar takoż obdarzył dwoma dobami do namysłu.

Puszkar przygotowywał się do wycieczki całą siłą.

Wyhowski przygotowywał swoje wojsko do szturmu.

Północ, równo ze świtem zaczyna się trzecia doba. Już koguty przepiały północ, a jeszcze trzej pułkownicy — Puszkar, Nosacz i Jakubowski — radzili w półtawskim zamku. Radzili długo, rozważnie, na każdą rzecz uwagę zwracali, poczem odezwał się Puszkar, jakby na zapieczętowanie rady:

«Wy dwaj towarzysze moi, brońcie miasta, ja poprowadzę wojsko w pole na pułki Brzuchowieckiego, gotujące się do szturmu, i w Bogu mam nadzieję, w jego łasce i w sobie otuchę i że odbiję szturm — wy zostaniecie panami miasta. Jeśli ja wrócę, będziemy się bronili do ostatku, nie damy się; jeśli Boża wola mnie powoła do siebie i nie da dalej służyć Kozaczyznie, brońcie się, nie dajcie się — posiłki Białego cara przyjdą. Zostańmy wiernymi świętej przysiędze!»

I rozeszli się, Puszkar wszedł do komnaty, gdzie spoczywała jego luba dziecina, jego Gwiazdka, przy niej dwa charty — koło łoża strój kozaczy, kołpak, kindżał i nahajka.

Jak ukradkiem, cichutko, pocałunkiem czy pieścił, czy żegnał i błogosławił swoją dziecinę, ona się ocknęła, rączkami jego głowę przycisnęła do swoich ust.

«Czy już dwie doby?»

«Nie, moja luba, słońce jeszcze daleko, noc, czy nie słyszysz, jak koguty pieją. Śpij, moje kochanie, śpij, spocznij, żebyś miała więcej siły!»

Uśmiech przeleciał po ustach dziecięciu.

«Będę spać, bo będzie robota, wszak prawda, ojcze, ty mnie obudzisz?»

«Obudzę, moje kochanie.»

I obie oczy snem się skleiły i zasnęła.

Przed gankiem już garbonosy grzebał kopytem, liczył

trupy, po których będzie skakał ze swoim jeźdźcem; Kozak ledwie go mógł utrzymać — dobry znak.

Puszkar już na koniu i pojechał, wciąż oglądając się ku mieszkaniu, gdzie jego skarb, jego dziecina.

«Boże miej ją w swojej opiece — Boże zachowaj moją dziecinę!»

Równo ze świtem półtawscy i niżeńscy Kozacy uderzyli na młodzców Zaporoża Brzuchowieckiego i na Tatarów sułtana Galgi. Starcie się było piekielne — siekli, dżgali, kłuli, rąbali, konie na konie wskakiwały, tratowali jedni drugich, szczęk, jęk i głosy konających, wołających do Boga i klnących w djabła — zwyczajnie jak w kozaczym wojennym tańcu. I dwa głosy nad wszystkimi jak gromy padały — Puszkar: «bij, goń!» — Brzuchowiecki: «nie uciekaj, stój!» Półtawscy górą, rozbili i gnali Zaporożców i Tatarów ku Dnieprowi: w Dniepr — hajde za Porohi — hajde w Perekop.

Puszkar zatrzymał garbonosa, żeby odetchnąć, napaść wzrok zwycięstwem — kiedy jakaś błędna kulka zagwizdała i z pocałunkiem wpadła wprost pod serce dzielnego Puszkara, zachwiał się w siodle, dłonie przycisnął do boku, odetchnął, omdlał i z konia go zsadzono. Położono rannego na burkę i tak nieśli wodza bohatera z pola zwycięstwa do Półtawy.

Kiedy już podchodzili do miasta, z bramy wyskoczył wezwał mały Kozaczek na białym koniu, zatrzymał niosących i z konia padł na kolana.

«Ojcze, mój ojcze, tyś mnie oszukał, tyś mnie nie obudził, a jabym była kulę odgoniła — i ciebie dla siebie i dla Kozactwa ochroniła.»

I zapłakała tak żałosnem łkaniem, że serca starych Kozaków w łonach się darły.

Ojciec na nią patrzał, ale już zamglonem okiem, i przemawiał zaledwie dosłyszanym głosem:

«Córko, moja córko, błogosławię ciebie, Boże błogosław tę drogą dziecinę!»

Znalazł wzrokiem Nosacza starego, przyjaciela i towarzysza.

«Stepanie, zaraz ją wypraw do Doroszenka, w siostrze Annie znajdzie matkę moja sierotka, bo już mnie nie żyć!»

I skonał w samych wrotach Półtawy. — Natalce łzy się zatamowały, ścisnęła kindżał w dłoni.

«Prowadźcie, ja gotowa, ja się zemszczę!»

Siadła na koń i pojechała, charty za nią biegły, a za niemi i stary Nosacz z kilkudziesięciu Kozakami.

Ojciec ochraniał dziecinę, a śmierć nie widząc ochronicielki, zabrała życie ojca. —

Półtawa osierocona śmiercią swego bohatera, zdała się na łaskę i niełaskę. I pałacze mieczem na kłodach, hycle stryczkami na szubienicach rozdawali te łaski między lud, wierny przysiędze Białemu carowi.

XVII.

Jan Wyhowski był mężem stanu nie z serca, nie z natchnienia, ale z rozumu, z gruntownej nauki, z uwagi, z rozwagi i ze ścisłych rachunków. Czytał i odczytywał foliały o polityce dwóch kardynałów Francji i umiał jak katechizm, jeśli nie lepiej, dzieło włoskiego Machiawela.

Słowiańska Rosja była silną i potężną, Bożą władzą w osobie pomazańca Bożego, tabunnym rozumem narodu, który się zlał z wiary i z prawdy słowiańskiej z władzą i z ładem mongolskim. Pod takiem berłem hetmaństwo o tyle tylko hetmaństwem, o ile car na to pozwoli, o ile car tego chce.

Skrzywiona w politycznej prawdzie Polska, i w swej Słowiańszczyznie i we władzy królewskiej i w woli i w sile narodu, była, zaprawdę niedowiarek Boży, pół barana, pół kozy. Można było tam hetmanić, jak się hetmanić chciało.

Więc lepiej było z Polską jak z Rosją, a przynajmniej wygodniej dla hetmaństwa.

Kościół zachodni, rzymski katolicyzm odwrócił Polaków od kościoła wschodniego, od Prawosławia i od Słowiańszczyzny. Nie rzucił ich w objęcia, ale pod nogi, na pognój Niemcom i Zachodowi.

Kiedy po połączeniu się Polski z Litwą i z Rusią, Jagiellonowie z mianem królewskiem wnieśli do Polski w wianie ład państwowy litewski i potęgę wojenną z wojenną sławą Rusi — Jezuityzm wyrwał im w zamian, katolicyzmem, wielmożów, powodyrów ducha i siły. Osierocał prawosławną Ruś z tych sławnych stadników i zostawił trzody bez pastu-

chów. Nie można było wrócić Prawosławiu i Rusi te sławne rody — Wiszniowieckich, Czartoryskich, Sanguszków, Zasławskich, Koreckich, Ostrogskich i inne a inne, a bez nich i Ruś była wdową i Prawosławie sierotą.

Unja się uśmiechała i dawała jakieś nadzieje, jeźli się da usunąć Jezuitów, i dla tego hetman wieszał Jezuitów, mówiąc ruskiemu ludowi:

«Oni śpiewają — Dominus vobiscum po łacinie,» a sadzał na ich miejsca Bazyljanów, bo ci modlili się po rusku — Hospody pomyłuj. Żydów wyganiał, bo ci w arędy cerkwie brali, a nie uznawał braterstwa z Mojżeszowem wyznaniem i z jego gieszeftem.

Panów Kozakami na uzdzie trzymał, żeby w swoich ruskich włościach ani jatek ludzkich, ani haremów chrześciańskich nie było, żeby po chrześciańsku obchodzili się z Rusinami, czy to chłopami, czy to Kozakami.

Zawsze gotów na rozkazy króla, na jego rozkazy, by podeprzeć jego władzę, jego tron, jego państwo, a przytem wzmocnić swoje hetmaństwo.

To były artykuły politycznej wiedzy pana hetmana.

Dobrał sobie dwóch namiestników, bo wiedział, że każdy plan na papierze, czy w słowach to litera martwa, jak nie ma ludzi do ich wykonania; a on ich miał. —

Hulanicki mąż wojny,

Mazepa mąż stanu.

Tak ułożywszy rzeczy — po oczyszczeniu całej Ukrainy z obu brzegów Dniepru, całe swoje hetmaństwo z ziemią, z ludźmi i z władzą oddał pod władzę królowi polskiemu. Przyciągnął z wojskiem pod Białą Cerkiew, by być bliżej Kijowa, którego był wojewodą i z którego chciał wyprosić Szermetowa, a samemu w nim rządzić i po wojewodzku i po hetmańsku; bo był tego zdania, że dwom panom nie siedzieć w jednym domie, na jednej dzielnicy.

Ztamtąd się znosił z królem Jegomością, Janem Kaźmierzem i z królową Jejmością, Marją Ludwiką, i z Wielmożami Litwy i Rusi, którzy jego prawdę rozumieli.

I tak szły perchowory.

W tymże samym czasie w Stawiszczach był obóz wojactwa polskiego, pod dowództwem Stefana Czarnieckiego, Rabego Sobaki Ukrainy. Przy nim był regimentarz Mu-

chawski, Sodalis Marianus i Ojciec Krajewski Jezuita, dygnitarz zakonu Lojoli, pierwszego rzędu.

Stefanowi Czarnieckiemu, temu dzielnemu pogromcy Szwedów, Tatarów i Kozaków, jak dziecku cacka, zachciało się hetmańskiej buławy, o tem śnił, i o tem marzył. Ojciec Krajewski, spowiednik i kierownik jego myśli, a często bardzo i jego czynów, powtarzał:

«Waszmości należy się i mała i wielka buława, bo nad ciebie nie masz bohatera, ani w Polsce, ani w całym świecie, ale masz rabe lice, rubaszną postawę, nie umiesz parlować po francusku, a Jegomość Wyhowski ma gładkie liczko, smukłą postać, a po francusku jak Francuz szczebiocze — nie Rzeczpospolita, nie król Jegomość, ale królowa Jejmość i buławy i pieczęcie rozdaje.»

Muchawski to słuchał, wąs pokręcał i dłonią o rękojeść karabeli postukiwał.

«Kiedy ta Wyhowszczyna na zawadzie, to z drogi precz!»

I te słowa były powtarzane kilka razy na dzień; jak kosa albo szpaka uczono, powtarzano kilka rany jedno, żeby sobie przyswoił taką gadkę. To po jezuicku; tak uczą w szkole Ignacego Lojoli.

Tak się tem osłuchał Stefan Czarniecki, wojewoda ruski, że kiedy jednego dnia Ojciec Krajewski przyniósł mu pismo do hetmana Wyhowskiego, z zaprosinami na ważne narady, wojewoda ruski podpisał, przypieczętował i oddał Muchawskiemu.

«Róbcie co chcecie, wola Boża!» Siadł na taranta i pojechał do Sokołówki.

Muchawski pokręcił wąsa, zatarł ręce.

«Będziesz hetmanem, a ja wojewodą.»

A Ojciec Krajewski dodał:

«A ja was rozgrzeszę i pobłogosławię, na chwałę Bożą i kościoła apostolskiego jedynego rzymskiego.

Wojewoda ruski nie wrócił na noc do Stawiszcz, a hetman Ukrainy przybył nazajutrz dzień z rana, z nielicznym poczetem Kozaków.

Przyjęli go — Ojciec Krajewski ze słodziuchnym uśmiechem, a Muchawski szorstko.

«Pana wojewody nie masz — prosimy.»

Wpuścił hetmana do komnaty i za nim drzwi zatrzasnął, kluczem zawiercił i klucz zostawił.

Hetman rzucił się do okna, otworzył, z nadworu padł strzał i kula w same serce ugodziła hetmana, osunął się na ziemię, wymawiając te słowa:

«Komu służyłem, komu ufałem, od tych ginę. Biedna Polska, Boże zmiłuj się nad Polską!»

I już nie żył.

Ojciec Krajewski, nie tracąc czasu, popisał pisma do Warszawy o wielkiem nieszczęściu, o śmierci hetmana Ukrainy, o nieostrożności żołnierza; ubolewał nad tem, na atramencie nawet zostały ślady łez. Królowa z rodu Gonzagów znała dobrze Jezuitów, a król, który się dobrze obył z Jezuitami, wiedział — wiedzieli oboje; ale milczeli, choć Wyhowskiego na prawdę żałowali. Ale strach, Rzeczpospolita i Jezuici, tzeba było milczeć.

Do swoich przełożonych pisał Jezuita:

«Dziękujmy Bogu, nie mamy wroga, módlmy się, by tak wszystkich naszych wrogów wytępił!»

Muchawski za powrotem witał Stefana Czarnieckiego:

«Zawada usunięta, Wasza Jasność będziesz hetmanem, a ja ruskim wojewodą.»

Polska się cieszyła, bo w Jezuityzm wierzyła. Ukraina nie płakała, bo Wyhowskiego nie rozumiała.

Sprawdziła się trzecia przepowiednia Cyganki, z pod Wydubskiego dęba.

XVIII.

Rzeczpospolitej kwarciane wojsko i chorągwie magnatów i prałatów, husarze, pancerni, kopijnicy, lekkie chorągwie i dragonja i piechoty i armaty zalały Wołyń cały i ciągnęły do pokrzepienia wojsk wojewody ruskiego, żeby zadławił do reszty swobody kozacze.

Bojar Szeremetów odebrał ordynans od Białego cara, by szedł na odsiecz tym wojskom i nie dał się im połączyć z wojskami Rabego Sobaki, którego ma na oku, Brzuchowiecki, pan koszowy.

Juraszko modlił się w Bratskim monasterze, na Podolu

kijowskiem, ale od niejakiegoś czasu przybył mu towarzysz, Bóg wie skąd, djabeł wie kto, ale śpiewał: «Swiaty Boże, swiaty Welyki!» Bił pokłony, świeczki palił, a tak się umiał przyhołubić, że Juraszko go polubił i byli nieodstępnymi od siebie.

Jedni mówili, że był przechrzta z Mojżeszowego wyznania, drudzy, że był wywłoką z zakonu świętego Ignacego Lojoli, a mienił siebie szlachcicem herbowym, Beniewskim. Mógł być Neofitą od Benjamina, a mógł być i uczniem Lojoli, to jedno drugiemu nie zawadza. Jasne włosy, barwy wypłowiałego lnu, siwe oczy, kłapouchy, ale wyborowy w słowie, śmiały w mowie. Skoro wieść doszła o śmierci hetmana Wyhowskiego, zaraz się udał do Bojara Szeremetowa.

«Namiestniku potężnego cara, Wielmoże jego wszechwładnego berła, Lachy dążą na zagładę Prawosławia i ich niezliczone gromady, a ty masz, Wielmoże, bitne, dzielne wojsko, ale go niewiele. Hulanicki nie pójdzie przeciwko Lachom, Brzuchowiecki daleko, i na niego rachować nie można, on ani za tym, ani za owym — dziś wojuje z jednym, jutro z drugim, byle wojować, niszczyć i rabować. Kozacy nie mają hetmana, czy nie byłaby chwila, powołać Juraszkę do Buławy? Jeszcze pamięć ojca nie zastygnęła. Jeszcze pamięć i sława Bohdana Chmielnickiego brzmi po całej Ukrainie i przeraża postrachem lackie ziemie. Juraszko błogosławiony Prawosławia, może, jak drugi Sahajdaczny, z mnicha zostać bohaterem, hetmanem; a pułki kijowski, tastowski, winnicki, bracławski gotowe do boju, to siła niemała.»

Trafiły te słowa do przekonania Bojara, zaraz wzięto się do roboty, bez straty czasu. Juraszko był znowu obwołany hetmanem i utwierdzenie Białego cara przyszło niebawem. Tymczasem Beniewski zwinął się do Doroszenki, za Budżak do Krymu i stamtąd przyprowadził hordę trzydziestutysięczną z sułtanem Gałgą, Maxud Girajem. I Jerzy Chmielnicki był na czele pięćdziesięciu tysięcy wojska. Beniewski jak dobrze śpiewał w Bratskim monasterze przy mnichu Juraszce, tak dobrze sprawiał wojsko nowego hetmana, Jerzego Chmielnickiego.

Bojar Szeremetów z ratnikami Białego cara poszedł poleskiem wybrzeżem ku Cudnowi, a Juraszko, czarnym szla-

kiem, z Kozakami i z Tatarami. Zamiar był odcinać lackie wojsko od Słuczy i od Bugu.

Jak to mówi przysłowie — człowiek strzela, a Pan Bóg kulę nosi, Bojar Szeremetów jak na pewniaka szedł na Piatkę, już widział mogiły Piata i Perepiatychy, kiedy się ukazały hufce polskie od Cudnowa, a Bieniewski z Tatarami wyszedł od strony Słobodyszcz, Juraszko z Kozakami nie przeszedł i świętej Kodnji. Rozłożył swoje wojska jak na zimowe leże po siołach nad Hujwą i Hnyłopiatem i tam spoczywał spokojnie, wyjadając mieszkańcom kury; naśladował braci Lachów, a do króla i do Rzeczpospolitej pisał o przebaczenie i o przyjęcie na nowo Kozactwa pod swoje berło.

Zdrada. Tatarów wiódł Beniewski, z Maxud Girajem przeciw Moskwie, walka była zacięta, jeden przeciw dziesięciu, dzielnie się bronili ratnicy Białego cara; trzy części ratników poległy na polu bitwy, a czwarta część z bojarem dostała się do niewoli. Oddaną została Tatarom wraz z bojarem i zasłano do Krymu na podarek hanowi. Tak się sprawił Beniewski i to była jezuicka sztuka. Juraszko przelękniony rzucił buławę, odrzucił czaple pióro od kołpaka, bo król i Rzeczpospolita nie chciały uznać ani jego hetmaństwa, ani kozackiego wojska. Rzeczpospolita domagała się poddaństwa, ni mniej ni więcej — żeby Kozacy zostali chamami na pańszczyznie, na woli panów; a o żadnych przechoworach ani słuchać chcieli. Zupełny rozbrat z Polską i na zawsze.

Jerzy Chmielnicki, by nie dostać się ani Rosjanom, ani Polakom, uciekł do Doroszenka aż za Dniestr, nad Dunaj.

A Brzuchowiecki ogłosił się bez łaski cara, bez łaski króla polskiego, hetmanem Ukrainy i Zaporoża i zawładał Ukrainą całą i Zaporożem.

XIX.

Brzuchowiecki hetmanił, ale po swojemu, nie tak jak inni, tylko inaczej i inaczej. Na Lachów, po zwycięstwie Słobodyskiem czy Cudnowskiem rozpierzchniętych po całej okolicy na odjadanie się kurami i innymi ptakami mieszkańców, wpadał jak jastrząb na rozbite stado kuropatw, bił, mordo-

wał, oczyszczał z łupów porabowanych i tych, co przy życiu zostali, odsyłał do domów, na pociechę Rzeczypospolitej.

Na bojarów Białego cara, wiodących ratników i synów bojarskich, na odwet za poniesione klęski Szeremetowym, napadł nad Worsklą, rozbił i przepędził — pisząc do cara: «To nie Waszej Wielkości ziemia, Carze i Panie Najmiłościwszy, ale hetmanszczyzna, a jam hetman.»

Na hana krymskiego, zbierającego hordy Krymu i Kubańca, na nizowcach Dniepru wpadł jak piorun, zbił na miazgę i niedobitki, jedne pognał za Kubań, żeby dać poznać Kozakom góry Czerkiesów, drugie za Perekop i gonił to plemię tatarskie po całym Krymie, mordem i pożogą. Wpadł na Budżak skarcić sułtana Gałgę, za pomoc daną Doroszence, i skarał ogniem i mieczem, i zapuścił swoje zagony na Multany i Wołosze. Szukał po monasterach Juraszkę, nie żeby go z jego hetmaństwa obdzierać, ale żeby go po kozaczemu ukarać za zające serce i sponiewieranie zdradą kozaczego imienia i czci.

Doroszenko schronił się za Dunaj, Wołochy i Mołdawianie w Karpaty uciekli, a pan Jan Brzuchowiecki haracze nakładał na grody, na sioła, na monastery i pobierał. Gospodarował po swojemu, po hajdamacku. Gnane setkami i tysiącami tabuny koni, zagony wołów, trzody owiec, gromady trzody chlewnej i żyrne Mołdawianki, za Dniestr, na Ukrainę, na pożytek, na pociechę, na zabawę panom młodzcom. Niech się pobawią, poweselą — bo pan hetman lubił wojować, ale lubił i biesiadować, nie żżymał się ani na hulatykę, ani na pijatykę, byle była po kozaczemu, nie sam ale z ludźmi, nie na odludziu, ale w kruhu i na majdanie — uczył się elementarza, chleba chcę, piroga nie porzucę.

Nie śpiąc pod strzechą chat i szop, co dzień na koniach i w polu, panowie młodzce pod wodzą pana hetmana czterdzieści i cztery walnych bitew wygrali, trzysta grodów i tysiąc siół zrabowali, spalili, a krocie ludzi na tamten świat wyprawili, bo i tam potrzebni ludzie, żeby nie była pustynia, bez ludzi, bo i tam Boży kraj; piekło czy raj Bóg nam daje i my Jemu dawajmy — wet za wet.

Tak powrócili Kozacy na Bożą i na ich Ukrainę.

Ledwie przysiedli trochę, już pan hetman coś nowego knował, gońce za gońcami latali na wszystkie strony. Pan

hetman kazał kulbaki naprawiać, broń ostrzyć, kuć konie — kiedy przybyli posłowie od pana Doroszenka.

Było ich sześciu, a wszyscy dawni dostojnicy, starzy pułkownicy, wodzili swoje pułki do boju pod Chmielnickim Bohdanem, a teraz z Doroszenką sułtana uznali za swego lennego pana i z woli sułtana Doroszenka za hetmana Ukrainy i Zaporoża.

Doroszenko w imię sułtana Padyszacha niezmierzonego ani krokiem ani okiem świata żądał od pana koszowego Jana Brzuchowieckiego złożenia w jego ręce buławy i pieczęci obojej Ukrainy i wzywa, żeby sam przywiózł te insygnia do carskiego grodu i na kolanach złożył hołd lennego poddaństwa wielkiemu monarsze — a przysięgę wierności i posłuszeństwa jemu, Piotrowi Doroszence, prawnemu hetmanowi obojej Ukrainy.

Posłowie stali poważnie ale hardo przed panem Brzuchowieckim. Ten się uśmiechnął szyderczo, brwi zmarszczył, rozkazującym głosem zawołał:

«Głowy z karków!»

Pałacze skoczyli i w mgnieniu oka sześć głów siwowąsych, siwowłosych na ziemi drgało i groźnie oczami łypało, a sześć bezgłowych ciał zaległo na murawie.

Taka była rozprawa i posłów odprawa. Z poselstwem Doroszenka przybyły wozy z darami dla panów młodzców Zaporoża, bo i pan Doroszenko był niegdyś panem koszowym. Częstował swoich dawnych towarzyszy — wódką, ale z czystej pszenicy i Kukuruzy przysmak niemały. Przy wozach naładowanych kufami byli poganiacze i dwóch Żydów do częstowania wódką, bo i Kozacy jak Lachy mają pociąg do braci Mojżeszowego wyznania, zwłaszcza kiedy szynkują wódką. Smaczniejsza i gładziej idzie w gardło i zaprawna talmudową prynuką, jeszcze jeden, jeszcze jeden byczek i tak bez końca.

Pan hetman się zmógł i w swym gniewie i w swej dzikiej fantazji, ścięciem sześciu głów, boć i to ludzkie i dawnych towarzyszy, z którymi nie raz nie dwa w Koszu, na zaporoskiej siczy — sałamachę się zajadało, siwuchę i miód popijało — i poselskie, a pan Brzuchowiecki hramotny czytał, że osoba posła święta.

Pozwolił na pohulankę, niech się bawią, niech hulają, bo

kto wie, co to jutro będzie, i sam, żeby mu przeszła chandra cisnąca duszę i serce, kazał przynieść maleńką dziewczynkę, Helenkę, która mu po zmarłej żonie Petrusi została. Przyniosła niańka śliczne dziecię, czarnookie, ciemnowłose; wziął w swoje ręce, przycisnął do łona, przytulił i jego dzikie oko załzawiało.

Bo i on, choć hetman, to zawsze ojciec. —

Nad wieczorem stanęła gromada Kozaków przed panem hetmanem, na nogach nie twardo stała, bo przez cały rok na koniach drgawki dostały — i językami bełkotali, bez składu i ładu, bo do wymowy się nie wprawiali, językami nie siermierzyli, ale rękami się bili.

«Ojcze atamanie, puść nas do domów, koszule zmienić, bo z tą włóczęgą bez końca plugastwo na nas się rozmnożyło, nie ma czasu je wytępić — dojada, dość się włóczyć, pójdziemy do domów!»

Na te ostatnie słowa hetman zaiskrzył okiem.

«Precz, poszli precz — hultaje, pijaki, precz!» I najbliżej stojących pchał kułakiem w piersi. «Precz — precz!»

Kozacy nie śmieli podnieść ręki na hetmana; on tyle razy ich wodził na boje, on ich wódz — on ich wojenny pan, nie śmieli, choć z tłumu dolatywały głosy, podżegane wódką i Żydami:

«Zabić — zabić!»

Nie śmieli — nagle z tłumu wysunął się Kozaczek młody, strojny, bez wąsów jeszcze, z błyszczącym kindżałem w dłoni, rzucił się wprost na hetmana.

«Czego się boicie, on jeden, nas gromada!«

I kindżałem w pierś go ubodł. Hetman mógł go rozrąbać na dwoje, ale nie puścił jatagana w ruch — tylko krzyknął: «Natalka!»

To była Natalka Puszkarówna, podrosła, podobniuteńka do matki.

Kozacy rzucili się na hetmana i zakłuli go nożami.

Natalka porwała malutką Helenę. «Jam sierota i ona sierota, będzie nas dwie sieroty.» I uniosła z sobą.

Tak skończył Jan Brzuchowiecki i tak się sprawdziła przepowiednia Cyganki z pod dębu wydobickiego.

Parchimów, 7. Stycznia 1884.

IKBALA.

I.

W roku 1830, w kijowskiej gubernji, istniała rodzina Straszynów, rodzina szlachecka dawna, choć w kronikach nie otrąbiona jako sławna — musiała jednak straszyć Turków i Tatarów, kiedy jej protoplast ukraiński, po chocimskiej rozprawie, rotmistrz lekkiej chorągwi Jaśnie Oświeconego Księcia Jerzego Lubomirskiego, miał sobie nadane zwanie Straszyn, a razem z niem obszerne ziemie na Ukrainie ze stepem, lasami, ornemi polami, ługowemi sianożęciami i roboczymi chłopami. W ten sposób Józef Oblubieniec Straszyn został posesjonatem czyli dziedzicem, obywatelem kijowskiego województwa, a syn jego ośmnastoletni dworzaninem Jaśnie Oświeconego Księcia Lubomirskiego, i z nim pojechał do Paryża.

Dawna gadka mówi, że i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, że kto pojechał cielęciem, ten powróci wołem; ale młody dworzanin nie był ani wołem, ani cielęciem, ale Mościpanem, nie mógł straszyć Turków i Tatarów, bo ich tam nie było, więc straszył mężów, braci, ojców, a nawet kochanków pięknych pań i ślicznych panienek, bo tam było dość tego kwiatu i dla Paryża i dla całego świata.

Młody Straszyn był blondyn, włosy jasne i wąsik jasny, oczy siwoniebieskie, twarz rumiana, kraśniejąca jak pomyślał o zalotach; nie olbrzym, ani karzeł, ale czepki, pewny siebie i rozumienia, że nad niego nie masz drugiego na tym świecie. Nad książkami nie ślęczał, papieru atramentem nie mazał, ale koperczaki palił i cholewki smalił. Z tem mu było dobrze i tak dobrze, że go przezwano Henrykiem w cześć króla Nawary, bo Polak szlachcic przypominał jego

podboje na płci pięknej i że może być obrany królem polskim, jak wymrą Piasty, Wazowie, Jagiellony i Sturzowie — Batorowie. Sam Straszyn umyślnie się bierzmował i wziął imię Henryka; żeby je uprawnić, nalegali uznać sakramentem świętym i być Henrykiem nie tylko wobec ludzi, ale wobec kościoła.

Wrócił na Ukrainę, nie ryżem, nie wołem, ale Henrykiem, ożenił się i pierworodnemu synowi dał imię Henryk, już na chrzcie, i odtąd w rodzie Straszynów wszyscy mężczyzni, jeźli nie pierwsi, to między imionami innych świętych nosili imię Henryka — i lud ukraiński zwał ich Jendrykami, a często Jendykami — pan Jendryk — panycz Jendyk.

Ignacy Struniło z Reś pod Świętą Kodnią, znamienity oceniacz ludzi i tego wszystkiego, co się działo na tym Bożym świecie, mawiał, że Straszynowie nie byli ani Jendykami, ani słowikami, bo ani się panoszyli, ani śpiewali, raczej byli wróblami i osłami, bo byli wertcy i solidni. Pan Ignacy uszanował teorją Darwina, człowieko-zwierzęcą, nie Bożą cielesną, nie duchowną, nie Chrystusową, nie religijną, ale machinalną, w gust i w modę dzisiejszego technicznego społeczeństwa, ściśle praktycznego i inteligientnie postępowego. Z tego powodu Pan Ignacy, znawca na żyjącem i na nieżyjącem, nie szedł za fałszywą opinią, ale upowszechnioną o głupocie osłów przez ludzi, którzy byli prawdziwymi osłami, gdyby ich opinia o osłach miała za sobą prawdę w czynach. Miał on osły za najprawowitsze zwierzęta, uświęcone tradycją rumaków, czy bachmatów nazarcńskich. Konkludował, że osły u niego byli w wielkiem zachowaniu między zwierzętami, a Straszynowie między obywatelami — i dla tego porównywał ocenką jednych z drugimi.

Wróbel był niezmordowanym wiercipiętą, a wiedział, że kobiety miłują takich wiercipiętów, a to nasze matki, nasze siostry, nasze żony, nasze kochanki, nasze córki; przez cześć dla nich miał wielkie zachowanie dla wróbli. I to, co najwięcej cenił w zoologji i w ornitologji, do tego porównywał Straszynów przez lud prosty, nieuczony, przezwany Jendrykami, Jendykami. Dowód to był stanowczy, jak wysoko cenił ten ród już sławny, a coraz więcej wsławiający się na Ukrainie.

II.

W roku 1830 w Straszynówce, bo tak zwano gniazdo rodowe i w Jędrykowach, słobodzie założonej przez Straszyna, reduksa z Paryża na Ukrainę, było wówczas trzech Straszynów, a wszyscy trzej Henrycy — czyli Jendrycy, lub Jendycy — dziad, ojciec i syn, czyli wnuk.

Dziad już ośmdziesiąt lat przemachał, sławny cudem chirurgicznym, wykonanym w Mszańcu; biedną ofiarę wyrwał z pod noża operatora, hołubkę zdrową i wesołą wrócił mężowi i rodzinie — i tak to wsławiło jego imię, że w całej okolicy kobiety podawały słabym na tę dziwną chorobę — radę:

«Idź do starego pana Jendryka, on zaradzi, będziesz zdrowa, on na to majster, i mnie tak było, a teraz widzisz, pracuję, mam dziatki i manatki i Bóg błogosławi.»

Jak szły do pana Jendryka, to płakały, a jak wracały od niego, to podskakiwały.

Pan Jendryk stał się sławniejszym od wszystkich Wojtaszków i Iwaszków, a nawet od Michała Wojciechowskiego, dziedzica Plachowy, bo żaden by tego nie potrafił, co potrafił on.

Syn, panycz Jendryk pięćdziesięcioletni, ale jeszcze panycz, bo stary pan żył, nie odrodził się od ojca, bo miał gust i dar leczenia ojcowskiego.

Wnuk ośmnastoletni jak jabłko nie odkocił się od jabłoni. Jaka woda, taki młyn, jaki ojciec, taki syn — jaki grzmot, taki huk, jaki dziadek, taki wnuk. Wszyscy trzej leczyli i chcieli leczyć, a tu na biedę zabrakło chorych.

Najmłodszego nazwano panyczyk Jendryk, bo pan i panyk jeszcze żyli i leczyli. Panyczyk był kostka w kostkę, mustka w mustkę, jak Straszyn dworzanin za czasów króla Zygmunta Wazy i króla Władysława Wazy, z których pierwszy z Jezuitami i z braćmi Mojżeszowego wyznania w wazach alchemizu przyprawy przewarzał na złoto; drugi lubił, miłował wazę, byle była pełna dobrego wina, albo węgierskiego tokaja, albo stołpieckiego pontaku i był prawdziwym Wazą. Panyczyk był podobnym do Straszyna dworzanina, ale nie taki sam, bo tamten w Paryżu w gotyckich zamkach

i w nowomodnych pałacach szukał chorób i leczenia, praktyki, a ten musiał je szukać w kapuście, w ogrodach, w pokrzywie, w zaroślach na pastykulaczu — w Straszynowie, w Jendrykowcach, bo go nie puszczano w okolicę, w świat; jeszcze za młody, niedoświadczony, gotówby skompromitować imię i sławę Straszynów i Jendryków, a to byłaby wielka nie do zreperowania klęska.

III.

W stukalowym futorze, o pół mili od Jendrykowiec, nad drogą do Bielgoródki mieszkał szlachcic Bartłomiej Kozyra, trzymał w arędzie futor od Jaśnie Wielmożnego marszałka Pauszy, przezwanego od chłopów — Rudy Pausza, tak jak niegdyś Rudy Radziwiłł — Czarny Zawisza. Kozyra trudnił się pszczelnictwem i hodowaniem drobiu. Kozyra był pasiecznikiem, a jego żona nie pakciarka, bo ani krowy, ani owcy, ani kozy nie było w domu — ale drobiazgu, bo było pełno indyków, gęsi, kur, kaczek, nawet kilka perliczek i indyjskich czy chińskich kaczek i dwa pawie i dwa żórawie. Oboje już byli niemłodzi, podstarzeli, ale mieli dwóch synów, nie tylko dorosłych ale przerosłych, Piotr i Wincenty, obydwaj nie żonaci. Piotr liznął palestry kijowskiej i chłopom adwokatował, był tedy, jak to zowią, perdykauzą, Jabedą, ale nie adwokatem. Wincenty był w ciągłym rozjezdzie, miał konika bułanego i kozacką kulbakę — gdzie jezdził i po co, o tem nikt nie wiedział oprócz niego i ojca. Matka o nic nie pytała, tylko zaopatrzyła w jedzenie, w błogosławieństwo i dalej w drogę. Siostry nie śmiały pytać, a było ich trzy, dwie starsze, Kunegunda, czyli Kundzia, i Jadwiga, czyli Jagusia, cięły bosaka, w koszulach, zapaskach i letnikach. Do Bielgoródki tylko nadziewały wytarte i wypłowiałe kubraki, półtrzewiki i zawiązywały chustkami głowy, na znak że szlachcianki, nie chłopianki. Kopały, pełły, doglądały drobiu, nie były szpetne, ale na twarzy od słońca i wiatru czerwone jak gotowane raki, na rękach skóra jak łuska od pracy, a o nogach już ani mówić. Żadna z nich już nie mogła, jak to mówią, raka upiec, coby nie było, bo by się nie odbił na czerwonych policzkach, ale mogła

sprowadzić ręką i raka i krew nawet na policzek natrętnego napastnika. Hoże, zdrowe dziewoje, choćby do cepa, a ciasto na pieczywo tak miesiły jak machiny parowe, na łój, na masło, w drobiazgi, aż miło było patrzeć. Rodzice niemi się chlubili, sława ich dochodziła aż do Białgoródki, ale żaden szlachcic i nieszlachcic nie chciał je brać za żony. Każdy choć nie powiedział ale pomyślał, jakby zaczęły mnie miesić jak ciasto, toby i kości pomiażdżyły, lepiej żyć jak się żyje, niżeli zostać martwą miazgą! I nikt się nie żenił; zostawały dziewicami.

Trzecia Magdalena, Magdusia, czyli Dusia, nosiła się z Waszecia, miała sukienki z falbanami, z paskami chusteczki, kosynki, pończochy, trzewiki, botynki, pantofelki nawet, miała i kapelusiki słomiane, aksamitne, z zasłonami, z piórami, w dzień i w nocy na rękach rękawiczki, a pod rękawiczkami i pończoszkami rączki i nóżki takie, jakby wyszły z pod dłuta rzeźbiarza Torwaldsena. Z twarzy, z kibici, to czysta Dusia. Oczy ciemnobłękitne, a takie jak te, które wabiły Bolesławów do Kijowa. Włosy krucze, a takie, że się skliły w oczach każdego, brew jak puszek aksamitu, rzęsa wabik na cudze oczy, nosek, usta i liczko ładne, sztuczne, białe jak cukier, a rumiane jak pączek róży. Kibić wiotka, gibka jak Rusałki, bo też ona Rusałka, prawdziwa Kozyra, czy do Marjasza, czy to do każdej innej gry.

Dzieckiem przez ojca była zawiezioną w jakieś dalekie kraje, bo za Kujwę rzekę nad rzekę Teterow, i przed niewielu dniami zawitała do rodziców, do rodziny. Gdzie była, co robiła, tego nikt nie wiedział. Matka ruszała ramionami, ale we wszystkiem wygadzała pieszczotkowi ojca. Siostry i bracia jak na łapkach jej służyli. A ojciec toby był gwiazdy na niebie, a nie roje pszczół dla niej łapał, byle tego chciała.

Stary Kozyra pasiecznik, ale miał czoło i twarz pokiereszowane, nie żądłami pszczół, dwa dość głębokie doły w prawym policzku, nie pocałunki pszczelne. A jak suknie nadziewał, jak się zapinał, jak się podciągał, widać, że dawniej inne stroje nosił. Z ludźmi się nie zadzierał i nie był zawadjaką. Szanował cudzą własność, ale chciał, żeby szanowano i jego. Hardo się stawiał, zapytywał zwięźle, krócej jeszcze odpowiadał, jakby rozkazy dawał i opowiedzi nie czekał. Rozmowy z ludźmi nie lubił, ale sam z sobą roz-

mawiał. Przed Jaśnie Wielmożnym marszałkiem Pauszą, swoim jurysdatorem, czoła nisko nie skłonił i za kolana nie obłapiał, ale kłaniał i mówił jak człowiek do człowieka, płacił regularnie tenatę arędy i spełniał obowiązki bez mru-mru. Sam pan marszałek nie mógł mu wyciągnąć robaka z nosa, jak to mówią — choć był ciekawym zobaczyć, jaki to on szlachcic. Kozyra był nie tylko kozerą, ale zagadką dla wszystkich.

IV.

Ale nie był zagadką dla swojej Dusi; kiedy wszyscy byli zajęci robotą codzienną, a on jej nie miał w pasiece, szedł ze swoją Dusią pod lipy albo do stebnika, ona mu z książek czytała, a on jej opowiadał.

Opowiadał o zadunajskich dalekich krajach, o różnobarwnych morzach, Czarnem i Białem, o carskim grodzie, o pałacach i ogrodach sułtana Kalifa, o meczetach, minaretach i o muezynach, słowikach Islamu. O paszach, lwach i tygrysach Islamu, o Efendych, lisach i krukach tegoż Islamu. Widać, że tam wędrował, wiele widział — wiele wiedział i opowiadał.

Ona mu czytała z książek o sułtanie Kanundzym Sulejmanie, o jego żonie Podolance Roksolanie, o Janczarach i ich wytępieniu.

On ruszał głową.

«Tak, tak tępiliśmy bez litości, bez miłosierdzia; było to smutne, było to okrutne, ale tak było trzeba i inaczej być nie mogło. Za sułtana Mahmuda, Valide, sułtańska matka była Francuzanka, chrześcianka, tak jak i nasza Roksolana podolańska. Za jej powodem Eunuchy przestali wezyrować, seraskierować. Za Francuzanki nie stało Janczarów — trzeba jeszcze i jeszcze, a będzie dobrze. Francuzi mówią, co kobieta chce, to i Bóg tego chce, dla czegożby sułtan nie miał chcieć, co chce kobieta matka, albo kobieta żona, wszak on człowiek, choć kalif.»

Tak rozmawiali ojciec z córką, a jej przed oczyma duszy wciąż stała Roksolana Podolanka albo Kreolka Francuzanka, obie chrześcianki.

V.

Magdalena jeszcze w trzecim roku swego życia była odwiezioną przez ojca w dom marszałka Prawdzica, z którym pan Kozyra miał powinowactwo pokrewne i z którego bratem pułkownikiem służył w wojsku. Rodzina Prawdziców była zamożną, ze szlachty zwanej Karmazynową, która dostarczała Polsce Sobieskich, Leszczyńskich, Czarnieckich, Żółkiewskich, Polanowskich, a nawet i Zamojskich, Stanisława i Józefa Poniatowskich, i uderza Kościuszkę i Dwernickiego i Karola Różyckiego — dobrą szlachtę, mającą prawo do korony, do buławy i do kanclerskiej pieczęci, do pastoratów, do infuły, do hrebent nawet. Ta karmazynowa szlachta rej wodziła, mitrowym magnatom czołobitności nie oddawała, ale przed nimi nosa darła, a mitrowi magnaci ją kaptowali, do niej się przymilali, bo gromada to wielki człowiek, a oni czapką i papką gromadzili koło siebie szlachtę szaraczkową i wiedli gdzie chcieli i jak chcieli. Stosunki tego karmazynowego rodu się przechowały, bo choć królów nie wybierali, to wybierali marszałków, podkomorzych, chorążych, prezesów, deputatów, sędziów, podsędków, pisarzy, a nawet woźnych i regentów. Mitrowi magnaci nisko się kłaniali, a Karmazyny buńczuczne rozkazy dawali.

W takim domu był dostatek, wygoda, staranna piecza dla ciała, a wiele pokarmu i to dobrego dla duszy. Była to pracownia przeobrażenia się starożytnych obyczajów na obyczaje i zwyczaje nowożytne. Pozostały staropolskie surowe cnoty i wciąż się upiększały uprzejmością, grzecznością i tą czarodziejską chęcią podobania się, tą, bez której każda kobieta jest jak kwiat bez zapachu — kamelja, hortensja są dla niewiat półświata, które się podobają oczom wszystkich, a sercu żadnego, róża i fiołek dla niewiast jasnego świata, żeby i oczy i serca ciągnęły do siebie. W takich domach chrześciańska wiedza i cnota bratały się z wiedzą i życiem światowego społeczeństwa. Czytano tam złoty ołtarzyk, a nawet pistolet do zabicia grzechu śmiertelnego, ale nie odrzucano Woltera, Rosina, a nawet pani Żorż Sand i Balzaka. Rozwijały się serca uczuciem, więcej jak demokratycznem socjalnem, bo uczuciem ludzkiem, opartem

nie tylko na wierze Chrystusa, ale na nauce filozofów; dusze brały polot do rojenia, do marzenia, do wszechwiedzy i do współubiegania się o sławę zdolnych i szczytnych czynów. Były to skarbce encyklopedycznego wychowania, do których się nie wcisnęły jeszcze ciasne pojęcia o realizmie i o specjalnem wychowaniu do egoistycznych spekulacji.

W tych domach nie doprowadzono jeszcze podówczas do sztywnego zachowania pozornej godności, do śmiesznej dewocji i jeszcze do tkliwszego hugotyzmu. Stare modliły się i serdecznie i szczerze, ale nie dla oka ludzkiego, nie klepiąc wciąż pacierzy, żeby o czem innem nie myśleć, żeby modlitwą zamykać serca dla litości, dla ludzkości. Nie całowały księży po rękach, żeby temi pocałunkami zasmarować obmowę, potępienie i nielitość, a młode nie puszczały oczy ku ziemi, żeby udawać pobożne trusie, ale patrzały na ludzi i rozmawiały z ludźmi, były chrześcianki i ziemianki. Żeby im się podobać, nie dość było być technikiem, ale trzeba było być człowiekiem, pokazać swoją wartość zaszczytnemi i uczciwemi postępkami, a nie ścisłemi rachunkami. Dla tego też płeć piękna rządziła płcią brzydką — słuchano ją, kochano, wielbiono i dobrze było w domach i w rodach tej Karmazynowej szlachty.

Dziś technik, specjalista, realizujący wszystko na procent i na kapitał, na zarobek, uważa płeć piękną na niedoszłą nawet do pewnej wartości, mogącej się cyframi oznaczyć; w tym względzie nie może dorównać postępowi i inteligencji płci brzydkiej, więc póki do tego nie dojdzie, a dojść według rachunku realistów nigdy nie może, trzeba ją eksploatować i oceniać tylko o tyle, o ile ona może przynieść pożytku, dywidendy, o ile w niej jest fundamentu do ciągnienia zysku.

Płeć piękna poniżona, słusznie obrażona, część jedna, ale niewielka, silniejsza wolą i duszą, rzuciła się do specjalnych i realnych nauk, żeby stanąć na jednem i temże samem stanowisku, co i płeć brzydka i na odwet za eksploatacją wiekową ją eksploatować. Druga część daleko większa, słaba na duchu, nie umiejąca się wyswobodzić, rzuciła się w dewocję, kantyczkami i antyfonami pokryć swoją niemoc, swoje poniżenie, a księży obrała za swoich opiekunów, za swoich bohaterów, na których był jak najzupełniejszy brak

między specjalistami, realistami, w całem społeczeństwie postępowem i inteligientnem płci brzydkiej. Cyment sercowy i duszewny między obiema płciami został rozerwanym, a w musowem zetknięciu nie było prawdy ani w uczuciach, ani w słowach, ani w czynach, ani w związkach nawet, wszędzie nieufność, rachunek, chęć eksploatacji; a o szczerości, o miłości, o prawdzie, ani słuchu, ani wieści, gdzie się ona mieści. Mówiono o nich jak o mytach z bajecznej tradycji. Główna konkluzja tej inteligencji postępowej realizmu i specjalizmu — była w gadce ruskiej, kto kogo naduł czyli oszukał, ten arcymistrz realności i to specjelny.

W domu Prawdziców tego nie było, tam była szczerość, sumienność, braterstwo i prawda. Panna Magdalena w takim domu wzrosła, wychowała się, i tak też było: roiła, marzyła, ale sumiennie i z prawdą żyła, bez sztyfności i udawania, umiała zachować godność kobiety. Rozumiała dobrze stan społeczny swego ojca, a stąd i swoje własne położenie, nie łudziła się i dla tego nie rzucała wędki na Karmazynowych paniczów, żeby się sama na wędkę nie złapała, ale tem, co w książkach zajmowała swoją myśl, a poniekąd i serce, bo to było przystępniejsze i nie naraziło ani na niebezpieczeństwo, ani na poniżenie, ani na pośmiewisko. W swojem urojeniu pokochała się i swojem urojeniem pokochała siebie, dogodzała szlachetnej dumie niewieściej. Nie odpychała od siebie przepychu, zbytku, nawet sławy i wielkości, ale wszystko to dla ludzkości, dla ojczyzny.

Polska nie przedstawiała tych szranków, świat zachodni i północny i południowy, jako realny, specjalny i techniczny, był dla niej niedostępnym, bo nie miała ani pieniędzy, ani techniki, ani natchnienia do specjalnych obrotów i przewrotów kobiecych. Miała krasę, ale opartą na surowej cnocie i na wielkich i szczytnych pomysłach, sięgnęła dalej, za zachód, za północ i za południe, chciała być albo Roksolaną Podolanką, albo Kreolką Francuzanką, matką sułtana Mahmuda — dla ludzkości, dla chrześciaństwa, dla Polski, a trochę i dla kobiecej sławy.

VI.

Miłość książkowa, rozniecona bujną imaginacją, żądzą sławy i przyjścia do potomności, jest najlepszem paladium dla kobiety przeciwko miłości zwyczajnej, która bardzo często pociąga za sobą niezwyczajne przykrości, cierpienia, a nawet często nieszczęście i schańbienie. To się najlepiej sprawdzało na pannie Magdalenie w domu Prawdziców.

Najkrasiwsza między najkrasiwszemi, tańcująca mazurka z duszy, a walca z serca, grająca na fortepianie z czuciem i mistrzostwem, śpiewając tym głosem, na którego wdzięki wtoruje serce u każdego, kto je ma — rozbudza się namiętnością życia, albo obumiera, czy to rozkoszą, czy to rozpaczą — szczebiotała po francusku jak pani Rekamié, a opowiadała po polsku jak panna Ludwika Puławska, albo panna Marjanna Michałowska.

Panna Magdalena była obojętną na strzeliste afekta, rzucane słowem, okiem i pismem, hołubcem w mazurku, objęciem kibici w walcu, na dowcip i na rozum panów marszałkowiczów, podkomorzych, rotmistrzów, a nawet podchorążych, książąt i hrabiów, bo myślała o swoim sułtanie, o swojej Roksolanie.

Ani przelotem miłość doczesna, zwyczajna, ją nie drasnęła, bo ona całkiem żyła w miłości przez siebie wymarzonej i marzeniem w siebie wcielonej. I o tem tylko dumała, o tem myślała, jak doścignąć celu, bo kiedy kobieta czego chce, to dobrze chce.

Kiedy Prawdzicowie, którzy kochali Magdalenę, jak gdyby do ich rodziny zupełnie należała, jak gdyby była Karmazynową szlachcianką z rodu, chcąc ją obżenić, dla zapewnienia jej losu na przyszłość, swatali jej i szlachtę Karmazynową i trochę Buraczkową, z intratnemi wioskami, z dochodami, urzędami i z rangami wojennemi, schlebiającemi miłości własnej kobiety — zobaczyli jej obojętność dla wszystkich a wszystkich aspirantów bez wyjątku, nie mogąc dowiedzieć się o przyczynie, bo jej nikomu nie wypowiadała; była to jej tajemnica i dla tego coraz więcej a więcej się w niej rozkochiwała. Wezwali starego Kozyrę na poradę.

Ojciec z córką się jakoś zrozumieli; ojciec o tajemnicy

czy wiedział, czy się dowiedział, ale nikomu i słowa o tem nie powiedział.

Ojciec był marzycielem niegdyś i był nim jeszcze teraz, przemarzył życie swoje, przeobrażając w czyny, z marzenia został pasiecznikiem, ale marzył znowu o przeobrażeniu życia, o nowych czynach, o nowych marzeniach, więc córki nie odwracał z tej drogi, mówiąc:

«Marzenie jest drugie życie, więcej warte jak sen, ono prowadzi człowieka do czynu i zachowuje w wierze i w nadziei, a kto ma nadzieję, ten ludźmi nie poniewiera, a kto ma wiarę, ten ludziom dobrze czyni, bo z nadzieją i z wiarą nieodstępna miłość ku ludziom i ku Bogu. Nadzieja, wiara i miłość to trójbarwna chorągiew szczęścia, prawości i uczciwości człowieka. I ja marzyłem i marzenia przeobrażałem w czyn i śmiało powiedzieć mogę, ręka na sercu, że jeźli się nie olśniłem szczęściem, zostałem kozernym człowiekiem i teraz marzę, bo mam serce i duszę, chcę dobra swego i drugich. I ty moja chlubo, marzeniem zachowałaś swoją cnotę i godność i masz je. Marz, a przy łasce Bożej i przy usilności swojej marzenie w czyn przeobrazić się może, czy to cudem, czy to przypadkiem, ale dzieją się na świecie takie rzeczy, których człowiek rozumem obrachować nie może.»

Była to zachęta, za którą córka go ucałowała i rzewnemi łzami się rozpłakała; były to łzy nadziei, i radości, błyszczące nadzieją, miłością i wiarą ku swojemu marzeniu.

Stary Kozyra uprosił u marszałka Prawdzica pozwolenie zabrania córki na jakiś czas.

«Zabiorę, niech się przewietrzy, niech zobaczy moją pasiekę, swoją rodzinę, a nie długo nazad przywiozę, żebyście dokończyli wasze dobrodziejstwa.»

Zabrał i przywiózł do pasieki.

VII.

I w pasiece Magdalena była, jakeśmy widzieli, z ojcem i ze swojem marzeniem, i nie były jej nudy. Dla przypodobania się matce i siostrom pomagała im w domowych pracach, jak umiała. A nawet przybierała się w wiejskie stroje, żeby była taka jak i one, bo szczęśliwa nadzieją, miłością

i wiarą ku swemu marzeniu, chciała, aby wszyscy koło niej byli szczęśliwi; i tak było.

W tych to czasach Jendrykowie wszyscy trzej: dziad, syn i wnuk, każdy z osobna od bab dowiedzieli się o pojawie w stukałowym futorze. Znali oni starego Kozyrę, ale byli od niego z daleka, bo od Żydów zasłyszeli i od ludzi, że miał krzywą szablę, którą gotów był każdego, kto mu w drogę zajdzie, nakiereszować, jak sam był nakiereszowanym. Miał pistolety garłacze, z których gotów był upiększyć lica drugich dołkami, wdziękami, jakie sam miał na prawym policzku. Że miał nahaj kozaczy, zamaszystszy od boskowskiego kańczuka, którym gotów był wygarbować grzbiet na jucht każdemu, ktoby niepotrzebnie wlazł do jego pasieczyska, choćby nawet pod stebnik i do chaty nie zazierał. Ludzie a szczególniej Żydzi mówili, że u niego na to jak na lato.

I to był hamulec na ciekawość panów Jendryków; ale ciekawość to djabła przywara, swędzi skórę, choćby po niej dostać, byle ciekawość nakarmić, bo głodna dokucza. Zwłaszcza, że Jendrykowie Straszynowie według Ignacego Strumiły, wiercipięty jak wróble, a uparci jak osły — więc każdy sobie głowę łamał, jakby to tam się dostać, choćby nawet nie jak Cezar — veni, vidi, vici — przyszedł, zobaczył i zwyciężył — ale przynajmniej zobaczyć. Każdy układał i rozkładał projekta, ale jeden drugiemu nic o nich nie mówił. Pojedyńczo działać, choć jedna rodzina, ale zwyczajnie jak Lachy, polska szlachta; gromadnie tylko do kielicha i do zwady w czuby.

Mszaniecki Jendryk, bo tak go przezwano, jak gdyby był zabałkański Dybicz, bo chociaż za swój czyn, rzadko słyszany, rzadziej widziany, nie dostał medalu złotego, a nawet srebrnego, ale w całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie byli przekonani, że tego niktby nie zrobił, ani Dybicz zabałkański, ani nikt inny oprócz Jendryka Straszyna starego i dla tego go uraczono przezwiskiem: Mszaniecki.

Dostał od Niemiec ul czworograniasty z szufladami i postanowił z nim jechać do pana Kozyry, jako do sąsiada, zawołanego pasiecznika, prosić o wyegzaminowanie, o zdanie i o poradę.

Jendryk drugi zamierzył zapolować na błotach koło stu-

kałowskiego futoru, nabić zwierzyny i ofiarować w darze pani Kozyrzynie i prosić o szklankę mleka.

Jendryczek trzeci przezierał już chłopomanją, zbliżeniem się do chłopów, switką, chołoczniami, baranią czapką i weczernicami i pohulanką karczemną. Rozumny sposób, żeby mieć wyskubaną czuprynę, potargane uszy, ukułakowane boki i podśpiewkę.

Lach sobi pokpywaje, a my jeho w szory ubrały. Nechody Lachu na Weczeryci, bo tam mołodyci czarownyci, a chłopaki hajdamaki.

Jendryczek o tem wiedział, ale mówił sobie: Panowie Gryfowie, choć grafowie, tak robią i mówią, że to patryotycznie, dla czegoż mnie nie iść w ich ślady, a jak się dostanie szturchańca, to choć nie ślicznie, ale będzie komicznie.

Przygotował sobie ubranie parobka, wziął cymbały u Żyda, dudy u pastucha i tak się wybrał na wyprawę.

Choć nic było między nimi żadnej rozmowy, a tem samem nie mogło być żadnej zmowy — wszyscy trzej jednego dnia, w niedzielę po południu, zjawiali się do futoru pana Kozyry.

Dziadek kolaską zajechał wprost do pasieczyska, z ulem i z pozdrowieniami sąsiedzkiemi, braterskiemi. Były tam:

«Wszyscy równiśmy sobie, bracia, bo jesteśmy szlachtą. Bogactwo nic nie znaczy, to mamona światowa, dziś jest, jutro jej nie masz. Zasługa w sprawie ojczystej, w obywatelstwie, w służbie kościoła, to klejnot szlachecki, to mi skarb. Sąsiedzi, winniśmy z sobą wejść w ściślejsze stosunki do obrony, bo coś się święci. Chamy mruczą i niedobrze im z oczów patrzy, bo to cham chamem. Smaruj go miodem, a on dziegciem cuchnie. Co innego my, Mościpanowie, chciałbym Pańską rodzinę poznać, bo i ja mam rodzinę.» I tem podobne formułki bratania się. Straszyn Mszaniecki silił się na wymowę, na argumenta, a to wszystko odbijało się jak groch od ściany.

Stary Kozyra ul oglądał, a nahajem, który miał w dłoni, po cholewach butów klepał.

«Niemiecka stuczka, djabeł by się jej na starość uczył, róbmy po staremu, jak nasi ojcowie robili; a oni, jak mówią kroniki, dobry miód pili, jeszcze w Kruszwicy, kiedy Piasta kołodzieja na króla obrali. Odniosę tę niemiecką sztuczkę do powozu i Jasnego Pana do niego podsadzę, a potem do

roboty, bo czas nie śpi, a człowiekowi nie baraczkować, nie próżnować!»

Niemiecki ul niósł w lewej ręce, a prawą coraz silniej wymachiwał nahajem, jakby Mszanieckiego zucha wyganiał.

Zrozumiał Jendryk Straszyn numer pierwszy, że tu Mszanieckiego ładu nie chcą, albo nie potrzebują i wynosił się nie spyszna.

Nie udało się.

Jendryk syn z torbą pełną nabitych kozyków, fieklaczów i derkaczów wszedł do sieni chaty, gdzie pani Kozyrowa siekała kapustę i buraki na barszcz. Pokłonił się i wyrzucił zwierzynę pod jej stopy.

«Pani matko, przyjmcie zwierzynę, a dajcie mi szklankę mleka!»

Pani Barbara, czyli Basia, bo tak się nazywała pani Kozyrowa, wiedziała od bab komotrek, co to za tuzy te Straszyny, a nieraz ich i widziała, bo i u starych bab ciekawość taka jak u dzieci, popatrzeć na takich ludzi.

Ale jak błyskawica przejęła ją troskliwość o swoje dziewki — ofuknęła:

«Mleka nie ma, bo nie ma krowy, a woda jest w ruczaju, proszę iść i pić ile się podoba, a te swoje wróble proszę zabrać, nie miałabym roboty, żeby je skubać!» Wyłożyła mu całą zwierzynę na podwórze przed próg i drzwi przed nosem zatrzasła.

I temu się nie udało — poszedł z kwitkiem.

Jendryk wnuk siadł na przełazie i począł w dudy świstać, w cymbały dźwięczyć i hukać jak pijany. Dwie starsze Kozyrzanki przybiegły nad przełaz, poczęły się śmiać. Jendryczek i brwiami i nosem mrugał, a ręką wabił do siebie.

Kundzia śmielsza podskoczyła i dała mu prztryczek w nos, aż krew trysła, ale Jendryczek chwycił ją za rękę, przewalił przez przełaz, w powietrzu pocałował i oboje zwalili się pod przełaz. Kundzia krzyczała:

«Pijaku, łajdaku, chamie, mużyku — Jadziu ratuj!»

Jadzia chwyciła za kół od płotu i dawaj okładać, łomotać chłopomana, żeby było na prawdę po chłopsku i Kundzia się wyrwała, nie chciała zostać w rachunku, drugim kołem dorachowywała rachunek Jadzi. Zawsze dodawanie, pierwsza reguła arytmetyczna. Z początku Jendryczek krzyczał, chciał

powstać, ale one go kołami nazad w fosę kładły, wiercial się jak wcion, w błoto chciał się wkopać, a one go prały i prały, jedna drugiej ochoty dodawała, zagrzewały się. Przestał krzyczeć, tylko się pociągał i jęczał. Kiedy przybiegł stary Kozyra, a z nim Magdalena, stary nahajem odganiał rozjuszone dziewy, a te wrzeszczały:

«Pijak, łajdak, mużyk, cham, tak nas traktował jak gdybyśmy były chłopianki jak on, a my przecież szlachcianki; zabić bestję na śmierć!»

Trzeba było zanieść Jendryczyka do chałupy, i to dopełnił ojciec z córką; a tak był zbitym, że stracił przytomność.

Temu się udało; nie poszedł z kwitkiem, ale wniesiono go do chałupy, rozebrano, opatrzono i położono na miękiej pościeli. Został gościem w chałupie i mógł nasycić do woli swoją ciekawość. Nie ma tedy nic złego, coby na dobre nie wyszło.

VIII.

Młody Henryk Straszyn był między śmiercią a życiem. Panna Magdalena go pilnowała, siostry pomagały, nawet stara matka. Kozyra sprowadził cyrulika z Bielgoródki, a po przekonaniu się, że kości ani połamane, ani pogruchotane, ale zbite, uśmiechnął się.

«Chłopomanją jak djabła wypędzono z grzesznego ciała, dobre z Wasanien egzercystki!»

I przystał na prośbę chorego, żeby mu pozwolono napisać list do rodziców, że wyjechał niespodzianie z Aleksandrem Pauszą do Miłostowa na Wołyń na polowanie, tak go proszono, że nie mógł odmówić; wstyd mu było, pokazywać się w domu tak wyegzercyzowanym.

Nie mógł się obracać, nie mógł podnosić, a nawet ciężko mu było rozmawiać; ale mógł patrzeć na Magdalenę i patrzał, i tak w niej się pokochał na prawdę, że miałby siebie za najszczęśliwszego, żeby mógł ją prowadzić do ołtarza i nazwać swoją żoną, byle tylko jej rodzice pozwolili, co mu się nie zdawało być trudnem, bo co do siebie, był i pełnoletnim i nie spodziewał się ze strony rodziców swoich żadnego oporu.

Ale panna mimo nalegania i gniewu matki, mimo uśmiech ojca i dobre słowa: «Toby nie źle było, z chłopomanji wyleczony, dobry szlachcic, ma majątek i nie zdaje mi się być złym człowiekiem; może to tak od Boga przeznaczonem, trzeba się poddać jego woli» — słuchać tego wszystkiego nie chciała i matce i ojcu wciąż powtarzała:

«Ja go nie kocham i kochać nigdy nie będę!»

I ojciec odpowiadał:

«Niech i tak będzie!»

Rozdmuchał marzenie, byłoby grzechem karać słowem, za swoje przyczynienie się do tego marzenia.

Tak rzeczy zostały, a dawne marzenia wciąż i wciąż wracały i nadzieje wierne zostały jak gołębie swoim gniazdom, nawet do spalonych wracają. Jakieś przepowiednie wędrownej Cyganki o dalekich podróżach lądem i morzem, o pałacach i ogrodach, o drogich kamieniach, o skarbach, o tronie, o koronowanym oblubieńcu, o synie zrodzonym do korony rozdmuchały znowu wyobraźnię i znowu żyła dawnem marzeniem, bo człowiek najlepiej żyje pokarmem jaki lubi.

Ojciec zgodnie z jej życzeniem a ze swoją wolą odwiózł ją nazad do Prawdziców.

A młody Henryk Straszyn z chłopomanji wyleczony został, ale zakochany.

IX.

Stary Kozyra, którego twarz pokiereszowana i postrzelana, a reputacja bynajmniej nie głośna, ani donośna, pokazał, że umiał hyszkiem swoje zrobić, i nie głosząc między ludźmi, myśląc, że hyszkiem pielęgnując marzenie córeczce, tem marzeniem upuklerzy ją przeciwko słowiczym głosom i lisim zamiarom zalecającej się młodzieży, czy to frakowej, czy to brakowej, czy to mundurowej. Dokazał swego, zamknął serce na zwyczajne miłostki, ale kiedy jechał otworzyć na małżeństwo, na los, na szczęście dziewczęcia — ani weź. Bo serce kobiece takie; raz zamknięte miłością urojenia czy marzenia, nie otworzy się na inną, choćby jaką, i albo swego dopnie, albo zamrze z tą miłością, a nie inną.

Stary Kozyra cieszył się i chlubił czystością niepokalaną

swojego dziewczęcia, ale pewna dreszcz przebiegła po całem jego jestestwie na samą myśl: taka ładna, taka składna, taka krasawica, taka czarodziejka, a starą panną zostać może, niepokalaną ale starą panną. Nie pójdzie do nieba, bo nie żyła na ziemi. — Był on ojcem a przytem artystą duszy, wiele się włóczył, wiele widział, wiele czytał i wiele słyszał, znał świat i nigdzie nie gadano, ani śpiewano na cześć starych panien. Pocci wygłaszali dramata i ody na cześć Klitemnestry, Fryne i Laisy, tylko jeden Adam Mickiewicz pięknym wierszem opiewał podstarzałą pannę Telimenę, ale i ta łapała mrówki. O niepokalanej starej pannie nikt dobrego słowa nie powiedział, a złego wiele; tem się biedził ojciec. Zamknął a odemknąć nie umiał. Na jego chwilowe uspokojenie jedna z Prawdzicówien wyszła za Burczaka, i zaraz przekonana, że w tem zamęściu nie może być pożycia w szczęściu. Jedno drugiemu powtórzyło dobrowolnie, nie swawolnie, ale rozważnie, bardzo poważnie:

«Tyś nie dla mnie, ja nie dla ciebie.»

I rozjechali się każdy w inne strony. On do swoich włości, ona wybierała się za granicę, nad morze, na oliwne powietrze do południowej Francji, żeby oliwą ułagodzić nieudacza małżeńskiego związku. Przybycie Magdaleny było dla niej Bożą łaską, bo miała towarzyszkę, którą kochała i już nie była sama jedna na tym Bożym świecie. Były razem i marzyły, jedna o tem co było, druga o tem co będzie. Nic sobie nie mówiły o swoich marzeniach, ale żyły i bawiły się wyborem do podróży i samą podróżą, zawsze coś nowego i dotąd nie widzianego; co tu rzeczy i do rozwagi i do rozmowy. W podróży kto ma smutek i troski, jedzie coraz dalej a dalej, myśli, że je rzuci za sobą, i w końcu porzuci. A kto ma mienie i znaczenie, pewny, że jadąc dalej a dalej, dojedzie do swego, i takie pomyślenie jest błogą chwilą życia.

Tak jechały, nie drogami żelaznemi, bo ich jeszcze nie było, ale swoim powozem, pocztowemi albo najętemi końmi, rzemiennym dyszlem, z miasta do miasta, z kąpieli do kąpieli; mieli starego sługę, ojcowskiego kamerdynera, Szymona, i nie młodą pannę służącę, Marjannę.

Taki był dwór pani Sewery Wandy Burczakowej, z domu Prawdzicówny.

W tym kwartecie podróżujących każdy inaczej, ale wszyscy marzyli.

Pani Buraczkowa, nie mężatka, nie rozwódka, nie wdowa, młoda, krasiwa, edukowana i cnotliwa, wyszła za mąż za młodzieńca, siłacza nie paplacza, wychowanego przez księdza przeora na prawdziwego domatora; ciągle mu powtarzano: cnota nad cnotami, trzymać język za zębami, milczkiem czynić mój panie, póki sił i woli stanie. Nie umiał tedy prawić madrygałów, ale umiał huknąć, stuknąć i puknąć. Na drugi dzień po ślubie i weselu już małżonek przy ludziach, przy służbie, małżonce śmiał pogładzić podbródek, uszczypnąć w policzek, a nawet uścisnął i głośnym cmokiem pocałował. Małżonka wrzasła: «Brutal!» i omdlała w ramionach małżonka, ten zmięszany, opuścił ją jak rzecz niepotrzebną na posadzkę.

«To mi flondra, i co mi po niej!»

Wyszedł, kazał konie zaprządz i wyjechał skąd przyjechał, do domu, do księdza przeora, znowu na domatora.

Małżonka jak przyszła do siebie, zapłakała, zaszlochała, otworzyła oczy.

«Brutal tak mnie utraktował jak prostą dziewkę, nawykł do takiego traktamentu ze swojemi dziewkami i mołodycami; ja go widzieć nie chcę, wszystko między nami skończone!»

I było skończone. Wciąż powtarzała:

«Moja ty Magdusiu, nie kochaj się i nie idź za mąż, bo to jak kawalery na czterech łapkach służą, a jak zostaną mężami, to tak traktują Wandę jak Horpynę albo Marynę; takby traktowano i Magdalenę.

Pani Burczakowa do imienia świętej patronki Sewery przybrała imię Wandy — jest to pseudonym ulubiony przez Polki, dla patrjotyzmu; jak tylko Wanda to i patrjotka, a jak patrjotka, to musi być Wanda. Nie poszła za Niemca, cudzoziemca, ale źle trafiła na Polaka Burczaka. Nie utopiła się w Wiśle, bo Wisła nie płynęła przez Prawdzica włościc, tylko był staw błotnisty, można by i pończoszki i botynki zabłocić; więc pojechała za granicę.

Magdalena się uśmiechała

«Ja się nie kocham i pewnie nie zakocham, nie będę

kochanką, żoną, ale chcę być żoną, matką dla ojczyzny i ludzkości!»

I więcej nie powiedziała, a Pani Sewera Wanda nic się nie domyślała i domyśleć nie mogła.

Stary kamerdyner Szymon, siedząc na koźle wygodnie, swobodnie, bo postyljoni konie z konia gnali — Niemcy udawali Krakowiaków albo Kozaków, konne narody, zawczasu przygotowywali się do najazdów — i Szymon wypakował swoje marzenia.

«Żeby to było źle, nie można powiedzieć, ale wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. Co mi tam po ich zupkach, waserzupkach, człowiek chlepnie i w brzuchu nic nie poczuje, a te sznycle, rosbratle, strudle na jeden ząb, dobrze niemi karmić mopsy, pudle, a nie ludzi — lepszy nasz barszcz, kapustnik, kasza i haluszki, jak się człowiek nażre, to ze dwie godziny dychać nie może, a potem śpi jak niedźwiedź w barłogu, pewnie mu Cyganie śnić się nie będą. A potem, przy rozbieraniu i ubieraniu rozmowa ze starym panem. Co tam wieczorem Jawdocha robiła w ogrodzie; biegała, szukała ogrodnika, ale na co, trudno zgadnąć, choć nie wielka sztuka: kotka kota szuka. Czy odarka nie mruga okiem na stajennego kozaka Semena? Czy popówna nie poluje na ekonoma, a ekonomowa na gorzelniego panicza? Co się tam dzieje we wsi z dziewkami, mołodycami i z parobkami. To się wygadało jak pacierz z rana i wieczór, a stary pan otworzył kantorek i dał rubelka, żeby było z czem pójść do karczmy i do komotrek, wywiedzieć się o wszystkiem, ciągnąć za język arendarza, baby i swojemi oczami patrzeć na wszystko. Człowiek nie próżnował, zawsze był w ruchu, czynny i dobrze mu się działo — a to rozmówże się z tą niemotą, neutnek Izaaka!»

Marjanna pokojówka, z Waszecia szlachcianka, z samych Nizgonin pod Berdyczowem, lubiła się krygować i mizdrzeć, gotowa na wszystkie brutalstwa, na które jej pani tak się zżymała. Mówiła w sobie i o sobie: «Żeby mnie tak się trafiało, to bym pewnie się nie gniewała», słodko się przyśmiechała i milutko oblizywała. Choć z Szymonem nie mogła rozmawiać przez wierzch karety, ani nawet widzieć swoich twarzy, żeby z nich wyczytać na domysł, co się w myślach działo, jednak na jedną rzecz wpadali. Co to za kraj, gdzie

nie można z ludźmi rozmówić się ludzkim językiem. I Marjanna dumała.

«Niech by to panowie, to oni zawsze cudzym językiem gadają, po cudzoziemsku się noszą, bo to modnie, dobry ton, ale chłopi — Pan Wolski z Pilawy i pan Julian Duszyński mówili, że chłopi wszędzie po chłopsku mówią, a oni po świecie jeździli i wszystko widzieli, a tu i panowie i chłopi jakimś szwargotem, którego i sam djabeł nie zrozumie — dobrze mówi Szymon. Kartoflarze, pantoflarze, ciągle się kłócą, a tak ludzi łają, aż paskudnie słuchać. Kapelusz na głowie, na krótkim cybuszku fajka u pyska, ręce w kieszeniach, a ciągle ja, ja — jakby na jajach siedział, albo jaja sprzedawał. Obrzydliwy naród, i czegoż to tym paniom naszym się zachciewa, żeby podróżować między takimi ludźmi i po takim kraju. Lepiej może jechać do Turków, boć to oni wprawdzie kobiety traktują jak pan Burczak» — pomyślała — «a może i pan Burczak Turek. Ale słodyczami karmią, muzyką, tańcami bawią, stroją swoje kobiety jak lalki, albo święte obrazy w ołtarzach. Panna Magdalena tak mówi, czyta w książkach, lepsi oni niż Niemcy, te Turki.»

X.

Kiedy tak dwie Polki podróżowały po niepolskim kraju, stary Kozyra wyleczywszy młodego Straszyna, z miłosnego bierzmowania, jakie dostał od potężnych jego córy, polubił go, bo za młodu może i sam chodził takiemi drogami. Szlachcic Polak między ludem ruskim, jak potomek Sema albo Jafeta między potomkami Chama; trzeba przywileju używać, bo przez nieużywanie może nastąpić przedawnienie i zapomnienie, stracić prawo — i na pociechę mówił:

«Panie Henryku jesteś pasowany na rycerza i dobrze opasowanym, ochlostanym przez baby, puszczaj się w świat, a bierz, co znajdziesz, wet za wet, co napadniesz, czy w jedwabiach, czy w płótnie. Koperczaki tnij, bo jak nie utniesz, to cię kijem utną, przejdziesz ojca, dziada, niech sława rodów nie przepada. Bóg mi świadkiem, chciałem ciebie mieć za zięcia, mówiłem Magdusi. Ojcowie Jezuici, którzy nas na taki dzielny naród wykierowali, mawiali — za jednego

bitego dają dwóch nie bitych i jeszcze nie biorą, a on obity za trzydziestu, bierz go, a oburącz. Ale dziewczynie przewróciło się w głowie, zaśpiewaj sobie:

Nie droż się moja Józiu — my nie zwykli prosić długo, nie zechcesz ty nas Józiu, znajdziesz sobie drugą!

Nie przez jedne okno świat świeci, świeci on na wszystkie strony, na daleko, na szeroko. Szukaj a znajdziesz, tylko śmiało a żwawo; ona cię bije, a ty całuj, ona płacze, a ty skacz — tylko nie szlochaj, ale kochaj i kochaj, a wyjdziesz na ludzi; podziękujesz i mnie staremu i moim dziewojom. Jedź zdrowy i hoży!»

Pan Henryk posłuchał rady i w nie długim czasie stał się chlubą Jendryków Straszynów, stał się zaszczytem, tak, że kiedy przyszła wojaczka 1831 r., a Straszynowie z obyczaju i z nałogu patrjoci, ale przez nawracanie na narodowość i na wiarę płci pięknej, i przez płeć piękną, brzydką płeć, ale nie orężem, ani podsycaniem walki pieniędzmi, powtarzając — niech wojna wojnę żywi, ale nie naszemi datkami — wywijali się jak mogli przed obywatelstwem, przed patrjotami. — «I ja stary i on stary, a nasz młody pewnie bohater ułan, gdyby miał szablę i był na koniu; ale pojechał z młodą wdową szukać dwóch panien na wydaniu i jednej separatki już w rozwodzie, gdzieś tam wędrującej za granicami, po kuracje w ciepłych wodach, i na dobitkę zabrał nam wszystkie pieniądze. Nie możemy ani pójść, ani dać, ale nasze serca będą z wami, nasze myśli — do Boga będziemy się gorąco modlili, za was i o was, za ojczyznę; nasz patrjotyzm znany.»

I pieniędzy nie dali i na koń nie wsiedli — a jeszcze większymi patrjotami zostali, bo Rusinki nawracali, do Poczajowa, do Częstochowy, a nawet do samej Jerozolimy wyprawiali.

Młody Henryk i Rusinki i Niemki nawracał i do domu z zagranicy nie wracał — nawracałby i Polki, gdyby te nawracać było trzeba, nawracałby i Mongołki, gdyby te przyjechały na wody Pryśnica, albo na kisingińskie spacery.

Mówią, że dziedzic Babczyniec, choć nie Jendryk, nie Straszyn, ale apostół takoż, miał sznurową księgę do zapisywania imion nawrócennic i dat ich nawrócenia, jako argument i dokument do pośmiertnej kanonizacji; ale dora-

chował się tylko do djablej liczby trzysta. Trzysta djabłów byś zjadł — siadł na koń i pojechał na wojaczkę.

Straszyn młody, choć nie miał dowodów, czarne na białem, bo nie zapisywał, mówił:

«Pisząc a pisząc, rachując a rachując, jeszczebym nie zrachował, ale przysięgał na słowo szlacheckie — verbum nobile», zaklinał się na ojca i na mamę i na pasowanie na rycerstwo przez panny Kozyrzanki, które mu poszły i na rękę i na sławę, że tysiąc nawróceń było za mało; tak był gorliwym i szczęśliwym. I choć, tak jak dziedzic Babczyniec na Dereszu, z szablą w dłoni pro patria nie wojował — jednak kiedy się zjechali na wychodztwie we Francji, Henryk Straszyn przed dziedzicem Babczyńcem przodkował. I wartość i zasługa zostały ocenione, i nie mogło i nie powinno być inaczej.

XI.

Chociaż już wówczas demokraci Polacy, i to szlachta herbowa, w cząstsce nawet i karmazynowa, a w części buraczkowa i szaraczkowa, co czeszczała i w Paryżu i Londynie — krwi, kości i ścierwa szlacheckiego trzeba, żeby zawalić przepaść, która dzieli poczciwy ludek polski od samowolnej szlachty polskiej, od tych grabicieli i ludożerców — jeszcze jednak wówczas szanowali heraldykę Paprockiego, Okulskiego i Niesieckiego. Ksiądz Puławski nazywał się Puławskim, choć stworzył ze szlachty sekcją Grudziąż na wyrznięcie szlachty. Stanisław Worcel nazywał się hrabią Worcelem, a nie Gontą, ani Żeleźniakiem, chociaż się ogłosił naczelnikiem sekcji Humań, i wprawił ją do nowej koliszczyzny, Krępowiecki i Czyński zwali się Krępowieckim i Czyńskim. chociażby wołali ostrzyć noże, stawiać szubienice na szlachtę, żeby oczyścić pole do odbudowania, a raczej do zbudowania Polski ludowej. Nie doszli do postępu realnego i technicznego lat późniejszych, nie zapierali się praojcowskich nazwisk, żeby przybierać nazwiska zwierząt, ptaków, ryb, płazów i narzędzi nieżywotnych; jeszcze nie było młotów, kowadeł, zwano się po szlachecku, jak w herbarzach, jak w sześciu księgach spisów szlacheckich. Czasami tylko przy-

bierano obce nazwiska, dla zakrycia politycznych grzechów, dla zasłonienia rodzin od napaści, dla uśpiechu w robotach, żeby się przykryć nazwiskiem nieznanem. Bo choć wszystka szlachta miała prawo do królewskiej korony — nie wszystkie nazwiska miały prawo do jednakowego wzięcia i szacunku w społeczeństwie polskiem.

Młody Straszyn z Polką w pościgach za Polkami zabrnął w niemieckie kraje — a że to wtenczas wojacy Polacy i szli i jechali i płynęli, nie jak niegdyś z ziemi włoskiej do ziemi polskiej, ale jak gęsi, jak żórawie z polskiej ziemi emigrowali w obce kraje, bo się u siebie znudzili; zostawili polskie ciało, a unieśli ducha, żeby się nie ulotnił.

Niemcy odurzeni tem nowem widowiskiem, wpadli w zachwyt. Każdy Polak był dla nich Ordonem, który wysadził się z baterją pod Ostrołęką, żeby paść na nogi w Niemczech, w Drezdnie; każda Polka Platerówną, Dziewicą Żmudzi, na obrazie podobieństwo Joanny Dziewicy Orleańskiej. Byli to bohaterowie i półbogi, bohaterki i półboginie. I Niemcy, a szczególnie Niemki pomyślały, jakby to było dobrze, do naszej atletycznej i pulchnej Teutonji wlać ten duch sarmacki, można by dojść do Renu i przejść za Ren. A że te Teutonki są zażarte i nie lubią nic na jutro odkładać, zaraz się wzięły do roboty. Strudle, nudle, kawa z mlekiem, piwo, wino, wszystko to dla Polaków; a jakie bety! Same pierzyny, a posługaczki same dziewczyny, pulchne, rumiane, jak na święta, na kiermasz ubrane, a panie i panny słodziutkie jak słód do piwa, a takie milutkie jak prosiątka malutkie, nie szczebiotliwe, nie swarliwe, ale sentymentalne jak siarniczki zapalne. I Niemcy, choć nie wszyscy, po ludzku do Polek się mizdrzyli, i jak wdówkę Straszyna zobaczyli — Freilen Plater, ja wol, kleine aber szeine.

Młody Straszyn między Niemkami się zawieruszył, zginął, a że nie miał ani kołatała, ani dzwonka uwiązanego na szyi, więc go nie można było odszukać. A młoda wdówka z Niemcem, podobno opatem, pojechała na nabożeństwo do Monachium. Tam są kościoły i dzwonnice, bogobojne matrony, nabożne dziewice. Księży prałatów, opatów, zakonników, a nawet jak w Polsce są rektory, prowizory, przeory, kaznodzieje i spowiedniki, i tego wszystkiego bez liku, i król katolik, lubi się bawić w morganatyczne śluby, a zape-

wnie i w wesela. Więc pojechała z Niemcem prałatem, ogłoszona Frejlen Plater — nieźle, że się nauczy od Loli Montez fechtunków, jak nosy i uszy szpisrutować; wszak ona artystka królewska, nauki od niej nabyte nie mogą być tylko królewskie.

Młody Straszyn jak Achilles Pelejowicz, wódz Mirmidonów, więc Słowianin krew z krwi, kość z kości, nie zniemczał, ale zniewieścial, z kądzieli nici nie prządł, bo już i Niemki nie przędły, tylko machiny, nie szył, bo machiny szyły, a on nie machina; ale przyprawiał kawę, przyrządzał kożuszki w garnuszkach śmietanki, lepił ewejbaczki — nie w kobiecej sukni, jak Pelejowicz, ale w pudermanie chodził, szlafmyca niemiecka, na prawem uchu na bakier, przypominał jak przez sen Polaka, zawadjaka; w dłoni kartofle, a na nogach pantofle: ani poznać lechickiego syna, Karmazyna, szlachcica Straszyna; ale go karmiono jak Jendyka i to było dość dla Jendryka.

Pelejowicz, zmieniony przez Ulisesa, zapewne takoż Słowianina, bo Lenartowicza, na widok szabli wykrył swoją płeć, choć w dziewiczą sukienkę przybrany; czemu nie mogły zaprzeczyć jego ślicznutkie i młodziutkie opiekunki, dobrze tajnię zachowywały, ale takiego fortelu się nie spodziewały, na uczynku schwytane i zaraz na gorąco pytane, prawdę nie zaprzeczały, z losem się zgodziły, i Achilles Pelejowicz pojechał z szablą dowieść swojego słowiańskiego rodu. Ach ileż łez — w domyśle — przez niego też wyleją matki, których szablą posiecze dziatki?

Tak tłumaczą Slawofile, a na ich czele trojga imion — Ludwik Zwierkowski, Louis Lenoir i Kara Krak Bej, dzielny mąż wojny i pióra.

Do Niemek i do Niemców zajeżdżali mnodzy Polacy, z szablami, ze szpadami, z pałaszami, a nawet z połami, ale młody Henryk do nich się nie uśmiechał, bo on ich nie znał i znać nie chciał. Jakeśmy wyżej powiedzieli, ród Straszynów, choć szlachecki i karmazynowy, szablami bawić się nie lubił. Bogobojny, religijny, wiedział od dzieciństwa o jednem z dziesięciu Bożych przykazań — Nie zabijaj! i to święcie zachowywał, z dotatkiem: ani szablą, ani pistoletem, ani spisą, ani żadną rzeczą, które bronią są. Ale na inne przykazania uwagę nie bardzo zwracał, szczególnie na dziesiąte,

chociaż i to kończyło się — ani żadnej rzeczy, które jego są. Więc nikt z tego rycerskiego grona nie poznawał go, bo on ich nie znał, a z rycerstwem się nie wdawał. Ale powiadają, że kiedy ma przyjść kreska na matyska, to spada niespodzianie, tak też się stało i z panem Henrykiem Straszynem.

Jednego dnia między gośćmi bohaterami — czwartakami, ułanami, szaserami — pojawił się jakiś starowina, ale jeszcze czepki, i u niego tęga mina, siwy wąs, siwa czupryna, w kozackim stroju, gdzie powróć to Kozak, ale nie doński, nie uralski i nie czarnomorski, ale Kozak z regimentu Jaśnie Wielmożnego Ludwika Steckiego, z komendy Feliksa Trzeciaka, przy krzywej szabli, przy olstrowych pistoletach, a nawet przy nahajce. I Niemcy i Niemki tę ostatnią broń bardzo ciekawie oglądali — z przeczuciem, że może ona kiedyś odpędzi od Wisły i od Elby.

Starowina przypatrywał się pilnie Niemcowi w pudermanie i w szlafmycy na bakier, a Niemiec starowinie — przyglądali się sobie.

Niemiec myślał — ta mina starego Kozyrę przypomina, ale ucho lewe obcięte, na twarzy cztery szramy skiereszowane więcej i drugie ucho przestrzelone i sztykurla i ręką na temblaku nosi. Czyżby staremu tak skóra zaświerzbiała, że nie dotrzymał w pasiece i poleciał, na kresy, na nowe guzy. I w starowinie pamięć się ocknęła.

«Coś mi to Niemczysko przypomina pana Henryka Straszyna, kiedy po ugoszczeniu przez moje dziewki kładliśmy go na odpoczynek i przybrały go w chałat i szlafmycę, choć nie niemieckie — ale zakrawa na podobieństwo. Coś tu się święci, bo te Niemki tak go zasłaniają jak kwoczki kurczę od napastnika.» I jakby magnesem przyciągani, lawirując między Niemkami, zeszli się z sobą.

«A tuś panie Henryku, zaraz poznałem, ale ten puderman jakby spodnica i ta szlafmyca mnie zatrzymały, w pierwszej chwili pomyślałem sobie: panowie Straszynowie spodniczki skubią, ale w spodnicach chodzić nie lubią.»

«Chwała Bogu, Panie Kozyro, żeś się tu pojawił, przecież jeżeli nie ty, to twoje córy mnie chrzciły, pasowały, to jest biły na rycerza, i nie powstydziły by się swego czynu, gdyby widziały a przynajmniej wiedziały o moich czynach od tego

czasu; dokończę dzieła, wyrwij mnie z tych betów, bo na wyrwanie się samemu odwagi mi nie staje!»

Kozyra zawsze w nadziei, że może z niego będzie zięć, wolał go wyrwać jak zostawić na Niemczyznie, bo Niemki gotowe by tego Jendryka cwejbakami wykarmić na prawdziwego Jendyka. Przybrał go w kurtkę ułańską złotej wolności, i jako towarzysza tej chorągwi zabrał z sobą; może tam która Niemka i żałowała, ale nie płakały, bo by to był krok nie przyzwoity i na Niemki nawet. Z resztą i ten Jendryk już się przejadł, a na prawdę pozostali — Krakus, jeden pickielny, drugi Kościuszki, trzeci Poniatowskiego i strzelec, jeden Kuszla, drugi Grotusa. Miano także piorunującego Litwina, scichapęka Żmudzina i umiejącego świstać Rusina. Miano, czego było trzeba i dla Niemek sentymenta i do piwa i do wina i do walczyka aju, cwej, draj. Więc niewiele zważano na zbiegostwo młodego Henryka Straszyna.

XII.

Już wtenczas istniały w Paryżu i w Londynie wyznania wiary politycznej w teraźniejszości podzielone, jak na pułki, jak na szwadrony, jak na zakony — węglarzy, braci żołnierzy, kosynierów, demokratów, arystokratów, dyplomatów, hajdamaków, przyjaciół ludu; zjednoczenie z rzymskim łacińskim kościołem przez Zmartwychwstańców — przez klasztorek — zjednoczenie narodowe przez encyklopedystów domorosłych. I każde grono miało swoją rezydencję, czyli stolicę. Arystokracja i monarchja Faubourg du Roule (przedmieście Rul), dobrze później przeniesiono do hotelu Lambert na wyspę świętego Ludwika. Zjednoczenie kościelne w klasztorku Zmartwychwstańców w Paryżu. Zjednoczenie świeckie narodowe w Wersalu. Centralizacja demokratyczna w Poatier (Poitier.) Demokracja szlachecka na Batignolach. Hajdamactwo w Londynie. Legalność parlamentarska w Brukselli. Węglarstwo, ten okropny karbonaryzm, w Bezanson. Żołnierstwo w Bourges. I jeszcze i jeszcze.

Już zaczęły się przekacać kombinacje i spekulacje finansowe i polityczne na przyszłość.

Po szermierce szablistej rzucano się do szermierki umysłowej, inteligientnej, postępowej, a jeszcze nie technicznej na akcje i dywidendy.

Armand Karol, samodzierdzic «Gazety National», i stary Raspail, stronnik kamfory i rozporządziciel «Gazetą Reformator», powiedzieli: «Nie masz społeczeństwa, które by mogło być narodem, w którem by wszyscy nie byli zarówno uposażeni i socjalnie i politycznie — i swobodą i prawami i powinnościami. W Polsce trzeba lud oswobodzić, uwłaszczyć ziemią, bo sama szlachta nie stworzy, nie utrzyma narodowości w sile, i nie będzie Polski.» A Emil de Girarden, wydawca gazety «Présence»: «Kto da ludowi swobodę, obdarzy własnością ziemską, ten będzie miał lud za sobą.» Stary Saint Albin, władzca gazety «Constitutionnel», w szlafmycy, i Leonard Chodźko w kepi — zalecali legjony konstytucją i Lafayeta, ale na białym koniu.

Był to sęk i prawdziwy sęk dla szlachty polskiej. Demokraci różnych wyznań, różnych kościołów, każdy po swojemu chciał wywieszać, wyrznąć, albo wykluć arystokracją, a wszyscy razem z nową Polską J. B. Ostrowskiego i z Pszonką Łukasza Siemieńskiego i Leona Zienkowicza, drukiem na papierze wołali: «Niegodni, zużyci, śmieszni, ustąpcie z posady, a my ją zajmiemy i zobaczycie jak zagospodarujemy!»

I arystokracja, nie mogła i nie chciała zostać w tyle — obmyśliwała, jak to oczynszować ludek, i tak, żeby musiał pracować dzień i noc, nie próżnować, więc nie mieć czasu o złem myśleć, a pieniądz mu wyciągać z kieszeni, żeby go nie było na złe obroty; robociznę obczyńszować pieniędzmi, ziemia będzie zawsze nasza, kmieć będzie swobodny wyjść jak zechce, ale jak znajdzie drugiego na swojem miejscu, żeby rolnictwo, to jest bogactwo kraju, na tem nie cierpiało. Większa część myślała, że to dość, a mniejsza, że za wiele, a jeszcze mniejsza, malutka, że za mało.

W tej pracy obmyślania przyszłości dwie rozmowy narobiły wiele hałasu. Rozmowa jednej potężnej, rozumnej i znamienitej matrony dawnego i potężnego rodu — zawsze gotowego do czynu i do poświęcenia siebie dla sprawy i któremu słusznie i sprawiedliwie należy się rej i pierwszeństwo przed Mitrami, Karmazynami i Szaraczkami całej Polski

i mężem stanu, poetą, historykiem, który takoż, jak to mówią, zjadł zęby w służbie ojczyzny i walczył za swobodę innych narodów na drugiej półkuli świata.

Wieczorkami, po dobrych i smacznych obiadach, matrona i mąż stanu zasiadali koło kominka, on z jednej, ona z drugiej strony, prowadzić rozmowę, na pół drzemiąc — drzemano, pochrapywano nawet, ale zawsze rozmawiano.

Już wówczas były skończone dwie drogi żelazne — jedna z Paryża do Wersalu, druga z Paryża do Sen Żermen, mówiono o innych w Anglji i Ameryce. Rozmowa była taka:

Ona: «Oczyńszowanie to niesprawiedliwość; wydzierać mu pieniądze, wskazywać biednego człowieka na ciężką i nieprzerywaną pracę — dawać swobodę pod warunkami, które tę swobodę niszczą; to do niczego nie prowadzi, tylko do śmiechu z nas, a może i do czegoś gorszego. Czyż chłopi nie są takimiż Polakami jak i my?»

On: «Ale Mościa Księżno, prawo nasze od Rzymian wzięte, myśmy przeszli inne narody w oświacie, w postępie, a nawet w wolności, a jednak te prawa oznaczyły urodzonych i pracowitych. Urodzonych, szlachtę, civis romanus, equos Poloniae.»

Ona: «Koszałki, opałki o Rzymianach, czemu nie o Spartanach i o Ilotach; to wszystko na nic się nie zda, trzeba czegoś praktycznego, żeby nasze dzisiejsze posiadanie uprawniło — ot tak. Wołają na nas: Zawłaszczyliście własnością ludu i samymże ludem — samowolnie, bezprawnie. Upokorzmy się i przyznajmy — prawda, wielka prawda. Zawołają: Oddajcież mu tę własność i tę swobodę zagrabione — oddajmy. Ale że lud jest siłą, materją, a szlachta inteligencją, w tej inteligencji szukajmy obrony i zachowania. Szukajmy prawa zastrzedz prawnie i stanowczo, żeby u nas w polskich, litewskich i ruskich ziemiach nie budowano dróg żelaznych, przynajmniej przez lat dwadzieścia i pięć. Zachęcić całą szlachtę posiadającą własności ziemskie, a nawet ją zmusić zapomogami i choćby nawet kazaniami z ambon, żeby na tych ziemiach stawiali coprędzej karczmy, zachypanki, wygnańki i posadzili w nich Żydów Icków, Mostków, Berków z siwuchą, z kwartami o dwóch denkach, z kredką o dwóch końcach, i wtenczas dać chłopom ziemię na własność, swobodę, by ją przepili. Związmy się z braćmi

Mojżeszowego wyznania, a wszystko, co nie prawnie posiadane, wyszło dobrowolnie, wyszło z naszych rąk, na uczczenie sprawiedliwości, w hołdzie cywilizacji i swobody, wróci do nas prawnie przez legalne nabycie. I świat cały okrzyknie: O szlachetny naród, jak zachowuje i szanuje prawo i zakon Boży!»

On: »I to wyśmienicie: wszystkiemi drogami dojechać można do Rzymu, czyli wszystkie drogi do Rzymu wiodą.«

Drugi hrabia z tegoż świetnego i zasłużonego rodu i sam dzielny, niezmordowany, i z szablą na koniu i z piórem przy papierze, utrzymywał, że przedewszystkiem trzeba się zająć cywilizacją ludu, żeby był zdolnym używać własności i swobody — i dopiero nadawać ziemię i swobodę tym, którzy ukończą gimnazjalne studja — że to będzie zadanie świetne i rozumne.

Na to stary rotmistrz Tulińskiego huzarów zagaił:

«Pan Hrabia służyłeś w wojsku i w jakiej broni?»

«Wszak wiesz, że służyłem w jezdzie.»

«To Panu dobrze wiadomo, że jak konia wyuczyć do zrzucania z siebie jeźdźca, to on nie będzie czekał, żeby jeździec zlazł i powiedział ruszaj — ale sam zrzuci, pobije nawet i pójdzie na swobodę: tak będzie i z chłopami wyuczonymi na gimnazjastów.»

Trzeci, i to poseł z Kijowskiego na sejm, zabrał głos:

«Ależ przed kilku dniami pojawił się tu nowy statysta z Ukrainy, pan Henryk Straszyn, Karmazyn, znam i jego i cały jego ród, ojciec i dziad przy życiu jeszcze i przy czerstwem zdrowiu — trudnią się misją filantropiczną uszlachcania chłopianek; są członkami asocjacji bardzo licznej i rozgałęzionej po wszech naszych ziemiach. Francuzi, chrześcianie i katolicy, mówią, że co kobieta chce, to i Pan Bóg tego chce. Jest to trochę sprzeczne z tradycją o raju i o naszej matce Ewie; ale może nowa jaka encyklika tak obróciła rzecz. Żyjemy w wieku inteligencji, cywilizacji, nieustającego postępu i przemian i reform; dla czegoż by, kiedy chłopianki zechcą być pod władzą i w posiadaniu szlachty, i chłopi nie mieli by tego chcieć? Wszak oni nie Bogowie — a jak mówią nasi bracia Rosjanie — Bożyja Baby. Stąd wniosek po nowemu, że kiedy kobieta chce, to i Bóg chce, a kiedy Bóg chce, to i rab Boży chcieć powinien; naturalne na-

stępstwo, po staremu być nie może i nie powinno. Francuzi ze wszystkiem starem pokończyli raz na zawsze, i my ich bracia północy winniśmy iść w ich ślady. Przedstawiłem na sesji towarzystwa psychologicznego i pana Henryka Straszyna i jego plan działania, wypróbowany jego rodem przez kilka pokoleń. Młodzi cisną się na gwałt do takowego działania, wołając: w tej reformie zbawienie praw i przywilejów szlacheckich, uszanowanie swobody i rozporządzenie swoją własnością stanu chłopskiego, równouprawnienie i zlanie się w jedno ciało narodowe. Starzy chociaż pomrukują — dla nas przyszedł czas, ale się nieponują; nadzieja im się uśmiecha, że będzie dobrze, wierzą w cuda. Przedstawiłem plan pana Straszyna, który nosi zwanie: Straszynizm; przedstawię i dwa drugie, tu rozbierane. Zobaczymy, co to będzie, ale jakoś to będzie.»

Tak to radzono o tej kwestji ustroju narodowego — żeby pierwej nim być, wiedzieć jak być, żeby urządzić, co zrobić ze skóry wilczej, będącej jeszcze na wilku, biegającym po lesie.

XIII.

Jeszcze wówczas szablistość nie zmieniła się w malarstwo, ani dyplomacja w dziennikarstwo. Jeszcze wówczas na królewskich pokojach przedmieścia du Rul mistrzem ceremonji był Feliks Trzeciak, huzar i bohater z pod Wasserstadt, w amarantowych rajtuzach ze złotemi galonami, w białej krawacie na szyi, biała kamizelka, czarny frak i rękawiczki łosiowe, te same, w których trzymał szablę do płatania Niemców, a było to żelazo do tłuczenia mięsa i kości, a nie pędzel do smarowania płótna, nowego autoramentu wojaczki polskiej. Ornamentami tych pokojów byli — Chrzanowski, choć malutki, ale jak dukat holenderski ważniutki. Mogącym być Roonem polskim — bylebyśmy koronowanego Wilhelma z kanclerzem Bismarkiem i rozum polityczny pruski — gdyby taka była wola Boża i dodała Polakom do ich rycerstwa zdrowy sens narodowy. Był Karol Różycki, raby licem jak Stefan Czarniecki, ale nie raby sobaka sercem jezuickiem — bo i wojował nawet w imię

Boże, a nie djabła, bo zmienił pogańskie hurra na chrześciańskie sława Bohu. I Józef Dwernicki z obszernym brzuchem, a jak lekkie piórko w mazurku się nosił i o wskazanie harmat do wzięcia Boga prosił. Skarzyński z ostatków ułanów z pod Samosiery. Konarski, Nieszokóć, Ordon artylerzyści, choć do harmat Krupa. Bonecki, Słubicki z niemałą liczbą czwartaków. Gawroński, Michał Mycielski, Kraszewski, Janowicz, Plagowski, Mikołaj Kamiński, Kleczyński, Borowy, Krajewski i poczet ułanów polskich. I szaserów niemało. Franciszek Kirkor, Czarnomski, Wodzicki — z hrabią Ludwikiem Bystrzonowskim, herbu Stary koń. Krakusy. I inne piesze i konne polskie wiarusy. Wszystko to było ruchawe, żwawe, groźne, nie martwe jak na płótnie Grunwaldskiego, albo Wiedeńskiego pobojowiska. I to wszystko, gdyby dosiadło koni i wzięło by się do broni, chwyciło za szable i za spisy, większy by rejwach i popłoch rzuciło między Austryjaki i Prusaki, jak Chlebowski i dwaj Kosaki.

Byli tam — Karol Sienkiewicz, Barzykowski, Morozowicz, Narcyz Olizar, Janusz Woronicz — mężowie stanu.

Adam Mickiewicz, poeta Wszechświata sercem, czynem i piórem; przy nim Juliusz Słowacki, Bohdan Zaleski, Witwicki, Ożarowski, których poczuciem i fantazją Polacy się żywili — i niemi w rycerstwie, w szablistości żyli; nie marnieli.

Byli mecenasi i wydawcy polskiej literatury — Aleksander Jełowicki, z rodu Kniaziów na Perejasławiu, i Eustachy Januszkiewicz, potomek Kiejstutowego i Witołdowego Kanclerza Janosza.

Jeszcze wówczas nie zdali literackie władanie braciom Mojżeszowego wyznania, lwom, królikom, wilkom, a wszystko aj-waj-mirom warszawskiego bruku.

Bo wtenczas jeszcze wierzono w świętą prawdę, choć dawną, którą dopiero dziś określił i ogłosił feldmarszałek Moltke w słowach wyrzeczonych gdzieś nad Menem, blisko Renu:

«Nie kultura, ani filozofia, ani sztuki piękne, malarstwo, muzyka, ani technika, ani przemysł, ani handel — ale wojsko uorganizowane przez cesarza Wilhelma i ministra wojny Roona, a użyte politycznie przez księcia Bismarka, postawiły

Państwo Niemieckie i utrzymuje je na wysokości, na jakiej się dziś znajduje.»

Tak się działo, dzieje i dziać będzie z każdym narodem, który posiada albo chce posiadać swój byt narodowy, swoją niepodległość — trzeba, żeby miał swoje wojsko, siłę i ciało narodowości, swoją dyplomację, duch tej narodowości; inaczej żyć politycznie nie będzie i nie może.

XIV.

Była tam i pani Buraczkowa, hoża, zdrowa, z niepokalaną czystością i z konwulsyjnym strachem brutalstwa mężczyzn; dla tego siadała w fotelach, zwanych fatersztul, albo Wolteriańskie, nie żeby drzemać po niemiecku, albo dowcipkować po Wolterowsku, ale żeby się odgrodzić poręczami od brutalstwa; nie tańcowała choć nóżki do tańca drgały, grała w śwista z matronami. A mocno była cenioną i uważaną, bo ojciec miał wioski z donośnemi dochodami i nie żałował, ani srebra, ani złota dla swojego pierworodnego dziecka. Wszystkie towarzystwa dobroczynne, a tych nie brakło, ciągnęły ją do siebie, i ona z pośpiechem szła, bo była dobra, miłosierna, każdemu lubiła nieść pomoc, byle z daleka i żeby się nie wpatrywał w jej wdzięki, a były niepoślednie, i kibicią i licem i ruchem i głosem i okiem anioła; nawet była wesoła, byle nie gadać o miłości i o małżeństwie, a nie miała więcej nad lat dwadzieścia i dwa, jeszcze daleko, ośm lat, do Balzakowej doskonałości kobiety. Może jak dojdzie tych latek, przejdzie niepokalany statek. Tak myśleli, a może i mówili ci, którzy obliczali — jaki to będzie posag po śmierci pana marszałka.

Rodzina Prawdziców odznaczała się Karmazynowym czyli Amarantowym patrjotyzmem, bo jedna z panien Prawdzicówien, bez pozwolenia ojca i ciotek, atłasową, karmazynową balową suknię pocięła na chorągiewki dla powstańców — i ten patrjotyzm przechowała, bo potem, dobrze już potem, wyszła za mąż i miała syna Karmazyna, dzielnego wojaka.

Na tym królewskim festynie była i panna Magdalena — między temi paniami i pannami prawdziwa kozyra między

prostemi kartami. Była przybrana jak odaliska, jak Ikbała, wybrana haremu, w białej muślinowej sukni, haftowanej złotem, w wiersze z Koranu i w cyfry sułtana i pantofelki białe, haftowane złotem i woal spięty na głowie, że w każdym razie był gotowym przeistoczyć się w zasłonę — jaczmak. A była śliczna jak Peria, Adziemistana, jak Huryska siódmego nieba, i liczyła siedemnasty rok. Wszystkich oczy ku niej się zwróciły, a byli tam książęta krwi, posłowie wielkich mocarstw i małych państw, dygnitarze cywilni i wojskowi i złota młodzież paryska wszystkich stanów i wyznań politycznych. Komnaty polskie były kosmopolityczne w Paryżu, i więcej jak gdzie indziej.

Mistrz ceremonji Trzeciak swoją francuszczyzną, którą żaden Francuz dziś dobrze zrozumieć nie mógł, ale którą rozumieć musieli Francuzi Napoleona Wielkiego, opowiadał, że to córka pana porucznika Kozyry, z regimentu dragonji królowej Anny Jagiellonki, co to była poślubioną za króla Stefana Batorego, co to nie nosił fraka i kamizelki, ale kontusz i czamarę i tłukł Turków i Tatary, tak jak on pod Watersztad Niemców, drabów Teutonów i Szwabów. Że pan Kozyra był w jednej brygadzie z ojcem pułkownika Karola Różyckiego, który służył takoż w pułku dragonji, drogiej królowej polskiej — Jadwigi, żony króla Władysława Jagiełły. Że obydwaj dragoni nie służyli pod Napoleonem Wielkim; jeden został Hreczkosiejem nad Dniestrem, drugi puścił się na włóczęgę w bisurmańskie kraje. Ale że Karol Różycki służył w piętnastym pułku ułanów Trzeciekiego, a on Trzeciak w huzarach Julińskiego — prawił, prawił a nikt go nie słuchał, tylko każdy patrzył na Kozerę, kiedy zawołała: «A tu do gry!»

I poseł turecki nie był mniej ciekawym od innych, zbliżył się do odczytywania wierszy Koranu, haftowanych na sukni, ale wszyscy byli zdziwieni, kiedy panna Magdalena zaczęła z nim rozmowę po turecku i to wykwintnem narzeczem, mięszanem z arabskiem i perskiem, zwanem językiem trójnarzecznym, wyższego towarzystwa Islamu.

Dopiero wtenczas dowiedziano się od pani Buraczkowej, że ciągle się uczyła tego języka, że nim czytała i pisała z wielką łatwością i wprawą, tak jak w języku polskim. Poseł turecki, Reszyd Pasza, zapewniał, że tak się wysławia

jak Turczynka wyższego wychowania, jak jedna z wychowanek na przyszłą panią sułtańskiego haremu.

Nazajutrz już nie tylko sam Trzeciak opowiadał o pannie Kozarzynce, ale we wszystkich salonach Paryża, tak dobrze na przedmieściu San Żermeńskiem jak na przedmieściu San Honorskiem o niej mówiono, nawet w pałacu królewskim, gdzie zaproszonym został bohater z pod Wasserstadt, dla dokończenia swojego opowiadania. Opowiadanie dokończone, nawet przejrzanym został herbarz Niesieckiego, ostatnie wydanie, i tam znaleziono — Kozyra, Kozyrski, herbu trąba, szlachcic litewski z Kowieńskiego. Ale panny Magdaleny już więcej ani w Paryżu, ani na Stukałowym futorze, ani w domu Prawdziców nie widziano.

A pani Buraczkowa na całą odpowiedź rzekła: «Pojechała do umierającego ojca.»

Pani Buraczkowa wróciwszy do wód do Niemiec, w Tyrolu zachorowała i umarła.

Pan Henryk, numer trzeci, hierarchicznie zawiózł tę smutną wiadomość panu marszałkowi Prawdzicowi — gdzie wiele płakano, trochę się pomodlono, jak się to zwyczajnie dzieje na tym Bożym świecie.

Zawiózł drugą smutną wiadomość Panu Kozyrze, którego zastał na Stukałowym futorze hożym i zdrowym, na swoje prawie wiekowe lata pasiecznikował — wysłuchał.

«Co zamarzyła, to i wykona — bo marzenie to drugie życie, to prolog do czynu.»

XV.

Dwa lata upłynęły od zniknięcia panny Magdaleny, kiedy w Istambolu miał miejsce następny wypadek.

Jest to obyczajem religijnym i narodowym u muzułmanów, że na trzecią noc przed ukończeniem postu Ramazan — na trzy doby przed uroczystością Bajramu — dają sułtanowi, kalifowi Islamu, w podarku dziewicę, która zostaje jego oblubienicą, Ikbalą, już na uroczystość Bajramu. Ten podarek zwyczajnie się ofiaruje przez sułtankę matkę, walidę — albo przez sułtanki siostry, albo przez Szeik Islamu, papieża Islamu, a bardzo rzadko przez Wielkiego Wezyra,

Sadrazama, albo innego dygnitarza państwa. Trzeba być bardzo zasłużonym, cenionym i poważanym, żeby dostąpić takiej czci.

Dziewica podarku, Ikbala, jest wybraną między wszystkiemi dziewicami krasą, dowcipem i zdolnościami, od dziecka ją pielęgnują i staranną jej dają edukację. Najczęściej wybierają takie dziewice między Czerkieskami, Gruziankami, a czasem, dość rzadko, innych narodowości, byle była niewolnicą — bo sułtan, żeby się mianować niewolnikiem Bożym, abdul, musi być synem niewolnicy, bo inaczej sułtan, kalif Islamu, nie mógłby być niewolnikiem nawet Bożym, a padyszach, władzca świata, musi brać niewolnictwo z łona matki, żeby się ukorzyć przed Bogiem.

W tym roku Reszyd Mustafa pasza, ten wielki mąż stanu, ten wielki dyplomat Islamu, może większy od włoskiego Kawura, od niemieckiego Bismarka, bo był przytem człowiekiem wielkiego serca — dostąpił tej czci.

Za zgodą sułtanki matki i Szeika Islamu, dziewica wychowana w haremie Reszyda paszy, miała być podarkiem Kadry Giedżesy, błogosławionej nocy.

W pierwszych dniach Ramazanu ta Ikbala przedstawioną była sułtance walidzie i tak zyskała jej serce, że ta nie puściła jej już od siebie i była ciągłym gościem matki monarchy. Sułtan Abdul Medżyd ją widywał i był zachwyconym nie tylko jej krasą, ale jej wychowaniem i jej rozumem, wszystko zwiastowało szczęście i radość. Kiedy w wigilją tej błogosławionej nocy zaniemogła Ikbala, posłano po lekarzy, po głównego doktora Szpicera; wszystkie starania i usiłowania nic nie pomogły, umarła — była otrutą.

Jakie były poszukiwania, jakie kary, to zostanie niewiadomem światu zapałacowemu, a może i tajnią w świecie pałacowym, i to się nigdy nie wykryło.

Ale kto był ta Ikbala, o tem dowiedziałem się w następny sposób.

W ogrodzie pałacu, zwanego Czyrapan, obok którego mieszkała sułtanka walida, był ogrodnikiem Bawarczyk Szester, znamienity specjalista i zacny człowiek — miał swoim pomocnikiem Polaka I . . ., młodego człowieka, dobrze wychowanego, szlachcica, z tak zwanej emigracji węgierskiej. Ten przechodząc po ogrodzie w wigilją tego

nieszczęsnego dnia, znalazł na piasku wypisane parasolkiem słowa jak najwyraźniej:

«Wszystko dla Polski. Magdalena.»

Pan I. prosił mnie o tajemnicę i ja też ją święcie zachowałem, bo jej wykrycie na nic by się nie zdało.

W kilka miesięcy później przybył do Konstantynopolu, niby w przejeździe do Jerozolimy, stary pan Kozyra, miał do mnie list polecający od mojego dawnego przyjaciela, jeszcze z kraju i z emigracji z Francji, Piotra Kopczyskiego, zamieszkującego w Winnicy. Przyjąłem go serdecznie w moim domu i tam mi opowiedział o swojej córce i zwierzył się, że istotnym celem jego podróży była chęć dowiedzenia się o niej. Opowiedziałem mu o otrutej Ikbali i o napisie na piasku w polskim języku, poznałem go z panem I . . ., i stary ojciec płakał i myśmy płakali. Nie pojechał do Jerozolimy, nie wrócił do Stukałowego.

«Tam bezemnie się obędą, a tu gdzie moja Dusia i ja zostanę!»

Osiadł na osadzie polskiej, zwanej adamskiej, u stóp Allemdogu; żył pod przybranem nazwiskiem Żmudzina i założył pasiekę.

W roku 1869 umarł i według swego życzenia pochowanym został przy grobie wielkiej Polki Ludwiki Śniadeckiej.

On zawsze modląc się przy tym grobie, mówił o swojej córce, powtarzając:

«I ona była taka. Jedna nią była, druga chciała nią być — takie to nasze Polki!»

Do tego opowiadania dołączam jeszcze o następnym wypadku.

Nieszczęsnego roku śmierci sułtana Abdul Medżyda, tego wielkiego monarchy serca i rozumu, mojego dobroczyńcy — odebrałem list z Paryża od Francuzki z szlacheckiej rodziny, której adres w papierach się moich gdzieś zawieruszył i zatarł w pamięci — co mi się rzadko zdarzało. Pisała ona:

«Jestem bogatą, nie zależną od nikogo, mam więcej jak potrzeba krasy, młodość, wychowanie i talenta, nie zastrasza mnie los mojej przyjaciołki Magdaleny, którą Pan znać musiałeś, bo nieraz o niej mówiłyśmy. Chcę iść w jej ślady

i dostać się do haremu sułtana i spełniać misję przez nią zamierzoną. Pan jeden możesz mi to ułatwić i do niego się udaję w imię drogiej mi Magdaleny.

Wówczas komenderowałem Kozakami i dragonami i miałem wstęp do pałacu. Po naradzeniu się z panem Antonim Alleonem, moim przyjacielem osobistym i politycznym, a przybocznym bankierze sułtańskim — pismo było oddanem do rąk sułtana. Sułtan już mocno chory, był jednak bardzo uradowany, kazał panu Alleonowi zająć się informacjami i to jak najprędzej.

Odpowiedź przyszła, stwierdzająca wszystko a wszystko, co ta panna o sobie pisała, z najpochlebniejszemi dla niej dodatkami.

Przyszła na kilka dni przed śmiercią sułtana. Sułtan ją jednak czytał i powiedział:

«Niech przyjeżdża; ja chcę!»

Ale nim pismo napisano, już wielkiego sułtana nie było na świecie naszym — i wielka myśl nie została wcieloną.

Parchimów, 14. Listopada 1883.

O JEŹDZCACH I O KONIACH.

I.

Ostatnia wojna między Prusami a Austrją, czyli między Niemcami Teutonami a Niemcami Szwabami, zakończona zwycięstwem pod Sadową — wielkie dzieło wzorowego monarchy, Hohenzollera — uchwala, że mimo ulepszeń broni palnej, że mimo wynalazku rozmaitych pocisków wojny, które jedne od drugich szybciej i gęściej niosły śmierć i kalectwa w szeregi wojsk, kawalerja odegrała ważną czynność i jest powołaną jeszcze do ważniejszych, jeźli się zajmą wydoskonaleniem jej organizacji, wyrobieniem jeźdźców i koni, tak w ruchach pojedyńczych, jak zbiorowych, tak pod względem materjalnym, jak i pod względem moralnym.

Walka Prusaków z Francuzami, która się odbyła przed naszemi oczyma i która przybrała olbrzymie rozmiary, nie tylko potwierdziła ważność mienia licznej i dobrej kawalerji, ale zadała kłam czynem owemu niesłusznemu zdaniu, umniejszającemu jej wartość, wypowiadanemu mianowicie przez wielu uczonych wojskowych Francji, którzy w rozumowaniach i wnioskach technicznych zapomnieli o kawalerji Napoleona Wielkiego.

II.

Waleczny i śmiały generał kawalerji pruskiej, Sejdlic, zrozumiany i poparty przez swego monarchę króla Fryderyka Wielkiego, przeistoczył kawalerję średnich wieków, ciężką i nie dającą się łatwo poruszać, na istotną kawalerją do potyczek i do wojny, dającą się, według starego przysłowia,

miąć jak rękawiczka na wszystkie strony. Czy generał Sejdlic oddawał się poszukiwaniom naukowym o jazdach Tatarów, Numidów, Arabów, Turków i Kozaków, czy też natchnięty popędem ludzi czelnych — przewidział i pojął potrzebę zmian w dawnej kawalerji, to nie ma żadnej doniosłości dla naszej gawendy, dość, że przybrał szyk bojowy nie głęboki i szybkość w ruchach i w natarciach; podstawy czelne wartości jazd Wschodu. Te dwie zasadnicze zalety kawalerji podciągnął zręcznie pod przepisy stałego szyku i ruchów wojskowych, uporządkował nieporządek i stworzył piękną i dobrą kawalerją pruską, która stała się podówczas wzorem dla wszystkich kawalerji państw europejskich.

Generał de Moltke, ten wielki mąż wojny, który na Wschodzie oddawał się głębokim i ścisłym poszukiwaniom i ocenianiem dawnych wojen Wschodu, wprowadził do kawalerji pruskiej cały system przednich i bocznych straży, rozpoznań i czuwania, że tak go nazwę — Dżengishana, Timur Lenga, Beglerbegów z rodu Ewrenosów, Michaloglów i atamana Płatowa.

Temu wzorowi jazdy wschodniej, szybkiej i mnogiej, rozpierzchającej się na wszystkie strony we wskazane kierunki; kupiącej się migiem na punkta oznaczone; temu wzorowi jeźdźca, wyćwiczonemu w jeździeniu wojennem na koniu, wsadzonemu na wytrwałe i dzielne konie, dodał wyrobienie umysłowe, obeznanie się z kartą geograficzną i z grubego topografią. W barbarzyńskie ciało wcielił ucywilizowaną duszę, rozjaśnił nowy świat dla kawalerji i utworzył nowy wzór jazdy, która musi być naśladowaną przez wszystkie państwa Europy.

Prusom tedy należy cześć uposażenia wszystkich jazd świata, wzorem swojej jazdy, i to wtedy, kiedy Francja zdaje się zapominać swoich tradycji, swoich Lasalów, Kielermanów, Muratów, Nansutych, Lefebwewrów, Desnuetów i wielu innych, którzy szeroko rozsławili wojsko Napoleona Wielkiego i broń kawalerji — zdolność, że tak powiem, duchową jazdy i zaufania w swojej broni. Mimo szlachetne i gorące usiłowania niektórych oficerów, jak generała Adhemar i kilku innych — upadło wzięcie jazdy pod formułką uczonych wojskowych, którzy wydali wyrok, że kawalerja przy szaspo-

tach i kartaczownicach stała się sprzętem wojskowym zbytku, nie użytecznym, chyba na posyłki dla oficerów sztabowych, do eskort i do parady — nawet nie dozwolono jej mieć właściwej i samoistnej działalności w rozpoznaniach i w zwiadach. Jazda pruska ze szkodą Francji zadała nieprawdę zdaniu tych przemądrzałych teoretyków i postawiła na nowej stopie kawalerją, czyli ją rehabilitowała.

III.

W Turcji, tej kolebce jazdy i jeźdźców, zawzięto się, żeby nie ulepszać jazdy, jeźdźców i koni.

W kawalerji tureckiej zaniedbano ćwiczenia jeźdźców i koni, zaniedbano ćwiczenia szwadronowe i pułkowe, do tego stopnia, że jeden z najzawołańszych generałów brygady i najstarszy w służbie utrzymywali, że mając pułk rozwinięty w linię, dość jest umieć zakomenderować szwadronami z prawa, ścisnąć kolumnę do defilady, stępą marsz. Że on więcej nic umie i nie umiał, a jednak już dwadzieścia kilka lat piastuje wyższe dowództwa w jeździe z wielkiem zadowolnieniem naczelnictwa i używa w kawalerji tureckiej opinji mistrza tej broni.

W Turcji miano za prawidło, umieszczać oficerami w kawalerji ludzi nierozgarnionych, na pół idjotów, albo szalonych. I tak w roku 1856 jednemu Polakowi, dla którego koń był zwierzem przedpotopowem, bardzo strasznem zwierzem, a śmierć poczwarą jeszcze straszniejszą, w obronie od której nosił wszystkie kieszenie swego stroju napchane kamforą — ale napisał dziwolążną rozprawę o kierunku balonów, z której się śmiano — dano dowództwo jednego z najdzielniejszych pułków jazdy. Kiedym przedstawiał ministrowi wojny, Hussein Awni paszy, że to się nie godzi — odpowiedział: «W kawalerji wielkiego rycerza nie potrzeba, chce latać balonem w powietrzu, będzie latał na koniach po ziemi!»

Drugiemu Kaukazjanowi, nie umiejącemu ani pisać, ani czytać, chciano także dać dowództwo pułku, bo jednem cięciem szaszki ucinał łby baranom, a nawet jednemu bawołowi. Zaprotestowałem na piśmie — że właściwiej go użyć na kasab baszy (głowę rzeźników) i dano pokój.

Zdaje się, że w Turcji zasadzono wartość oficera kawalerji, aby miał konie wypasione i wykazywał rządowi oszczędność na jęczmieniu, sianu i słomie.

Jeźdźcom wzbraniano używać konie innym ruchem jak stępą — wzbraniano, żeby nie trzymać długi czas na powietrzu, ochraniając sierć od stracenia blasku, nie przyzwyczajać do strzelania, żeby nie psuć prochu.

Takie instrukcje i zakazy zastępowały ordonanse w kawalerji tureckiej.

Konie arabskie, kurdystańskie, turkmańskie, bośniackie i arnauckie posiada państwo otomańskie, i te bez zaprzeczenia są najwyśmienitsze dla kawalerji — te konie sprzedają się za bezcen do Grecji, do Serbji i do Austro-Węgrji. A ministerium wojny nakazuje kupować wysokiemi cenami dla swojej kawalerji konie z Rosji, z Siedmiogrodu, zwane przez Turków Katana, szkapy zawadzkie; konie te galopują jak krowy, ale oficerowie tureccy mają w nich upodobanie, bo nie rozbijają frontu, nie unoszą.

Znałem jednego pułkownika, który miał cały pułk na dzielnych anadolskich koniach i podał prośbę, żeby mu je przemienić na katany, zapowiadając, że wtenczas dopiero będzie mógł manewrować, wolno, jawasz, jawasz — ciężko, ahyr, ahyr, nie potrzebując nakazywać jeźdźcom, by się trzymali w siodłach, ani też, żeby trzymali konie w cuglach.

Między Szumną a Dunajem, na kilkanaście werstw wzdłuż, a na trzy razy tyle wszerz, ciągną się lasy, zwane Delioman — szalony las. W nich były dawne osady wojskowe Spahisów, Osmana, Murada, Bajwsyda, Sulejmana i Mehmeda podbójcy. Potomkowie tych dzielnych Spahów przechowali nie tylko osady, ale nawet porodę koni, na których praojcach pułki Beglerbejów zapuszczały zagony po Styrji, Karyntji, Karnioli aż do Tyrolu — a które kopytami swemi oswobodzając i Madziarów i Słowian, zorywały step zawłaszczony Habsburgami na niwę sułtana, kalifa Islamu. Te to konie, jak jelenie krótkie a wysokie, dziarskie a ogniste, zakazano kupować w remontę wojsku otomańskiemu; prosiłem Toad paszy, podówczas wielkiego wezyra, i Seraskiera o pozwolenie remontowania pułku kozackiego tą porodą na próbę, i dostałem ono. Kupiłem sto kilkadziesiąt koni, większą część w stadzie Kurda Seryf Beja, właściciela

ziemskiego w Adrjanopolu i w wielu miejscach Deli Ormanu — po cenie zbyt niskiej, bo nie przenoszącej 50 r. za konia. Wsadziłem na nich cały szwadron Kozaków: po trzech miesiącach obszarpania i objeżdżania z gruba — prosiłem o oficerów sztabu, by byli obecnymi przy próbie.

Zrobiłem marsz stu werstw jednego dnia, na drugi dzień wróciłem do Adrjanopolu, sto werstw takoż, na trzeci dzień szwadron manewrował, a konie były takie hoże, dziarskie, ani znać na nich nie było odbytych marszów.

Po mojem opuszczeniu dowództwa Kozaków i służby wojskowej otomańskiej, jak to zwyczaj, zaczęła się i reforma organizacji Kozaków, dla tego jedynie, że wszystkie prawie ruchy odbywane kłusem, galopem, nawet w cztery podkowy, to jest cwałem, i akulkt hygieniczny uznał one za szkodliwe zdrowiu — a przytem bardzo zręcznie i wprawnie odbywały te pułki dżygitówkę i karuzel — Hussein Awni, że to wcale niepotrzebne, męczące ludzi i konie — zsadzono dragonów z koni, za usługi znakomite, oddane w Bałkanach i na Libanie. Fuada paszy już nie było na tym Bożym świecie, a Riza pasza był w niełasce, a Hussein Awni, naczelnik mekteblich — tak zwano uczniów szkoły wojskowej tureckiej, któremi napełnił całe wojsko i rządził nim samowładnie, jak Espartero w Hiszpanji, jego naśladował. W ten sposób Turcja reorganizowała swoje wojsko i przygotowywała na stopę wojenną. Zobaczmy w jaki sposób generałowie Roon, Moltke i cesarz Wilhelm przygotowywali jazdę wojsk pruskich i niemieckich.

IV.

Po zwycięstwie pod Sadową, przed jawnem przygotowaniem się do wojny z Francją, rząd pruski zakupił znaczną ilość koni w Rosji, zwanych tabunnemi, z porody kozackiej, tatarskiej, kałmuckiej, baszkirskiej i kirgiskiej, tych bachmatów, nie świetnych pozorem, ale przebiegających odległości nie do uwierzenia, bez zmęczenia się — w potrzebie żywiących się liściem i korą z drzew, znoszących zimno i gorąco z równą obojętnością. Są one prawdziwymi współtowarzyszami ludzi wojny. Przodkowie tych bachmatów

nosili po zdobycze i po sławę jeźdźców Dżengishana i Tamerlana, a ich naśladowcy harcują pod jeźdźcami rosyjskimi, na stepach Turkiestanu, i pod rejterami teutońskimi, na polach pięknej Francji. Dzienniki rosyjskie sprawiedliwie twierdzą: «Prusy nam winne w wielkiej części swoje zwycięstwa na bachmatach naszego stepu; te rejtery teutońskie niosą trwogę i pożogę najpierwszemu narodowi porody łacińskiej, tej Francji dumnej ze swoich zwycięstw, ze swoich podbojów!»

General Moltke, w ten sposób uposażywszy kawalerję pruską, w główną podstawę jej wartości, w konie szybkie i wytrwałe, wybrał między żołnierzami pruskimi, a raczej kazał wybrać tych wszystkich, którzy celowali sprytem, ruchawością i rozwiniętym umysłem, i wcielić ich polecił do pułków, zwanych ułańskiemi; a chcąc utrzymać na wysokości postanowionej organizację tych szperaczy wojny, postanowił, że każdy oficer lub podoficer tych ułanów, któryby nie okazał dość zdolności i przezorności, będzie odesłanym do jazdy linjowej, a jego miejsce zostanie zastąpione zdolniejszym i przezorniejszym. Takiego sposobu użył ten mąż wojny do stworzenia jazdy, która oddała wielkie usługi wojsku i stała się podziwem ludzi wojskowych.

V.

Żeby mieć dobrą jazdę, trzeba mieć dobre konie, wybierać je w porodach stósownych do każdej broni i dać, że się tak wyrażę, edukację właściwą.

Każdy kraj ma konie zdolne do kawalerji. Prusy mają konie wystawne i dobre na Pomorzu, z porody żmudzkiej kiejstutowej — w Westfalji, stada królewskie, uorganizowane i prowadzone dla pożytku, a nie dla błyskotki, dostarczające konie okazałe i dzielne pod sztaby i oficerów, konie mocne i odważne. Holsztein ma konie porody sławnych niegdyś koni duńskich.

Już po wojnie francuskiej, książę Fryderyk Karol, ten uczony i doświadczony oficer kawalerji, jak mi mówiono, miał sobie poruczonem studjowanie przymiotów i wad kawaleryjskich, poród koni europejskich — i tak się wziął do

tego studjum. Były egzemplarze kupione w Rosji — wzięte na austro-węgierskiem wojsku pod Sadową — na Francuzach w 1870 roku, kupione w Hiszpanji i we Włoszech. Porozdzielano je po pułkach, kazano używać do służby i utrzymywać wszystkie jednym i tymże samym obyczajem. Dowódzcy pułków zostali obowiązanymi do zdawania jak najszczegółowszych raportów, codziennie i o każdym koniu. Po trzech latach takiego studjowania komisja pod prezydencją księcia Fryderyka Karola egzaminowała jak najściślej wszystkie raporta i zadecydowała, że pierwszym koniem kawalerji jest koń z Pomorza porody kiejstutowej, drugi koń kozacki doński, trzeci koń polski z Galicji. To mi było opowiadanem przez Polaka, oficera wojska pruskiego, zasługującego na wiarę — porucznika Mizerskiego z Poznańskiego. Umieszczam to jako fakt rozumny i praktyczny, dowodzący pieczołowitości rządu pruskiego o swojej kawalerji, tak jak i o wszystkiem innem.

VI.

Austrja ma dobre konie na Węgrzech i w Galicji, ale ich nie wiele, mnogie ma w Siedmiogrodzie, tak zwane mokańskie, nie pozorne, ale dość rosłe i mocne i od biedy mogące być użytemi do kawalerji — do pociągów zdatne; jest to poroda zmięszana tatarskich koni Budżaku z miejscowemi romuńskiemi. Austrja ma także bardzo piękne stada cesarskie z poród angielsko-arabskich.

Turcja ma wyborne konie lekkiej jazdy, arabskie, kurdystańskie, turkmeńskie, bośniackie, których dzielność wsławili Beglerbejowie Rumelji i Anadolji — Królewicz Marko i Iskinder Bej Kastriota, arnauckie, zwane mureckie, i bułgarskie deliormańskie. Stada sułtańskie jeszcze przechowały dawną dzielność i dawną krasę, ale są w takiej deorganizacji, jak całe państwo otomańskie — wszystkie te stada są zebrane w jednej miejscowości. Koło Kultai — w Czyfliku, farmie zwanej Czyfleli Czyflik — administracja jest wojskową — pułkownik z jednym pułkiem gwardji do tej służby był przeznacznym. Na dowód, jakie się tam działy nadużycia, przytaczam następny przykład. W sąsiedztwie

Czyfleli Czyflika znachodziła się osada kozacka Binewle (tysiąc domów). Kozacy Ignatu Nekrasy, czyli Nekrasowce, odbywali powinność wojskową, dając na wojnę nakazaną liczbę Kozaków, uzbrojonych i ubranych swoim kosztem i na swoich koniach, i zwali się Wojsko Ignata Nekrasy Kozaków. Że to są ludzie bogaci i zamiłowani w przepychu wojskowym, i kiedy cała kawalerja turecka siedziała na bardzo dobrych koniach od 60 do 100 r. sr., Nekrasowce siedzieli na koniach wartujących od 400 do 500 r. najmniej za każdego — ale w jaki sposób nabyte? Starszyzna Nekrasowców umawiała się z dyrektorem stada, za taką a taką cenę, za każdego konia, przyprowadzała liche konie, kupione tanio w okolicy, a tam je mieniała na dzielne i cenne dżumety, ale tejże samej maści. Posyłano do Stambułu liche szkapy pod służbę dworską, a Nekrasowce harcowali na najdzielniejszych koniach, jakie tylko mieć może kawalerja. Mówiłem o tem komu należało, ale na to nie obracano uwagi, czy też rozmyślnie nie chciano obracać.

W parę lat po wojnie, zwanej krymską, przedstawiłem Seraskierowi, podówczas Mehmed Raszdemu, użyteczność wsadzenia jednego szwadronu na same klacze, żeby w ten sposób utworzyć remontę pułkową własną, a przynajmniej pomoc do niej. Seraskier się zgodził i wysłanym został Polak, pułkownik Paczek Ilderim Bej — książe Piorun, za kupnem tej remonty. Dano mi siedem tysięcy rubli; posłałem pułkownika Paczka z potrzebnemi rozkazami i instrukcjami do osady Nekrasowców. Przyprowadził sto klaczy, które były podziwem wszystkich znawców w Stambule, i Paczek złożył pozostałej reszty tysiąc kilkaset rubli. Seraskier przyjąć ich nie chciał, pułkownika nagrodził, udekorował i rozkazem dziennym ogłoszono po całem wojsku, że takiego drugiego człowieka nie masz w całej Turcji.

Klacze były ze stada Czyfleli Czyflik.

Francja ma konie simużyńskie, z krwi arabskiej do lekkiej jazdy, bretońskie pod huzarów, normandzkie, a nawet alzackie pod kirasjerów i do pociągów. Według generała Nansutego jedyne do ataku kirasjerów, bo nie wyskakują jeden przed drugiego, ale cisną się jeden do drugiego i idą ławą — i jak lokomotywa wszystko tłoczy i naprzód a naprzód.

Włochy mają dziarskie konie w stepach i pustkowiach Rzymu, pod lekką jazdę, pod baszybozuków wojny, a neapolitańskie okazalsze i do pociągu.

Hiszpanja ma andaluzyjskie, strojne, odważne, ale nie wytrwałe.

Rosja obfituje i dla siebie i dla drugich, w rozmaite porody koni wojny, ma dżumedy i bachmaty i rysaki i skakuny i bieguny. Między niemi są porody czelne — ukraińska, polska, dońska, czarnomorska, kałmucka, kirgiska, baszkirska, kubardyńska, turkmeńska; wszystkie porody Wschodu, ulepszone stada carskie i wielmożów państwa. Rosja jest posiadaczem poród końskich, takim jakim Rotszyldy posiadaczem kapitałów pieniężnych świata.

VII.

Tu wstawiam podanie o koniach arabskich, które mi czytano w broszurce po arabsku drukowanej w Alepie. Pięćset lat przed narodzeniem Mahomeda, w Hedżazie zebrało się rycerstwo arabskie do wypróbowania koni, przeciąg czasu przeznaczony na lat sześć. Stósownie do opowieści — do czterech lat konia niech twoje żony i dzieci na nim jeżdżą, do lat dziesięciu ty sam na nim jedź, a po dziesięciu niech twój wróg na nim jeździ.

Zebrało się trzystu jeźdźców na trzystu ogierach czterolatkach. Ruszyli w pochód, na wyprawy wojenne. Dwa lata bez jednego miesiąca nie było ich w rodzinnem miejscu wróciło tylko trzystu trzydziestu na tyluż ogierach. Po odpoczynku jednomiesięcznym wyruszyli w nowy pochód i znowu byli nieobecnymi w kraju rodzinnym przez dwa lata bez miesiąca, wróciło ośmdziesiąt i ośm. Znowu odpoczynek miesięczny i pochód, wróciło tylko pięciu po dwóch latach. I te pięć ogierów dziesięcioletnich uznano za rumaków godnych do wojny — i rozdano ich na stadników pięciu pokoleń — Enezom koło Bagdadu, Saglawym koło Bassory, Gurdzy, w górach Libanu, Neżdom w okolicy Alepu i Wehabitom w Arabji Skalistej. Z prawem wyrytem na złotej tablicy — że każdy ogier stadnik należy do pokolenia, że każda klacz będzie stanowioną wskutek decyzji szeika i dwu-

nastu emirów, wydanego na piśmie. Jak się urodzi źrebię, oglądają je, mierzą odległość członków jednych od drugich i wydają berat (świadectwo), że jest czystej krwi — hanedan. Jeśli egzamin nie odpowiada wydanym i utwierdzonym postanowieniom, źrebię zostaje bez beratu. Klaczki narodzone są przypuszczone do egzaminu i beratu. Berat zawiera rodowód i jest przypieczętowanym trzynastu pieczęciami dwunastu emirów i trzynastego szeika. Wtenczas zaczyna się licytacja na wszystkie członki narodzonego źrebaka, jeden kupuje ucho, drugi nogę i t. d., póki wszystkie członki nie będą rozkupione, a to dla tego żeby ogier nie został sprzedanym i nie wyszedł z pokolenia — bo niepodobna a przynajmniej bardzo trudna byłaby zgoda całego pokolenia na sprzedaż. Pieniądze z licitacji należą do właściciela matki, klacz beratli należy do właściciela matki. Źrebięciu zasługującemu na berat przekłuwają uszy przy trzonkach i przewlekają sznurkiem z czerwonego jedwabiu, żeby nie był klapouchym.

W stajniach sułtana Kalifa znachodzą się ogiery z beratami, sułtan Abdul Azis miał ich kilka. — Merdżań, pstrąg, na którym jeździł; Giuczel Giaz, piękne oczy, którego posłał w podarunku cesarzowej Eugenji, i trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam, a który był dany Wielkiemu księciu Mikołajowi starszemu. U wysokich dostojników rzadko bardzo bywał ogier Beratli, u chrześcian, giaurów, prawie nigdy. Klacze Beratli daleko częściej zdybywać można u rozmaitych ludzi, bo te, będąc własnością jednego a niewielu, dla tego można je łatwiej nabywać.

W roku 1850 wybuchło powstanie Arabów, w Giaur Daga; na uśmierzenie tego ruchu posłanym został z Alepu oddział kawalerji tureckiej, pod dowództwem Binbaszego Szamil Beja (Solnickiego, byłego majora w drugim pułku ułanów polskich 1831 roku). Dziwnym składem większa część tego oddziału miała oficerów Polaków — Mehmed Bej, Liberadzki, Isa Bej, Pruski, Mussa Bej, Sobczyński. Arabami dowodził emir Abdullach, znany ze swej odwagi, ze swej dzikości i ze swych rozbojów, które nazwać można patrjotycznemi, bo napady były na władze administracyjne, na oddziały wojska, na karawany rządowe i na to wszystko, co należało do sułtana Kalifa. Banda powstańców liczyła kilka tysięcy jeźdz-

ców. Solnicki, ułan tak zwanej Konstantynowskiej szkoły, z pięciuset ułanami tureckimi napadł w nocy na obóz powstańców. Walka była zażarta, piekielna; na drugi dzień naliczono do tysiąca trupów zakłutych, porąbanych. Ale emir z częścią haremu umknął w góry — Solnicki z Liberadzkim i kilku jeźdźcami puścili się w pogoń; dognali. Solnicki dognał i zarąbał broniącego się emira, ale biały ogier, na którym siedział emir, z rozwścieklenia padał na konie pogoni i jeźdźców — zwalił z nóg, w dybach przednimi nogami wskakiwał na nich, bił kopytami, kąsał zębami, dwóch Turków na śmierć ubił, bronił trupa swojego pana i jego haremu. Wpakowano mu kilka kul, kłuli, rąbali, i dopiero wtenczas dano mu radę — kiedy miał dwie przednie nogi u łopatek przestrzelone i kulę wpakowaną w kłąb lewy tylnej nogi. Śmiało powiedzieć można, że został na jednej nodze — ale taki był dumny, hardy i okazały, że zwycięzcy postanowili go oszczędzić. Poszanowali dżumeta wojny — wiele mieli pracy, żeby go odprowadzić od trupa pana, a więcej jeszcze, żeby go nakłonić, żeby jadł, pił i żył. Miał on na szyji, na jedwabnym sznurze jak amulet, puszkę srebrną, w której był jego berat — arslan (lew). Syn Kanedana (szlachcica) i Efry (zmyji) ze szczegółowemi wypisami i z trzynastu pieczęciami, dwunastu emirów i jednego szeika. Tego rumaka Polacy zwycięzcy przysłali mnie w podarunku, jako reprezentantowi sprawy polskiej w Turcji. Zostawiłem go na stadnika kilkunastu klaczy rozmaitych poród, które miałem w folwarku, Sazby-Bosnia, pod Stambułem, danym mi w dożywocie przez sułtana Abdul Medżyda. Ten koń o jednej nodze, stępą chodził jak pijany, przewalał się to na jedną, to na drugą stronę, zdawało się, że lada chwilę upadnie — ale kiedy się siadło na niego, wyskakiwał w pląsy i w susy, tak lekko, że jeździec tego ani czuł — a kiedy patrzał, jak to drugi na nim jeździł, pomyślał: Jak ja mogłem na nim dosiedzieć. Na polowaniu z chartami charty prześcigał i zające jak chart obracał, przeskakiwał jak najwyższe płoty, przesadzał rowy, a nawet szerokie przepaści do nie uwierzenia; po bruku stambulskim galopował i cwałował jak po piasku i nigdy się nie potknął, a kiedy zarżał, wszystkie konie drżały jak w febrze — a przytem był łagodny, posłuszny, przywięzujący

się do człowieka. Trzymałem go do 1856 roku, i na prośby Ali paszy z Alepu, krewniaka emira Abdullacha, zamieniłem na gniadego ogiera, wysokiej porody Saglawy, którego posłano do Odesy i przedano panu Grzymale, obywatelowi tego kraju.

W 1853 roku miałem sobie przysłaną w podarku od generał-gubernatora Diarbekiru klacz jasną gniadą z gwiazdką na czole, z trzema nogami białemi po kostki, przednie i i zadnie od wsiadania, z wklęsłością na szyji, od wsiadania takoż, którą zowią palcem Bożym — przyznaki szczęścia i błogosławieństwa. Nieraz mi się zdarzyło, na ulicach miast, albo na drodze, być zatrzymywanym przez starych Muzułmanów jedynie dla tego, żeby uzyskać pozwolenie ucałowania kopyt i popieszczenia nozdrzy błogosławionej klaczy. Zapłaconą była pięćdziesiąt tysięcy piastrów, i to z pewnością, bo je wypłacił doktór Przyjałgowski. Na niej służyłem przez całą kampanją, zwaną krymską, i odbywałem wszystkie moje służby od 1853 aż do 1870 roku. Opuszczając służbę wojenną, nie chciałem jej turbować, bo miała według beratu dwadzieścia sześć lat skończonych; ale jeszcze chodziła dzielnie, przez pół godziny trzeba było dzielnego jeźdźca, żeby na niej dosiedział. Zostawiłem ją memu przyjacielowi Bułgarowi Anastazemu Stojanowiczowi, czorbadnemu Szumny. Nie wiem, czy żyje, czy ją zastanę na tamtym świecie; ja sam tam wkrótce pójdę.

Takie było przekonanie, że gdzie ona, tam szczęście i błogosławieństwo Boże — że kiedym odjeżdżał do Stambułu na jakiś czas, w pułkach proszono mnie, żebym jej nie brał z sobą, ale zostawił przy pułkach. Kiedym organizował dragonów w Stambule, wziąłem z sobą moją klacz. W pułku kozackim zaczęły się pojawiać nieprzyjemne wypadki. Pułkownik Franciszek Kirkor, jeden z najlepszych moich przyjaciół, zatelegrafował: «Proszę przysłać Giuzellę (Piękną) — tak się nazywała klacz — pułk żąda.» A mój stary sługa Achmed dodał: «Tak, koniecznie potrzeba!» Posłałem, i wszystko wróciło do dawnego porządku. Cytuję tu ten zabawny przesąd, jako przywiązany do koni arabskich Berafli. Była bardzo łagodna, jak wszystkie konie tej znamienitości. Tak polubiła Kozaków, że każdy Kozak był dla niej przyjacielem, od każdego innego żołnierza zżachała się i nie

dała mu do siebie przystąpić, a tem bardziej wsiąść na siebie.

Miałem i drugą klacz Beratli, zwaną Dilber — kokietkę — białą na czarnej skórze, dziwnie pięknych składów i całości, tak że przyznaję, że nie widziałem w życiu mojem piękniejszego konia. Należała ona do Abos paszy, wicekróla Egiptu, wygrała kurs biegowy z kilka końmi angielskiemi; Anglicy dawali za nią sto tysięcy piastrów. Wicekról darował ją swojemu synowi Ilhami paszy, zięciowi sułtana Abdul Medżyda. Ogromnie ognista zrzuciła z siebie Ilhami paszę — rozgniewany, przez mojego przyjaciela Sefer paszę, generała Władysława Kościelskiego, przefacjendował na lichego rachwana z warunkiem, żeby Kozacy ją ujeżdżali za karę. Sam jeździłem na niej i przed frontem pułków i na polowaniach; była bardzo wygodna i przyjemna w jeżdżeniu, ale się z nią obchodziłem łagodnie. Dałem ją mojemu synowi starszemu, dobremu jeźdzcowi, uczniowi szkoły paryskiej Sensir (Saint Cyr). Ten ją użył po europejsku szpicrutem i ostrogami: klacz wpadła w szał nerwowy, poniosła go wprost na mur i sama się zabiła na miejscu i memu synowi skaleczyła oko — z czego dotąd został ślad.

Konie arabskie Beratli są tak jak stara szlachta herbowa, z czasów Piastów i Jagiellonów; prędzej czy później, zawsze krew zagada po swojemu, choćby ją jak przerabiali.

Cytuję te wypadki z własnego osobistego doświadczenia, a nie ze słyszenia, albo z wypisania z książek i dlatego pozwalam sobie powiedzieć kilka słów, nie o klaczy Beretli i arabskiej, ale o naszej ukraińskiej.

Mieszkając pod Berdyczowem, miałem niewielką stadninę, złożoną z poród prezesa Proskury i prezesa Iwanowskiego. Były to konie dobre, godne do remonty wojska, ale małpując hrabiego Władysława Rzewuskiego i innych znawców koni, porobiłem księgi rodowe, gdzie wpisywano heraldykę końską i ich przezwy. W roku 1830, przeziérając konie, mające się użyć pod powstańców — do czego się już przygotowywano — napadłem na ciemno-gniadą klacz, która mi się bardzo podobała ze swej postawy. Po przejrzeniu rodowodu dowiedziałem się, że jest córką klaczy kiedyś wierzchowej, ze stada międzyborskiego książąt Czartoryskich i niewiadomego ojca, więc z nieprawego łoża. I dla tego ją

wzięto do użycia pod Szwacza; ale jeszcze ani siadana, ani obtargana. — Kazałem ją wyprowadzić ze stajni: taka łagodna, że Kozak wsiadł na nią i jeździł bez najmniejszej trudności; włożono siodło i trzęzle i wszystko poszło jak najlepiej ku zdziwieniu starych Kozaków. Młody byłem, z zachciankami odezajduszy kazałem na nią włożyć moje siodło i od razu munsztuk wojskowy. Siadłem i pojechałem, a od tego czasu została moim pierwszym wierzchowcem, i nikt na niej oprócz mnie nie jeździł. A tak chodziła wszystkiemi ruchami, takie miała zwroty, takie posłuszeństwo, jakby wyszła z mistrzowskiej nauki pułkownika Oberdyńskiego, albo z akademji Olszuńskiego. Na niej wyprowadziłem moich powstańców z Halczyńca, na niej odbyłem wszystkie marsze i bitwy — na niej przejechałem przez Niemcy, Szwajcarją, Francją do samego Paryża, bo nigdzie nie wsiadłem do powozu, ani na statek parowy. Z moim towarzyszem Janem Omiecińskim z Korowieńczyk, ze starym Kozakiem Fedorem Myślińskim i z dwoma chartami odbyliśmy tę całą podróż konno. W Bourges i Paryżu trzymałem ją kilka miesięcy, i przez jej a nie moje zalety poznałem całe lepsze towarzystwo francuskie. Miałem lepsze zachowanie w polskiem, bom był na koniu — i po rycersku i pieniężnie. Kiedy nie stało grosza złamanego do życia — tę moją ukochaną towarzyszkę wojennego życia, porąbaną, postrzelaną, pokłutą, sprzedałem za dwa tysiące franków margrabiemu de Barol, pokrewnemu cesarzowej Józefiny, który nazajutrz mi przyniósł tysiąc trzeci, z oświadczeniem, że po rozpatrzeniu się w niej, czuje się w świętym obowiązku dodatku, bo i tak ją ma za połowę jej istotnej wartości. Nie dodatek pieniężny mnie pocieszył, ale wiedza, że będzie dobrze pielęgnowaną, lepiej jak u mnie.

Aż do łez żałowałem mojej klaczy, jak nie swój chodziłem, zacząłem się uczyć i pisać — a Fedor Myśliński, z rozpaczy, że nie miał kogo czyścić i o kim mnie raportować, chyrlał i z zapoju zmarł. A nie była ona ani Beratli, ani arabska, ale szlachcianka i to polska. Sława jej pamięci i cześć jej rodzinnej ziemi!

VIII.

Zdaje się, że w całej Europie zanadto rozpychają konie ciągłem dawaniem żywności. Arab pustyni lepiej rozumie pielęgnowanie koni jazdy do wojny. Wieczorem po zachodzie słońca, po napojeniu i wygrzebłowaniu konia, daje mu całą jego racją jęczmienia, czy innego ziarna, słomy lub siana. Koń je jak chce i kiedy chce, spoczywa spokojnie — i jeźli można, starają się, żeby stał nie przywiązany, tylko wolno w klatce. O wschodzie słońca, po dokładnem oczyszczeniu, siodła go i napawa, starając się by wieść do wody, przynajmniej o pół werstwy odległości. Po napojeniu przejeżdża żwawszemi ruchami, by rozgrzać wodę w żołądku; jeźli nie rusza w pochód lub w służbę, powodzi trochę w koło, opuści popręgi, ale osiodłanego i okiełznanego odwraca od żłobu i przywiązuje do słupa, głowę trochę w górę, i tak koń stoi aż do zachodu słońca, nie daje mu w dzień ani jadła, ani napoju.

Arab wpada w gniew i rozpacz, jak widzi konie pielęgnowane przez Europejczyków, przy żłobach gryzące pokarm dzień cały i drzemiące. Utrzymuje, że dzień dla niego, jeźdźca; koń niech pracuje — noc dla konia, niech spoczywa. Konie arabskie cały dzień pracują, nie czując bynajmniej tego znużenia, jakie czują konie hodowane systematem europejskim. Nie mają tej bezustannej chęci do jadła i do napoju, jakie konie europejskie wprowadzają w rodzaj febry i omdlenia.

Koń pustyni nie odznacza się ani ogromnym brzuchem, ani tłuszczą, jest zwinny, smukły, silny i całodzienna praca nie wycieńcza go do ustałości, a to pochodzi od metody żywienia go i obchodzenia się z nim. Nieraz widziałem konie arabskie, które w dzień nie tykały żadnego pokarmu, nawet cukru, który bardzo miłują, ani wody, a po zachodzie słońca ogromnie żarły i piły. Przyzwyczajenie stało się naturą, ale bardzo zalecającą wojennego konia.

Zdaje mi się gimnastyka dżygitówki daleko lepsza i użyteczniejsza była by do wyrobienia koni do użytku i potrzeb kraju, a nawet do ulepszenia porody krajowej — jak wyścigi, bo już przeszły te wieki, w których Leszkowie

gonem swoich koni dostawali korony. Dziś i naród, który chce utrzymać swój byt, albo który chce go zdobyć, lub odzyskać, szablą na koniach musi go wywalczyć; trzeba tedy koni do szabli, a nie do gonitw sportowych. O takie trzeba się starać i takie rozprowadzać.

IX.

Jazda z przeznaczeniem służby, na jakie ją dzisiejszy wojenny system wskazuje, nie powinna być wsadzoną tylko na wałachy i na klacze. Wprawdzie ogier jest więcej żywuszczym, odważniejszym i dochodzi do wściekłości w utarczce, ale rży, niepokoi się, rzuca, męczy jeźdźca i sam siebie męczy, jest skłonnym do choroby, z zatrzymania moczy, najzgubniejszej dla koni wojennych. Pod tym względem klacz jest wyższą nawet od konia wałacha — pod drugim, że jest łagodniejszą, nie lękliwą, koń zaś wałach często bardzo bywa i lękliwym i upartym. Prędzej się narowi od klaczy, bo jest niedołęga przez upośledzenie sztuki, a nie natury. I dla tej to przyczyny Arabowie i Kurdy oddają pierwszeństwo klaczy, mówiąc:

«Dla Turków ogiery, bo oni tylko chcą chlubić się, wiele krzyku i szumu, a więcej nic — dla nas klacze, bo my chcemy rzeczy i zwycięstwa.»

W roku 1854 dwa pułki Baszybozuków z Kurdistanu — jeden pod dowództwem Baku Efendego, potomka królów kurdistańskich, z Urmji, drugi pod dowództwem Fatmy Hanum, z królewskiej krwi takoż, z okolic Wanu — siedziały w całym komplecie na klaczach; były to pułki najlepsze ze wszystkich pułków baszybozuckich, a ich konie darzą klacze najpraktyczniejsze bezzawodnie w całej kawalerji tureckiej. Miałem te dwa pułki pod mojem dowództwem w Deli Ormanie i odesławszy prawie wszystkich Baszyków do Krazgrodu i Tyrnowy, te dwa pułki zatrzymałem na linji bojowej i robili służbę razem z Kozakami: byli pożytecznymi i ja byłem nimi zupełnie zadowolnionym.

Kiedyśmy przechodzili na lewą stronę Dunaju, wskutek konwencji z naszymi sprzymierzonymi, że Baszybozucy nie wejdą do Rumunji — Baku Efendi został z pułkiem w Tyr-

nowie. Kiedy, już w zimowej porze, z Kozakami z nad Prutu przeszedłem na prawy brzeg Dunaju dla oczyszczenia i uporządkowania Dobrudży — Baku Efendi dowiedziawszy się o tem, z całym pułkiem ośmiuset ludzi w dwóch dniach trzysta wiorst samowolnie przybył do mnie. Na jego żądanie kazano mi go zostawić przy Kozakach i jego pułk uorganizować. Ubrałem go w sukmanki wolonterów grecko-słowiańskich Rosji, zabrane w Tulczy, w czapki baranie. Karabiny piesze kazałem przykrócić na kawaleryjskie. Dałem instruktorów Kozaków, trębaczy; dałem na pomocników Baku Efendemu kapitana Usakowskiego, dzielnego Polaka, z sercem i odczajduszostwem dawnego autoramentu i Manalzausza Bulgara, prawowego Junaka, i w kilkanaście dni już istniał pułk Eszderów, strzelców, który nie ustępował żadnemu pułkowi najregularniejszemu. Przestrzeni ani przeszkód dla tego pułku nie było, oddziały robiły po stopięćdziesiąt wiorst na dzień, a czasem więcej. Wszędzie się dostali, a co było kazano, to było i zrobiono. Kiedy skończyła się wojna, proponowano mu paszostwo, a pułk chciano zrobić gwardją sułtańską — odpowiedział, że woli być potomkiem królewskim w Urmji, jak paszą największego monarchy w Stambule; a za pułk, że woli swoje bydło hodować, jak cudzem bydłem być, i poszli na swoich klaczach, bo ani jeden żadnej nie sprzedał.

X.

Za Napoleona Wielkiego ogiery były zabronione w szeregach pułków kawalerji. — Pod żadnym pretekstem oficer jazdy nie mógł być przed frontem, nie tylko na ogierze, ale na szalonym, albo swawolnym koniu, żeby nie był zmuszonym nim się zajmować i być w możności zajmowania się dostatecznie swoją komendą, frontem. Koń oficerski powinien być tak spokojnym, tak posłusznym, żeby oficer siedząc na nim, nie myślał o nim, ale mógł być oddanym całkowicie czuwaniu nad swoją komendą. Prędzej dozwolono oficerom piechoty na ogierach — i to racjonalne postanowienie.

Ogiery w szeregach dość już same sobą robią nieporządku

w jeździe. Swojem rżeniem zdradzają wyprawę, oznajmują ją zdaleka nieprzyjacielowi. Dla tej to przyczyny kawalerja turecka nawet w dniach swojej chwały nie mogła nigdy prawie, czy dniem, czy nocą, podejść nieprzyjaciela, a bardzo często przez niego była podchodzoną, bo ogiery głosiły — gdzie jest.

W roku 1854 han Mirza, dowódzca pułku Tatarów budżackich, wysłany na zwiady na Dobrudżę — miał znaczną ilość ogierów w pułku. Przyszedłszy do Czarnowody (Boaz Koi), dla wygodniejszego spoczynku, przyszedł na wyspę i na jeziora Kara Su, odległej na pięć werstw od Dunaju; idąc do tej wyspy, trzeba było koniom brodzić w wodzie aż po kłęby — pewny bezpieczeństwa rozstasował się tam obozem. W tymże samym czasie książe Lubomirski, podpułkownik rosyjskiego wojska, z huzarów marianpolskiego pułku — — z pierwszym pułkiem Kozaków dońskich rozpoznawał okolicę, drogą od Hirsowy do Silistrji. Przechodząc brzegiem jeziora, Dońcy usłyszeli rżenie koni. Natychmiast z tą przebiegłością wojenną, która ich odznacza od wieków, podzielili się na trzy oddziały i sunęli brodem jeziora ku wyspie, zachwycili Tatarów na spoczynku: znaczną ilość wykluli, zabrali siła jeńców i wrócili do Hirsowy z kilkuset końmi zabranemi Tatarom — jeszcze przed świtem. Han Mirza ledwie zdołał uciec z kilkunastu jeźdźcami i to na koniach oklep w step; tak że długo nie wiedziano w obozie tureckim, co się zrobiło z tym pułkiem. Osiodłanie, broń i amunicje zabrali Rosjanie — a powodem tego wszystkiego było rżenie ogierów.

Jeszcze raz nie tylko godzi się, ale należy powtórzyć. Trzeba jak najsilniej zalecać, ażeby oficerowie kawalerji nie mieli koni niespokojnych, bojaźliwych, ponieważ nie będą mogli dobrze dowodzić oddziałami, tak jak się to od nich wymagać powinno, i mogą sprowadzić nieporządek w szeregach oddziałów, a przez lękliwość swoich koni będą dawali zły przykład koniom oddziałów; lękliwość między końmi łatwo się komunikuje.

XI.

Unikać trzeba tego zwyczaju szkodliwego zmieniania jeźdzcom koni; jeździec przywięzuje się do konia i wzajemnie koń do jeźdzca. Przez długą służbę razem tworzą oni we dwóch doskonałego kawalerzystę, tego prawdziwego Centaura Atylli, którego dusza i serce po połowie biły w jeźdzcu, a po połowie w koniu, i tworzyły tedy jedność nierozłączną, doskonałą.

Temi Centaurami starożytności nie byli kto inni jak Bułgarowie, przednia straż Atylli w jego pochodach na Zachód i Południe — jak Słowianie Gienseryka, polskiego Gęsiorka, według znamienitego Ludwika Zwierkowskiego i innych Sławofilów.

Ta prawda odbija się z ubiorów posągów Centaurów, przechowanych w ateńskim Akropoli, tak starannie przez uczonego pana Gitaskusa. Te stroje tak są bułgarskie, że kiedym zwiedzał Akropoli w 1840 roku, mój towarzysz Wincenty Rawski, człowiek naiwnej prawdy, poczuć i objawień — zawołał: «To są Bułgary z nad Dunaju; co oni tu robią?»

W pieśni wojennej, śpiewanej w Bałkanach przez Czytaków, a której prześpiewka końcowa brzmi — Roma, Roma.

W czynach Akindżych Bośniackich — w odczajduszostwie jeźdzców bułgarskich — i w przywiązaniu ich do koni.

Posągi są zachowane w Akropolu ateńskim. Pieśń jeszcze i teraz przebrzmiewać musi w Bałkanach.

O bosniackich Akindżych, tak zwano jazdę Beglerbejów Rumelji, składających się z Bosniaków i Bułgarów, poturczeńcach, wiele a wiele napisał uczony Hamer.

A o przywiązaniu do koni i o odczajduszostwie jeźdzców pozwalam sobie powiedzieć kilka przykładów.

W pierwszym pułku Kozaków, w pierwszym szwadronie, był żołnierzem Petko Bosniak, Bułgar rodem z Wuczytryna, miał konia siwego Deli-ormiańskiego, którego tak pielęgnował jak kochanek kochankę w pierwszym miesiącu miłości — ale i koń był dzielny, może pierwszy w pułku, w którym dzielnych koni nie brakło. Jednego dnia kapitan Jan Piotrowski, dowódzca szwadronu, kazał go sobie osiodłać i

na nim pojechał na mustrę. Bosniak dopełnił rozkazu, ale z żalem, a raczej z rozpaczą powiedział towarzyszom: «Już jak go on spróbuję, to z niego nic zsiędzie!» Poszedł do stajni i strzelił sobie w głowę z pistoletu, kula przeszła czerep, ale nie uszkodziła mózgu, bo żył. Doktór z felczerem opatrzyli ranę — ja sam przyszedłem go pocieszyć, zapewniając, że koń mu będzie oddanym, jak tylko wyzdrowieje. Kapitana napomniałem i zaaresztowałem na dni kilka. Bosniak wyzdrowiał i jeździł na swoim koniu. Bosniak miał żonę i dwie córki w Wuczytrynie i gospodarstwo — wysłużył pięcioletnią kapitulację i mając prawo do wyjścia ze służby, przyszedł do pułkownika zapytać, czy koń jego będzie wyranżerowanym, czy nie. Na odpowiedź, że nie — rzekł: «To zapiszcie mnie na drugą kapitulację!» I wysłużył ją przykładnie, jak przystało na wzorowego żołnierza. Po odbyciu drugiej kapitulacji przyszedł już do mnie z zapytaniem, czy koń jego będzie wyranżerowanym. Koń jeszcze był dobrym i godnym do służby, ale mi się żal zrobiło ojca i gospodarza — poleciłem konia wyranżerować. Bosniak konia kupił, wziął uwolnienie i na nim do swojego rodzinnego domu pojechał. W pięć lat później przyjechał do Adrjanopolu, gdzie kwaterowałem, wpadł wprost do mego mieszkania, trzymając dwie pary szkarpetek wełnianych w ręce.

«Pasza — koń żyje, jest tu, chodź zobacz; a to moje córki dla ciebie zrobiły, każda po jednej parze szkarpetek!»

Chwycił mnie za rękę i wyprowadził na dziedziniec, gdzie stał jego koń przywiązany — pokazywał, obracał za wszystkie strony, pieścił, całował.

«To moje kończe, moje wszystko — mój brat, mój syn, mój padyszach, mój Bóg; póki on żyje i ja żyję, jak jego nie stanie, to i mnie nie stanie!»

Pojechał — a ja i pomyślałem i powiedziałem: «To mi kawalerzysta!»

W 1854 roku kiedy Silistrja była ściśle obłożoną, tak że nie było drogi, nie było ścieżki, gdzieby się nie snuły oddziałami huzary i ułani Anrepa, Paszkowskiego, Boguszewskiego; nie było wioski, lasku, prykmety, gdzieby Krulew nie porozstawiał silne oddziały wojska. A Syzojew Starowierec z Dońcami Starowierami, jak mrowie rozsypanymi, snuł się po całej przestrzeni między Deli Ormanem a Silistrją. A

w Silistrji i na parę dni nie było żywności i dawał się czuć brak amunicji. Rifat Pasza, komendant twierdzy, już zaczął negocjować o kapitulacji — i wiedziałem, że i w głównej kwaterze nie byli temu bardzo przeciwni. Chodziło mnie o to, żeby Silistrja nie kapitulowała, i cała moja nadzieja była w zapatrzeniu twierdzy w żywność i w amunicją przynajmniej na miesiąc i w zniesieniu się ze starym Mehmed Girytli Oglu, naczelnikiem głównym całej siłej zbrojnej, broniącej Silistrji. Mimo zdania rady wojennej, którą niestety każdy dowódzca większego oddziału ma przy sobie i nic nie może postanowić bez jej zgodzenia się — jest to izba parlamentarska w wojsku, która wtenczas ma wartość, jeźli jest samowładnie prowadzoną — mimo tedy, że ta rada oświadczyła na piśmie masbatą, że mój zamiar niemożebny, przeciwny wszelkim regulaminom drukowanym, zgubnym nawet, zebrałem wszystko, co potrzeba i z Kozakami, niby moją własnością wojskową, postanowiłem działać na moją odpowiedzialność. Zdałem tymczasowe dowództwo Deli Ormanu Selimowi, paszy egipskiemu, nakreśliłem mój plan i udałem się nad brzeg Dunaju, w okolicę Tatarkiej, wsi zamieszkałej przez Kozaków Starowierów, żeby znaleść sposób skomunikowania się z Mehmed Girytlim Oglu paszą. Wieś Tatarkiej była zajętą przez Rosjan — mieszkańce porozbiegali się w las. Byłem bardzo zakłopotanym, kiedy przedstawił się przedemną Mano Czausz, Bułgar z Berkowiec.

«Czestny Paszo — ja pismo zawiozę i przywiozę odpowiedź!»

Dałem pismo. Mano Czausz spiął konia ostrogami — i w Dunaj; przepłynął na wyspę i skrył się w sitowiach i krzakach. Wyspę przegalopował krzakami naprzeciw Silistrji, znowu w Dunaj i w twierdzę.

Nie czekaliśmy i trzech godzin, kiedy wrócił z odpowiedzią tą samą drogą.

Mój Kozak, Bułgar, jak pojechał tak przyjechał — zapięty, zbrojny, jak na paradę. Ucałowałem go i przedstawiłem do Medżydji. A pułkownik Kirkor dodał: «I świętej pamięci Wielki Książe Konstanty cesarzewicz chlubiłby się takim odczajduszą!»

Tej samej nocy transport został wprowadzonym, a Sylistrja nie kapitulowała — została przy nas.

W tymże samym roku, po przejściu Dunaju, piętnastu Bułgarów, niegdyś hajduków, a wówczas sułtańskich Kozaków, pod komendą Matca Rosze, byłego hajduka, a potem sułtańskiego Kozaka, pod Fokczanami zaatakowali kolumnę, złożoną ze czterech bataljonów piechoty wołoskiej, rozbrojonej, z bronią na wozach, pod eskortą roty piechoty rosyjskiej i sotni Dońców. Bułgarowie nie wiedzieli, że to jesyr wojenny, pędzony do Besarabji, nie liczyli wojsk nieprzyjacielskich, tylko wiedzieli miejscowość sposobną do napadu z nienacka, lasek do ukrycia zasadzki. Zaatakowali — eskorta pierzchnęła do Fokczan i z Fokczan dalej, a Bułgarowie oddali władzom wołoskim bataljony uzbrojone — i to było odczajduszostwo.

W roku 1857 dowodziłem wojskami nad granicą grecką i miałem moją kwaterę główną w Lasysie (Jesi Szehir). Pułkownik Enis Bej ze sztabu głównego przybył dla rewizji magazynów artylerji; przyjąłem go ze wszelkiemi poczetami i dałem mu za ordonansa ucznia szkoły wojskowej, pułkowej, podoficera Christa, Bułgara z Samikowa. Jadąc przez most na Salamrji (dawny Peon) — Enis Bej obrócił się do swego ordonansa: «Sławią was, że nad was nie masz dzielniejszych jeźdźców w świecie. Czy skoczyłbyś z tego mostu w rzekę?» Most był wysokim, przynajmniej sto sążni od wody. Chrysto przyłożył rękę do kołpaka: «Jak każesz!»

Enis Bej machnął ręką na znak przyzwolenia. Christo spiął konia ostrogami i skoczył przez poręcz. Koń zabił się na miejscu, wszystkie wnętrzności z niego wyszły, a Kozak, Bułgar, odleciał na miel i był zupełnie zdrów.

Enis Bej strwożony udał się do pułkownika Kirkora, żeby zaaresztować Christa, zrobić mazbatę z zabitego konia skarbowego i podać do sekretarjatu o karę za przestępstwo. Pułkownik Kirkor przyprowadził do mnie i Enis Beja i winowajcę. Rozpytałem o wszystko, kazałem podoficera Christa awansować na wachmistrza i dałem mu nagrodę z pięciuset piastrów za ślepe wypełnienie rozkazu starszego. Enis Bejowi, bardzo roztropnemu oficerowi, wychowanemu w Anglji, tak się to dziwnem zdało, że zrobił o tem raport do Seraskiera, jako o niszczeniu kawalerji. Seraskierem był wówczas Riza pasza; kazał cały fakt w rozkazie dziennym do wojska wypisać — ze swoim dodatkiem, że w ten sposób

wyrabiają się dzielni kawaleryści, a zatem i dzielna kawalerja — oddał pochwałę, śmiało powiem zasłużoną i moim Kozakom i mnie.

Kiedy Adam Mickiewicz przebywał w obozie kozackim pod Busgar Achioli w roku 1855 — i sam był Kozakiem zaporoskiej sotni — na bułanym kozaczym koniu, przezwanym Krokodyl, Mateo Raszo na uczczenie poety taką wyprawił dżygitówkę. O pięćdziesiąt kroków postawił turnę z oznaczonym celem, o drugie pięćdziesiąt głowę z turbanem, osadzoną na kiju, długości arszynowej, o trzecie pięćdziesiąt kroków, na sznurze między dwojma tyczkami zawieszono kolec, na wysokość arszynową, a za nim maniak Żyda na klęczkach.

Zbrojny w szablę, karabin, spisę i pistolet za pasem, wyjechał na swoim wilczatym deliormańskim koniu w podsadach i w szczupakach, tak że się koń zdawał przewrócić na zad. W takich susach z karabinka trafił kulą w same centrum, rzucił karabinek na temblak, wychwycił szablę i uderzył głowę z turbanem, zawiesił szablę na ręku i spisą przeniżał kolca, spisę zarzucił na ramię i z pistoletu zwalił klęczącego Żyda, do góry nogami.

Nasz wielki poeta, nasz wieszcz niezrównany otworzył usta: «A — a to Centaur!»

Bułgarowie, naród rolnictwa i skotowodztwa, trzymają wielką ilość koni dla obrobienia pól i dla transportów i dla wymłotów zboża. Każda wieś ma swoje tabuny.

Dzieci od sześciu lat wieku, z rana na zachętę, wieczorem w nagrodę odbytych ćwiczeń szkolnych, wskakują na konie, oklep, bez uzd, i pędzą tabuny w pole, na paszę, do wodopoju, albo przypędzają w zagrody domowe. Na koniach w ciągłej gimnastyce, to oczami do głowy, to oczami do ogona, to stojąc na grzbiecie, to przerzucając się pod brzuch i tam trzymając się jak rak, skacząc z konia jednego na drugiego, a zawsze w czwale, zawsze w skokach — widząc to wszystko, trzeba zawołać z poetą: «To są Centaury!»

Ale Centaury, którzy odczajduszostwem krzepiąc ciało, nie zapominają o ustrojeniu w wiedzy duszy — i dla tego narodu przeznaczenie jest wielkie, i nie darmo wszechsłowiańska Rosja darzy ich swoją opieką i swoim kierunkiem. Jeźli przyjdzie kiedy do walki między Wschodem a Zacho-

dem — Bulgary mogą znaleść swojego Atyllę, Bośniacy swojego Gąsiorka i wskoczywszy na konie, zaśpiewać mogą: Roma — Roma.

XII.

Trzeba zalecać dowódzcom pułków, brygad i dywizji kawalerji, żeby nie ograniczali się ćwiczeniem jazdy w samej rajtszuli, trzeba żeby z niemi wychodzili jak najczęściej w pole, nie tylko w miejsca odkryte i równe, ale w miejsca górzyste, zarosłe krzakami, przerzucane błotami, ruczajami, a nawet w lasy. Rozsypywać jeźdźców we wszystkich kierunkach i zbierać w jeden punkt głosem trąbki. Kazać przeskakiwać płoty i rowy, przechodzić wody w bród i w pław.

Ile razy się zdarzy, brać całe pułki na łowy, jak to robili hanowie tatarscy, sułtanowie muzułmańscy. Łowy bawią i zajmują jeźdźców, a najlepiej człowiek się uczy, kiedy się bawi. Na łowach nie wzbraniać ruchów żwawych, ale uważać i nagradzać tych, którzy najświetniej pracowali, a najmniej pomęczyli swoje konie. W tych wszystkich naukach przyzwyczajać konie do strzałów, a jeźdźca do robienia wszelką bronią z koni. Nauka ta w polu, w rozsypce, na prawdę daleko więcej wrażenia robi i daleko gruntowniej w pamięci zostaje, jak strzelanie do celu i robienie bronią na komendy.

Karuzel francuski i dżygitówka rosyjska są do dziś dnia najlepszą szkołą do wyrobienia i jeźdźców i koni. Z tą różnicą, że karuzel tworzy pewną całość, czyli jedność z koni i z ludzi już wyrobionych zosobna; dżygitówka tworzy jak najściślejszą osobność i jeźdźcowi i koniowi, sposobi i jeźdźca i konia do działania oddzielnego. Karuzel do działania tłumnego, do zamieszki tłumnej: obydwie połączone są bezzawodnie najpraktyczniejszemi naukami w szkole, mającej na celu utworzenie wyśmienitej kawalerji.

W ćwiczeniach i mustrach należy jak najczęściej mieniać miejsca szeregów i nawet miejsca koni w szeregach, żeby konie nie nawykały do jednych i tychże samych miejsc, bo by ta nawyczka musiała spowodować w drugich szeregach mia-

nowicie nieudolność do atakowania samoistnie z kopyta, czyli z miejsca, i do ruchów naprzód i szeregu i każdego konia z osobna. Wielu bardzo dowódzców pułków, dla zachowania regularności pozornej i przedstawienia tej regularności, trwają w tym błędzie nieszczęsnym, ścisłego przestrzegania, aby szeregi i konie w szeregach zachowywały jedne i też same miejsca; należałoby się pozbyć tego błędnego systematu i nie poświęcać praktycznego użytku dla blichtry i pozoru. Koń kawalerji powinien być nawykły mknąć z kopyta, w każdym kierunku i na każde miejsce bez oporu, bez trudności. Koń posłuszny, odważny i łagodny, tworzy prawdziwie godnego konia dla kawalerji, a doświadczenia codzienne pokazują, że te wszystkie zalety w większej części pochodzą od nauki, która rozwija naturę, albo ją poskramia.

Są ludzie wojny doświadczeni i zasłużeni, którzy woleliby mieć kawalerję z ochotników jak z rekrutów popisowych. Ochotnicy przez swoją chęć dają niejako rękojmię, że będą pełnili swój obowiązek serdecznie, bo z dobrej woli, z własnej chęci. Popisowi nie będą mogli obiecywać, tylko, że będą pełnić swoją służbę z obowiązku i z musu.

Pułki ułanów rosyjskich za panowania Aleksandra II., werbowane z ochotników — konnopolski, tatarski, litewski i wołyński — w wojnie z Turkami w 1810 roku i w wojnie z Napoleonem Wielkim w roku 1812 — 1813 i w 1814 pod wodzą hr. Ururga i Czaplica, dały dowód swojej wyższości nad innemi pułkami kawalerji.

Pułki austryjackich ułanów takoż werbowane, też samą niezaprzeczoną wyższość zachowywały przed wszystkiemi innemi jazdy austryjackiej, nawet przed przesławionemi huzarami madziarskimi.

Ale ponieważ przez wprowadzenie ogólnej powinności wojennej obywatelskiej werbunki miejsca mieć nie mogą, wartoby zwrócić uwagę — żeby nie przeznaczać rekrutów do kawalerji, tylko z prowincji, tak mogących się nazywać konne — gdzie wychowują wiele koni i ich używają i z niemi się obchodzić umieją.

Wzrost olbrzymi i członki atletyczne nie mają wiele wartości, zwłaszcza kiedy wszystkie państwa prawie pozbyły się i pozbywają kirasjerów. Na kawalerystów najwłaściws

ludzie miernego wzrostu, nie brzuchacze, nie otyli, ale zgrabni, żwawi, sprytni — odpowiadający nazwaniu.

Choć kuda Kozak.

XIII.

Ponieważ jazda w wojsku jest to samo co poezja w literaturze — trzeba, żeby w niej była serdeczność do polotu i do czynów tak zwanych oczajduszostwem, bez których kawalerja nie może być tylko mierną. A kawalerja dążyć powinna do doskonałości, aby nie spaść na lichą, na żadną, tak jak i poezja. Trzebaby sobie ciągle powtarzać:

Kawalerja być mierną nie powinna i nie może, trzeba, żeby była wyborną, szczytną, żeby być kawalerją.

O ile można, jeźdzce powinni umieć czytać i pisać, a przynajmniej okazywać zdolności do nauczenia się czytania i pisania, żeby mogli być dobrymi podoficerami i zdolnymi do pełnienia służby polowej w czasie wojny, do nauczenia się geografji i topograficznego rysunku. Każdy pułk powinienby mieć u siebie szkołę tego rodzaju i nauka w nich, choć krótka czasem, ale codzienna, powinna być obowiązującą dla każdego jeźdzca.

Oficer kawalerji powinien być człowiek, który ukończył kurs nauk, przynajmniej gimnazjalny, oprócz zalet rębacza, które nie zawadzają, powinien mieć oczajduszostwo, chętność do każdego wojennego przedsięwzięcia i szybkość w postanowieniach i w wykonaniu. Powinien umieć geografię, historję, matematykę, przynajmniej niższą, ekonomję polityczną i przynajmniej dwa narzecza cudzoziemskie. Gdyż on jest przeznaczonym, żeby być nie tylko ramieniem ale okiem, ruchem i rozumem wojska. Raporta oficera jazdy dają niejako początkowanie postanowień sztabów i dowódzcy. Podporucznik jazdy, dowodzący kilku lub kilkunastu jeźdzcami często bardzo wpływa na kombinacje bitwy, albo na operacje wojenne, a oprócz tego powinien mieć spryt i wyższe pojęcie, czy to z natury, czy to z wyrobienia.

Z pojęciem tępem, ale nie wyrobionem przy odwadze, może być dobrym oficer piechoty. Mając dokładną naukę, choćby nie był orłem zdolności, może zostać oficerem arty-

lerji i broni specjalnych, dokładnie pełniącym swoją powinność — bo wszystko co mu potrzeba jest i wyrachowane i wydrukowane pod ręką. Ale nie można być dobrym oficerem kawalerji z mierną zdolnością, trzeba ją mieć wyższą. Trzeba umieć szybko schwycić prawdę swojego położenia, skombinować to położenie i wykonać bez wahania się, samoistnie. Trzeba umieć mówić i mówić dobrze, jasno i dobitnie i tak samo popisywać się, a pisać wiele i o wszystkiem; nie trzeba być leniwym, ale czynnym, umieć się zdobywać na rozmowy i na postanowienia, rzutkim i uprzejmym, jednem słowem — choć to może się niepodobać dzisiejszemu postępowemu społeczeństwu, równouprawnionemu i równouprawniającemu — trzeba być szlachcicem urodzonym i wychowanym.

Mogą być i są doskonali oficerowie i z innych stanów, ale tacy oficerowie w innych stanach są wyjątkami mniej więcej rzadkiemi — kiedy w stanie szlacheckim niezdolni oficerowie kawalerji są bardzo i bardzo rzadkiemi wyjątkami. Odebrano im ich prawa ze spuścizny praojców, ich prerogatywy, ich przywileje, zrównano z innemi stanami społeczeństwa — ale im nie odebrano i odebrać nie mogą noblesse oblige. Szlachectwo obowiązuje tą dewizą samo sobie i w sobie powtarza, jak modlitwę: Boże zmiłuj się nad nami, i starają się być godnymi i dewizy i modlitwy. Pruski rząd mimo parlamentaryzm nie wyrugował szlachectwa z wojska; zostało junkierstwo i dla tego pruska kawalerja ma oficerów, a nie brejterów.

I Rosja ich miała, póki Baur i Wierzulin tradycję hulatyki wszczepili rej w huzarskiej szlachcie — kiedy sumski huzarski pułk dostawał szaraczkowe mundury za hulatykę, a gieorgiewski trąby, gieorgiewskie sztandary za bijatykę.

I teraz jeszcze są resztki, ale już szlachectwo nie może zasilać kawalerji oficerami szlachcicami, niejeden nie ma za co kupić konia godnego przed front — więc się dla tego zaciągają do piechoty. I dla tego piechota z Burbonów przechodzi na Napoleonów, a w kawalerją się wciska kapitalista jaki taki, najwięcej kułaki. Ale Dońce idą w górę i oficerstwem i jeźdźcami i końmi — i to kawalerji, która może nie za długo powie światu swoje ostatnie słowo. — Wojsko polskie to było oficerstwo, ale już nie masz wojska i oficerów nie ma.

XIV.

Jednego dnia cesarz Napoleon Wielki, zapytany przez cesarzową Józefinę, którego ze swoich generałów i wyższych oficerów kawalerji uważa za najznakomitszego, bez wahania wymienił Lasala, mówiąc:

«Jak on komenderuje moją awangardą, każdego dnia przysyła mi kilkaarkuszowe raporta swoją ręką zapisane i jak przychodzę do tej okolicy, tak z nią jestem obeznany jak gdybym się w niej urodził: znam ziemie i wody, drzewa i drogi, mężczyzny i zakonnice, kobiety i księży, co się dzieje w domach i na ulicy, jednem słowem wszystko i o wszystkiem. Ze wszystkimi umie mówić, każdemu się podobać i o wszystkiem opisać, zawsze niezmordowany, a nigdy nie znużony — a kiedy jest na czele swoich szwadronów, nie waha się, nie czeka na ostatnie rozkazy, chwilę pomyślną wypatrzy, ciska szwadrony w czas i zadaje cios ostateczny. Jest on najpierwszym między moimi oficerami jazdy.»

Lasale był margrabią — zapłakała Francja, że go nie miała ani pod Smoleńskiem, ani pod Borodinem.

Było zwyczajem Napoleona Wielkiego, wszystkich Wandejczyków, czy to Normandów, czy Bretonów, godzących się z cesarstwem, wysyłać do kawalerji na oficerów. Zawsze powtarzał:

«Kiedy się ma dobrych oficerów jazdy, jeźdźców i konie, można powiedzieć, że się ma kawalerję i można zwyciężyć.»

XV.

Uzbrojenie, osiodłanie i ubranie, czyli umundurowanie, jakkolwiek zdają się być kategorją drugiego rzędu w organizacji kawalerji, zasługują jednak na bardzo głębokie studjowanie, tak pod względem materjalnym, jak pod względem moralnym, tak, żeby można połączyć użytek i wygodę z okazałością, z powagą i z pewnym nawet rodzajem błyskotki.

Generał Warnesy w swojem wielce uczącem dziełku — Przepisy dla jazdy — dzieli ją broń na polną i na sieczną.

Pierwsza z ogniem, odporna, składa się z karabinu i pistoletu, dziś bardzo słusznie zamienionego na rewolwer, bo ma w sobie więcej strzałów, łatwiejszy do przypasania i do noszenia, wygodniejszy na placówkach, na wedetach, na podjazdach, a nawet jest przy jeźdzcu, nie przy siodle, więc i zdemontowanemu jeźdzcowi może służyć do obrony. Z tego konkludować trzeba, że rewolwer już ostatecznie raz na zawsze zamienił pistolet i do tego kawalerja już nie wróci. Co do karabinów, te codziennie ulegają takim zmianom, takim ulepszeniom, że przez przypuszczenie nawet trudno sądzić, które lepsze. Jedno tylko zdanie można objawić stanowczo, że broń odtylcowa jest najwłaściwsza dla kawalerji; bo w dzisiejszym systemacie używania kawalerji z ogniem wtenczas tylko może nastąpić jej ulepszenie i wydoskonalenie, kiedy będzie wprawiona w tej służbie na koniach i z koni — nie zsiadając z nich, tylko wtenczas kiedy ma przechodzić na działanie piechoty. Do tego zdają dążyć we wszystkich wojskach i nie wątpić trzeba, że to zostanie osiągniętem. Jazda Wschodu w stępie i w galopie nie zatrzymuje koni, strzelają i zabijają zwierza w biegu, ptaka w locie. U Kozaków Nekrasowców była to specjalność w nauce i w praktyce. Na jednem polowaniu w Śliwnie cztery wilki wymknęły z kniei i uchodziły w góry. Zwód Nekrasowców, nie łamiąc frontu, zaszedł im we flank kłusem i nie wstrzymując koni, wystrzelił — trzy zostały zabite na miejscu, czwarty ranny, dognany i zarąbany. Wyćwiczonym jeźdzcom w strzałach z koni nie byłoby trudności w boju, a trudność nabijania na koniach usuwałaby się bronią odtylcową.

Broń sieczna składa się ze spisy i z pałasza; pierwsza mimo wyrzucania jej z wojska przez przeistoczenie ułanów na dragonów nie traci swojego znaczenia i nie straci. Nie można jej nazwać zaczepną, ale właściwie jest napadniczą. W pogoni za uciekającymi rozbitkami, w napadach nocnych, a nawet i dziennych może oddawać wielkie usługi, bo sięga daleko i użyta wprawną ręką zawsze trafia w cel; dłuższe spisy stosowniejsze do boju jak krótkie. Spisy krótkie są tylko do popisów zręczności; bo cóż to za spisa, kiedy ona jeszcze nie dotyka piersi nieprzyjaciela, a pałasz nieprzyjacielski już tnie w chrapy konia atakującego; taką spisę

krótką lepiej zastąpić pałaszem prostym dawnej formy kirasjerów, albo dragonów francuskich — storcem zastąpi dźgnięcie spisy. Pałasz zwyczajny może być zastąpiony z korzyścią szaszką, bez gazdy, bo cięcie pewniejsze i odbicie się zręczniejsze. Krzywe szable damasceńskie, czy chorosańskie już nie do boju, ale na malowidła madziarskie, roznoszone przez Słowaków.

Po uśmierzeniu buntu Madziarów przez wojsko rosyjskie kursowały dwa obrazy bardzo oryginalne z krzywemi szablami. Na jednym huzar węgierski na koniu, dolman puszczony na wiatr, na bakier kaszkiet z kitą z laurowych liści, ręką wznosi krzywą szablę ku niebu — i napis: «Panie Boże, zejdź tu do mnie, basam terem tetem, poprobujemy się w szable!»

Na drugim tenże sam huzar węgierski, zmyka czwałem konia; dolman się zerwał, kaszkiet zleciał z głowy i trzyma się tylko na podpince, krzywą szablą pogania konia po grzbiecie, po za siebie z za skały wyziera spisa kozacka i dwoje oczów z pod baraniego kołpaka. Przed czwałującym koniem Słowak z kramem olejków do wygubienia pluskiew — napis:

«Panie huzar, Pana Boga wzywaleś na szable jak szatan, a przed Kozakiem zmykasz jak zając!»

Odpowiedź: «Basam terem tetem, co Kozak to nie Pan Bóg!»

Widziałem też płachę staropolską u majora Kozaków Katowicza, z napisem po łacinie: «Pro lege et pro rege.» Stary major nam tłumaczył, że wara do majestatu przywilejów szlacheckich, a królowi pod nos nakiwać, jakby się targał na liberum veto. On tą płachą wywijał jak piórkiem, my we trzech nie mogliśmy jej podnieść. Krzyknięto: «Pies wściekły!» Major migiem ciął płachą i na dwoje go przeciął. Ale nie przyjęto za broń sieczną płachę i nigdzie jej nie przyjmą — zostaną przy szaszkach i pałaszach.

Warnery utrzymuje, że jeźli jeźdzce mają zanadto zaufania w broń palną, tracą polot zaczepny, który jest najlepszą zaletą kawalerji w boju, że pałasz i spisa jest bronią zaczepną i zaufanie w nich stanowi cnotę kawalerji bojowej.

Mając dobrą broń odtylcową, jazda ze skutkiem może jej używać; cofając się we wschody zwodami, czy szwadronami i dając ognia całym frontem — można zastąpić brak harmat;

będzie to skuteczne szczególnie przeciwko jeździe nieregularnej. Ale jeżli przeciwnikiem jest jazda regularna, dowodzona przez doświadczonego oficera, ten skorzysta z najmniejszego zachwiania się, z nieporządku, który koniecznie sprawić musi strzelanie: zaraz uderzy i rozbije strzelające szeregi. Strzały z konia nie mogą mieć żadnej pewności, najmniejszy ruch konia, kiwnięcie głową i już strzał zboczy od celu.

W roku 1831 znamienity pułkownik Karol Różycki, na czele dwóch nielicznych szwadronów uzbrojonych spisami, był ściganym przez dwa silne szwadrony konnojegierskiego pułku pod dowództwem podpułkownika Petersa. Przeszedł wieś Tyszycę i most na błotach ciągnących się do rzeki Sulczy, i o dwieście pięćdziesiąt kroków rozwinął front w tył ku nieprzyjacielowi po obu stronach mostu, szwadrony jego były w jeden szereg. Podpułkownik Peters przeszedłszy most, rozwinął swoje szwadrony po lewej i prawej stronie drogi, a uszedłszy stępą sto kroków ku jeździe Różyckiego, zakomenderował: «Ogień rotami!» Różycki dał przejść przez most konnym jegrom, sformować się i stał nieruchomy; ale szwadronami Różycki natarty z kopyta: konni jegry zostali rozbici, zepchnięci w błota i w Słucz, kluci i brani w niewolę, tak że z tych szwadronów podpułkownik Peters, samotrzeci z trębaczem i posyłką, zdołał umknąć do Międzyrzecza Koreckiego. Biedny ten oficer z rozpaczy i ze wstydu zwarjował. W oddziele Różyckiego tylko jeden koń pod majorem Stanisławem Duninem był rannym w przednią nogę. Oto jest przykład, dowodzący nieskuteczności strzałów kawalerji z koni, i niebezpieczeństwa, jakie spotkać może strzelającą kawalerję, kiedy ma przeciwko sobie zuchwałą jazdę z dobrym oficerem. I temu zaradzić nie może, tylko doskonałe wprawienie do strzelania z koni.

Nabijanie odtylcowe jest wielkiem i użytecznem wydoskonaleniem dla jazdy — bo bez tego dragoni nie mogliby nabijać karabinów, siedząc na koniach, a konni strzelce i i huzary z wielką trudnością.

Dragoni powinni mieć karabiny z bagnetami, bez czego nie byliby prawdziwymi dragonami, żołnierzami na pieszo i na konno. Jedni tylko dragoni rosyjscy warci są nosić nazwę dragonów; odznaczyli się oni na Kaukazie i w czasie

powstania polskiego w roku 1863. Dragoni to porazili to powstanie i najwięcej się przyłożyli do uskromienia wojskowie. Organizacja i wydoskonalenie tej broni jest dziełem cesarza Mikołaja I. Oni najwięcej przypominają dragonję polską Stefana Czarnieckiego, którzy wypędzili Szwedów z Polski.

Nazwa dragonów jest bardzo dawna; daleki jestem od chęci i potrzeby poszukiwania etymologji tego wyrazu, bo możebym wpadł na odkrycie patrjarchatu greckiego w Konstantynopolu. W roku 1860 dragoni otomańscy kwaterowali w Trykalu, Achillesowym grodzie. Mieszkańce zgodzili podoficera dragonów, barona de Lanzak, do wymalowania dla ich cerkwi obrazu świętego Jerzego, wielkich rozmiarów, czyli naturalnej wielkości. Lanzak zrobił portret na koniu adjutanta majora Józefa Koszuckiego, miny staropolskiej, zabarmaszystej, z sumiastym wąsem, w mundurze dragońskim, w kołpaku czyli bermycy, z dekoracjami turecką i polską na piersiach i na skarogniadym rumaku. Portret był wiernym, a zatem dobrze zrobionym, mieszkańce zadowolnieni byli i ze świętego Jerzego i z barona Lanzaka i obraz z wielkiemi ceremonjami i z paradą wojskową został zawieszonym w trykalskiej sobornej cerkwi. W trzy lata później przybył do Tyrkala nowo mianowany biskup, Maletius, i uznał ten obraz za profanacją cerkwi, kazał go z niej wyrzucić; mieszkańce sprzeciwiali się temu postanowieniu, zbuntowali się na dobre i biskup musiał umknąć z Trykala do Larysy, a wojsko z trzema paszami, z dwoma muszyrami, Abdul Kierim Nadysem, z Czerkiesem Abdnin i ze mną, musiało przyjść do Trykala dla przywrócenia porządku. Widząc rozżarzenie umysłów, mogące doprowadzić do rozlewu krwi, zaproponowałem odniesienie się do patrjarchatu konstantynopolskiego, którego w tej rzeczy sąd i decyzja mogą być kompetentnemi. Nastąpiło zawieszenie sporu i spokój. Nie długo oczekaliśmy na wyrok. Patrjarchat roztropny, nie chcący jątrzyć usposobień mieszkańców i rzucić ich w objęcia innego kościoła, co zagrażało nastąpić, wydał następną decyzję:

«Święty Jerzy był jeden z najdzielniejszych rycerzy niebiańskich, namiestnik archanioła Michała, zwyciężył szatana smoka, którego zwą Dragonem i od tego zwycięstwa przy-

brał nazwę Dragon i dał je swoim pułkom, i to jest początek pojawienia się dragonów. W tradycjach kościelnych nie znachodzimy opisu umundurowania dragonów. Być może, że Najjaśniejszy monarcha nam panujący z podań ustnych o tem wiedział i kazał ubrać swoich dragonów w umundurowanie świętego Jerzego na cześć naszego świętego kościoła.. Z tego powodu obraz świętego Jerzego w mundurze dragońskim ma być wniesionym do Sobornej cerkwi i tam zostawać bez profanacji i uszczerbku powagi kościoła.»

Nie wdając się tedy w inne poszukiwania etymologiczne, śmiem utrzymywać, że pierwszym stworzycielem dragonów, że się tak wyrażę, był Stefan Czarniecki. Dragoni jego byli wsadzeni na zwinne, spokojne, miernego wzrostu konie, uzbrojeni w długie strzelby, zwane janczarkami, do których przymocowano kindżały w miejsce bagnetów. Dwóch bocznych zsiadało z koni, środkowy zostawał na koniu i wiódł konie luźne, w ostatecznej potrzebie mogli szarżować z końmi luźnemi, albo w obronie, albo do przebicia się siłą do swoich opuszczonych jeźdźców. Dragoni Czarnieckiego zdobywali fortece na Szwedach, jak dragoni cesarza Mikołaja zdobywali zasieki i wały na Czeczańcach i na Czerkiesach, a potem wsiadali na koń i gnali nieprzyjaciela z szablami w dłoniach.

Dragoni innych państw, zsadzając wielką ilość z koni od trzech z czwórki do dziewięciu z dziesiątki i puklując luźne konie, potrzebowali innej eskorty do zabezpieczenia luźnych koni. Za wpadnięciem granatu, albo rakiety konie się rozrywają z pułków i rozpierzchają. Puklowanie koni, to jest zakładanie cuglów na cugle, jest pracą mozolną, szczególnie w zimie, albo wobec nieprzyjaciela. I dla tego to dragon zasługiwał przed niedawnemi jeszcze czasami, na nazwę amfibji — niezdolnego do dobrej służby pieszej, ani do dobrej służby na konno, i dla tego za Napoleońskich wojen byli używani prawie zawsze jak inne jazdy konno, choć mieli opinję bardzo miernej konnicy.

Nie byłoby zanadto, utrzymuje generał Warnery i generał Brak, uczyć huzarów, szaserów, a nawet i ułanów służby pieszej, i mają za sobą wielką prawdę. Były wypadki, że ułanów zsadzono z koni i ci na pieszo oddawali świetne

usługi. W roku 1827 przy zdobywaniu twierdzy Ibraiłowa wyłom był zrobiony artylerją, a nie było piechoty pod ręką, by ją posłać do szturmu. Generał jazdy rosyjskiej, baron Rott, kazał zsiąść z koni ułanom pułku petersburgskiego i charkowskiego, i ci waleczni ze spisami poszli do szturmu i mieli zaszczyt wejść pierwsi do twierdzy Ibraiłowa. Mówią, że wtenczas cesarzowi Mikołajowi I., temu monarsze silnej woli i niezłomnej pracy, do jej przeprowadzenia zrodził się pierwszy pomysł rehabilitacji dragonów — a działanie na Kaukazie generałów hrabiego Ewdokionowa i Krakowskiego, rozwinęły, ugruntowały pomysł i doprowadziły do organizacji dzisiejszych dragonów. Jest ona dziełem Mikołaja I. i jemu zasługa całkowicie się należy.

Słyszałem od generała Chrzanowskiego, że cesarz Mikołaj dążył do utworzenia korpusów oddzielnych z dragonów samoistnych, z dwunastu szwadronów — ośmiu szwadronów z karabinami i bagnetami — dwóch z szaszkami i krótkimi karabinkami — jeden szwadron z artylerją górną dwunastu harmat — a dwunasty szwadron pół z rakietników, pół z saperów i obozem mostowym. Powtarzam, co słyszałem, ale jeżli tak jest, to był wielki pomysł wojenny do prowadzenia wojny podboju i najazdu w górach i do uśmierzania powstań w jakiejby to nie było miejscowości.

Dragoni otomańscy najprzód z trzech, a potem z czterech szwadronów byli uorganizowani przezemnie w roku 1857 — w większej części z Polaków rozpuszczonej dywizji czy legji hrabiego Władysława Zamojskiego; komplet był dopełnionym ochotnikami Serbami i Czarnogórcami, bo dziwnym kaprysem żaden Bułgar nie chciał służyć w dragonach, jak na obrót żaden Serb i Czarnogórzec w Kozakach. Było to w mieście Wrania, gdzie mieszkańce mienią się pochodzenia serbskiego, w którem mieszkał Salih Aga, potomek krwi królewskiej serbskiej, dość majętny, nie chcący przyjąć żadnego urzędu, żadnego dostojeństwa tureckiego, patronujący swoich współrodaków Chrześcian i strzegący księgi Wojników, która była u niego.

Sułtan Murad I. wprowadził służbę Chrześcian przy stajniach pałacowych sułtanów i wysokich dostojników Islamu; byli oni uzbrojeni, nosili turbany i należeli do wojska. Wrania w największej części dostarczała tych Woj-

ników — a księga wpisu znajdywała się u Salih Agi, królewicza. Kiedy wyszła irada sułtańska na formację dragonów, Salih Aga królewicz przybył do Stambułu i na piśmie obowiązał się dostarczać czterdziestu ochotników z Wrani do pułku dragonów na pięcioletnią kapitulację — rok rocznie. Dotrzymywał przyrzeczenia jak najświęciej aż do końca, i ochotnicy Wrani mieli błyszczącą reputację wojenną na Libanie. I tam i we Wrani zwano ich Dragonami Wojnikami. Jednego razu Seraskier Mehmed Ruszdi pasza wzbraniał się przyjąć przedstawienia pułkownika Ludwika Monasterskiego, do nagród — dla tego jedynie, że na liście przedstawienia było czterdziestu i wszyscy Wraniali — z Wrani. Przez kompromis musiałem przystać na odrzucenie przydomku Wraniali i wszyscy dostali nagrody.

Pułk dragonów był ubranym w mundury piątego pułku ułanów polskich, ordynacji hrabi Zamojskich — z grenadierskiemi bermycami z futer baranich i z ogonami końskiemi, spadającemi na plecy jak u dragonów francuskich; to im dawało groźną minę i postawę — prawdziwych smoków. Ci dragoni przeznaczeni będąc do strzeżenia granicy greckiej, natłoczonej górami, skałami i przepaściami — ustanowiłem, że w spieszaniu się jeden zsiada z konia, drugi zostaje na koniu. Dragoni zostający na koniach brali w lewą dłoń wraz ze swojemi cugle luźnych koni, prawa ręka była wolną do szaszki. To urządzenie nadawało wielką szybkość zsiadania z koni i wsiadania na konie i wszystkim ruchom, usuwając zamięszanie, które mniej więcej przytrafić się musi z końmi poklowanemi po trzy jak u Francuzów, po dziewięć jak u Włochów, a nawet po dwa, jednego z jednej, a drugiego z drugiej strony jak u Rosjan, i z końmi luźnemi można jak najskuteczniej odbywać wszystkie ruchy i natarcia, mając na zawołanie i siłę koni i użycie swobodne szabel i rewolwerów.

Organizacja dragonów tak urządzona, oddała stanowcze usługi państwu otomańskiemu i na granicy greckiej i na Bałkanach, a mianowicie na Libanie, gdzie wszystkie powstania były uśmierzane w mgnieniu oka przez dragonów. Jest to prawdą niezaprzeczoną, że w kawalerji im mniej ruchy są skomplikowane tem są lepsze i skuteczniejsze. Prawdziwym dragonom nie powinno chodzić tyle o zbyt

liczny ogień, jak o szybkie zajęcie pozycji, o zdobycie jej, o zajęcie prędko, wczas, by stamtąd wojska przybywające mogły działać, czy odpornie, czy zaczepnie. Wtedy tylko dragoni nie są amfibjami mało użytecznemi, ale stają się bardzo pożytecznemi, tak w swej służbie na konno i na pieszo.

Francja zaraz po nieszczęsnej wojnie 1870 roku przeorganizowała swoich ułanów na szaserów i wyrzuciła spisy ze swojej kawalerji. Francuzi nie mieli nigdy ani wprawy, ani zalet do ułaństwa, nie mieli zaufania w ułaństwie. Zachowali go, sławili nawet przez wspomnienia ułanów polskich — przez wspomnienia Samosiery.

W Rosji, której kawalerja doskonaliła się głębokiem i praktycznem postanowieniem hrabiego Dymitra Milutyna, że trzeba Kozaków zregulizować do wysokości kawalerji regularnej, a kawalerję regularną wyswobodzić do hulaszczości Kozaków — przeorganizowano wszystkie pułki kawalerji na dragonów z bronią palną, bo miano Kozaków dość i wybornych z bronią sieczną, i to było praktycznie i logicznie.

Austrjo-Węgrja swoim półśrodkowym obyczajem nie odebrała pułkom ani nazw, ani mundurów, ale dała wszystkim broń palną dragonów — jest to reforma niedorobiona, która nie wiem czy przyniesie pożądane skutki, zwłaszcza że od dawien dawna w wojsku austrjacko-węgierskiem było bardzo mało i bardzo rzadko dobrych oficerów kawalerji; byli oni doskonałymi berejterami. Teraz będą nie gorszymi fechmistrzami; ale nie wiem, czy w tej kawalerji-piechocie będą dobrymi oficerami, a kawalerja bez dobrych oficerów, to apatyczne cielsko bez duszy — trup, albo niedołęstwo.

Prusy, to jest Niemcy, dotąd uszanowują i tradycje nazwy i tradycje munduru, jako święte relikwje wojska. To teutońskie godło Hohenzollerów — i bezzawodnie im to wyjdzie na dobre i na sławę, tak jak wszystko to, co do dziś dnia zrobili dla wojska, wszystko ulepszyć i podnieść, nic nie sponiewierać i nic nie niszczyć — szczytna myśl, wielka prawda!

XVI.

Do dzisiejszego dnia między osiodłaniami najpraktyczniejszemi i najwygodniejszemi są: terlica węgierska, siodło francuskie żelazne, którego wartość i wygoda zostały wykazane w wyprawie do Meksyku, i siodło kozackie.

Terlica węgierska była używaną w całej Europie; jest ona wygodna do siedzenia dla jeźdźca i nie psuje konia, jak jest dobrze przypasowaną i położoną, ale że się składa z trzech części: terlicy, czyli łęczka, deki, czyli wojłoka, i z czapraka, z których każda część ma swoje przybory i pakunki, wymaga najdrobniejszego baczenia i starania w osiodłaniu i przynosi stratę czasu. Deka niestarannie złożona psuje konia, efekta nie dobrze ułożone pod czaprakiem czynią niewygodne siedzenie jeźdźcowi; przytem tyle sprzączek, tyle antabek i szafek żelaznych, że to jest świat drobiazgowego zatrudnienia dla człowieka wojny.

Siodło francuskie żelazne z czaprakiem składanym z torbami (hejbami), przypominające mi osiodłanie Wschodu, ma zupełną wyższość nad terlicą węgierską, ma za sobą szybkość i porządek w pakunku, szybkość w osiodłaniu i lekkość, i gdyby nie było żelazne, ulegające złamaniu i nie mogące być zreperowanem, tylko przez ślusarza, którego nie można mieć zawsze na zawołanie w czasie wojny — byłoby to najlepszem osiodłaniem od wszystkich innych, jakie mi się zdarzało widzieć. Ale ta wielka niewygoda wskazuje wyraźnie siodło, czyli kołtak kozaczy jako najpraktyczniejszy dla kawalerji bojowej.

Kozackie siodło z drzewa i z rzemieni, bez żadnych sprzążek i żelastw, tylko wiązane rzemykami i popręgami, nic potrzebuje ani rymarzy, ani ślusarzy do naprawy, każde zepsucie jest zaraz naprawionem przez jeźdźca, do którego należy siodło. Nadzwyczaj jest lekkie, a wojłok podkładki, w płaty przewlekany rzemykami, a niezszywany, może się zmienić w porządku, w potrzebie, i to chroni konia od zepsucia; pakunek łatwy, mnogi, a nawet dobrego pozoru. Jeździec siedzi mocno w siodle kozackim, wprawdzie nie tak roskosznie jak w siodle francuskiem, albo na terlicy węgierskiej, ale zawsze musi być czujnym, nie zasypia łatwo

i silnie, a stąd nie psuje konia, co się najczęściej wydarza śpiącym jeźdzcom w pochodzie. Szybkość w siodłaniu siodłem kozackiem jest nierównie większą od wszystkich innych osiodłań. Nie mogę się wstrzymać od wspomnienia następnego przykładu.

W roku 1856 dwa pułki Kozaków otomańskich obozowały pod Szumną i miały swoje konie na łąkach nad Kareczykiem, pasące się tabunem. Pierwszy pułk dowództwa pułkownika Franciszka Kirkora był złożonym z młodych ochotników Kozaków i Bułgarów i miał osiodłanie kozackie. Drugi pułk pod dowództwem pułkownika Stabickiego był złożonym ze starych, doświadczonych żołnierzy Polaków i miał osiodłanie lekkiej kawalerji francuskiej.

Marszałek Szajtam Haki Ismail pasza, dowodzący wojskami zebranemi w okolicy Szumny, przybył do obozu kozackiego, zastał ludzi nie ubranych, konie na paszy. Żądał od obydwóch pułkowników próby, jak prędko ludzie połapią konie, osiodłają i wystąpią przed nim w całej paradzie. Zaczęły się sygnały trąbek, a pasza patrzał na zegarek. Pierwszy pułk był na koniach zbrojny i strojny w przeciągu sześciu minut. Drugi pułk nie był gotów aż w ośmnaście minut, i to było przypisanem różnicom osiodłań i było prawdziwem.

Co do munsztuku, czyli umunsztuczenia, nad wszystkie wędzidła przekładam arabskie z kolcem, do którego dodać należy werbliki kozackiego wędzidła. Z usunięciem łańcuszka usuwa się mozolne zatrudnienie jeźdzcowi i możność niewygodnego skaleczenia konia, jeźli ogniwa łańcuszka się przekręcą. Z munsztuka arabskiego z werblikiem kozackim można zakiełznać i rozkiełznać konia, nie złażąc z niego można go karmić i napawać, siedząc na nim — na przednich czatach, w pobliżu nieprzyjaciela.

XVII.

Ubranie, o ile można, dla kawalerji jest najwłaściwszem narodowe, ale powinno być nie tylko wygodne, ale wykwintne, kształtne, dobranych barw: jasnych, jaskrawych, świetnych, albo z ciemnych, ponurych, przerażających — żeby

mogła się chełpić albo jednem, albo przerażać drugiem. Jazda powinna być zalotną, kiedy się stroi, to miłuje, albo poważa siebie, kiedy jest piękną, ma świetność i błyskotki, albo rzuca postrach ubiorem; wtenczas zdwaja swoją chełpliwość, swoją dzielność, swoją odwagę, chce się pokazać, dowieść czynem, że godny stroju, jaki mu dano. Białe i czerwone barwy były barwami noszonemi przez pułki, które się odznaczały w czasie boju. Koń, któremu odmawiają duszy i imaginacji, miłuje osiodłanie świetne, błyszczące i zdwaja swoją zuchwałość, panoszenie się i dziarskość; dla czegoż człowiek z duszą i imaginacją nie miałby ulegać temu samemu wrażeniu?

Wielki książe Konstanty Pawłowicz, ten arcymistrz wojskowej sztuki, znawca wojskowych ludzi i wojskowości, stroił swoich ułanów i mawiał:

«Kawalerzysta to zalotna niewiasta, moi ułani to kokietki; póki się stroją, to wszystko z nimi zrobić można i nic dla nich nie masz niepodobnego; jak się stroić przestaną, to jak kokietki, kiedy zdewocieją — djabła warci.» I miał prawdę za sobą.

Studjowałem pułk pierwszy gwardji tureckiej, bo w nim służył mój przyjaciel Adam Morozowicz, na turecki kopyt Osman Bej. Kiedy na niego nałożono kirasy i inne przybory kirasjerów francuskich, pułk schyrlał jak starzec sparaliżowany, słaniał się po ulicach, a na koniach jeździli jak gdyby mleko wieźli — albo chanamy do akuszerek, bo mu nie było do twarzy; ale kiedy go przebrano na spahisów, w stroje jaskrawe z białemi turbanami na czerwonych fezach — pułk zahulał, bo się przejrzał w zwierciadle Bosforu i dobrze mu było. Na rewizji pod Maslakiem on jeden nie chodził jawasz, jawasz — powoli, powoli — ale doskakał, w cztery podkowy chodził w manewrach, na przegoń z moimi Kozakami, i to wtenczas kiedy cała kawalerja turecka była prawdziwe masło maślane.

Dawniej huzary rosyjskie we swoich mentykach i dołmanach, przy swoich taszkach i kiwerach byli według wyrażenia ludu: Krasawcy — czwanili się, hulali, awantury płatali, ale jak się bili, to aż słodko o tem czytać, a cóż to być musiało, kiedy się widziało?

W roku 1831 w wojsku rosyjskiem pułk huzarów, biało-

ruski, księcia Oranji, miał świetne mundury czerwone z szafirem i ze srebrem, siedział na białych i jasnosiwych koniach, byli oni jak rycerze świętego Jerzego. W czasie tej polskiej wojny pierwszym szeregom pułków huzarskich dano spisy. Pułk białoruski wyprosił się od tej niechrześciańskiej broni, jak ją zowią huzary Madziary, i został przy swojej huzarskiej — przy pałaszach: jednak pod Boremlem łamał i rozbijał szeregi starych ułanów generała Dwernickiego, przed którymi pierzchały wszystkie inne pułki huzarów i dragonów.

W czasie szturmu Warszawy ten sam pułk przesadził rogatki i wskoczył pierwszy do polskiej stolicy — żeby pochwalić się z czerwonemi dołmanami przed Warszawianami.

W wojsku polskiem pierwszy pułk z amarantem, drugi z białym najznamieniciej się odznaczali, czwarty z ciemnym szafirem ze srebrem i na czarnych koniach takoż, trzeci z żółtym nie tyle, a trzeci strzelców konnych zielony z żółtem, przezwany przez żołnierzy: Jajecznica z pietruszką, czy pietruszka z jajecznicą; wszędzie zmykał i na placu zostawił swojego dowódzcę rannego, dzielnego generała Błędowskiego — i żołnierze temu się nie dziwili, powtarzając:

«Jajecznica zawsze jajecznicą, choć ją jak pietruszkę przypruszą.»

A jednak te szasery, byli z tego polskiego ludu, co i inni kawalerzyści polscy — mundur ich zrobił jajecznicą, a jak pułk pójdzie na pośmiewisko, to biada mu biada.

I gwardja polska strzelców konnych, złożona z wyborowych ludzi, z wyborowych koni, nigdzie się nie odznaczyła, bo była Jajecznicą z pietruszką.

Mundury, że się tak wyrażę, ponure, w wojsku rosyjskiem miał pułk huzarów Aleksandryjski, księcia Paszkiewicza, cały czarny ze srebrem i na czarnych koniach. W wojsku polskiem czwarty pułk ułanów, ciemny granat, ciemny szafir, srebro i czarne konie. Cesarzewicz Konstanty zorganizował ten pułk z gwardji Napoleona Wielkiego; na piersiach błyszczały legje honorowe, Virtuti militari. Starce siwowąsi i siwobrodzi po drabinkach włazili na konie, ale jak wleźli, to siedzieli jak przykuci, jak wrośli — kiedy stali pod ogniem, nieruchomi jak posągi z granitu, a kiedy poszli w taniec, to pod Kałuszynem, na żwirówce, kładli bataljony po bataljonach, i szliby tak może i na Wielkiełuki, bo ich

wiódł ich dowódzca hrabia Władysław Zamojski. Noc zatrzymała. Cieszono się — że zmartwychwstał Jan Zamojski: będzie nowa Byczyna, ale niestety tak nie było; i to minęło jak wszystko mija i minie.

Mundur świetny upaja jeźdźca i ciska go na niebezpieczeństwo, robi z niego prawdziwego hulakę wojny, i dla takiego nic ma nic niepodobnego. Mundur ponury, przerażający, odgania od jeźdźca strach, z sobą niesie wrogowi, nie da mu się ani zatrzymać, ani cofać, ale ciągle pędzi naprzód do zadawania ciosów, na ciosy; robi on z jeźdźca prawdziwego żołnierza śmierci.

XVIII.

Najpraktyczniejszą organizacją dla kawalerji byłoby składanie każdego pułku z pięciu szwadronów, czterech bojowych, piątego zakładowego, rozrachowując na lat pięć służbę, co zdaje się koniecznem, żeby mieć jeźdźców wyrobionych, a zatem i dobrą jazdę. Jeździec powinien rok jeden być w szwadronie zakładowym, a cztery w bojowych.

Szwadron zakładowy powinien być dowodzonym przez najzdolniejszych, najwięcej mających nauki i doświadczenia oficerów, i mieć takichże podoficerów. W każdym zwodzie mieć po czterech żołnierzy sposobnych do wyrobienia ludzi, do objeżdżania koni. Każdy rekrut rok jeden przebywać w szwadronie zakładowym, każdy koń nowo nabyty takoż. Szwadron istotnie winien być szkołą. Do tego szwadronu powinna być przyłączona szkoła podoficerów, któraby tych ostatnich przysposobiała na oficerów. Każdy pułk winien mieć bibljotekę wojskową, swoją własną, i skład kart geograficznych. Profesorami winni być profesorowie uzdolnieni z pułku; w nagrodę ich pracy przeznaczać dodatkowy żołd, w nagrodę ich zdolności i pracy awans za zasługę. Gimnastyka winna być niezaniedbywaną w tych szkołach. Do tego szwadronu należeć mają robotnicy pułku, siodlarze, ślusarze, kowale, rucznikarze, szewcy, krawcy i t. d.

Nie byłoby źle, żeby cały szwadron zakładowy wsadzić na klacze, szkołę na ogierów, szwadrony bojowe na konie wałachy z domięszaniem klaczy niepłodnych, a z wykluczeniem

jak najzupełniejszem ogierów. Połowa klaczy szwadronu zakładowego mogłaby być użytą do płodu, a połowa do uczenia jazdy rekrutów. Każdy pułk mógłby mieć od czterdziestu do pięćdziesięciu źrebiąt na remontę — możnaby przyjść do ulepszenia porody właściwie wojennej, a nawet takiej, któraby mogła dostatecznie utworzyć konia bojowego, posiadającego zalety kilku poród krzyżowanych. Tam by mogły się odbywać próby krzyżowania poród, ich aklimatyzowania, wychowania i karmienia. Stamtąd można dyrygować, dopomagać i czuwać nad ulepszeniem poród końskich w okolicy, daleko skuteczniej i ekonomiczniej, jak zawodami i stacjami czysto rządowemi. I kawalerja, zamiast zużywania zasobów koni jak dotąd, wnosiłaby ze swej strony także płód do bogactwa krajowego.

Szwadron zakładowy powinien mieć swój kwaterunek stały, w okolicy najstósowniejszej do hodowli koni i gdzie można mieć większą liczbę rekrutów zdolnych do kawalerji; nie w wielkich miastach, ale przy miasteczku, lub wsi. Koszary w pewnem oddaleniu od zamieszkań sielskich, żeby mieć więcej swobody i można mieć łatwiejszy nadzór.

Szwadron ten przygotowywałby wszystko, co potrzeba, a szwadrony bojowe robiłyby służbę, gdzieby im nakazano. Nie mianoby w pułku niedogodności mieć rekrutów nieuków w szeregach i widzieć pułk upadający brakiem ludzi wyrobionych; w czasie wojny szwadron zakładowy dostarczałby ludzi wyrobionych, jednolitych i koni objeżdżalnych. I możnaby za pomocą tych szwadronów zakładowych urządzić porządek i użyteczność w powinności wojennej końskiej, z pożytkiem skarbu, z pożytkiem mieszkańców.

Ludzie wzrostu miernego, bez wielkich brzuchów, temperamentu nerwowego, są najzdolniejsi do kawalerji, ludzie temperamentu limfatycznego są do niej zupełnie niezdolni.

Szwadron w kawalerji jest podstawą organizacji, dla tego powinien zawierać w sobie wszystko, co potrzeba do służby wojennej, służby oddzielnej, i służba się odbywa najlepiej tam, gdzie jest wykonywaną szwadronami po kolei, bez przykomenderówek z innych szwadronów, a głównie dla tego, że z natury dowódzca szwadronu dla swoich jest i będzie zawsze matką, dla przykomenderowanych macochą. Organizacja pułków sześcioszwadronowych, mających po

skrzydłach szwadrony z bronią palną, a środkowe z bronią sieczną, jest niedobrą. Do służby przedniej straży, czat, rozjazdów, rozpoznań i innych podobnych — przykomenderywują jeźdźców z bronią, do oddziałów z bronią sieczną. Przykomenderowani się niszczą, jedność pułku słabnie i po kilku miesiącach służby, pułk na swojej wartości upada.

To miało miejsce po kampanji tak zwanej krymską; cała trzecia część kawalerji została zniszczoną, bo we wszystkich piątych i szóstych szwadronach konie albo wyzdychały, albo ledwie nogi włóczyły.

Kozacy otomańscy, dzięki wysokiej zdolności, widzenia praktycznego rzeczy wojennych ówczasowego Seraskiera Rizy paszy — uniknęli tego szwanku. Na moje przedstawienie dozwolił, żeby pierwsze trzy zwody były uzbrojone w spisy, a czwarty w karabinki — w każdym szwadronie; a szwadrony po kolei stanowiły całość służbową: nie było ani przykomenderówek, ani pożyczek ze szwadronu. Konie przez całą kampanję były zdrowe i żwawe i bardzo mało strat poniósł — chociaż śmiało powiedzieć mogę, że robił służbę za dziesięć pułków; co przyznał i firman sułtański, odczytany pod Silistrją — że Kozacy byli ramieniem, uchem i okiem całego wojska sułtańskiego.

W natarciach zbrojni spisami, uderzali ławą, zbrojni karabinkami szli w rezerwie; po rozbiciu rozpierzchali się z szablą w dłoni, gromić nieprzyjaciela, brać jeńców i konie. Przy nieudaczy, rozsypką rzucali się na flanki nieprzyjaciela i ogniem z karabinów powstrzymywali pogoń i ułatwiali sformowanie się szwadronów ze spisami.

Ten rodzaj służby i wojowania sprawił, że Kozacy oddawali dobre i pożyteczne usługi wojsku otomańskiemu: w czasie wojny krymskiej, w Deli Ormanie, nad Dunajem i nad Prutem, a potem na granicach Grecji i Czarnogóry i w Bałkanach. Służba odbywała się z przykładną i z sumienną dokładnością i z wielką przezornością, a konie i ludzie nie tylko, że nie byli zniszczeni, ale nawet i nie byli zmorzeni. Reskrypta sułtana Abdul Medżid Hana, rozkazy często powtarzane Serdar Ekrema Omer paszy, Seraskierów, Rizy, Mehmed Alego, szwagra sułtana, Fuada i Namuka Panoi oddały sprawiedliwość służbie i zasłudze Kozaków otomańskich. Ale ludzie nowej szkoły wojskowej otomań-

skiej, nie zadali sobie pracy, żeby ocenić ten rodzaj organizacji, mówiącej za sobą faktami i długoletniem doświadczeniem, bo nie znachodzili jej w książkach elementarnych francuskich. Zapewnie i ta organizacja zniszczoną, albo zmienioną zostanie, tak jak wszystkie inne już zostały — dla tego, że nie były w programie szkolnym i nie pochodziły od instruktorów cudzoziemców.

XIX.

Pułkownik Karol Różycki swój pułk z ochotników z okolicy Berdyczowa, nazwany jazdą wołyńską, czyli pierwszym pułkiem Kozaków polskich, stawiał do boju w szyk jednym szeregiem, i tak wojował przez całą kampanją 1831 roku z wielkiemi korzyściami. Niezaprzeczenie był to najlepszy i najszczęśliwszy pułk z całej jazdy polskiej. Jeźli ten szyk jednoszeregowy był tak skutecznym, kiedy jeszcze nie używano broni z pistoletami, jakiegożby on nie był użytku dziś przy wynalazkach broni częstostrzelnej i innych pociskach zabójczych. Mniemam, że prędzej czy później ten szyk jednoszeregowy zostanie przyjętym za istotnie praktyczny szyk bojowy. Wprawdzie jazda nie będzie tak ładnie wyglądała na oko, ale będzie oszczędność ludzi i koni od strzałów, oszczędność wydatków i możność zachowania jazdy na stanowcze wypadki.

Uderzenia frontem, czyli ławą, zachowując swoją dawną skuteczność, stały się dziś niezmiernie niszczącemi jazdę. W tej olbrzymiej walce Germanów z Latynami, która się odbyła na francuskiej ziemi, w uderzeniach śmiałych a upartych prawie całe pułki giną. Kirasjery francuscy gwardji cesarskiej, kirasjery Makmahona, kirasjery czy dragoni Bismarka, huzary francuscy księcia de Beaufremont i margrabiego d'Espeuil zmiażdżeni zostali pociskami i strzałami djabelskiego wynalazku; zrobiono z nich prawdziwą siekaninę — harmatnią, ale jeźli te natarcia nie wstrzymały w miejscu nieprzyjaciela, ocaliłyby przynajmniej wojsko od zagłady. Cześć wojenna pułkowi huzarów francuskich: siedemnaście razy szarżował na most i zawsze z niego spychał nieprzyjacielską kolumnę. Cześć ich pułkownikowi, temu

walecznemu margrabiemu d'Espeuil, który na czele pięćdziesięciu huzarów, szczątka walecznego pułku, ośmnasty raz uderzył i rozbił nieprzyjaciela, sam znalazł śmierć na pobojowisku, ale ocalił cofających się towarzyszy, cały korpus. Szczytny to był dramat wojenny ze szczytnym końcem. W zasadzie tedy natarcia zostały skutecznemi, tak jak były dawniej, tylko stały się śmierciobojnemi dla jazdy, niszczącemi skarby rządów.

Manewrowanie na polu bitwy kolumnami szwadronowemi ściśnionemi, czy w odstępach, albo masowanemi ze zwodów i inne ewolucje tego rodzaju stały się jeszcze bardziej śmierciobojnemi. Trzeba tedy szukać sposobu, by uniknąć tego złego ile można, tego zniszczenia, a doprowadzić bój do pożądanego celu. Nie trzeba naśladować Neja pod Waterloo — ale Lasala pod Wagram, Davousta pod Auerstätt.

Szybkość w ruchach, szyk wąski, nie głęboki, ruchy w rozsypce i takoż natarcia i dowódzców, którzyby nie błąkali się po miejscowości, nie wahali się w chwilach działania — oto są najlepsi ochroniciele przeciwko nowego wynalazku broni palnej, przeciwko nowo wynalezionym pociskom, a tem samem przeciw nowo uznanemu systematowi prowadzenia wojny na polu bitwy — przeciwko dzisiejszej taktyce.

Często bardzo zachcianki wielkich mężów wojny, genjuszów wojennych mają w sobie wskazówki prorocze, które rzucają w świat, żeby potomność z nich korzystała, jak przyjdzie czas.

Napoleon Wielki ile razy tylko przyjeżdżał oglądać pułk jazdy, natychmiast kazał mu się sformować w czworobok, najczęściej sam wjeżdżał we środek i kazał mu się poruszać w rozmaitych kierunkach i rozmaitemi ruchami.

Kroniki tatarskie, przechowane po upadku krymskiego haństwa w Stambule, mówią, że Tamerlany w swoich przeglądach jazdy i w swoich polowaniach, każdą ortę, to jest pułk, formował w następny sposób. Środek linją rozwiniętą, skrzydła kupkami pomasowane za skrzydłami środku, później, już w ruchu rozpoczętym, skrzydła pomasowane wyprzedzając środek, ale nie rozrywając się od niego, zaskakiwały naprzód, by oskrzydlać nieprzyjaciela, czy też zwierza — i tworzył półksiężyc, i od tego półksiężycowy front zwał się

szykiem tatarskim. Ten szyk nie był czem innem tylko dzisiejszą kolumną zdwojoną (colonne double). Tamerlan miał sposobność wypróbować skuteczność swojego ulubionego szyku: w bitwie pod Koniach przeciwko sułtanowi Bojazydowi Ilderymowi (Piorunowemu). Napoleon Wielki nie miał sposobności wyprowadzić swojego — ale obydwa te szyki są do zastósowania i do wypróbowania.

Weźmy czworobok następujący na spotkanie nieprzyjaciela: w pułku czteroszwadronowym drugi szwadron maszeruje frontem linją rozwiniętą wprost; pierwszy szwadron, za prawem skrzydłem drugiego, w kolumnie zwodowej od lewego; trzeci szwadron za lewem skrzydłem drugiego, w kolumnie zwodowej od prawego; czwarty szwadron zamyka czworobok linją rozwiniętą. Podchodząc ku nieprzyjacielowi na odległość naznaczoną przez dowódzcę, drugi szwadron idzie w rozsypkę i naciera nieprzyjaciela rozsypką. Pierwszy i trzeci szwadron oskrzydlają nieprzyjaciela także rozsypką i nacierają. Czwarty szwadron idzie ławą, umiarkowanym galopem i ławą naciera, jeźli oskrzydlające szwadrony swojem natarciem wniosły nieporządek w szeregi nieprzyjacielskie. Jeźli natarcia w rozsypce nie udały się, szwadrony nacierające odstępują rozsypką i formują się za czwartym szwadronem. Takie uderzenie jest najwłaściwsze na piechotę — mniej się ludzi na strzały naraża, a wszystkie ruchy czworobokiem tak się łatwo wykonywują jak kolumną ściśniętą i formacja prędsza.

Uderzenie kolumny zdublowanej jest właściwsze na jazdę, środek naciera ławą, a skrzydła oskrzydlając, nacierają w rozsypce na nieprzyjaciela, biorąc go w kleszcze półksiężycowe dawnego tańca Tatarów.

Taki sam szyk, zdaje mi się, mógłby być używanym przeciwko armatom i kartaczownicom, ale w tych razach należy unikać ile można natarcia linją, czyli ławą, żeby mniej ludzi i koni wystawiać na strzały.

Dawna uwaga generała Kielermana może tu być przywiedzioną, żeby prowadzić kawalerję na armaty, a szczególnie na piechotę, przyprowadzać ją jak można najbliżej — kłusem, bo najtrudniej jest brać na cel i masę jazdy i pojedyńczych jeźdźców, idących kłusem: dygają i migają w oczach

strzelających. Tu się stwierdza zdanie starych, doświadczonych myśliwych — że trudniej daleko jest zabić łosia, idącego kłusem, jak sarnę galopującą.

XX.

Mistrzowie w sztuce przednich straży i praktykanci, że tak nazwę tej służby, są wszyscy Kozacy, a mianowicie Kozacy dońscy: czujni, niezmordowani, z sokolim wzrokiem, ze słuchem dzika, z przebiegłością lisa, a zgrabnością kota. Nic się nie uchowa przed ich okiem, ani przed ich uchem, i w tej służbie rozwijają tyle gorliwości, tyle działalności, tyle miłości własnej, że zdaje się, że Bóg ich stworzył do przedniej straży.

W roku 1831 oddział jazdy wołyńskiej był wysłanym na rozpoznanie okolic Wierzbicy, w województwie Sandomierskiem. Oficer dowodzący oddziałem, wyszedłszy z gęstych krzaków i mając się spuszczać w jar, — zoczył na przeciwnoległem wzgórzu koło karczmy przywiązane konie do płotu, a w jarze koło młyna na koniu Dońca stojącego na czatach, obrócił się do swoich:

«Kto mi zatrzyma tego Dońca, nie dozwalając mu zsiąść z konia i nie zabijając go, temu dam dwadzieścia dukatów obrączkowych.»

Wachmistrz oddziału, Adam Baranowski, prawdziwy Kozak Ukrainy, zsunął się z konia, odpasał palasz, wziął do ręki pistolet i na brzuchu popełzł między krzakami w jar. W kilka minut oficer przez perspektywę dostrzegł, że Kozak stojący koło młyna na koniu drgnął, ale siedział na koniu. Wnet z oddziałem pokłusował w jar, wyskoczył pod górę i już karczma była dokoła obskoczoną Wołyńcami, a konie uwiązane przy płocie w ręku Wołyńców. Strzelono w okna z pistoletów, strwożeni Dońce wyskakiwali z karczmy, jak topielce z kołbani wodnej jednym okropnym Uch oznajmili i swój postrach i swoje poddanie się. Uradnik dowodzący Dońcami tak był zachwyconym i, jak to mówią, zbitym z pantalyku, że słowa nie powiedziawszy, swoim własnym pistoletem życie sobie odebrał, a co było więcej zadziwiającem — że Doniec z pod młynkowej czaty, który ze strachu

wymierzonego do niego pistoletu Baranowskiego siedział na koniu, widząc skutki tego strachu, takoż sobie życie odebrał, mówiąc: «Już mnie na Don nie wracać — matka by się mnie zaparła, żadna dziewka nie chciałaby mieć mnie za męża!» — Było to uczucie żalu i sromu wojennego.

W czasie wojny 1854 roku nad Dunajem było niepodobieństwem zbliżyć się do posterunków rosyjskich: wszędzie się napotykało Dońców starego Sazanowa, wychodzili oni jakby z pod ziemi. Nieszczęsny muszyr tureckiego wojska, Dudu Achmed pasza, uczeń wiedeńskiej szkoły, przesławionego generała Hauslaba — który w parę lat później rozstrzelanym został w Damaszku — w swoim raporcie o wyprawie pod Czetaty mówi:

«Chytry to naród ci Dońcy — gdzie się nie myślało ich zastać, tam się oni pokazują, a gdzie się spodziewano ich widzieć, tam ani śladu ani wieści o nich, to jest tam, gdzie oni są, tam ich nie ma, a gdzie nie ma, to tam są —» i t. d. Raport ten był drukowanym w gazetach francuskich i angielskich, a zapewne i niemieckich, czyli wiedeńskich. Przypisywano raportującemu głęboką znajomość sztuki wojennej, a stary Hauslab, musiał łzami radości i chluby poprunąć, że jego uczeń tak umiał ocenić nieprzyjaciela, ale niestety nie bić — bo tego nie bywało.

Dzieci kozackie od niemowlęcych lat prawie uczą się sztuki czat, jak abecadła, jak katechizmu, a może i lepiej jak pisma świętego, jak pacierza powszedniego — a może i lepiej i pewnie że lepiej.

W osadzie nad jeziorem Manias, w Azji Mniejszej, koło Bandermy i Mihaliczu, wychodźce z nad Donu — zwani wojsko Ihnata Nekrasy Kozaków, czyli Nekrasowce — wychodźce jeszcze za panowania Katarzyny II. w czasie buntów Stenka Razina, posiadali rękopism o służbie czat i wypraw ustanowionych przez starszyznę pod dyrekcją Razina, a spisany przez Ihnata Nekrasę. Ten rękopism przechował się w skarbcu wsi osady Bin Ewle (tysiąc domów), razem z nahajką Ihnata Nekrasy i z kajdankami tegoż Nekrasy — karano Kozaków biciem tą nahajką i zakuwaniem w te kajdany. I to ukaranie nie przynosiło wstydu, ani zostawiało hańby żadnej — bo to były: nahajka Nekrasy, kajdanki Nekrasy. Na początku rękopismu było zastrzeżenie, żeby na

wszelkie wojenne służby, na czaty, na zwiady i na wszelkie wyprawy nie posyłać mniej nad trzech Kozaków — gdyż jeden może łatwo zginąć, przepaść, dwóch może się zmówić, trzech nigdy. Między trzema nie może być zachowaną tajemnica; zmowa wydać się musi. I do końca mojego dowództwa Nekrasowcami ten przepis był jak najściślej zachowany — nawet na wedetach i na tańcach straży, każdy numer stawał po trzech Nekrasowców.

Dzieci tej osady bawią się w przednie straże, w zwiady, w wyprawy, utarczki, a zawsze po trzech.

W roku 1858 będąc z pułkiem na leżach zimowych w Juskupie nad Wardarem, miałem sposobność studjowania instrukcji Issa Beja, Beglerbeja Rumelji, gotującego się na wyprawę do Węgier i w kraje będące pod berłem Habsburgów. Była to wyprawa podboju; miał on czterdzieści tysięcy wojska, w niem dwadzieścia tysięcy jazdy, akindżych. Dwanaście tysięcy jazdy było podzielonych na cztery oddziały, każdy po trzy tysiące; resztujące ośmnaście tysięcy szły przy głównym sztabie, pod rękę Beglerbeja. Jeden z tych oddziałów szedł naprzód w awangardzie, drugi z tyłu w ariergardzie, a dwa po bokach, na flankach wojska. Odległość na jaką mieli rozciągać swoje zagony, była oznaczoną, ośm godzin tureckich, czyli czterdzieści werstw rosyjskich.

Tysiąc akindżych zostawało pod dowództwem Binbaszego tysiącznika, był to pułk; każdy Binbaszy zostawiał przy sobie dwiestu lub trzystu akindżych i szedł etapami oznaczonemi, znanemi od wszystkich oficerów oddziału. Resztujący jeźdzce od tysiąca byli podzieleni na oddziały od dziesięciu, dwudziestu do pięćdziesięciu jeźdzców. Przebiegali oni okolicę we wszystkich kierunkach i codziennie przez wysłanych jeźdzców składali raporta Binbaszemu, o wszystkiem, co dostrzegli, naczelnym dowódzcom oddziału, a ci Beglerbejowi. Nie byłże to system zwiad i ochrony wojska przez jazdę tak umiejętnie dziś zastósowanym i wykonywanym w wojsku pruskiem, czyli niemieckiem, przepisami feldmarszałka de Moltke? Jest to najskuteczniejszy system do przerażenia najechanego kraju i oświadomienia o wszystkiem naczelnego wodza i głównego sztabu; od tego lepszego nie masz. Jeźli ten system popartym zostanie szpiegostwem dobrze urządzonem, co jest koniecznem i nieodbitem, natenczas machina

wojenna tego rodzaju służby będzie arcydziełem. Na tej wysokości ją stawia feldmarszałek de Moltke. I dla tego to ten wielki mąż wojny, silnie przekonany i wiedzą i doświadczeniem, po powiedzeniu wielkiej prawdy — że nie parlamentyzmowi, nie oświacie, nie dobrobytowi nawet winny Niemcy swoje zjednoczenie i swoją wielkość i potęgę, ale cesarzowi Wilhelmowi i ministrowi Roon, którzy uposażyli w takie wojsko i w taką służbę wojenną Prusy i Niemcy, i księciu Bismarkowi, który je umiał użyć tak politycznie — siebie przez skromność nie wymienił.

W chwili, kiedy Prusy Niemcy w paroksyzmie germanizmu i upojone parlamentyzmem, po kongresie berlińskim poczęły się rwać przeciw Rosji, nawet do zachęcewania z nią wojny — mąż wojny powiedział:

«Nie radzę! — Przypuszczam nawet, że Niemcy mogą wystawić wojsko tak liczne jak Rosja, że wojsko niemieckie jest lepiej uorganizowane, wyrobione i administrowane jak rosyjskie, że ma daleko lepsze sztaby, nierównie lepszych oficerów i generałów, ale nie mają tego i mieć nie mogą, co ma Rosja — Kozaków. Jak ich puszczą, to nasza organizacja wojenna, nasze wynalazki wojenne, nasz wojskowy rozum i doświadczenie nic nie pomogą — wszystko zniszczą, roztratują i przewrócą całe Niemcy do góry nogami.»

I to była druga prawda. Wypowiadając ją — miał na myśli i nie mógł nie mieć Kozaków, ale też przytem musiał myśleć o systemacie wojowania Beglerbejów.

A jak go zastosują do Kozaków? Dońce atamana Płatowa w latach 1812, 1813 i 1814 przebiegali całe Niemcy i całą Francją. Kiedy monarchowie sprzymierzeni przeciwko Napoleonowi Wielkiemu wchodzili do Paryża — oddziały Dońców widziano już w Tuluzie: tak oni żwawo i swobodnie przebiegali, jak niegdyś Beglerbejowie z Akindżymi przebujali Styrją, Karyntją i Tyrol — jak ułani prusey naśladowali to, ale słabo, we Francji w ostatniej wojnie. I to było coś warte, ale nie było ani hulaszczości, ani oczajduszostwa Akindżych i Kozaków.

Żeby mieć dobrych szperaczów w czasie wojny, trzeba ich do tego przyzwyczajać w czasie pokoju. Do tego najpraktyczniejszym sposobem urządzać ciągłe pochody jazdy wewnątrz kraju; nie dawać jej zasiadywać długo na jednych

leżach, ciągle mieć w ruchu; nie będą wprawdzie konie tłuste, ale będzie ruchawa i wyrobiona kawalerja. Przytem przywiązać do służby jazdy katastrowanie kraju.

Pochody wojskowe przyzwyczajają do trudów i rozbudzają do życia i jeźdźców i konie, rozwijają działalność, przezorność i zdolność oficerów, a nawet i jeźdźców, przyzwyczajają do gotowości na każde zawołanie, do tego oczajduszostwa, które uzupełnia naukę kawalerji.

Te pochody kawalerji mogą wzbudzać między mieszkańcami kraju obawę, albo zaufanie, stosownie do potrzeby, i pod tym politycznym względem mogą przynosić niezaprzeczone korzyści. Odzwyczajałaby się jazda w zaopatrywanie się w mnogość sprzętów; to ostatnie może się najwięcej zastosować do jazdy otomańskiej, która nawykła za sobą ciągnąć hurmę bagażów.

Kiedy się przenosi z miejsca na miejsce pułk jazdy otomańskiej, to jakby się przenosiło całe wielkie miasto — pułk ma oprócz kilkudziesiu mułów, które rząd daje pod przewóz namiotów i innych bagaży, oprócz tego na płaszczyznie, gdzie są żwirówki i wygodne szlaki, sto wozów najmniej, a w miejscach górzystych, bezdrożnych od dwiestu do dwiestu pięćdziesięciu koni, rekwirowanych od mieszkańców, albo najmowanych pieniędzmi rządowemi. Cóż to za niedogodność, co to za ucisk dla kraju, szczególnie w czasie robocizny w polu, albo w porach bezdroża, i to może jest główną przyczyną, że pułki jazdy bardzo rzadko ruszają z miejsca na miejsce, a trzymają ich długie lata na tych samych kwaterach, a jeźdzce i konie chyrlają na nich.

Oficerowie, a nawet żołnierze żenią się, zaopatrują się w liczne sprzęty, w gospodarstwo, tak jak mieszkańce miejscowi, a może i więcej. I kiedy ten pochód następuje, to ten pochód, czyli ta rumacja, jeszcze śmieszniej i ckliwiej wygląda jak podróż modnej żony, z pudłami, pudełkami, klatkami i narzędziami do rozmaitego użycia, tak zręcznie opisanych w komedji Juliana Ursyna Niemcewicza i w innych poezjach polskich, a zapewnie i innych narzeczy.

Ruch ciągły jazdy może zniewolić oficerów i żołnierzy, jeźli nie do bezżeństwa, to przynajmniej do niezagospodarowania się, jak miejscowi obywatele, i do stania się prawdziwymi żołnierzami, którzyby mogli jak legjoniści

rzymscy mówić: «Omnia mea mecum porto» i jakby powinni dzisiejsi żołnierze mówić — wszystko moje z sobą niosę.

Pułk jazdy nie powinien mieć tylko jeden furgon pod kassę i archiwa — w szwadronach po jednym małym furgonie, dla kawalerji i oficerów, i po jednym mule albo koniu, na zwód pod namioty. Ale i namioty nie są niezbędnemi. Jazda powinna się przyzwyczajać do biwakowania, albo do roztasowywania się po domach na kwatery. Taki sposób przyucza do wojny. Biada mu, jeźli w czasie wojny w tym względzie nie umie sobie dać rady — do tego trzeba się przyuczać, bo teorja nie wiele zaradzi bez praktyki i nawyknienia. To obywanie się bez namiotów szczególnie ćwiczyć należy; trzeba przestrzegać niewożenia się z namiotami, w czasie pochodów naukowych. Namioty tureckie są niepotrzebnym przepychem i jeszcze niepotrzebniejszą mozołą. Albo ich używać nie można, albo używając, często się naraża na ich stracenie, a nawet na szwank jazdy, jeźli zaskoczoną będzie przy zbieraniu namiotów. Jest on z warunków niezbędnych w czasie wojny, jest uwolnienie ludzi od niepotrzebnych i mozolnych prac, oszczędzenie ich sił. Jazda z lekkim bagażem jak to być powinno, wykonywając marsze naukowe, nie tylko nie naraża skarb na zwiększenie wydatków, ale przeciwnie, może i powinna je zmniejszać. Marsze naukowe przyzwyczajają jazdę do prędkiego wychodu z garnizonów, przeciwnie, stojąc ciągle albo długo na miejscu, nawyka do obrzydliwej opieszałości wybierania się z garnizonu — żeby nie było według przysłowia — wybierają się jak czajki za morze.

Przy pochodach naukowych trzeba przyzwyczajać jazdę do marszów nocnych i do wszelkiej służby w nocy.

XXI.

Wyprawy nocne, zasadzki i napady mogą i dziś ważną rolę wygrywać w jeździe, tylko trzeba mieć doskonałą, co się nazywa, jazdę — i dowódzcę i oficerów i żołnierzy i konie. Z takiemi warunkami, jak odgrywały tak odgrywać będą stanowcze uśpiechy — i do tego trzeba przyzwyczajać jazdę w pochodach naukowych.

To, co się dziś dzieje w Rosji, wykazuje, że wielki książe Mikołaj Mikołajewicz taki arcymistrz jazdy do wojny, jakim był jego starszy brat, cesarzewicz Konstanty, jazdy do wojskowości. Uznał i rozwija pochody naukowe i nietrzymania jazdy na jednem miejscu — i ten to postęp trzeba dołączyć do dwóch drugich.

Do zoczajduszenia kozackiego kawalerji regularnej — a zregulowania oczajduszostwa Kozaków na wysokość kawalerji regularnej.

Do przeistoczenia całej jazdy regularnej na dragonów, co jest najwłaściwszem w dzisiejszym systemacie prowadzenia wojny — nadaje jednolitość tej broni, usuwa metodę szkodliwą odkomenderówek i przykomenderówek jeźdźców jednej broni do oddziałów drugiej broni, przez co niszczy się jazda pod każdym względem. Upraszcza i ruchy i komendy, co jest takoż ważnem, bo każde uproszczenie, każda jednolitość nie może tylko być na korzyść organizacji jazdy — na jej ulepszenie.

I tą drogą idąc, kawalerja rosyjska, pod kierunkiem swojego znakomitego naczelnika i inspektora, nie mając tylko dragonów i Kozaków, unika różnorodności i komplikacji, tych dwóch wewnętrznych wrogów organizacji każdej kawalerji.

Trzeba jeszcze dodać, że wielki książę Mikołaj tak zwaną starą rozbudził w oficerach ochotę, nie tylko do ćwiczenia się w rajtszuli, ale nawet w polu — na swobodzie, na samowoli, co jest daleko pożyteczniejszem, co nazywano spacerami oficerskiemi; i do przejazdów wielkich odległości, co jest bezzawodnie pożyteczniejszem jak wyścigi dla ludzi i koni wojny. Skutki pożyteczne tych wprowadzeń dają się już teraz widzieć. Generał Struków, ten wierny wykonawca pomysłów swojego naczelnika, umiał je wpoić w oficerów swojego dowództwa — tak, że dziś bezzawodnie pułk dragonów Ekaterynosławski jest jednym z najlepszych pułków jazdy rosyjskiej, i tylko jedni Kozacy, ta prawdziwa jazda wojny, może z nim rywalizować.

XXII.

W wyżej opowiedzianym rodzaju służby pułkownik Karol Różycki, dowódzca jazdy wołyńskiej, czyli pierwszego pułku Kozaków polskich, może służyć za wzór. Jazdę, którą zorganizował i którą dowodził w 1831 roku, wyrobił do wysokiego stopnia doskonałości, i w ruchach i w napadach. Jazda ta maszerowała i walczyła z równą dokładnością w nocy jak w dzień, a daleko z większemi korzyściami.

Między wielu czynnościami tej jazdy, dowodzonej przez tego dzielnego oficera, wspomnę tu o dwóch wypadkach.

Po przejściu Bugu w Przewozach jazda wołyńska była ściganą przez pułk huzarów białoruski — księcia Oranji. Karol Różycki zszedł z bitej drogi w lasy, koło wsi Rudniki, i tam czekał. Kiedy huzary przechodzili koło niego o kilkuset kroków, nie uderzał na nich, chociaż mógł to zrobić z korzyścią pewną. — Kiedy huzary poszli szlakiem na Hrubieszów, o zmierzchu nocy Karol Różycki ze swoją jazdą rzucił się w prawo na Uchanie, za którem to miasteczkiem stała wielka straż, grangarda korpusu generała Ridigiera, obozującego w Wojsławicach, złożona z ośmiu szwadronów, pułku konnostrzelców Siewierskiego, dowodzonego przez młodego pułkownika Bohdanowa. Jazda wołyńska nie składająca się z więcej jak trzystu jeźdźców, bez strzału zdołała zabrać wszystkie czaty konnych strzelców, wedety, placówki i zwiady. Wpadli na obóz pułku, który miał swoje konie posiodłane, ale nie pokiełznane; oficerowie wołyńscy pałaszami rozcięli sznury konowiązów i ten piękny i waleczny siewierski pułk, pomimo upartej i bohaterskiej obrony, był zupełnie zniszczonym, rozbitym i zabranym w niewolę. Nagłemu i niespodziewanemu napadowi i zrobionemu zamięszaniu przez odcięte konie z konowiązów i nawykłemu rozpoznaniu się w nocy jeźdźców wołyńskich należy przypisać tę klęskę Siewierców. Jeden tylko pułkownik, Bohdanow, zdołał dosiąść konia — ale dwa razy ranny silnie w nogę, nie mógł wprowadzić porządku. W czasie tej potyczki, trwającej prawie całą noc, jazda wołyńska dwa razy atakowana była przez dragonów, wysłanych z Wojsławic, a raz trzeci przez czwarty pułk Kozaków uralskich, spieszący na

strzały przez Uchanie. Wszystkie te uderzenia przemożnych sił liczbą, zostały zwycięsko odparte i jazda wołyńska nazajutrz, walcząc ciągle, dostała się do Zamościa ze znaczną zdobyczą, nie straciwszy tylko jednego jeźdzca.

W kilka miesięcy później, po bitwie pod Iłżą, generał Samuel Różycki, dowodzący przeznaczonym do obrony województwa sandomierskiego, został odciętym od wojsk, które szły z Warszawy dla dokompletowania tego korpusu. Generał Ridigier zręcznemi ruchami wojsk swojego dowództwa umiejętnie ubiegł korpus polski w Radomiu. Jedna część z generałem Samuelem Różyckim rzuciła się w lasy szydłowieckie, druga pod dowództwem pułkownika Obuchowicza wałęsała się nad Pilicą, koło Przytyka. Generał Samuel Różycki był w wielkim ambarasie, jak złączyć te dwa oddziały, których przeznaczenie już się rozszerzało na działanie w dwóch województwach, sandomierskiem i krakowskiem, bo nazajutrz generał Ridigier mógł uderzyć z osobna na każdy oddział przemożnemi siłami, rozbić i rozproszyć. Na radzie wojennej, złożonej z wyższych oficerów, Karol Różycki podjął się ze swoją jazdą przejść linje zajęte przez nieprzyjaciela, wynaleść oddział pułkownika Obuchowicza i przyprowadzić go w lasy szydłowieckie.

Jak tylko nasunęły na obłoki mraki nocne, jazda wołyńska wsiadła na koń, zaopatrzywszy się w obeznanych z miejscowością przewodników, szła wprost na Radom, gdzie się znachodziły główne nieprzyjacielskie siły. Pułk szedł żwirówką w kolumnie ściśniętej zwodami, jak tylko strzały nieprzyjacielskich czat zaalarmowały obóz, jazda wołyńska ruszyła w kłus umiarkowany, jak najściślej bacząc porządku, strzelano ze wszech stron, krzyczano hurra, a jazda wciąż posuwała się żwirówką, kłusem dalej a dalej, i nikt jej nie śmiał zajść drogę, zatamować ten huragan, bo nikt nie wiedział i nie widział, jaka to była siła. Noc była ciemna, o dwa kroki nic nie widać, a konie ze żwirówki nie schodziły, trzymały się kolumny, jakby w nią wrosły. Wciąż kłusowano, a jeźdzce zachowywali grobowe milczenie. Z brzaskiem dnia jazda wołyńska znalazła się daleko od obozu i nieścigana przez nikogo, wkrótce znalazła się w Przytyku nad Pilicą, gdzie spotkała oddziały pułkownika Obuchowicza, a z niemi razem kołując na Zakrzew, spotkała się z gene-

rałem Samuelem Różyckim, właśnie w chwili, kiedy ten party przez kolumnę księcia Adama wirtembergskiego, znajdował się w dość trudnem położeniu. Połączenie było dokonanem i obrona województw zapewnioną.

Gdyby jazda francuska była przyuczoną do nocnych pochodów i do nocnej polowej służby, mając noc przed sobą, nie była zsiadła z koni — nie byłaby złożyła broni i oddała się w niewolę pod Sedanem; ale byłaby się przebiła przez linje nieprzyjacielskie i dalej służyła Francji. A jednak miała Galifeta. Jazda zamknięta w Metz nie byłaby jadła pieczeni ze swoich koni, ale na tych koniach dostarczała wojsku woły, barany, na rostbyfy, na kotlety. Człowiek Wschodu, Słowianin z kozackiej ziemi, nie może o tem barbarzyństwie słuchać z zimną krwią, żeby z wesołością serca spożywać tych swoich towarzyszy wojny. Gdyby jazda była wyuczoną do wypraw nocnych, nie dopuszczałaby się nigdy podobnych niecności i dalekoby skuteczniejsze oddawała posługi swojemu wojsku, jak nawet celni strzelce piesi.

Trzeba czytać opisy wojenne Napoleona Wielkiego, żeby sobie przypomnieć jakie role odgrywali, i w dzień i w nocy Dońcy, pod dowództwem Płatowa, Jelowojskich, Orłowa Denisowa, Karpowów, Grekowów i innych sławnych pułkowódzców kozaczych Donu i Kubania — pod Mało-Jarosławiem, przy przejściach Berezyny, na pustkowiach Biało-Rusi i Litwy. W ten sposób trzeba było nękać i niepokoić najeźdzców teutońskich, i pewnieby to zrobiono, gdyby się umiano wziąść do tego, dla tego trzeba jak najusilniej zalecać naukę służby polowej wojennej, nocnej, wzwyczajać do niej konie, ludzi, a szczególniej oficerów.

XXIII.

W roku 1854 wojsko rosyjskie, przeszedłszy Dunaj, wyrugowało z Dobrudży korpus otomański dowództwa Muszyra Mustafy Alienak paszy. Zająwszy tę prowincją, przyciągnęli pod Silistrją. Serdar Ekrem Omer pasza powierzył straż lasu, zwanego Deli Orman (szalony las), ciągnącego się pareset werstw drogi między Silistrją, Ruszczukiem, Szumną a Warną, mnie, jako dowódzcy Kozaków państwa otomańskiego.

Nie miałem z początku wojska tylko ośm sotni Kozaków otomańskich, pięćset Baszybozuków Alepu, którym przeznaczyłem na dowódzcę Polaka Adama Morozowicza, i cztery szwadrony gwardji sułtańskiej. Obowiązkiem włożonym na mnie było: utrzymanie nieprzerwanych komunikacji między Szumną, Warną, Sylistrją i Ruszczukiem; zaopatrywanie żywnością i amunicją twierdzy Sylistrji, w której zapasnych magazynów nie było, nie tylko żywności, ale nawet i amunicji; niedopuszczanie nieprzyjaciela w lasy deliormańskie. Szwadrony gwardji nie były wyrobione i wprawione do nocnych, ale nawet i dziennych wypraw. Baszybozucy była hołota, których trzeba pilnować, a nie im powierzać pilnowanie bezpieczeństwa wojska. Ale Kozacy byli złożeni z różnych ludzi miejscowych, znających się między sobą, znających miejscowość na wylot, włóczęgów niezmordowanych; mnożyli się w służbie i wszędzie ich widziano, a że każdy szwadron, czyli sotnia, miał inne mundury z innemi barwami, więc je miano za tyle osobnych pułków. Nocami trwożyli, ścigali, a nawet nacierali się z przedniemi strażami, lub zwiadami (patrolami) przednich straży rosyjskich. Nocami wprowadzali żywność i amunicją do twierdzy sylistryjskiej i utrzymywali komunikację nieprzerwaną przez czterdzieści i trzy dni, i wszystkie te posługi trzeba było przypisać tym włóczęgom nocnym, którzy wyrabiali do nocnej służby i do nocnych wypraw przybywające szwadrony i pułki.

Dzienniki zagraniczne, opierając się na raportach wojskowych głosili, że Sadyk pasza, Michał Czajkowski, z czterdziestu tysiącami jazdy zajmuje Deli Orman. Wtenczas kiedy Omer pasza zawiadomiony przezemnie, o zamiarze Rosjan przejścia na lewy brzeg Dunaju — w wigilją tego przejścia przysłał dowódzcę całej tureckiej jazdy Muszyra Halima paszy, dziewięć pułków, które nie liczyły więcej nad trzy tysiące jeźdźców, a z temi, których zastał w Deli-Ormianie pod mojem dowództwem, naliczył cztery tysiące pięćset jeźdźców. Trzeba było dodać zero do czterdziestu tysięcy. Wprawdzie Halim pasza nie miał ani rozkazu, ani chęci wojowania, przyszedł, żeby ostrzelać plac z trzyfuntowej armatki, kiedy Rosjanie spokojnie obozowali na drugiej stronie Dunaju. Wprawdzie i oni odsalutowali, ale arma-

tami donośnemi i zabili nam kilku artylerzystów i kilka koni, i na tem się skończyło. Lepiejby było, żeby był nie przychodził, bo byśmy mogli zachwycić Dońców ariergardy, którzy jeszcze nie przeszli mostu w Adakioi, na co Halim w żaden sposób nie pozwolił, cytując sentencję:

«Takiemu nieprzyjacielowi jak Rosjanie trzeba stawiać most złoty, żeby sobie wyszedł z kraju.»

Ale ta cała epoka wojenna w Deli-Ormanie jest przykładem, jakie posługi i krajowi i wojsku w czasie wojny oddać może jazda wyćwiczona i wprawna w służbie wojennej nocnej i zdaje mi się, że nie byłoby zanadto, sporządzić przepisy co do tej służby i do wypraw nocnych i znaleść naukę stałą tych przepisów, opierając je na wykonywaniu w praktyce.

XXIV.

Nie wszystkie państwa i nie wszystkie narody tak są uposażone, żeby mogły mieć liczną i dobrą jazdę w prędkim, czyli krótkim, czasie. Rosja i Turcja posiadają ludność wschodnią, ludność, o której można powiedzieć, że urodziła się konno i wyrosła na koniach, z której w przeciągu trzech miesięcy można zrobić wybornych jeźdźców. Kozacy, Ukraińcy, Polacy, Tatary, Baszkiry, Kirgizy, Kałmucy, Turkmeni, Gruzini i inne pokolenia wschodnie, poddane Rosji, Kurdy, Bośniacy, Czerkiesy, Araby, Bułgary, mieszkańcy europejskiej i azjatyckiej, przed niewielu laty, Turcji — są jeźdźcami, że się tak wyrazić można, z natury, narody konne. Mniej więcej wprawni w używaniu spisy i pałasza, w obejściu się z bronią palną i w jej używaniu z koni. Przez nawykłość umieją się rozpoznawać w każdej okolicy, tak w dzień jak i w nocy. Niepozostaje tylko ich zebrać, ustawić w szereg, nauczyć kilku obrotów, kilku ruchów koniecznych, co się da zrobić w mniej jak trzech miesiącach, i już można rachować na dobre szwadrony do boju. A ludzie, że tak ich nazwę, konni, mają tyle pojętności wrodzonej, że z dobrem przyłożeniem się nauczyciela ze swej strony i z dobrą metodą nabierają w prędkim czasie zdolności potrzebnej jeździe przy dzisiejszym systemacie prowadzenia wojny.

Austrja ma także prowincje, które posiadają jeźdźców urodzonych, czyli ludność konną; ale inne kraje, szczególnie Zachodu, pod tym względem nie są tak dobrze uposażone: u nich nauka powinna zastąpić zdolność z natury, a na to trzeba czasu; stąd to pochodzi owe słuszne zdanie na Zachodzie:

Jazda i artylerja nie improwizują się w jeden lub w dwa miesiące, żeby je sformować, trzeba na to lat kilka.

Jedyny sposób zaradzenia temu niedostatkowi jest wprowadzenie musowe do szkół cywilnych nauki jeżdżenia na koniu, żeby ekwitacja była obok gymnastyki. Mianoby wówczas jeźdźców mniej więcej wyrobionych, których łatwo i prędko możnaby przerobić na dobrych żołnierzy jazdy. Z tej nauki jeżdżenia musowego zrodziłoby się upodobanie jeżdżenia dowolnego. Jeźli zaniedbają tego środka, z wynalazkiem welocipedów i innych lokomotyw tego rodzaju, przenoszących człowieka z jednego miejsca na drugie, zachodni ludzie mogą zupełnie zatracić upodobanie używania koni i nie będą uważać to szlachetne zwierzę, tylko jak mięso na zupę z kapustą, albo na frykas z jarzyną.

Żokiejkluby i wszyscy ci, którzy grają w wyścigi, według natchnienia tych klubów, skrzywili dobry rozwój porody koni właściwych do jazdy i do boju. Koń czystej krwi angielskiej nie jest do użycia praktycznego jazdy, szczególniej do wymagań dzisiejszych sztuki wojennej.

Był czas, w którym ludzie wojny utrzymywali, że jeździec oddzielny i zbiorowy szwadron powinni być uważani jak kula ściśnięta z armaty, powinna lecieć do celu, i im prędzej leci, im dalej leci, tem lepiej. Uderzenie jazdy angielskiej pod Bałakławą zadało niesłuszność temu zdaniu. Jazda ta pod Bałakławą na koniach czystej krwi angielskiej, lecąca jak kula, była wybitą kartaczami, a dorąbana pałaszami huzarów rosyjskich, którzy jednak nie latali jak kule armatnie, ale zaskakiwali i rąbali jak w dżygitówce. Te fałszywe porównania jeźdźców i jazdy do kul armatnich, jest dotąd zdaniem większej części generałów piechoty, którzy dostają dowództwo wojsk ze wszystkich broni złożonych. Na placu bitwy używają oni jazdy jak kuli armatniej; ale nie tak powinno się używać jazdy. Marszałek Mac Mahon, generałowie Donai i Frossard dali dowód w ostatniej wojnie

Francji z Niemcami, że używanie tego błędnego systematu, ich jazda uważana jak kule armatnie i tak używana, została zniszczoną bez pożytku i bez żadnej ważnej przyczyny, tak jak jazda angielska pod Bałakławą.

Wojna francusko-niemiecka wykazała na wojsku cesarskiem Francji konieczność mienia wielkich dowództw jazdy, powierzanych oficerom wychowanym w jeździe; dowództw nad licznemi pułkami jazdy, zebranemi w jeden korpus. Oficerowie wychodzący z piechoty, albo z innych broni, nie są i nie mogą być dostatecznie obeznanymi z organizacją zasadniczą i ze szczegółami tej organizacji w jeździe, a mianowicie z duchem jazdy.

Ta piękna i wyuczona jazda Francji, która była wzorem dla całej Europy i zachwycała wszystkich wojskowych ludzi, rozdrobiona na brygady i na pułki, oddana pod dowództwo główne oficerów, którzy nie służyli w jeździe, została zniszczoną i na duchu upadła. Oprócz kilku szczytnych czynów, które przypisać należy odwadze jeźdźców i zachęcie niektórych dowódzców pułków, ta jazda nie odznaczywszy się ani swoją zręcznością, ani swoją przezornością, ani też przez ciosy zadawane na polu bitwy, skonała, rzadko kiedy, wyznać trzeba, dawszy znaki życia, znaki odwagi i dziarskości — a to dla tego, że była nieumiejętnie dowodzoną, a zatem niewłaściwie prowadzoną i źle używaną. Tyle się spodziewano od tej jazdy przy rozpoczęciu wojny, a tyle doznano zawodu w tem spodziewaniu się. Złożenie broni pod Sedanem i zamknięcie się tej jazdy w twierdzy Metz, zrobiły, że nie oddały innej usługi wojsku, oprócz, że go karmiły mięsem swoich koni. Niestety tem się stwierdzały te błędne zdania, wypowiadane uczonymi teoretykami francuskich sztabów, że dziś jazda jest bardzo mało przydatną do wojny, a nawet w samym boju możnaby się bez niej obejść. Byliby się cieszyli ci uczeni ze swego zdania a priori, gdyby jazda pruska nie okazała mnogiemi czynami niedorzeczności ich sądu. Ci uczeni wpłynęli wiele na osłabienie zaufania w sobie, i w samej jeździe i w całem francuskiem wojsku. Odrzucono tradycje pierwszego cesarstwa zbierania w wielkie masy jazdy tych uderzeń pięćdziesięciu i więcej szwadronów naraz, które paraliżowały febrą przestrachu bataljony nieprzyjacielskie tak skutecznie, że całe bataljony broń rzucały

nim poczuły oddech koni tego nawałnego nalotu. Austerlic, Jena, Auerstätt, Eylau, Wagram i tyle innych zostało zapomnianemi. Ale wtenczas jazda francuska miała mistrzów i bohaterów, którzy wychodzili na dowódzców z żołnierzy i z podoficerów jazdy, jak Murat, Lasal, Nansuty, Kielerman, Hautpoul, Subervic, Coulincour. Nad tymi mistrzami jazdy, mistrz nad wszystkimi i nad wszystkiem, Napoleon Wielki, który umiał kierować, rozbudzać ducha i ciskać na wroga; był to geniusz wojny, który dowodził mistrzami rzemiosła wojny.

Z bardzo małym wyjątkiem oficer, który nie służył w jeździe i w niej nie wzrósł przed dojściem wysokich godności wojskowych i do wielkich dowództw wojska, zanadto materjalnie uważa i ocenia jazdę, a nie korzysta z siły moralnej, z ducha jazdy.

Adjutant generała Józefa Dwernickiego, tego prawdziwego pułkowódzcy jazdy na polu bitwy, opowiadał mi, że przed rozpoczęciem bitwy pod Stoczkiem, szef jego sztabu, pułkownik Zadera, przyjechał mu zaraportować, że generał Gejsmar ma piętnaście tysięcy wojska z mnogą artylerją, a ze strony generała nie masz tylko dwieście spis (Ułanów i Krakusów) i ośmset pałaszy konnych strzelców, z dwoma tysiącami bagneta (piechoty) i sześciu harmatami. Generał Dwernicki dodał: «I jednego bazgracza papieru jak Waspan; ależ czy nie wiesz nieszczęśliwy człowiecze, że te spisy, te pałasze są niesione przez starych jeźdźców, pod którymi konie zwycięsko deptały ziemie Wschodu i Zachodu — że to Polacy, Napoleońscy żołnierze, którzy uczestniczyli w więcej bitwach, niżeliś ty zapisał arkuszy papieru w rok? Niech nacierają — naprzód!»

To było powiedzianem przed frontem wojska i powtórzonem ze szwadronów do szwadronów. Uderzenie było serdeczne, z wściekłością szatańską, i zwycięstwo odniesiono przez cztery tysiące nad piętnastu tysiącami przez jazdę — samą.

W roku 1811 generał Rożniecki, pedant i uczony, do-

wodził sześciu najpiękniejszemi pułkami jazdy polskiej, pod Mirem, na Litwie; było to pierwsze spotkanie się jazdy rosyjskiej z jazdą Napoleońską. Jazda rosyjska składała się z trzech pułków Kozaków dońskich i z pułku huzarów, zwanego sumskim. Ten pułk przed parę laty, za hultajstwo i swawolę, miał sobie odebrane dolmany granatowe, a za karę dano szaraczkowe. Stary pułkownik, dowódzca, wychodził z szeregów pułku, był ojcem i gospodarzem tej swawolnej rodziny. Widząc szwadrony polskie, zbliżające się i goniące Dońców, którzy w ucieczce zwijali się jak rybitwy, sformował huzarów w szyk bojowy i zawołał: «Hultaje, teraz pohulajcie — szałury tiepier poszalijtie! I szwadrony polskie były rozbite, kłute, rąbane i rozproszone na cztery wiatry.

W bitwie pod Eylau kirasjery francuscy, rozbiwszy jazdę nieprzyjacielską, dostali rozkaz uderzenia na piechotę. Sam ich dowódzca, generał Hautpoul, przywiózł rozkaz od Napoleona, stanął przed frontem pułku i rzekł:

Cuirassiers foutre,
L'empereur bougre,
Vous a dit, sacré nom de Dieu,
Que vous êtes des braves cuirassiers —
Et en avant!

Ta mowa prawdziwie wojenna nie daje się dobrze przetłumaczyć — chyba tak jak ją tłumaczył stary major Michał Kotowicz:

Kirasjery, jechał was kot,
Cesarz, bierz go djabeł,
Powiedział, święte imię Boże,
Żeście jego waleczni kirasjery —
I naprzód!

Czworoboki piechoty były jedne po drugich rozbite i pole bitwy z wroga oczyszczone.

Te przykłady pokazują, jaka jest siła i polot jazdy, dowodzonej przez oficera jazdy. Wtenczas nic się nie ostoi przed jej popędem, bo dowódzca ma silną wiarę w swoją broń; z tą wiarą, z tem zaufaniem w siebie jazda znajdzie

dość siły, żeby godnie odpowiedzieć powinności wymaganej od niej na polu bitwy.

Ale dawać dowództwo jazdy tym, którzy wierzą w kartaczownice, w szrapnele, w bomby, to lepiej zjeść konie jazdy, a jeźdźców przeorganizować na infirmerów szpitalów.

Dobry oficer jazdy powinien silnie wierzyć, że nic naciskowi jazdy oprzeć się nie może.

Tak jak dobry oficer piechoty powinien mieć wiarę, że żadna siła go rozbić nie potrafi.

Dzienniki słowiańskie drukują, że Hohenzollery, prawdziwi przywódzcy teutońskiego zakonu i Germanji, rozbudzili urok i okropności wojny rodów. Ułani Bismarka przebrani za inżynierów, za instruktorów wojskowych, za lekarzy, za całą hordę specjalistów i techników sieją kulturę niemiecką po brzegach Dunaju, aż do jego ujść, i po całym półwyspie Bałkańskim. Jest to ostrzeżenie dla Słowian i innych rodów — że trzeba się zbroić i ulepszać swoje wojsko, mianowicie kawalerję.

Te ostrzeżenia dzienników spowodowały mnie do napisania tych kilku słów, bez żadnego innego chcenia, tylko żeby zwrócić uwagę ludzi, zajmujących wysokie posady wojskowe, na kawalerją — będąc przekonanym, że z wydoskonaleniem tej broni, kartaczownice, armaty Krupa i inne wynalazki śmierciodawcze przestaną być i tak strasznemi i tak szkodliwemi, i jeźli wielkie wojny staną się koniecznemi, będą i prędzej kończone i bardziej po ludzku prowadzone. Wojny stracą swoją barwę rzezi, przybierą cechę rycerską dawnych wieków i odżywią tę prawdę i poetyczną i polityczną.

Rycerstwo to odwaga i szlachetność, a i jedno i drugie nie poniewiera ludzkością. Serca ich dla ludzkości i ojczyzny, a dusze ich dla wiary i Boga. Byli i są w wojsku francuskiem książę de Chartres i Galifoty, byli i są w wojsku prusko-niemieckiem Hohenzollery i Sasy książęta, był i jest w wojsku rosyjskiem, Romanow, Mikołaj Mikołajewicz stary.

To patroni kawalerji.

Trzeba się bić dobrze, prędko i nie przedłużać cierpień ludzkości — to powinność kawalerji. Broń szlachetna i szlachetne jej obowiązki.

A szlachetność w wojnie obowiązuje, kiedy nie machiny, ale ludzie walczą.

Parchimów, 27. Lipca 1884.

Z CZASÓW HETMANA LACHA.

I.

Dunaj, stara rzeka, jak świat stara, starsza niż po Babelowa wiara, wymknąwszy się z niewoli Germanów, w ucieczce dotknąwszy Madziarów, swobodnie płynie między Rumuny i Słowiany, a wpadając w morze Czarne, daje ostatnie pocałunki Kozakom — temu zakonowi rycerstwa słowiańskiego, tym harcerzom przedniej straży Słowianizmu i na lądzie i na morzu.

Tam gdzie Budżacki Ismaiłow patrzy na Dobrudżką Tulczę, Dunaj dzieli się na trzy ramiona, żeby prędzej dopłynąć do Czarnego morza.

Trzy szlaki wodne znaczą się między ostrowy: w prawo świętego Jerzego, środkiem Suliny, a w lewo Kilijski. Szlakami płyną, w lewo i w prawo, w tył i w przód, czajki z Kozakami. Na brzegach Kozacy, na pieszo i na konno, jak mrówki się uwijają na wszystkie strony — czaty to kozacze. Nie obowiązkiem żadnej służby, nie powinnością jaką, ale natchnieniem serca kozaczego, wolą duszy kozaczej stanęli na czatach starego Dunaju i stoją na nich.

Srebrny anioł, archanioł Michał, hetman wojsk Boga jedynego i hetman kozaczy, nakazał im pilnować tych szlaków nad szlakami i być ogniwem żyjącem i zbrojnem między Słowianami Północy a Słowianami Południa. Białego archanioła wola, to Boża wola i dla tego od wieków Kozactwo, z nad Dniepru, z nad Dniestru, z nad Donu i z nad Wołgi, bez żadnego rozkazu, bez żadnego paszportu, pojedyńczo i gromadnie, ciągnęło i ciągnie nad Dunaj.

Pieśń ludowa to głos woli Bożej, pieśń ludowa to rozkaz dzienny srebrnego archanioła, rozkaz hetmana i pana. Kazał i jechał Kozak na Dunaj. Żałował starej matki, żałował młodej kochanki, i czarnych oczek, żeby się nie wy-

płakały, i białych rączek, żeby się nie połamały, a jednak ściskał nogami konia — wrony koniu pospieszaj, nieś mnie na Dunaj. Rycerstwo płynęło i płynie jak wody dunajowe i nie pytało i nie pyta, na co i po co płynie.

Niemowlę kozacze jak zacznie wyjękiwać słowa, to nająka — na Dunaj, na Dunaj. Młodzieniec jak tylko dosiędzie konia, wnet pędzi na Dunaj, a starce wloką drżące nogi nad Dunajowemi wody. Na Ukrainie może nie wiedzą, co to jest ten świat Boży, i jaki to ten Boży świat, ale co tylko żyje, co kozacze imię nosi, to wie, co to jest ten Dunaj i gdzie jest ten Dunaj.

Źle czy dobrze, byle być nad Dunajem, bo to Częstochowa i Święta góra, Jerozolima i Rzym, Moskwa i Kijów kozacze. Tajemnica tam ciągnie, tajemnicą tam żyją i tam oczekują rozwiązania tajemnicy. Tak chciał Bóg i z jego świętej woli wydał rozkaz archanioł hetman. Kozactwo się korzy, bieży, zbiera się, staje na czatach i czeka.

Ujście Dunaju to twierdza Boża, przed wydmami piaskowemi wielkich wysp, Leti i Suliny, setne ostrowy jak reduty odosobnione do strzeżenia lądu, a między niemi kanały pełne morskiej wody. Na ostrowach i na wielkich wyspach pola, lasy, pastwiska, gdzie niegdzie sioła, monastery, a wszędzie kozacze koczowiska, artele, kierhany, sałhany. [1] Po monasterach Boga chwalą, na wodach ryby łowią, a na Bożej ziemi, pod Bożem niebem, dary Boże spożywają i spijają, a Białemu aniołowi grzmią w pieśni o sławie kozaczej i o słowiańskich Ukrainach. Oj twierdza to Boża, nie taka jak ukraiński Kudak, co to go ludzie postawili i ludzie zniszczyli, tu Bóg wszystko postawił i Bóg tylko zniszczyć może, i na większą siłę rzucił czaty kozacze i na ląd i na morze.

W takim to kraju, na cyplu letijskiej dzielnicy, był mały ostrów pieczary, czyli pieszczarzy, po swej prawicy miał ostrów stambulski, z lasem i żyznem polem, po lewicy ostrów odnożny z dębowym gajem, z zaroślami i z brzegami strojnemi w wierzby. Na pieszczarze wydma piasku zmięszanego

[1] artele, szałasy zborne rybaków. Kierchany, gdzie złowione ryby składają. Sałhany, gdzie ryby przyprawiają na klej, ikrę i rozmaite soleniny.

z mułem morskim; żwir i muszle obwlekły powierzchnią jakby na pokład rozbitym statkom rozmaitych gatunków i rozmaitych narodowości, które dziwnym kierunkiem prądów morskich, niosły się na ostrów pieszczarzy i ze wszech stron, jakby palisadą od brzegów, zakrywały powierzchnię wysepki od ciekawego oka.

W środku wysepki stał monaster, na w pół kamienny, na w pół drewniany, a koło niego dzwonnica, cała kamienna murowana, o trzech wieżach, pobita blachą, a w każdej dzwon spiżowy, zaraz obok dzwonnicy cerkiew, z drzewa i z kamienia jak monaster, a w nim obraz naturalnej wielkości srebrnego archanioła Michała. Z wzniesionym mieczem do góry, nie depce on szatana, ale jak rycerz stoi na straży, a wzrokiem rzuca na daleko, wygląda czajek kozaczych z Czarnego morza. Na szatach jego jaskrawe barwy i pełno złota i srebra. Nie tak jak w innych cerkwiach Prawosławia, nie masz ikonoklasta świętych Pańskich, ale na ścianie stare bronie rdzą pokryte, krzywe szable, jatagany, rusznice, samopały, janczarki, pistolety, pancerze i inne wojenne rynsztunki, a wszystko stare, wiekowe.

Rozbitki kozaczego rodu gromadzili się na czerniów monasteru srebrnego archanioła, broń wieszali na ścianach i jak archanioł hetman, wypatrywali czajek po morzu. W rozbitkach martwych rozbitki żyjące — stali na czatach.

Mieszkania ich były pod ziemią, pieczary ostrowa, ciągnęły się pod dno morza; utrzymują, że niemi dojść można do starego Kijowa i do Białej Moskwy. Jak się któremu czerniowi znudziło na ostrowie, jak zatęsknił za swoją Ukrainą, jak wziął pozwolenie od Ihumena, wymodlił rozkaz od srebrnego archanioła, broń zostawiał, brał za kij pielgrzymski, hachę, chleba, trochę solonej ryby, bakłaszkę wódki, trzy piętaki, na przypadek gdyby go hmieść w drodze zaskoczyła, żeby miał czem opłacić kartkę paszportową na tamten świat, i szedł w podróż. Szedł jeden po drugim, a żaden nie wracał. Stąd tyle rozmaitej broni na ścianach, a ani jednego grobu na smętarzu, prętacza nawet nie było. Rozbitki kozacze nie umierały w mieszkaniu rozbitków, szli do Kijowa, do Moskwy, żeby tam życie kończyć, a wiadomości o sobie nie dali. Jedni wychodzili, drudzy przychodzili, nikt nie wracał, a jednak w monasterze, kiedy czytano

spis tych rozbitków kozaczych zawsze byli przytomni — Ihumen Watażka, czerniec asawuła, czerniec sotnik, czerniec pisarz, czerniec terdzyman [1], czerniec kasjer, czerniec szafarz, dziesięciu czerńców dziesiętników, stu czerńców prostego zwania Kozaków, pop prawosławny i Żyd arendarz: tego ostatniego nie czytano w spisie przed srebrnym archaniołem, bo niewiara, potomek morderców Chrystusa Pana, Zbawiciela świata, ale po przeczytaniu spisu wszyscy szli do niego ordynkiem, gęsiego, stuknąć byczek jeden i drugi okowity, czy szumówki, i przekonać się, że Żyd niewiara nie poszedł ani do starego Kijowa, ani do Białej Moskwy.

Po modlitwie, po spisie, po odwiedzinach Żyda niewiary, każdy szedł do naznaczonej pracy, ryby łowić, ryby dobić, przyrządzać ikrę na kawiar, jedzenie gotować, siecie przyrządzać, stroić do żeglugi czajki — jeść, pić, modlić się i spać; wszystko szło na odgłos dzwonu, a tak regularnie jak idzie dobry zegarek.

Jak który zaczął niedomagać do pracy, albo próżnować — pop się modlił, a ihumen przynosił rozkaz ustny od srebrnego archanioła, żeby dla rozrywki kozaczej duszy, dla odpędzenia nudy, dla zmian powietrza ciała, szedł do Kijowa, do Moskwy, na Ukrainę, żeby tam opowiadał po siołach i po grodach Kozakom, że Biały hetman ze swoją sotnią stoi na czatach ujścia starego Dunaju, żeby je zachować Słowiańszczyznie, jak zachowuje Biały car ujścia Dniestru, Bohu, Dniepru i Donu.

Szedł czerniec z czatów, w pielgrzymy naznaczony, obwieścić zakon kozaczy na Ukrainie i już nie wracał. I tegoż samego dnia jeszcze przychodził nowy rozbitek kozaczy zająć miejsce ubytego na czatach.

W ten sposób zawsze stawało do spisu stu ośmnastu z popem, a zawsze był sto dziewiętnasty Żyd niewiara. Tak chciał Biały anioł i taka była Jego święta wola.

Każdy, który przychodził do monasteru na czerniów, tracił swoje dawne imię i nazwisko. Ihumen z popem z natchnienia Białego anioła nadawali mu inne zwanie rycerskie — Szełest, Hołub, Oreł, Wernydab, Wernyhora i tym podobne. Nie wolno mu było mówić o swojej przeszłości,

[1] Tłumacz.

dopiero wtenczas, kiedy dostawał pozwolenie na pielgrzymkę, do starego Kijowa, do Białej Moskwy, do kozaczych Ukrain. Na biesiadzie pożegnalnej opowiadał swoje życie, a pisarz w księgę zapisywał w miare jak on mówił, kończył, żegnał braci czerńców i szedł w drogę. Towarzysze mogli go odprowadzać aż do samej skały, przez której wydrążenie szła dalej pieczara, dzieląc się na dwa ramiona, w lewo do Kijowa i na Ukrainę, w prawo do Moskwy i na dońskie stepy. Tum już nie wolno było czerńcom czat iść krokiem, ale można było wieść wzrokiem za uchodzącym towarzyszem — póki go się nie straciło z oka. Wtenczas wołali:

«Niech Cię Bóg prowadzi, na zdrowie i na szczęście, i my tam pójdziemy z czat, na spoczynek, na nasze Boże Ukrainy!»

I wracali, śpiewając pieśni na cześć sławnego hetmana nad hetmany, Białego anioła.

Taka to była dzielnica kozacza, takie czaty kozacze na ujściach starego Dunaju.

II.

Dzień świętego Michała, rocznica dania mu przez Boga buławy hetmańskiej; dzień, w którym rycerstwo ziemskie obchodzi prażnik swojego hetmana Niebieskiego. W dzwonnicy, naraz z trzech wież, spiż dzwonów wdzięczy na pokłon Białemu aniołowi. W cerkwi brzmi pieśń kozacza, na chwałę Bożą, na cześć hetmana archanioła. Na niebie chmurno, słońca ani widać; widać, że jazda Niebieska obchodzi takoż dzień swojego hetmana, harcuje po sklepieniu niebieskiem, a tumany chmur kryją te harce od oka ludzkiego, skry krzesane kopytami niebieskich rumaków błyskawicami przeszywają chmury, a hurra jazdy Niebieskiej grzmotami huczą w uszy ludzkie — i strzały ochoty tej jazdy piorunami walą w ziemię na cześć hetmana archanioła.

Wiatr wyje od południa, jak gdyby wszystkie lwy i tygrysy pustyń afrykańskich i azyjskich zaryczały na raz, nad uszami człowieka. Na morzu burza, fala, nie już jak stada baranów bieli się na powierzchni wody, ale szalenie skacze, jak gdyby wszystkie tabuny koni całego świata spędzono

w jeden obczas, a na nich puszczono trzody wilków wygłodniałych całego świata. Statki skaczą do nieba, toną w otchłań, druzgocą się na drobne szmaty i rozbitkami ciskają się chronić na pieszczarski ostrów, a ludzie na dno morza się nurzą, może trafią na pieczary kijowskie, albo na moskiewskie. I niebo i morze wojenną zabawką obchodziło prażnik wojennego archanioła.

W ten dzień, bo szczęśliwszy od innych, w dzień Michała archanioła, dwóch czerńców z czat dostało pozwolenie podróżowania na Ukrainę.

Jeden z nich już sotnię lat doliczał, a drugi od lat kilku przeliczył. Obydwóch wiek i dawne pohulanki świata w zgrzybiałość pchają, ku ziemi kłonią; niech idą w pieczary, pod ziemię, z łaską Bożą, z wolą hetmana archanioła, pod ziemią orzeźwieją, odmłodnieją, i jak wyjdą na Ukrainę, będą mogli o nich ludzie powiedzieć — praworny, moterny, gdzie powróć, to Kozak.

Jeden z nich się zwie Orel, bo kiedyś sam przed laty z objęcia śmierci jak orzeł wzleciał pod niebiosa i spuścił się na ziemię między ludzi.

Drugi Lastówka, bo nigdy nie zagrzał miejsca na tej Bożej ziemi, wciąż pławił się po niej i po morzach, jak jaskółka, gdzie indziej latem, gdzie indziej zimą. Spoczął na pieszczarach i znowu pławi się na Ukrainę.

Długie stoły zastawione rybą soloną i świeżą, najwięcej jesiotrzyny, kawiar, waremiski, ogórki solone, kapusta kwaszona i na uroczystość pszenne kołacze. W sztojach wódka, okowita, szumówka i brunatna starka. Sztofów co niemiara, a jeden tylko puhar; sól i pieprz, a nawet i bakalije, żeby osłodzić podniebienie.

Może tam niejeden szlachcic polski i to herbowy, między tymi czerńcami Kozactwa czatów, na bakalijach hodowany, niech sobie przypomni dziecinne lata, niech mu będzie ta pociecha w dzień świętego Michała.

Pop modlitwę prześpiewał, dar Boży krzyżem świętym pobłogosławił, święconą wodą pokropił — ihumen gromko zawołał:

«Jedzcie, pijcie, pożywajcie dar Boży, w poszanowaniu Boga, jego archanioła, aniołów i świętych Pańskich. W przyzwoitości, nie klnąc ani w matkę, ani w żonę, ani w żadną

białogłowę, bo one nam życie dały, one nas hodowały, powinnością rycerskiego chrześciańskiego zakonu, nie szargać, ale bronić płeć żeńską — to prawo kozacze!»

We wszystkich Kozactwach, jakieby one nie były, przed każdą biesiadą są powtarzane te słowa, a kto im przekracza z biesiady, jest wywodzonym przez asawułę i ukaranym — po raz drugi zwiększa się kara, a po raz trzeci wypędzonym z biesiady; do trzech razy sztuka.

Po tej przemowie ihumen nalał pełny puhar, nadpił i oddał swojemu następcy, i tak szedł kolejką puhar z rąk do rąk, wypróżniał się, nalewano go i szedł dalej. Każdy popijał i pożywał dar Boży, i było milczenie. Ledwie słychać było przesuwanie się puharu z rąk do rąk i chlipanie nektaru kozaczego.

Po skończonej przekąsce biesiady wszyscy zasiedli do koła, w samym środku czerniec Orzel, obok niego pisarz z księgą rozwartą, przed nim kałamarz, w prawej ręce pióro, a za obydwoma uszami takoż pióra na przemian.

Czerniec Orzel przeżegnał się znakiem krzyża świętego, pokłonił się skinieniem głowy ihumenowi i braciom czerńcom — chrząknął, splunął, kilka haustów pociągnął z puharu, obtarł dłonią usta i tak zaczął.

III.

«Jestem szlachcic polski, z ojca i z matki. Ojciec mój Grzegorz Bech był Wojskim Radomyślskim, a matka Jadwiga Bechówna takoż, córka Ignacego Becha, prowizora Ojców Bazyljanów owruckich, herb mój Janusza, a imię Bożysław; byłem tedy na całą gębę Bechem i po ojcu i po matce.

Bechowie była to dawna rodzina z czarnobylskiej dzielnicy, dawnym obyczajem nosiła się jedną nogą w bucie z ostrogą, drugą w postole, z lipowych łyków, dla pokazania gotowości do służby konnej i pieszej, króla Jegomości i rzeczpospolitej Jejmości. A że król Jegomość i rzeczpospolita Jejmość wypuścili w arędę czarnobylską dzielnicę, z jej domami Bożemi, z jej karczmami djablemi, z jej rycerstwem, Jezuitom i Żydom, Bechom nie chciało się śpiewać Domi-

nus vobiscum, bo zawsze śpiewali Hospody pomyluj. Że woleli Żyda niewiarę bić, jak mu za stróża służyć — więc się zapisali w regestr kozacki, i wojowali pod Chmielniczeńkiem, pod Zołotarenkiem, pod Michneńskim, i dobrze im z tem było, grosiwa niemało uciułali, przyszli do chudoby, do futorów, a nawet i do dziedzicznych dworów. Pan Kisiel wojewoda i pan Jan Wyhowski, hetman i wojewoda, żeby ich utrzymać przy stronnictwie króla i rzeczpospolitej, wybierali im starostwa i urzędy, a Bechowie będąc dobrą, herbową szlachtą polską, byli przytem i starszyzną kozaczą. Umieli godzić jedno z drugiem, pirog jedli, a chleb powszedni nie rzucali. A że Bechowie szanowali jak relikwie święte dawne splendory swojej rodziny, że szanowali więcej jak oka w głowie każdą pamiątkę praojców — więc pan Grzegorz Bech, ile razy jechał na biesiadę, czy na uroczystość jaką, do Jaśnie Wielmożnego opata Ojców Bazyljanów, do Owrucza, zawsze przywdziewał na prawą nogę postoł, na lewą but z ostrogą. Bo łatwiej przerzucać nogę przez siodło na koń i z konia, i pokazywał się pewny wzgląd nowomodnej taktyce, że piechota starsza broń od jazdy, jak prawica od lewicy, i mnie chłopiątko tak przybierał na pociechę Ojcom Bazyljanom, i na pokazanie, że Bechowie chcą zawsze być Bechami. A matka, pani Jadwiga, kiedym był niemowlęciem jeszcze, by mnie uśpić, śpiewała

Jehaw Kozak na Dunaj —

A kiedym już podrastał, to mnie takie cuda opowiadała o tem, co to tam się dzieje na tym Dunaju, że aż mi ślina płynęła z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co to tam jest. Śniłem o Dunaju, marzyłem o Dunaju, karciane czajki puszczałem na Irpeń, żeby płynęły na Dunaj, i ładowałem je mojemi życzeniami, moją ciekawością. Jak miałem dziesięć lat, oddano mnie do szkół do Owrucza. Nie przystawało to do mojej głowy, kiedy Ojciec opat prawił jakąś anegdotkę — Lege puer, ego te face Mościpanie. Na co mi to, wszakeci i tak byłem szlachcicem herbowym, więc Mościpanem. Daleko silniej mi świdrowało po głowie: od mogiły do mogiły, od kurhanu do kurhanu, lasem, polem, smugą, jarogą, taj do Dunaju, tam jasne szable, białe żagle, wrone konie, wojenne błonie, tam złota jak w Berdyczowie błota. A na dobitek ojciec Michalski, Humańczyk, profesor gramatyki,

palnął mi kopę oblewanych, bazyljańskich dyscyplin, o pięciu rzemykach, a każdego koniec przypiekany w wrzącej słoninie, a potem zastudzony na twardo, żeby go rozgrzewać, nie na sadle, ale na skórze biednego Becha, i to Bożysława. Piękna mi bazyljańska sprawa; jak mi zaświdrowało w drugiej połowie, tak jak mi już świdrowało w głowie — zakląłem w bisa ojca Michalskiego, rzuciłem w ogień gramatykę Kopczyńskiego, nadziałem postoł i but; nie było wąsa, by go pokręcić, więc natarłem czuprynę i dalej w drogę.

Jakem drgnął, takem się nie oparł aż w Czopowicach. Czopowscy mnie nie poznali, dla dobrej przyczyny, bo mnie nie znali; na czole mi nie było wypisanem, żem Bech. I dla ludzi Bech już zdechł, byłem pogorzelcem, któremu zgorzała ojciec i matka i uboga chatka. Szedłem zarobkować, żeby się dostać do Kijowa, na pańskiego Kozaka, albo na flisaka. Uwierzono, nakarmiono, napojono, spać położono na mierzwie w chlewie. Smacznie spałem, we śnie ani Ojca Michalskiego, ani dyscypliny nie widziałem, ale Dunaj stał mi wciąż przed oczyma, i jak się tylko obudziłem, zawołałem, jakby modlitwą natchniony — o Boże mój, Boże daj, żebym zaszedł na Dunaj, przyniosę matce gościniec, klejnoty i wór ze złotem, a ojca przeproszę, bo przyjdę w postole i w bucie z ostrogą, przy ostrej szabelce, jak starszyna kozaczy. I już postanowiłem, ani zachodzić do domu rodziców, tylko iść wprost na Dunaj.

Czopowscy właśnie wysyłali karmne gęsi do Kijowa. Stado było niemałe, z całej wioski zebrało się do tysiąca, a wszystko Czopowskich, bo innego mieszkańca, jak Czopowscy, we wsi Czopowie nie było. Towar to popłatny na Małorusi, gdzie w każdej karczmie, w każdej oberży, od Bałty do Romna i Lebedian, od Charkowa do Chersona i Woroncza, jedno i toż samo danie masz dla przyjezdnych gości: szczy, rodzaj ukraińskiego barszczu, sous z poczkami, czyli cynady z kwaśnym sosem i pieczona gęś. Jeźli gęsi Rzym od Gallów obroniły, to Małoruś gęsiami żyje, żeby mogła miażdżyć na łój, na masło i Gallów i Germanów, i kto się nawinie, byle nie Słowianów. Oj pięknież to ptaki te gęsi, idą poważnie, rozważnie, a tak mile gęgają, jak słowiki śpiewają; jeźli słowiczy głos serce łechce, to gęsi śpiew apetytu dodaje. Najszlachetniejszy to ptak między

ptakami, ja tego doświadczyłem, jak to wkrótce zobaczycie. Byłem na rękę Czopowskim, pogorzelec, szedłem do Kijowa, więc za darmo popędzę gęsi, a Czopowszczak, który miał iść, zostanie na poganiacza, do pługa, do radła, do brony, powiedziano mi, i zgoda.

Watażką wyprawy był pan Roch Czopowski, Sodalis Marianus, ale niepospolity zwolennik Bachusa, z bakłaszki cichaczem dolewał hausty po haustach, a w głos śpiewał i deklamował — Ave Maria, gratiae plena — Sub tuum presidium — i Ego Roch Czapowski. I dla tego go mieli za człowieka bogobojnego, więc sumiennego i poczciwego i każdy Czopowski, każda Czopowska tak mu zawierzali swój dobytek, jakby sobie samemu, a Czopowszczątka i pięknej i brzydkiej płci chórem śpiewały, że nietyle możnaby księdzu proboszczowi i ojcu Ojakowi, ile panu Rochowi. Roch Czopowski w Czopówce był Zawiszą Czarnym, Czopówka na niego tyle rachowała, co Polska na Zawiszę, i dla tego go uproszono na duksa gęsi, żeby potem był reduksem z karbowańcami za gęsi.

Drugi mój towarzysz był chłopiec trochę starszy odemnie, o dwa albo trzy lata, takoż nie Czopowszczyk, ale najda czyli przybłęda. Przed kilku laty odbłąkał się od uciekającej rodziny od poddaństwa jakiegoś pana, zaszedł do Czopówki i tam został, nikt się o niego nie dopominał, więc tam wpisano go w poddaństwo całej wioski, a że był jednym i jedynym poddanym, trzystu sześćdziesięciu pięciu Czopowskich, tyle panów ile dni w roku — więc był pielęgnowanym i karmionym, kaszą, kluskami, barszczem, kapuśnikiem i wszystkiemi łakociami sielskiemi. Dziedziczki i małe i wielkie, ile razy poszły do miasta, przynosiły mu obwarzanki, pierniki, a nawet makagigi. A kiedy siedziały we wsi, poiły mlekiem, serwatką, karmiły miodem i jagodami — i jawnie i cichaczem, jedna na prześcigi drugiej. Dobrze mu było być własnością nie Czopowskiego, ale Czopowskich obojej płci. Upływał na prawdę jak pączek w maśle, spasł się jak wieprzak — a z natury był leniaj, choć chytry jak lis, udawał że gamoś jak wrona.

Iłładki zapamiętał, że się urodził nad wielką rzeką, nad Dnieprem, niedaleko Kijowa, że tam matka chodziła na targ, i tegoż samego dnia jeszcze wracała do domu, z gościńcem.

Ojciec, choć żonaty, w domu nie pracował, a po Kijowie barłokował, a że miał jednego pana i dziedzica, a nie trzystu sześćdziesięciu pięciu, więc nim się znudził, bo jedno a jedno, toż samo znudzić musi — więc go opuścił i poszedł w świat. A matka na pół płacze, na pół śmieje się, przyśpiewywała synowi — Poichaw Kozak na Dunaj —.

I tyle rzeczy mu nagadała o tym Dunaju, że i jemu chciało się tam dostać. Obydwa sobie mówiliśmy — głosy matek to głosy prawdy. Jakże się to tam dostać, a trzeba dostać, obydwaj mówiliśmy sobie z Hładkim. Od razu między nami zawiązała się przyjaźń, i to przyjaźń serdeczna — kozacza, oparta na jednej i tejże samej chęci: na Dunaj, na Dunaj!

Pan Roch, szlachcic i to Czopowski, tak jak i ja, mający prawo do postoła łyczowego i do buta z ostrogą, wybrał się w podróż konno i zbrojno. Szłopak wilczaty, ślepy na prawe oko, kulawy na lewą nogę, dychawiczny, muzykant, i przodem i zadem wolternista, w podróży wciąż przerywał milczenie, żeby nie było drzemki, ani nudy. Za młodych lat był liczykopą pana Nestora Baranowskiego, dany w prezencie panu Nestorowi, przez Rebe Icka za nadzór nad przetopianiem piątaków na miedź do hamanji Rebe Icka — żeby miał na czem jeździć i do hamanji i do parafjalnego kościoła. Szłopak był pokorny, ciągle się kłaniał i wzdychał; jak pan bogobojny, póki nie zajechali do karczmy do Żyda, bo wtenczas i pan przyłykał, a wilczek nie brykał, ale sztykurlając takoż przyłykał. Siodło od antenatów, skórę mole zjadły, a drzewo łyku sterczało jeszcze, na siodle wór, przykryty ostatnim splendorem szlacheckim, kawałkami łatanemi rysiego czapraka, na którym jakiś tam Ignacy czy Pankracy, ale zawsze Czopowski, harcował pod Kluzynem, w Kopijnikach, hetmańskiej buławy pana Stanisława Żółkiewskiego. Uzda o jednym cuglu i to parcianym, bez wędzidła, bo Wilczka hamować nie trzeba było, a każdy pan Bech na nim siedział; nie jeździł drogami, ale miedzami, pomiędzy zboża, jak się zatokował w koronkach i litanjach, to Wilczek skubał na prawo i na lewo owies, pszenicę i wszelką pasznicę — a pan Roch po każdym Módl się za nami! dodawał: weź, weź, to dar Boży, i tak jeździli bez popasu aż do spoczynku. Pan Roch człowiek bogobojny,

po każdej koronce i litanji, wjatyk w gardło wlewał, i kiedy stanęli na spoczynek, Wilczek miał boki jak ogórek pełne, a pan Roch padał na ziemię z pokory, i leżąc takim był wolternistą jak Wilczek w podróży. O nich można było powiedzieć: wart pałac pana, a pan pałaca.

Z obu stron siodła były obwieszane torby, torbeczki, bakłaszki i faseczki, z kaszą jaglaną, ze słoniną, z wyziną, a nawet z jajecznicą. Starka od pana podkomorzego, okowita od księdza przeora, cała śpiżarnia; bo pan Roch, kiedy się modlił o dar Boży, prosił, dziękował, to lubił go i używać. Nie dla łakomstwa i dla obżarstwa, ale dla tego, żeby mógł powiedzieć, wyprosiłem i mam za co dziękować, i to na chwałę Bożą.

Przez plecy przewiesił sagalasówkę, i to z napisem — London. Łoże było powieszane sznurkami, odpadła antabka i cyngiel był bez osłony, kurek jeszcze trzymał się dobrze i spuszczony, spoczywał na zającym omyku, nie dotykając panewki. Pan Roch w konfederacji Barskiej, bo był konfederatą i to nie dla pozoru, na letnio, ale w gorącej wodzie kąpany, z sagalasówki niejednego Dońca spuścił z konia, jak cieciórkę, albo cietrzewie z drzewa, i to w obecności pana starosty Puławskiego i księdza Marka. Pierwszy zawsze splunął i rzekł — bierz go djabli! a drugi wzniósł oczy ku niebu — niech idzie pokutować za grzechy. Za pas włożył pistolet, ale nie do zabijania grzechu śmiertelnego, ale ludzi śmiertelnych; pan Roch, jak niebył pierwszym, na czczo wystrzeliwał asa z karty, łojówce ucierał kulką knota jak szczypcami. I to było potrzebnem, żeby sobie nie dać w kaszę napluć lada jakiemu hetce, pentelce. Miał i szerpetynę uczepioną na sznurkach, ale klinga z bułatnego żelaza, z wyryciem: Czop nie Chłop, Czopowski sługa Boski. Taki był zasób rycerski pana Rocha.

Wzrost niemały, barczysty, żylasty, choć siódmy krzyżyk doliczał, prawdziwy tornaka, jak kogo weźmie w kułaki, to kości połamie. Wąs jak Suma, twarz rubinowej z szafirową barwy, a nos jak paciorki u starego indyka i tak obwisły, oko siwe ale posótowiałe od wielkiego nabożeństwa, łapa jak u niedźwiedzia, za młodu możnaby z niej zrazów nasiekać, a teraz same ściągi i koście. Choć zgarbiony wiekiem, jeszcze się umiał wyprostować, jak trzeba było zagrzmieć

Verbum nobile, po szlachecku, po starodawnemu, i pokazać, że Czop to nie chłop, że choć Sodalis Marianus, gotów uszy poobrywać i poobrzynać, kiedy fantazja szlachecka zagra basem.

Taki był nasz duks, przy nim dwa kandysy kosmate, pies Borach, suka Chajka i nas dwóch, Hładki i ja Bech, jako poczet duksa, pędzącego wojsko gęsie.

Nas obydwóch przybrano jednakowo, jak wojsko pod liberją, chołosznie płócienne, koszule z czerwoną zaścieszką, świtka czarna nad kolana, pas czerwony i czapki z czarnych baranów. Ale pan Roch nie zgodził się ani na buty, ani na postoły, tylko na bosaka — ażebyśmy się nie potratowali w drodze, kazał nas tak pokuć jak gęsi.

W dziurze, gdzie niegdyś wapno palono, rozrobiono piasek żwirowaty z dziegciem i ze smołą, w tem ciaście maczano i nasze i gęsie nogi, raz, jak przeschły drugi raz i trzeci, i ciasto było na nogach, jak skórka na dobrze wypieczonym chlebie — byliśmy pokuci. Dano nam torbę przez plecy, kostury w łapy, ale w torby tylko po jednym kawałku chleba, na jeden dzień tylko. Dla porządku służby, pan Roch był szafarzem, i co dzień sam rozdzielał dar Boży i nam i kundysom.

Za wieś wyprowadzały wszystkie Czopowszczanki, i każda żegnała swoją gęś, swojego gąsiora, życzyła dobrej podróży i dobrego pokupu. — Puściliśmy się w podróż.

Szliśmy po nad drogami, a pan Bech przez ciekawość łany dobrych ludzi objeżdżał, żeby się przypatrzeć urodzajowi i żeby mógł Wilczek zakosztować, jaki rodzaj zboża, i kosztował.

Na spoczynkach jak pan Bech zaczął dąć w wolternią, myśmy brali gęsi w taniec, każdy po jednej, w mig szyja była skręcona, oskubana, upieczona i zjedzona. Myśmy ogryźli mięso, Borach i Chajka zjadły koście, pierze było zakopane i ani śladu naszego tańca. Kiedy pan Bech się budził i nas budził i dziwił się naszej dobrej minie i ochocie, choć i nam psowa, nie dawał tylko po kawałku chleba, wyraźne błogosławieństwo Boże, cud nawet, modlił się na podziękę, wjatyk łykał. I tak szły rzeczy, dzień po dniu: co było w sobotę, to było w niedzielę i w całym tygodniu, szliśmy a szli i tak doszliśmy aż do Bielgoródki.

Pan Roch pierwszy raz do nas przemówił, pokazując ręką ku wschodowi:

«Tam Kijów, o trzysta sześćdziesięciu i pięciu cerkwiach Bożych, o złotej bramie; a tu dawna granica króla Jegomości i królowej Jejmości polskiej — po sej dob myla!»

Stanęliśmy na spoczynek koło karczmy z wielkim wygonem, aż tu z karczmy, jak djabeł z konopi, wyskoczył jakiś obdartus, oberwaniec, rude włosy na głowie, na brodzie, na wąsach, jak u szerszenia, tylko szronem pobielałe. Stanął — patrzy na pana Rocha i pan Roch na niego, oko w oko, a potem jak się rzucą sobie w objęcia, jak się zaczną ściskać i całować, mało się nie podusili, a łzawym dyskantem z czułości wymawiali — Rochu! — Hermenegildzie!

Z rozmowy się dowiedzieliśmy, że pan Hermenegild był Waćkowskim na Waćkowie, takoż Owruczanin ze straży czernobylskiej dzielnicy. Za młodu oddany do palestry, został jurystą, a był prawdziwym jabidą. Zarabiał niemało, ale przegrywał w karty dwa razy tyle. Niejedną rodzinę tak sprocesował, że bez butów i bez koszuli poszła wieszać się na drzewach lasu, albo topić się w wodach rzeki. Uczciwemi honorarjami się nie kontentował, dopuszczał się wyderkafów różnego rodzaju, obrzydł wszystkim jako jabida, rugowanym został od kratek i musiał uciekać od kredytorów, bo go pozwami jak gradem obsypywano, i niejedna już ciążyła na nim kindemnata. Co tu począć, po polsku, jak bieda to do Żyda; znał Icka, jeszcze kiedy był arendarzem w Waćkowie, jeszcze, jak przez rok cały panowie Waćkowscy do niego z kolei na stróża chodzili, a jak przyszedł termin wypłaty arendy, to ratę przepijali, a Ickowi porządnie pejsy wytargali. Wiedział, że zbiwszy trochę groszy, podsunął się pod Kijow, bo do Kijowa Żydom, niewiarze, nie wolno, został arendarzem w Biełgoródce i mieszkał w karczmie Zadrypanie, na samym pocztowym trakcie. Więc do niego jak w dym.

«Icusiu kochany, Waćkowscy ci stróżowali w Waćkowie, dla czegoż ja Waćkowski nie miałbym ci stróżować w Zadrypanie?»

Żyd przystał, bo miał stróża, na przypadek jurystę, a w potrzebie rębacza na szable, na palcaty i na kułaki, bo rodem kurki czubate Owruczanie wszyscy, szlachta de hajde

i de jure — to jest na szable, a jak tych nie ma, na pięście i na pióro.

Pan Hermenegild z Ickiem żyli jak dwaj bracia, ale nierodzeni, tylko wujeczni, lub cioteczni, w dobrej zgodzie. Pan Hermenegild jeszcze w palestrze nauczył się trochę medycyny, a często nawiedzając Brusiłów, wydoskonalił się w farmacko-optycznej sztuce zaprawy wódek — dzięgielowek, łapciowek. Umiał nawet takie ingredjencje zadawać, że po ich wypiciu przez Icka, na drugi dzień Siura, jeszcze młoda, jak dzierlotka podskakiwała i szczebiotała jak czeczotka; stał się przyjacielem domowym.

Dobrze mu było; jadł łokoszynę i szczupaka z pieprzem, pił wódkę i miód i siedział sobie, nie jak u Pana Boga za plecami, ale jak u Żyda za piecem.

I pan Hermenegild był w konfederacji Barskiej, kiedy pan Roch z flinty palił, szablą jak cepem młócił, pan Hermenegild czarną posoką bazgrał indukta i manifesty; byli sobie towarzyszami, tem serdeczniejszymi, że nie jednem i temże samem rzemiosłem się trudnili, jeden drugiemu w drogę nie zachodził. Jak się zdybali, dawaj bałakać o tem, co było, a że na sucho to słowo jak wiatr leci, trzeba je oblać, żeby w głowie zostało, więc popijali. Icek obejrzał gęsi i borgował, a coraz nowo zaprawnego trunku podsuwał. Pan Hermenegild jurysta zwąchał pismo nosem, że Żyd gęsi wietrzy, żeby go zbić z parlatyka i dać mu inną robotę, nie z gęsiami, ale z Siurą, na ukontentowanie Siury, ingredjencją zaprawił, dwa sztofy, i postawił na stole dla Icka.

Sam wyszedł do kuchni, by pomódz Siurze w przyprawie szczupaka i obiecać jej czerwonego raka; w czasie jego nieobecności pan Roch, który w Icku upatrzył możność nawracania go na katolika, i to rzymskiego, łacińskiego, na dobicie targu, porwał za dwa sztofy stojące obok siebie.

«O tak Icusiu, wypijmy każdy duszkiem ze swojego, a potem przedawszy gęsi w Kijowie, a potem pójdziemy do księdza kanonika, będę twoim ojcem chrzestnym i nazwę cię Rochem, imieniem mojego patrona; to wielki święty, a niepojęty; będziesz chrześcianem, katolikiem, szlachcicem, neofitą — rodem Zatrypańskim, możesz zostać Sodalisem, a za pieniądze kawalerem Maltańskim.» Żyd się zgodził; jak flotowersy porwali sztofy w usta, ciągnęli, ciągnęli, póki nie

nie zostało na dnie; tak było tam sucho, że mogli wywrócić na paznokieć i na paznokciu żadnaby się wilgoć nie pokazała.

Wszedł pan Hermenegild, kiedy już wszystko wypili, struchlał, skościał, storopiał, mruknął między zębami, przebrali miarę, ale w głos nic nie powiedział — tylko żywo wniósł na stół szczupaka i przyprowadził Siurę.

Biesiadowali oni, jedli, pili, a nam po brodzie ciekło, bo nic nie dali, tylko po kawałku suchego chleba, trzeba było siedzieć na wygonie i dobrze patrzeć, bo blisko wieś, a jeszcze się nie przespali, żeby z gęsiami pójść w zwyczajny taniec.

Co tam było w karczmie, my tego nie widzieliśmy i nic nie słyszeliśmy, co tam gadano, już późno po dwie gęsi wzięliśmy w taniec, i te schrupotały się smaczno, bo było głodno i chłodno, a potem zasnęliśmy snem smacznym, snem błogim, zdając straż na Barucha i na Chajkę; tak się objadły, że dla strawności musiały czuwać i za nas i za siebie.

Z dniem białym zbudzeni zostaliśmy lamentami. Siura wrzeszczała:

«Aj waj, co on narobił, ja taka nieszczęśliwa, a ja taka była szczęśliwa, aj waj, obydwa trupy!»

Pan Hermenegild nie puszczał jej na podwórze, tylko wciągnął nazad do karczmy i drzwi zamknął; sam przybiegł do nas:

«Chłopcy na nogi i w nogi, te hultaje tak hulali, że się pozapijali, i teraz trupy; trzeba zmykać, bo nas wpakują do turmy, a nim się prawda wyświeci, to poginiemy z nędzy. Na Bożą wolę puście gęsi, a sami w świat, tak jak i ja to zrobię. Przyjdzie śledztwo i jak nikogo oprócz Siury nie zastaną, powiedzą, że zwarjowała i dwóch ludzi zamordowała. Niech ją tam katują, mniejsza o to, Żydówka, a Żydzi Chrystusa Pana i ukamienowali i ukrzyżowali; zresztą da sobie rady, niczego haziaczek; zna sekret ingredjencji, nauczyłem, będzie miała rzemiosło, z głodu nie umrze!»

Wyprowadził ze stajni Wilczka, uzbrojony i przybrany jak nieboszczyk Roch, bo był na prawdę nieboszczykiem, dosiadł szkapy i dalej w drogę, ale polami, w przeciwną stronę do Kijowa.

My z Hładkim w naradę, do Kijowa iść nie ma co, i

gęsi zabiorą i z nami Bóg wie co zrobią. Rzucać gęsi, to szkoda, czemżeby było żyć, chyba trawą, i gęsi popędzimy i sami pójdziemy na Dunaj. Ale gdzie tu Dunaj, w której stronie? Ot tak, wprost pójdziemy przed siebie, będziemy iść a iść, a może nam dobrzy ludzie pokażą drogę. I tak się też stało, szliśmy dni kilka, sami nie wiedząc, dokąd idziemy, zawsze przed siebie; jedliśmy gęsi, mienialiśmy na chleb i na inną strawę, przedawaliśmy nawet, ale zawsze po jednej, po dwie, rozważnie, żyjąc z jutrem. A że nie byliśmy ani patrjotami, ani konfederatami, ani nawet zdolnymi na rekrutów, lub do pańszczyzny, tylko chłopakami, więc nam nic nie mówiono, o nic nie pytano, tylko się przypatrywano gęsiom, Boruchowi i Chajcie, i te dwa kundysy kudlate dodawali nam wziętości i powagi i pokazywali, że nie byliśmy hołotą, mamy nasze stado i naszych stróżów.

W Czystym Stepie zdybaliśmy obóz cygański, z początku nas strach wziął, ale jak zaczęli bić w bębynki cygańczuki, tańczyć i poklaskiwać palcami, jak zaczął niedźwiedź tancmistrza udawać, ciekawość zatłumiła strach, gapiliśmy się, a potem weszli w rozmowę.

Bóg, widać, tak chciał, i to pokazuje najlepiej, że nic się nie dzieje bez Jego woli — i wielcy i maluczcy są pod Jego świętą opieką. Cyganie szli od Dunaju i jęli nam opowiadać o tym kraju, o miejscach, jakie przeszli, o tych, przez jakie przechodzić mają do swojej Litwy, do smorgońskiej akademji. Że byłem hramotny, miałem pugilares z ołówkiem, który mi nieboszczyk pan Roch nie zabrał, bo nie wiedział. Jąłem wypytywać i zapisywać, i taką sporządziłem marszrutę, od jakiej dokładniejszej nie mógł sporządzić i Niemiec, i tą razą rad nierad błogosławiłem Ojcu Michalskiemu, a nawet z pewną przyjemnością przypomniałem sobie bazyljańską dyscyplinę; w duszy sobie mówiłem, patrząc na Iładkiego nieuka: za jednego bitego dają dwóch niebitych i jeszcze nie biorą — a w głos zawołałem:

«O co? Teraz zajdziemy na Dunaj i będziemy na Dunaju!»

Kiedym Iładkiemu przeczytał i wytłumaczył to wszystko, com napisał, otworzył gębę, jak gdyby chciał połykać jaskółki, pławiące nad naszemi głowami, a potem padł przedemną na kolana, załamując ręce.

«Jakiś ty mądry, nie tylko bakałarza z Czopówki, ale

samego nieboszczyka pana Rocha byś w kozi róg zapędził, a takeś się przyczaił jak zając pod miedzą ze swoją umiejętnością, póki cię nie zmuszono, żebyś pokazał, jaki to z ciebie gracz — witam cię Wataźko kozaczy!» I rzucił czapkę w górę.

Cyganki nam wróżyły, mnie, że będę latał po powietrzu, i nie zalecę na księżyc, ani na żadną gwiazdę, ale spadnę na ziemię, żeby potem pójść pod ziemię. Śmiałem się, ale tego nie rozumiałem.

Hładkiemu wróżyła Cyganeczka bez ogródki, że będzie atamanem, kozaczym panem.

Że Hładki był chłopak swawolny i hulaszczy, porwał Cyganeczkę do tańca i kręcił nią jak furką, przyśpiewając: «Hop czuk czuk poberemsia — Budem atamanowaty — Ty budesz w stepi swyni pasty — A ja budu w kosz zahaniaty!» Takie będzie nasze atamaństwo, takie nasze koszowe państwo.

Szczęśliwy to wiek, to szczęście prawdziwe, nim chłopak młokosem zostanie, nim się w nim ponęty i tęsknoty nie obudzą — nim wąs mchem porośnie, na hulankę, na podumankę; najszczęśliwszy wtenczas, i myśmy takimi byli.

Szliśmy stepami i rozdołami, i niwą płową i zieloną dąbrową, przez góry i jarygi, przez pszenne smugi. Omijaliśmy z dala bory, bo tam wilcy siedzą. Omijaliśmy dwory, bo tam dziedzic i ekonomi z kanczugami czuwają. I wioski nas nie koniecznie wabiły; ale zachodziliśmy do Żydów handlować gęsiami, zachodziliśmy pod szatry cygańskie, posłuchać niedźwiedziego śpiewu, poznachorzyć, potańczyć z Cyganeczkami. Przez Boh przeszliśmy groblą i mostem, przez Dniestr w bród, i my i gęsi nasze. Niewiele ich było, jeszcze można było z półtory kopy naliczyć, bośmy byli chłopaki i oględni i oszczędni, droga daleka, trzeba było się rachować i to dobrze z jutrem. Szliśmy po nad morzem aż do samego Dunaju, widzieliśmy nad brudno siną powierzchnią tego Czarnego morza, które w naszych oczach wyglądało jak atrament. Białe wrony latały, kihiczały, maczały pióra w atramencie, zapewne, żeby pisać o sławie kozaczej.

Widzieliśmy czajki, i na nich zdało się, że byli Kozacy, a tacy młodzce jak za szacha kozaczego, albo za mnicha

hetmana — pana Piotra Konaszewicza Sahajdacznego. Ale na brzegu nie było ani zamków kozaczych, w ziemię się zapadły z wydmą wieków, ani kosza panów mołodzców nie mogliśmy nigdzie się dopatrzeć.

Na brzegach oczerety wysokie jak brzozy, a tak podryte szuwarami jak najgęstsze puszcze, a tak się ciągnęły, że oko nie mogło dojrzeć końca. Dunaj płynął szeroko, mętnie i darł się na setne ramiona; szumiały dunajowe wody jak podziemnym szumem, a oczerety i szuwary szumiały w powietrzu, po nad ziemią, a nie widać postaci ludzkiej na tej pustyni naddunajskiej, ani zasłyszeć głos ludzki, ani psi nawet. Strach nas przejął, resztki naszych gęsi do ziemi przypadły, Boruch i Chajka pod nogi nasze się cisnęły, a tak drżały jakeśmy i my sami drżeli. O toż nam Dunaj!

Godziny były nam wiekiem, a strach jeszcze bardziej zniecierpliwiał oczekiwanie; Hładki mi mówił:

«Wracajmy nazad!»

Uśmiechnąłem się; tak mnie zabawił jego strach.

«Kosz pod nosem, ty chcesz nazad? Piękny mi z ciebie będzie ataman; nie popanoszeją takim koszowym panowie mołodzcy!»

Tak sobie rozmawialiśmy, kiedy my usłyszeli chlupotanie wioseł na rzece, a wkrótce pokazały się czajki z rybakami, a samymi Kozakami.

Jak wyskoczyli z czajek na ląd ci Kozacy, a wąsaci, a brodaci, a barczyści, a pleczyści, z podgolonemi łbami, z krasnosyzymi nosami, a zapytali kto my jesteśmy, na odpowiedź, że idziemy z dalekiej Ukrainy, aż z za Kijowa, na Dunaj kozakować — zaczęli się śmiać, brać nas za uszy, podnosić, przerzucać jeden drugiemu jak piłkę.

«O to mi Kozacy, matka Ukraina już sfałszowała, kiedy takiemi bobkami zas zasila. A te gęsi, czy to tabun ukraińskich bachmatów w prezencie panu koszowemu? Na licho, na biedę przyszło matce Ukrainie.»

Śmiali się, baraczkowali, Hładkiemu w oczach łzy stanęły, bo mu na dobre podkręcali uszy. Mnie ze złości aż w oczach się zaiskrzyło, rękę odbiłem ręką, kopnąłem nogą jak koza żydowska.

«Trzysta by djabłów zjedliście chamy, ja szlachcic jestem, Bech, herbu Janosza, jeden z dziedziców Wielkiego i Ma-

łego Bechowa, posesjonat i hramotny człowiek! Dajcie mi pokój, chamy, bo ja was nauczę gwizdać po kościele!»

Wziąłem się do kostura i zawołałem na Borucha i na Chajkę:

«Haż — haż na tych chamów!»

Kundysy ogony pod siebie i za gęsi się skryły, a rybacy, Kozacy, w taki śmiech parsknęli, że aż się wzięli za boki, jak do tańca, do tropaka.

«Panie szlachcicu, panie Bechu, czy Mechu, czy będzie wola z nami. Wszak pan Janosza chce dostać się do kosza, z gęsiami, z kundysami, prosimy — pan szlachcic każe, skacz kozaczy wraże!»

Zdejmowali czapki i kłonili mi się do ziemi, nizko z pokorą, a nie z przekorą. Udobruchałem się, przybiłem zamorski chamom i byłem kontent z siebie i z nich. W myśli sobie powtórzyłem, że miał prawdę nieboszczyk pan Roch, a raczej jego terpentyna, że co Czop to nie chłop. A jak stuknął, puknął Bech, to cham strusił i zdechł. Taki sobie postanowiłem wyryć napis na szerpetynie, jak ją dostanę.

Siedliśmy na czajki, z gęsiami i z kundysami; jak uderzyli Kozacy, rybacy wiosłami jak w takt, jak zagrzmieli pieśnią kozaczą o paszyńskiej kuli [1] i o kozaczej Zuzuli, jak nam dali z bakłaszki łyk, a przed nami postawili solony bałyk, takeśmy się pobratali, jak gdybyśmy byli porodzeni w jednej wiosce — zapomniałem, żem szlachcic, ochrzciłem się na Kozaka. Czapką, papką przerobisz szlachcica na Niemca szyca, albo szpica — a cóż dopiero na Kozaka, burłaka i hulaka.

Zawieźli nas na Ostrów, gdzie była piękna murawa i piękniejsze jeszcze wierzby. Tu był ich rybacki artel i koczowisko; były tam ze dwie sotnie Kozaków, a samych burłaków i rybaków. Zaraz nas wzięli w uściski, jak gdybyśmy byli ich dziećmi; każdy sobie przypomniał, że miał kiedyś matkę i że kiedyś był dziecięciem, popłakiwali nawet. Skąpali nas w wodzie morskiej, i już byliśmy za prawdę Kozakami. Becha i Hładkiego zaraz wpisano w spis do Popowińskiego kurenia, do artelu Iwana Krywoborady.

Gęsiom naszym przyszło na koniec, na pohybel, z naszą

[1] Obronna wieża.

zgodą, wszystkim szyje poskręcali, i na drewnianych rożnach piekli przy ogniskach, a każdemu dostało się po połowie, kundysom koście.

Biesiadowali, hulali, ale w przyzwoitości, zgodnie z zakonem kozaczym, pieli na chwałę Bożą i na kozaczą sławę. A na wieczną pamiątkę nazwano Ostrów Gęsią wyspą, husinyj Ostrów, i takie miano mu zostało. Kundysy nie zjadły wszystkich kości; nadedniem z Hładkim pozbieraliśmy, złożyliśmy w jedną dziurę i usypaliśmy nad nią mogiłkę; ja w pugilaresie dopisałem rozchód wszystkich gęsi i zsumowałem, nie było ani superaty, ani decesu; był to z mojej strony dowód porządnego i sumiennego człowieka, bo wszakcić kiedy może się przyjdzie zdać rachunek Czopowszczankom z ich gęsi i gęsiorów. Byliśmy spadkobiercami obowiązku przyjętego przez nieboszczyka pana Rocha; nie było rady, co Bogu to Bogu, co Carowi to Carowi, a co Czopowszczankom to Czopowszczankom.

Kozacy, widząc naszą robotę, wzięli się na prawdę i wysypali dorodną mogiłę, którą zaraz nazwano: Husinoj kurhan.

Hładkiego zaraz przeznaczono do rozwieszania sieci i suszenia onych, a mnie oddano do artelszczyka na pisarza i zostaliśmy obydwa urzędnikami, niejako w poczecie starszyzny.

Dnie i tygodnie przechodziły na łowie rybnym; zawsze ryby łowili, ale nie było ani tożsamości, ani jednostajności, nie było nudy, bo każdy dzień coś nowego przynosił. To burza, to pogoda na morzu, porwanie Mołdawanek lub Cyganek, pohulanki kilkudniowe, a potem pożegnania i odwoziny z rybami pod rodzime strzechy. Kozacy jak Rzymianie porywali Sabinki, ale lud wolny, bezpański, nie zatrzymywał cudzej własności, póki wola, a potem nazad do prawych właścicieli. Jednego dnia pieśni, drugiego tańce i pohulanki, trzeciego modlitwy, a zawsze opowiadania, i to nie jednakie, i to nieladajakie, tłuste i dziwne. Jak tylko razem zawsze się śmiano, z osobna czasem popłakano, ale zaraz łzy ocierano, żeby słońce, księżyc, ani wiatr nie podchwycił Kozaka na płaczu, na zmudzie. Bo Kozak powinien być albo bundiuczny, wesoły, albo dziki, nabarmaszony, a nigdy czuły. Niech mu czułość i tkliwość wierci serce na

wszystkie strony, ale na twarzy i w postawie powinna być powłoka, że on nic nie czuje, tylko hula i morduje. To barwa nakazana prawem i zakonem kozaczym, choć bieda to hoc — czy w taniec, czy w bój, taki a nie inny kozaczy zakrój.

Kozakować to wojować, czy ze zwierzem, czy z rybami, czy z ludźmi; zdobyczą żyć, a nie siać, nie orać, nie żąć, ani prząść — trzeba wszystko dostać gotowe, nawet kołacze i mamałygę. I dla tego to w Bożej Ukrainie był chłop kozacki, który pracował, był Kozak, który wojował. Tak było i na Dunaju.

Dziwny to był ten zakon kozaczy, wierzył w Boga Jedynego i w Syna Bożego i w Świętego Ducha — w Trójcę całą. Wierzył w Matkę Dziewicę i w świętych Pańskich. W synod czterech patrjarchów Wschodu, w ławrę Kijowską, w grób Boga Człowieka Jerozolimski, w Świętą górę. Miał swoim hetmanem srebrnego archanioła, jak Polacy mieli swoją królowę Matkę Najświętszą. Modlił się po cerkwiach w tureckim, muzułmańskim kraju, dzwonił z dzwonnic świętemi dzwonami; to prawo, ten przywilej szablą sobie zarobił i na pergaminie firmanem wypisał. Posty zachowywał i w dni mięsne ryby nie jadał; pokłony bił w służbie Bożej i na akufertach, chodził do spowiedzi, komunikował winem i chlebem, krwią i ciałem Syna Bożego. Na Wielkanoc tłukł się w pisarki, w kraszanki i pożywał żółtka i białka jaj święconych, razem z paschą Bożą. Jednem słowem, był z Bogiem, bo chciał, żeby Bóg był z nim — ja z Bogiem i Bóg ze mną!

Ale miał swoje przesądy, które gubiły się w upłynionych latach, ale zachował onych tradycje święte. I tak, jeszcze za Stefana Batorego, kiedy Jan Zborowski, herbu Jastrzębiec, przezwany Czajką, wiódł przez porohy czajki kozacze na Czarne morze, i miał ich czterdzieści — jakiś tam znachor, czy znachorka powiedziała: Sorok, ne perejde poroh — czterdzieści nie przejdzie porogów. Szlachcic, i to Jastrzębiec, drwił z djabła, nie najbardziej usłuchałby Boga, a miałże wierzyć znachorstwu? Krzyknął: hula babula i puścił się na porogi. Trzydzieści i dziewięć czajek, jedna po drugiej, szczupakiem przesadziły wszystkie porogi, czterdziesta zdruzgotała się jak cacko dziecinne, choć sam ataman

był na niej; poszedł na dół, wyhulknął, do brzegu się dobił, i w znachorstwo uwierzył. A po powrocie szczęśliwym z wyprawy postanowił, że w koszu zaporoskim będzie czterdzieści kureni, bo tak się rzekło, a verbum nobile debet est stabile — ale to tylko w słowie, a w rzeczy i na jawie będzie tylko trzydzieści dziewięć, bo czterdziesty się rozbił, a nie trzeba, żeby się więcej rozbijał; nauka nie powinna iść w las. I tak było w Siczy, na pustyni świętych Pańskich, nad Kamionką, nad Podpalną — tak było nad Dunawcem.

Jak świat światem, kalendarz i stary i młody, nie miał nigdy w miesiącu więcej nad trzydzieści i jeden dni Bożych — gdyby miał trzydzieści i dwa, ostatni byłby djablim. O tem Kozacy, nie wiem od kogo, się dowiedzieli; może od Ojców Karmelitów Bosych z Berdyczowa, bo tam tylko sumienny kalendarz się drukował. Stąd liczba trzydzieści i jeden była dla nich i prawdziwą i szczęśliwą.

Kiedy szli kupami, gromadami, wędrówką, nad Dunaj i za Dunaj, a Turczyn, strażnik ziem i wód Wielkiego Padyszacha Islamu, choć nie ze strachu, bo Turczyn nie bojaźliwy, ale dla ostrożności i ciekawości, bo przezorny i chciwy wiedzy, zapytał: A wielu was jest — zawsze odpowiadali: Trzydziestu i jeden.

A że otuz bir po turecku znaczy trzydzieści i jeden po polsku i po słowiańsku, więc Kozaków, barlaków, w tureckiem narzeczu przezwano Otuzbirami — i ta przezwa im do dziś dnia została. Słowianoluby przekręcili tureckie Otuzbiry, na słowiańskie Oczajdusze, i o niemało nie pociągnęli Turków, Turanów, Hunów, Turkmanów do słowiańskiej rubryki.

O takich to rzeczach rozprawiano, i w ten sposób kozacze podania przypominano i uczono. Co tam się działo na Bożym świecie, to mniejsza o to; ale co się działo, dzieje i dziać nawet może w zakonie, o tem trzeba, żeby każdy Kozak wiedział. Starsi młodszych uczyli, że jak bez broni nie można wojować, tak bez wiedzy o zakonie nie można kozakować.

IV.

Z wieczora Kozactwo bałakało i śpiewało; jedni układali na doświtek wyprawę na karpie, sazany, pod wodę ku ostrowom czerniawskiemu i stepowemu, a jak się uda, to zapłyną między głębie Protoka, Satmanowa i Mazlinowa, trzy ostrowy, między któremi odnoga Kilijska zaczyna się drzeć na ramiona; tam zaskoczą sumy po wyrwach brzegowych, a uda się złowić w matnię niejednego jesiotra, albo bilagę. Kilka dni potrwać musi rybołówka, ale jest wszelka wygoda, lasu dostatek i zdrojowa woda, na ostrowach pełno zwierzyny, a na prawym brzegu kraśne dziewczyny, i z Żydem karczemka niejedna, rybaków dola nie będzie tam biedna. Drudzy gotowali się na morskie ryby, na kambuły, na sewreki i na czarnomorskie śledzie; ci układali, jak będą okrążać ostrowy, oczakowski, kudimow, odnożny, zajadą do monasteru, na pieczary pomodlić się Bogu, a potem zawrócą do koła stambulskiego ostrowa. Każdy myśląc o tem, co to jutro będzie, do ziemi się przyłożył, by się przespać.

W nocy przybyło trzech Kozaków gońców od pana koszowego, i nadeduiem już żadnej czajki nie było na brzegu, żadnego Kozaka na wyspie, tylko gusiny kurhan sterczał, a Boruch z Chajką wschodzące słońce wyciem witały. Zostawiono im chleba, ryby, a jak głód poczują, to przez wodę niedaleko do Wiłkowa.

Na Dunaju i na morzu Czarnem ryby spokojnie się pluskały i żyrowały, nikt ich nie płoszył, a dwadzieścia czajek z rozpiętemi żaglami płynęły w Sulińskie ramię. Skacz wraże, jak pan ataman każe; co tu myśleć o jutrze, kiedy człowiek nie wie, co z nim jutro zrobią.

Kazano, płynęliśmy do Dunawca, a Dunawcem do kozackiej Siczy. Ani mru mru; pomyśleć nawet nikt nie śmiał, po co nas wołano. Pan Lach wówczas panował na zaporoskim koszu, trzydziesty rok jak rybie oko kończył się jego panowania. Atamanował bez przerwy i wodził Kozactwo ze zwycięstwa na zwycięstwo, nie pytał, czy to byli Chrześcianie, czy Słowianie; przyszedł firman z cyfrą sułtana od wysokiej porty, przyszła bujunta od Seraskiera, w kotły kazał uderzyć, i czy to na pieszo w tabory, czy to na czajkach

w artele, sprawił wojsko, szedł i bił, kto się nawinął, kto mu wlazł w drogę, bo to był Lach jednokiszki.

Ze starszyzną się nie obradzał, popów i djaków nie słuchał, arendarzom ust otworzyć nie dawał. Kazał stać, to stali, iść, to szli, w lewo, to w lewo, w prawo, to w prawo, przed siebie, to naprzód, za siebie, to w tył — i ani mru mru, bo Lach był i jednokiszki i samowity.

Panowie młodzce to byli istna szlachta polska, kostka w kostkę, mastka w mastkę. Każdy lubił pojedyńczo chodzić, a razem to tylko na wojnie. Kiedy nieprzyjaciela wzięli na oko, wtenczas razem, i w przegony jeden biegł obok drugiego, wrogów nie liczyli, ale szli, bili, a jak pobili, to policzyli — taka natura panów młodzców, jak panów Mościpanów, bo to szlachta polska, a tamta szlachta kozacka, niegdyś dzieci jednej matki i jednego ojca, Rzeczpospolitej Jejmości i króla Jegomości. Ale jak się przestali bić, zaraz zaczynali się kłócić: ja tego chcę, ja tego nie chcę, nie pozwalam i kwita, i każdy szedł w swoją stronę. Albo starszyznę zrzucali, nową nastawiali; jak w piłkę grali z władzą i z naczelnikami, zupełniusieńko jak szlachta polska na elekcjach i na sejmach, w wojsku i w trybunałach.

Kozactwo to był prawdziwy zakon rozbitków całego świata, burłactwo uosobnione i uprawnione. Ogół był z ludu prostego, rubaszny i ciemny jak same Mazury, włóczęgi świata, dobrej woli, czy myśli, wciągnąwszy się do zakonu, choć wykształceni w okowicie i w szumówce, wodzie letejskiej, kozaczej, zapominali o przeszłości, a żyli życiem ogółu. Obiory ogółu, firmany sułtana, zatwierdzające wybór, których słowa, wykrzykiwane, czy czytane, leciały z wiatrem, ale dystynktorium, jawne, widoczne, zawsze stojące przed oczyma, była szuba czerwona z sajety, podbita futrem z czarnych niedźwiedzi, a po wierzchu zdobna w czandebury z superfejnego złota, do której należała srebrna buława. Krzywa szabla, taban damasceński prawdziwy, w złoto i drogie kamienie ozdobna, ze złotym sznurem, i nahaj z tawałową rękojeścią, a tak szczelnie i ściśle upleciony, że ani w Czerkiesji, ani w Krymie, ani w samych Boćkach takiej pletni nie splotą na garbowanie skóry ludzkiej. Póki w szubie był ubranym pan ataman, nikt w koszu ani pomyśleć przeciwko niemu nie śmiał, a cóż dopiero powiedzieć; jak myślał co

niedobrego, to zmrużył oczy, zatknął usta szorstką dłonią, żeby się nikt nie dowiedział, co było pomyślanem. Żaden bałwan w pogaństwie, żaden obraz w chrześciaństwie nie był bardziej szanowanym, ani bardziej się obawianym jak czerwona szuba w koszu kozackim. Jak powiedziano o czerwonej szubie, to dreszcz po ciele i szła, a cóż dopiero jak ją zobaczono.

Przed kilkudziesięciu laty przywędrował do kosza młodzieniec duży wzrostem, a cienki, jak gdyby tylko jedną kiszkę miał w sobie. Śniady na twarzy, oczów siwych, włosa ciemnego, golił brodę, tylko wąs strzępiasty mu spadał na usta. Nie powiedział swojego imienia chrztu, swego nazwiska rodu, tylko mówił — Lach jestem, szlachcicem byłem, a teraz Kozakiem zostałem; ani słowa więcej, na tem kwita, i taką miał minę, że nikt go dalej nie pytał. Hramotny, żaden djak od niego lepiej ani czytał, ani pisał; piórkiem jak szablą wywijał, a szablą jak piórkiem motał, i co wypisał na papierze, albo wykiereszował na swojem licu, to tego i sam djabel nie zamazał, zostało aż do końca bytu i żywota. Do boju nieslychana ochota, przezorność węża, spryt djabli, w radzie mądra głowa, na innych gadaniny dwa słowa, na tem koniec; do tego doprowadził, że jego zdanie w kozackim koszu jak słowa papieża rzymskiego w katolickiem chrześciaństwie były nieomylne, jak słowa Boże.

Jednozgodnie został obrany hetmanem, zaporoskiego kosza panem. Jak tylko na niego włożono czerwoną szubę, zamknął się w swojej izbie, tam namazał się jakiemiś czarowniczemi oliwami, które broniły od brudu i robactwa, nadział na siebie bieliznę, ubior, a wszystko namazane, a potem włożył szubę. Miał już przygotowane kiszki baranie, jak na strony do skrzypek, albo do cymbałów, iglice już były nawleczone, jął zaszywać siebie w szubę, a tak gęsto tykał ścieg od ściegu, że palec nie mógł wcisnąć się między dwa, a tyle narobił węzełków, że choćby kto ostrym nożem, albo pałaszem rozciął jeden ścieg, to jeszcze drugi by się za nim nie popruł. Jednem słowem zaszył się na wieki i wtenczas stanął przed Kozactwem, krótko i dobitnie im powiedział, czego chce, a czego nie chce, i podnosząc nahaj do góry, oświadczył, że nie będzie powtarzał słowem rozkazów i za-

kazów, ale oto temu dobrodziejowi powierzy sprawę i rozprawę. Pan Lach szedł przykładem i torem Stefana Batorego. Choć ten król Jegomość nie miał fraka i kamizelki, ale miał buzdygan i szubienicę, i szlachta polska słuchała i wojowała, aż miło było patrzeć i światu całemu, nawet niemieckiemu słyszeć o tem. Tak chciał i pan Lach.

Mówią, że jeszcze tego samego wieczora, już obszyty w szubę, zasłyszawszy o jakicheś sejmikach w karczmie, nahajem na gniłe jabłko potłukł łby i plecy biesiadujących mołodzców, a Żyda arendarza zaraz przed jego karczmą na szubienicy powiesić kazał; był to pierwszy Żyd powieszony, ale nie ostatni.

Mówili, że pan Lach przez trzydzieści lat swojego panowania powiesił dziewięćdziesięciu dziewięciu Żydów, co wypadało na rok po trzech i jedna dziewiąta Żydów, na miesiąc jedna trzecia bez czegoś i nigdy nie zabrakło kandydata na arendarza w Siczy; jednego powieszono, w godzinę już drugi szynkował, była to szkoła gymnastyki dla Żydów, w kolejkę. Ale panowie mołodzce tak dobrze pili jak panowie szlachta polska, a było u nich tyle pieniędzy w kalitach, z łaski sułtańskiej, ile było u szlachty polskiej za króla Sasa i wódki i pieniędzy po pasa.

Wodził pan Lach kurenie Zaporoża na Serby Słowiany, i na wołoskię i mołdawskie Rumuny, i na Niemców, i na Madziarów, i na rodnych braci rosyjskich Bojarów, i na palikarów Hellady, i na Uskoków Czarnej Góry, i na Morlaków nie lepszych od Uskoków, a że urząd wychodził z uczciwością wojskową, ze sławą kozaczą — nie zostawiał wrogom sułtana i wysokiej Porty ani złota, ani żywota. Życia słał do djabelskiego piekła, albo do anielskiego raju; co się komu należało, on tego nie sądził, tylko posyłał na sąd, a złoto do kozaczej Siczy i do kozackiego Raju. Bo obok Siczy, nad Dunawcem, o dobrą godzinę drogi, była wieś Raj, czy Raje, gdzie mieszkały kozacze niewiasty, kozacza płeć piękna, datek pana Lacha; w takowy sposób hurysek dostawał i tak Raj zaludniał.

W poblisku Dunawca były bogate sioła Kozaków Ihnata Nekrasy, potomkowie tych, którzy opuścili brzegi Donu, ze Stenko Razinem, sama szlachta dońska — Orłowy, Mazanowy, Sazanowy, Gogole, Batakowy, Jewsiejewy, odłamki

wszelkich rodzin na Donie dziś żyjących, z wiarą i z prawdą Białemu carowi służących. Starowiercy sumiennie przywiązani do starego Zakonu, żyli poczciwie, wedle przykazań Bożych, z żonami, płodzili się i mnożyli; podstrzygali sobie włosy na głowach i nie golili, ale podstrzygali sobie brody, i stąd Zaporoże przezywało ich Strzyżonemi świniami.

Pan Lach zasłyszał, czy też może i zawidział, że Donki nieszpetne, ładne, składne, wcale niczego. Więc jednego wieczora rozochocił się, był dobrego humoru, powiedział — Kiedy wola, jutro do dnia na polowanie na Strzyżone świnie!

Jak pan Lach mówił, kiedy wola, to nie miało się odnosić do kozaczej woli, ale do jego hetmańskiej, więc ze świtem wszystko co żyło było na nogach i przy broni. Zaporoże jak szarańcze runęło na sioło Starowierców Ihnata Nekrasy; co tylko było Kozakiem albo kozackim chłopakiem, lub dzieciakiem, co tylko nosiło imię brzydkiej płci rodu ludzkiego, wykłuto, zrąbano, żeby i na nasienie nie zostało. Wsie zrabowano i spalono, a mołodyce, dziewczyny, dziewczynki, baby nawet z wielką grzecznością i uczciwością zaprowadzono do nowej wsi Raju i tam osadzono, zaopatrzywszy we wszelkie manatki, dostatki, żeby było rajem Zaporoża wedle przepisu Islamu — na cześć, że służą muzułmańskiemu panu.

Wszystkie złoto i srebro, bławaty i makaty, jednem słowem wszystkie splendory posłano do Stambułu, w podarunku padyszachowi i jego wielikanom, i maluczkim nawet. Wysoka Porta podumała i odpowiedziała: Co się stało, odestać się nie może. Zaporożce, Otuzbiry, nam wiernie służą, za nas wojują, niech siedzą nad Dunawcem i niech mają swoje haremy, szablą i spisą nabyte, to prawo nad prawami; niech się przywięzują do ziemi, może ich natchnie duch Islamu. A Ihnat Nekrasy Kozaki, nasze dzielne i doświadczone junaki, żeby się oddzielić górami i rzekami od tych hultajów Otuzbirów, niech się siedlą nad enoskiemi jeziorami, tam ich skrzydło wysokiej Porty opieką otoczy i będą ryby łowić w jeziorach, jak łowili w Dunaju; taka jest wola sułtańska.

Wszyscy panowie koszowi mieli stopień paszy mirimirasa, to jest szlachcica nad szlachtą, czyli rycerza nad rycerzami, a pan Lach został mianowany nowym firmanem sułtańskim, paszą beglerbeją, książęciem nad książętami.

Tak według wszelkiej uczciwości i sprawiedliwości zakończyło się polowanie na strzyżone świnie. Wieś Raj stanęła na nogi, a że Zaporożce nie przeszli na Islam, muzułmanie Turcy nie chcieli uznać Raj chrześciański i jego nazwę, więc wieś nazwali Raja, jako mieszkanie poddanek, hałajek, czyli niewolnic Zaporoża. Trudne wszystkie początki, potem idzie jak po maśle, pan Lach mądra głowa i silna wola, tak jak zdobył Donki, tak zdobywał Multanki, Wołoszki, a nawet i Cyganki, i wkrótce ludność Raja miała przeszło do pięciu tysięcy głów i to pięknych, bo płci pięknej. Za kwitami hetmana szli tam mołodzce na żeniaczkę, za kwitami takiemiś brali rozwody i wracali do Siczy. Zakon bezżeństwa był jak najszczelniej zachowany w Siczy, a Raje to było tem, czem były futory na pustyni świętych Pańskich nad Kamionką i nad Podpalną, żeby Kozacy mołodzce nie pościli, i też nie pościli i dobrze im było. Pan Lach o wszystkiem pamiętał, o wszelkich wygodach, hodował swoje dzieci bakaljami, marcypanami, wszystkiemi słodyczami tego świata; na niczem im nie zbywało. Ale też bez pozwolenia ani na krok od Siczy nie pozwalał się oddalać. Kiedy przyszła bujurłada od Seraskiera: Otuzbiry na nogi! .. to już na drugi dzień trzydzieści i dziewięć kureniów stawało zbrojnych na majdanie i każdy kureń liczył po pięciuset mołodzców, gotowych do bójki, choćby z samym djabłem, byle taki firman był sułtana.

Pan Lach nie pozwalał chodzić na włóczęgę, ani też na zarobki, i zarobkować też nie było potrzeba. Pan Lach we wszystko Sicz zaopatrzał, w śpiżarniach było żywności pod dostatkiem i to wszelkiego gatunku; kozaczych ubiorów, żeńskich strojów, broni, cacek, nawet i łakoci. W kasie pieniędzy huk, i to różnej monety. Pan Lach umiał grabić i oszczędzać dary sułtańskie, ale nie dla siebie, tylko dla kosza, dla siebie nic oprócz władzy i sławy. O to dbał jak o oko w głowie, jak o język w mowie, bo był Lach i szlachcic, i to jednokiszki, a samowity. Wzdrygał się na zdradę, ale się niemniej wzdrygał na cudzą radę, umiał dawać rady i sobie i drugim. Lubił mówić: Tak chcę, taka moja wola, i tak też było przez trzydzieści lat w zaporoskim koszu i dobrze było. Komu się należała zasługa? Czy panu Lachowi, czy czerwonej szubie? Pan Lach po-

wtarzał: To zasługa szuby; szuba nic nie mówiła, a ludzie pletli smolone duby.

Takie to tam rzeczy prawiono o tym sławnym hetmanie i z taką wiedzą wpływaliśmy na Dunawiec.

Kozactwo już było zebrane na siczowym majdanie, wszystkie trzydzieści dziewięć kureni, a w taki stłoczeni tłum, że wszyscy zdawali się poprzyrastać jeden do drugiego; dziwne twarze, dziwne postawy, dzikie, ponure, łagodne, swobodne, hulaszcze; kto jaki wyrok lubił, taki by sam dopatrzył. Takież same różnobarwne stroje, tylko czapki czarne, barankowe u Kozactwa, a siwe u starszyzny były jednakie. Zaścierki u koszul i u wierzchu czapek były jednakie w każdym kureniu; nasz popowinczewski, był żółto gorący.

Wysiedliśmy na ląd, artele nasze zaraz się rozwiązały, każdy poszedł do swojego kurenia, a nas dwóch, jako nowo zapisanych, przez tłum prowadzono przed hetmana, wedle zwyczajów siczowych. Byliśmy już trochę oswojeni z mołodzcami, ale taki tłum, taki różnorodny wiekiem, licem, strojem i krojem; jakieś dziwne drżenie robił w naszem ciele. Iłładki drżał jak liść osieki, jakby go porwał paroksyzm jazdy dunajskiej; mnie w piętach było zimno, ale z czupryny się kurzyło, szlacheckie serce animuszu dostało, ścisnąłem pięście w kułaki i do boków przyłożyłem, głowę do góry, a nogi tak podnosiłem, jak koń rażony upałem. Trzeba było się pokazać, żem szlachcic Bech, żem przed tymi hajdamakami ze strachu nie zdechł, bo jakkolwiek to zakon i Kozacy, zawsze im z oczów patrzyło, że to hajdamacy. W środku majdanu, przed zbomją, tak się nazywało zabudowanie, przed którem Kozacy się zbierali, na rozciągniętej skórze końskiej leżał hetman, pan koszowy, Lach serdeczny ale niebezpieczny. Kulbaka mu służyła za wezgłowie, był ubrany, utulony niejako: w czerwonej szubie, ale szabla powieszona przez plecy, lewą ręką dotykał srebrnej buławy, a prawą miał na trzonku nahaja; blady, jakby krew uciekła z lica, ale siwe oczy jeszcze się iskrzyły i na wszystkie strony zerkały. Wąs ani pokręcał, ani muskał, jak to było w jego zwyczaju, ale spodnią wargą chwytał, jakby do przemówienia się gotował, albo przemowę w ustach duch

tamował, ale wciąż dokoła na wojsko zerkał i wojsko stało w milczeniu, oczy w ziemię, jak w czasie służby Bożej, i wojsko czasami z pod rzęsy wzrokiem zerkało, ale nie śmiało wpatrywać się w hetmana.

Czy pan koszowy bolał, cierpiał, słabował, tego nikt nie mógł wiedzieć, bo nie skarżył się ani słowem, ani licem, ani stęknięciem, ani drgnięciem; kazał skórę rozciągnąć, siodło położyć i samego siebie tam złożyć, taka jego wola i tak zrobiono; może to jaka nowa fantazja, nic by nie było dziwnego, pan koszowy Lach i szlachcic, a to ich przywyczka, nie tak jak u ludzi, wszystko na opak, wszystko inaczej, i tego było trzeba wierze kozaczej — ani mru mru, sza, stali i czekali.

Kiedy nas do hetmana podprowadzono i ustny raport mu składano, Hładki jak długi padł na kolana i do ziemi, całował nogi hetmańskie, a ja stałem i hetmanowi w oczy patrzałem. I on popatrzył na mnie i zaszemrał:

«Ty kto?»

Wyprostowałem się, potrząsłem czupryną na wiatr, nie spuściłem oka z hetmana i wyrecytowałem jak konjugację przed księdzem Michalskim:

«Bożysław Bech, herbu Janusza, dobry i dawny szlachcic z czernobylskiej dzielnicy, posesjonat trzech morgów pola i części w Wielkiem Bechowie — dziś Kozak Zaporoża, młodziec na koszu, na usługi hetmana i pana, ale na kolana tylko przed Bogiem, albo przed królem Jegomością.»

Tak gromko i czapaśnie mój rodowód wygadałem, że aż wszystkim dreszcz przeszła po ciele i mimowolnie spojrzeli na szubienicę, która tuż koło zborni stała.

Hetman podniósł prawą rękę, ale bez trzonka nahaja, okiem jakby mnie polował, przystąpiłem i rękę serdecznie ucałowałem, i rozbeczałem się, bo już dalej wytrzymać nie mogłem. On mnie pogładził i nic więcej, ale to pogładzenie było jak namazanie: od razu z dzieciaka urosłem na prawdziwego młodzca Becha. I hetmanowi widać jakieś przypomnienie przesnuło się w duszy, bo zdało się, że trochę podniósł głowę i zamruczał:

«Bech — znam; szlachcic Lach, dziecko, ale Lach.»

I znowu zerkał wzrokiem na wojsko, zdało się, że nie-

cierpliwił się trochę, bo palcami i buławy i nahaju dotykał — a ciągle zerkał.

Wtem rozemknął się tłum i wprost do hetmana kroczył mnich, Czerniec, w całym przyborze swojego zakonu, smukły jak topola, kozacze ruchy, a szlachecka postawa, oko siwe, sokole, włos ciemny, jak jedwab wiotki, wąs ledwie zakrywał usta, cała twarz lacka. Wszystkim się zdawało, że pan Piotr Konaszewicz Sahajdaczny z tamtego świata, z monasteru kijowskiego wraca do kosza.

Hetman rozjaśnił usta, uśmiech jak cień przeleciał mu po twarzy, a Kozactwo spojrzało do koła.

Czy pan koszowy wezwał spowiednika, by go na tamten świat gotował, czy żeby nad nim akafesta czytał, modlitwą Bożą, jasną, rozpędził choroby chmury — ale nie miał z sobą ani Pana Boga, w krwi i w ciele, ani psałterza. Był to archimandryta Moroz, przybyły z pieczarskiego monasteru na rozkaz hetmana, koszowego pana.

Ród jego z pod Kijowa, szlachcic i to herbowy, z dziesiątkę lat pod panem Lachem kozakował, że i dobrze kozakował, był asawułą, pułkowódzcą, obożnym, pisarzem, a potem przyszła fantazja i został mnichem, archimandrytą — i to dla tego, żeby nie tak było jak u ludzi, tylko inaczej.

Hetman się podniósł i stanął na nogi, skinął ręką i pisarz począł czytać firman sułtański.

Firman objawiał, że niewierni Grecy powstali przeciwko władzy sułtańskiej i wzywa pana koszowego, żeby trzydzieści i dziewięć statków różnych wielkości z silnemi załogami Kozactwa stawiły się jak najprędzej do Carogrodu dla połączenia się z flotą sułtańską. Że rachuje na wierność, na gorliwość i na pośpiech pana koszowego, Beglerbeja paszy.

Firman był przeczytanym i hetmanowi oddanym — on go przyłożył do ust, do czoła i trzymając w ręku, drżącym głosem, ale wyraźnym, z naciskiem wymawiał:

«Mnie nie hetmanować, kiedy wola, archymandrytę Moroza hetmanem głoście, niech sprawia wojsko, wiedzie statki!»

Zsunął się na ziemię i oparł się o siodło.

Hurmą czapki kozacze w górę wzleciały, na jakiś czas zakryły słońce, i hurmem Kozacy zawrzeszczeli:

«Moroz hetmanem, koszowym panem!»

Ale dano znać, że w karczmie kilku pijaków nie chce na pana i że Żyd poddmuchuje zachciankę.

W to graj panu Lachowi, z omdlonego orzeźwiał, w mig Żyda przyprowadzono i w mig go powieszono. Setnego Żyda doliczył za Chrystusa Pana, Zbawiciela rodu ludzkiego, mógł spokojnie umierać.

Zawołał pana asawułę i pana pisarza; sam się położył. Kazał zoczinać ściegi zaszytej szuby; oni rozcinali, bo taka jego wola, on okiem zerkał i za każdym rozciętym ściegiem stłumionym oddechem westchnął. Ach ciężkoż mu, dusznо rozstawać się z tą szubą, ale trzeba; taka wola Boża, taka i jego wola. Duszę mu rozcinano, rozcinano serce, ale nie jęknął, dopiero jak ostatni ścieg przerżnięto, jęknął raz tylko, ale tak żałośnie, że całe Kozactwo jęknęło.

Prędko się odszumiał, ostatnim wysiłkiem przerzucił się na jedną i na drugą stronę; z szuby ciało swoje wyrzucił.

«Bierz Morozie — bierz — wdziej — kiedy wola!»

W duch Moroza rozebrano, w duch ubrano — i już nie był archymandryta, ale pan koszowy, hetman Zaporoża, w czerwonej szubie, przy krzywej szabli, z buławą w lewicy, z nahajem w prawicy.

Pan Lach nie puszczał z niego oka.

«Morozie — wódź Kozactwo, a trzymaj krótko! Bądźcie zdrowi — dalej w drogę, już czas i mnie i wam!»

Obrócił się i przeciągnął, ziewnął i dusza wyszła z ciała, jakby djabeł ją stamtąd porwał. Już był trup, a nad nim trup Żyda wisiał w powietrzu, a drugi Żyd żywy i zdrowy szynkował w karczmie. Tak skończył swój żywot pan Lach serdeczny, ale niebezpieczny.

Kozactwo było markotne, smutne, spłakali się nawet te Otuzbiry; bo jednak te trzydzieści lat palcem nie przekiwać, ile to korcy soli razem się zjadło, ile to złej i dobrej woli przebyło się razem, a zawsze w sławie, w dostatku i w uczciwości wojskowej, i jakże to nie płakać tego serdecznego Lacha? Płakali rzewnie, szczerze, a kto nie płakał, ten sumował, i jeszcze mu gorzej było; każdy go żałował. Każdy mówił i sobie i drugim — co to będzie, nie ma naszego Lacha, żeby najeżał i swoim i wrogom strachu? Lacha naszego nie ma, kto nas zwycięsko poprowadzi, kto nas w syzie i w ładzie utrzyma? Oj nie masz naszego Lacha, nie ma!

W Siczy płakano, a w Raju szlochano: Lach to był człowiek, to był pan, ojciec dla dobrych, opiekun dla słabych, pogrom na złych, a gospodarz dla wszystkich. Młodyce i dziewice mogły jeść, spać i hulać, niemyśleć o jutrze, bo Lach o jutrze myślał. Kochał dzieci, szanował matki, bo był kiedyś dziecięciem, miał kiedyś matkę. Dzieci to aniołki Boże na ziemi, kochał je, bo kochał Boga, i często bawił się z niemi.

Nowy hetman wydawał rozkazy, sprawiał wojsko, sprawiał nawy; ja byłem przeznaczonym do jego boku, byłem chłopiątko, ale praworne Kozaczysko, zawsze na zawołanie pana hetmana, czy to do pióra, czy to na posyłkę. Od razu mnie hetman polubił, bo był szlachcic i to uczony, a taki łagodny, że Kozactwo między sobą mówiło, jak to on da nam radę, z swoją dobrocią, po grozie pana Lacha, jak to on zastąpi nahaj uśmiechem. Ale go słuchali, a nawet tak się starali robić, żeby nie zasmucić tego łagodnego czoła, żeby nie popsuć tego niebiańskiego uroku dzieła Bożego. Znali jego odwagę i jego rozum i pocieszali się, że i z tym będzie dobrze; sercem i uśmiechem tak nas poprowadzi, jak wodził nieboszczyk hukiem i stukiem.

Nazajutrz, między Siczą a Rają, czy Rajem, pochowano zwłoki nieboszczyka Lacha. Całe Kozactwo kureniami z rusznic paliło w grób kulami i śpiewali:

«Sławny to hetman, Boże Wielki, Boże Wszechmocny, weź go między swoje hetmany. Namiestniczył srebrnemu archaniołowi na ziemi, niechże mu namiestniczy w niebie; o to cię błaga lud kozaczy, zakon cały. Weź go do siebie, dla Twojej, ale kozaczej chwały!»

Kobiety od łez się zachodziły, dzieci beczały i wszyscy razem wysypali wysoką mogiłę, na cześć Lacha hetmana, koszowego pana.

Tak skończył; i tak pogrzebany sławny hetman, on nie żyje, ale sława jego kozacza żyć będzie po wieków wieki, i mogiła mu pomnikiem zostanie. Służył hulaszczej dziczy i na dzikim stepie — dziki step dał mu swój granit na pomnik, a hulaszcze zioła i kwiaty ubarwiły w Boże ozdoby. Taki nadgrobek kozaczy, i kamienia na grobie nie położono, i w kamieniu rodowodu i sławoczynu nie wyryto, na co to by się zdało, wyryte one były w sercach kozaczych, i z ust

do ust przechodzić będą z pokolenia w pokolenie, i pewnie marmurowe, spiżowe nie przetrwa dłużej wspomnienie — bo jak dusze kozacze w nieśmiertelność ulecą, tak sława Lacha hetmana do nieśmiertelności za Kozakami poleci. Ciało Lacha hetmana i groza koszowego pana zostały w ziemi — dusza jego ze sławą uleciała w obłoki; a miłość kozacza i wspomnienie kozacze zostały na ziemi.

Po pogrzebie siedliśmy na nawy, dwu- i trzyżaglowe, każdy kureń miał swoją, i na każdą wsadził dwie kopy wybranych młodzców. Hetman, żeby nie było liczby czterdziestu, wsiadł na nawę popowinszowskiego kurenia, i przez cześć dla zmarłego hetmana nazwano ją — Lach; i wszystkie miały swoje przezwiska: od rzek, od uroczysk i sławnych ludzi w Kozaczyznie. Były: Dniepr, Kudak, Pilawce, Zborów, Zbaraż, Kijów, Białacerkiew, Konotop, Irzgulec, Boh, Słobodyszcze, Chmielniczenko, Wyhowski, Mohyła, Doroszenko, Mazepa, a nawet Bachmat. Hetman, który wyprowadził Kozactwo z nad Kamionki, na uroczysko poznaczone przez Doroszenkę i Mazepę — był i Orlik i Orlenko — z nazwy naw przypominano podania kozacze, o nich mówiono i jedni drugim o nazwach swoich szczegóły podań przedawali. Była to historja kozacza, żyjąca i przechodząca z lat w lata, pieśnią i opowiadaniem. Był to napój duchowny kozaczy, którym każdy się zasilał jak wspomnieniem sławy, kiedy szedł w taniec bojowy po nową sławę, po nową cześć. Tak Kozaczyzna, bez pisma, bez druku, przeżyła wieki, tak przeżyje jeszcze wieki mnogie, nim dojdzie do sądnego dnia i złoży pieśni i podania u stóp srebrnego archanioła, swego niebiańskiego hetmana, a ten je poniesie przed oczy Boga i Pana nad Pany. We wszystkich nawach naraz w wiosła uderzono, na wszystkich nawach naraz zagrzmiała pieśń kozacza, a na brzegach huknęły pożegnania kozacze i pożegnalne płacze. Z nadbrzeżnych wierzb zerwały się białe czaple, z koryta rzeki pelikany, z krzykiem radości, z krzykiem strachu, leciały ku Czarnemu morzu. Na nawach rozpuszczono białe żagle, białe jak skrzydła czapel, jak skrzydła pelikanów, i skrzydła naw, ze skrzydłami ptaków na prześcigi pędziły ku Czarnemu morzu.

Szumno, gwarno, z wodą ślizgały nawy, w podskokach,

po odnodze Świętego Jerzego. Czy święty Jerzy, rycerz święty, patrzał na ten pochód wodny, nie wiadomo, on był konny; ale srebrny archanioł patrzał z nieba, z wysoka na swoje Kozactwo, i gdyby było jakie oko nadsokole, nadludzkie, toby pewnie dojrzało jego postać na obłokach, bo oczom ludzkim, oczom sokolim to tylko się srebrzyło na obłokach; taki odblask archanioła, i ten odblask wciąż posuwał się na obłokach, nad głowami Kozactwa. Kozactwo, świętomichalskie bractwo, spieszyło szlakiem wodnym, a archanioł hetman, święty Michał, spieszył szlakiem niebieskim. A obydwa szlaki wiodły w jedną stronę, ku Carogrodowi.

Słońce jak złoto wypolerowana blacha świeciło na niebie, nad nami, a obok niego przesuwał nasz srebrny archanioł, powierzchnia morza jak stal ciemno-niebieska wypolerowana była wokoło nas. Wiatr podymał od północy, jak stado łabędzi, czajki nasze, bo te nawy były czajki, ślizgały po przeźroczach; szum żaglów podobny do szumu skrzydeł ptasich, czasem się strzepotał i znowu jednostajnie, gładko szumiał. Na pokładach siedziało Kozactwo, homoniło, baraszkowało i podśpiewywało i z przeznawania przed siebie patrzyło; czasem sternik rydlem steru skrypnął i znowu było cicho. Archanioł wiódł gładko, swobodnie flotę czajek swojego Kozactwa do Carogrodu.

Nie tak to bywało za hulaszczego pana Szacha, ani za starego Skałozuba, i oni wodzili czajki na Carogród, na Synopę, na Trebizondę, ale wodzili w wicher i w burzę. Kiedy djabli całego piekła na morzu harcowali i oni wtenczas żeglowali, bo mieli djable zamiary; trzeba było iść djablim pochodem, żeby dojść do djablego tańca i po djablemu potańczyć, i tańcowali. Teraz inne czasy, nie po Panaję Sofijską do Carogrodu jadą, ale na służbę padyszacha, na boje, przeciw tym, którzy chwalą Panaję, ale nie ludzkiem, nie słowiańskiem narzeczem, a padyszach po księżniczkach ma w sobie krew słowiańską, i Kozacy Słowianie. Płyną swobodnie, płyną spokojnie, ani wichru, ani burzy, ani djabłów im w pomoc nie potrzeba, z sojuszem płyną do lennego pana.

I dzień i noc płynęliśmy, a ciągle po nad brzegami, słońce nam świeciło w dzień, księżyc z gwiazdami przyświecał

w nocy, a z jednem i drugiem srebrny archaniol. Do przystani żadnej nie zachodziliśmy, tylko wciąż dalej a dalej, a z wiatrem, z prądem trzech rzek kozaczych: Dniestru, Dniepru i Bohu, na grzbiecie tego kozaczego prędu; jak wsiedliśmy tak jechaliśmy zawsze naprzód z wiatrem i z wodą.

Brzask dzienny przesunął się po obłokach, od spodu ku górze, nocnice z morza leciały na ziemię, w góry, w lasy, a rybitwy z po nad brzegów podlatywały na morze witać ryby witające dzień Boży. Dobry dzień to: jednym niesie śmierć, drugim podaje życie, między niemi, tak i między ludźmi na tym Bożym świecie. Brzask rozjaśniał obłoki i słońce zazłociło się na krawędzi, kiedyśmy wpływali do cieśniny Bosforu. Z armat nas powitano i myśmy strzałami z harmat odwitali. I na ten głos po wszystkich minaretach wzdłuż Bosforu muezyni zanucili Ezanem na chwałę Bożą, i myśmy zabrzmieli pieśnią chrześciańską — Boże Wełyki, Boże Bezsmertny, Hospody Boże pomyłuj nas. —

Zabłysły nam w oczach minarety, po których się czepiały pierwsze promienie słońca, a pałace na obu brzegach cieśniny, bielą i różnobarwiem, między zielenią gajów i ogrodów przedstawiły się naszemu oku. W dali Siedmiowzgóry, Carogród, meczety, pałace, wieże — wszystko to migało w oku i ciągnęło myśl i serce do podziwu; dzieło to ludzkie, ale cud Boży, bo taka była Boża wola.

Oko nie mogło się napatrzyć, nasycić temi pięknościami, myśl jak piana czepiała się po meczetach, po minaretach, po gmachach, po cyprysach — co to cudów, a wszystko to ludzie zrobili, bo Bóg tak chciał, taka Jego wola.

Patrzyłem, patrzyłem, a potem oczy zamknąłem, by się przekonać, że ja nie śpię, nie marzę, i znowu oczy otworzyłem i znowu to samo widzę, a to skaranie Boże, co to człowiek może jak Bóg dopuści! Kozacy zemnie się śmiali, a ja padłem na kolana i modliłem się, bo to zaczarowany gród, prawdziwy carski gród — dla cara świata, albo dla samego Boga, gdyby Ten chciał zstąpić widomie między ludzi i zamieszkać na ziemi.

Oni się śmiali, i mnie dziwno i straszno i dziwaczno było wleźć między takie cuda. Ja Bech, herbu Janosza, szlachcic i Lach, nie zadrżałem przed wąsatymi i krasnonosami i mołodzcami, nie zmrużyłem brwi przed samym panem Lachem,

a tu przed tym Carogrodem drżałem jak drahle, nie ze strachu, ale z podziwu, padłem na kolana i modliłem się, modliłem, pókim się nie zsunął na pokład i nie zasnął; dusza się zmogła, a ciało, zwyczajnie ciało, chciało spoczynku.

Spałem jak zabity, a sny łagodziły niejako przeciw jawu. Śniłem o Wielkim i Małym Bechowie, o mojej starej matce, o niedomagającym ojcu, o panach Bechach, jak się zebrali na radę, na podwórku u ojca, sądzić pana Joachima, którego cielę chrust rozgrodziło i wyjadło kapuścianą rozsadę pani Kletowej, zawsze Bechowej. Widziałem księdza Michalskiego, ale bez bazyljańskiej dyscypliny, ale w profesorskiej todze, w birecie na głowie, mówił o swiętej miłości ojczyzny, ale po bazyljańsku, nie o chamskiej, ale o szlacheckiej; bo u księży Bazyljanów cham, chłop, nie ma ojczyzny, więc ją kochać nie może. U szlachcica jest tylko patria i dla tego to oni tylko piszą: Pro Patria, pro Lege et pro Rege — i księża Bazyljanie mieli za sobą wielką prawdę. Tak utrzymywali panowie Bechowie, panowie Czopowscy, Uszczapowscy, Waćkowscy, Baranowscy, a nawet kniaziowie Możajdy i owrucka szlachta cała.

Potem, ni stąd ni zowąd, znalazłem się w Czopowie; Czopowszczanki dokoła mnie opadły, jedna wrzeszczy: a moja gęś szara, druga: a mój gęsiór czubaty, inna: a moja gąska biała; a każda szarpie, a każda woła o gęsi i o gęsiorze. Cała ta wrzawa przerobiła się w gęsi gęganie, padłem na ziemię, nie ma rady, szarpią i gęgają, a gęgają. Obudziłem się, i pierwsza rzecz po przeżegnaniu się krzyżem świętym, była — zajrzeć do pigularesu i zapisać:

Dopominają się o gęsi, trzeba o uiszczeniu się myśleć; dług rzecz święta, nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło, szanuj cudzą własność, nie zabieraj, co nie twoje, co pożyczysz, oddać powinieneś! — Tak nas uczyli księża Bazyljanie, i to zostało w sercu i w głowie.

Piękny mi zawsze był Carogród, ale patrząc na niego, już od rozumu nie odchodziłem. A kiedym z panami młodzcami wylądował na brzeg i przeszedł się po mieście — ulice ciasne, po kamieniach nogi sobie trzeba łamać, taki bruk nierówny, a co krok trzeba potrącić psa lub kota, żywego lub umarłego, a śmieci jak w Wielkim Bechowie w oborach więcej nie ma. Jedzą na ulicy, piją na ulicy,

smród, brud, a zgiełk taki, że wciąż człek odbiera stusaki i kułaki. Żeby szlachecką powagę i dystynktorium zachować, trzebaby młócić oburącz, po łbach i po mordach. Aż ckliwo się robiło; pomyślałem sobie, nie to złoto co się z wierzchu świeci, i wróciłem do stanu zwyczajnego, patrzałem, podziwiałem, ale już nie głupiałem.

Pan koszowy ciągle jeździł kaskami, powozami, albo na dżumetach, to do Tershany, gdzie wojenne okręty w przystani stoją i gdzie okręty budują, złotym rogiem tę zatokę zowią, bo tam wiele złota kopią w roboty potrzebne i nie potrzebne, i stamtąd po złoto jadą — to do Wysokiej Porty, gdzie zasiada Sadrazam, którego Wielkim Wezyrem, sułtańskim namiestnikiem zowią i gdzie są wszystkie rady Paszów, Bejów, Efendych, Wukielów, czyli Wielikanów, Rydżalów, czyli Dostojników i Agami urodzonych. Bo i w państwie muzułmańskiem jest szlachectwo, inaczejby być nie mogło; ale tam sułtan sam szlachectwo daje i szlachectwo odbiera; on sam jeden prawdziwy szlachcic, a wszyscy inni z jego łaski i póki jego łaska. I dla tego kto tylko muzułmanin, albo się podszywa pod muzułmańską opiekę, stara się o urząd, żeby być niejako szlachcicem. Dla tej to przyczyny społeczeństwo Islamu zowią społeczeństwem urzędników na żołdach, czyli na ajlikach sułtańskich. Do tego przyszli, ale żeby przyjść, żeby byli taką szlachtą, jak Bechowie, Czopowscy, Możajscy i inni, do tego przyjść nie mogą, bo to w ręku Boga.

V.

Jak nasi bracia Donu, choć strzyżone świnie według pana Lacha, ale taka dobra szlachta jak nasza, mówią, że kiedy Bóg miał ukarać potopem świat zbutwiały, Bóg swoją własną ręką oddał Noemu wszystkie pergamina i patenta szlachty kozackiej, a zatem i polskiej, bo to jedno i toż samo. Noe był na trzeźwo, na czczo, kiedy takie klejnoty przyjmował w skład. A kiedy wody opadły, lasy i pola pozieleniały i winogrona już były wytłoczone na wino, Noe rozdawał papiery, jakie komu się należały, a że był podpiły, a może i pijany, więc Niemcy, Francuzi, Anglicy i inne narody pode-

szli starego pijanicę i nachwytali pergaminów; stąd się i u nich porodziła szlachta jak nasza, a że Turcy, muzułmanie, nie Chrześcianie, nie mogli przystąpić do Noego, bo i w nim i koło niego było wino, a wino Koranem zakazane — więc nie dostali pergaminów Bożych, a musieli je zastąpić firmanami sułtańskiemi, takoż na pergaminie, i jak na Bożych wypisane oko Opatrzności, tak na sułtańskich ręka sułtańska. Tak utrzymują Kubańce; a kiedy im przeczą, że potop Boży wszystkich ludzi wytopił oprócz rodziny Noego, odpowiadają: Ani my przytem nie byliśmy, ani wy przytem nie byliście; ludzie mogli powłazić w szczeliny niedostępne wodzie, powłazić na wielkie góry, na wierzchołki drzew, Kozacy powsiadać na czajki, Polacy wskoczyć na konie, i tak umykać i chronić się od powodzi. I tak być musiało, bo jak świat światem zawsze był Bóg, ale zawsze był i djabeł, który na przekór robił Panu Bogu, i kiedy Pan Bóg w swej sprawiedliwości chciał ludzi wytopić, djabeł dołożył wszelkich fortelów, by ich ocalić. A kiedy mógł w raju, w ogrodzie Bożym, jabłka i węża zużytkować, dla czegóżby nie mógł na szerokim świecie bez żadnego ogrodzenia ludzi pochować, poocalać i to szlachtę, bo o chamów to i djabłowi nie chodzi; chłopstwo zawsze się napłodzi. I tak to miało być według ojców Starowierca podania potwierdzonego pieczęcią pana Stenka Razina i pana Ihnaty Nekrasy, dwóch sławnych pułkowódzców i hetmanów, i tak być musiało; lepiej wierzyć jak niedowierzyć i wątpić. Zwątpienie szlachtę chłopi, a wiara szlachtę podnosi.

Otóż pan koszowy, pan Moroz, jeździł do Wysokiej Porty i do seraskieratu, gdzie wojskiem szczędzą i skąd wojny wydają, gdzie zasiada Wielki hetman turecki, Seraskier, taki jaki był w Polsce dzierżca Wielkiej buławy. I gdzie obok niego wówczas jeszcze zasiadał Aga Jańczarow, Otuzbirów muzułmańskich; bo na prawdę Jańczarowie byli rychtyk młodzce kosza, a ich aga to czysty pan koszowy. Jak młodzce zalewali sadło za skórę matce Polsce, tak Jańczarowie zalewają rycerskiej Porcie, samym sułtanom nawet. Tylko z tą różnicą, że do młodzców domięszała się szlachta herbowa, i nie można było ją wziąść w cugle — a Jańczarowie sami oberwańce, najdy, zahańce, przywłoki, odszczepieńce — ale zawsze hamy. Jak zechce sułtan i Wysoka

Porta, im pomroki zagłuszy, czego nie mogła zrobić ani król Jegomość, ani rzeczpospolita Jejmość.

Jeździł po Wielikanach, po dostojnikach nawet, a nawet jednego dnia zawieziono go do samego Padyszacha.

Ja należałem do świty pana koszowego i wszędzie z nim jeździłem, ale za nim do komnat nie wchodziłem, w przysionkach staliśmy, jeźli nie na dworze. Pan koszowy Kozak był ze stroju i z czupryny, ale prawdziwy szlachcic i z postawy i z miny; nawet między Wielikanami i dostojnikami wyglądał jak prawdziwy pan. Nam serca rosły, panoszyliśmy się, widząc jak go traktują, jak go szanują; wart był tego.

Sułtan Mahmud był wówczas Padyszachem w państwie otomańskiem, pan niezłomnej woli i wielkiej siły ducha, umiał chcieć i zrobić co chce, ludzie i zwierzęta przed nim drżeli, kiedy krzyknął stój — darło; wszystko co żyło, stawało w miejscu, nawet ziemia się zatrzymywała i nie szła dalej. Aga Pasza, Hussein Benderczyk, był Seraskierem, z Agi Jańczarów został hetmanem Wielkiej buławy, tak się chciało i panu Janowi Wyhowskiemu, z państwa na koszu obstać na hetmaństwo korony. Gdyby doszło było do tego, nie wiem coby się było zrobiło z Kozactwem, tak jak nie wiem, co się zrobi z Jańczarstwem, ale już gadali niestworzone rzeczy, a najwięcej ludzie wygadają. Benderczyk był nasz sąsiad, nasz ziemlak i z sercem na dłoni pana koszowego i nas podejmował. Kapudanem czyli admirałem był Czerkies, Abaza, niewolnik. Kulawy na nogę, ale kuty w głowie, przebiegły, czysty djabeł kulawy, co o wszystkiem wiedział, a od niego nikt się prawdy nie dowiedział. Był ulubieńcem sułtana, bo i Padyszachowie nie zawsze prawdę lubią. Choć Czerkies, a może dla tego, że Czerkies więcej wojował przebiegłością i cierpliwością, jak grozą i odwagą — wynudzić nieprzyjaciela, a potem cichaczem go sprzątnąć. Zwykł mawiać: Jak masz nieprzyjaciela, którego siły nie znasz, ciśniej dłoń jego jeszcze serdeczniej jakbyś cisnął przyjacielską, a jak uściskami posuszysz ścięgi żyły, wtenczas pomalutku trąć, a odtrącisz rękę, a potem daj mu kawy, by zasnął spokojnie i już się nie obudził. Takiemu kapudanowi powierzał sułtan swoją flotę, by zbuntowanych giaurów wynudził, pomalutku do siebie przyhołubił, a potem jednego

po drugim wygubił — złe ziele wyplenić z korzeniami, żeby go na nasienie nie zostało.

Jak zaczęła wychodzić flota sułtańska ze złotego rogu, to nie było jej ani końca: okręty, fregaty, korwety, brygi, katry, szlupy i Bóg wie jakich nazwisk nazwy. A na wszystkich chorągwie jak krew czerwona ze srebrnemi księżycami i ze srebrnemi gwiazdami, a wszystkich żagle rozpięte. Kiedy wypłynęły na Białe morze, pół Białego morza zajęły, od europejskich do azyjskich brzegów, nowy Carogród na morzu, takie miasto na wodzie jak na lądzie. Po ulicach tego miasta kaiki i łódki wiosłują. Na nawach i wielkich i małych, raczej dźwięczy jak brzmi muzyka: szezdary, bębenki i pieśń nosowa, jednostajna, zda się, że już kona i kona, a ona zawsze się ciągnie i ciągnie dalej. Na pokładach siedzą Turcy w zawojach, nogi pod siebie, palą fajki, piją kawę, czasem wąs muskają, a czasem rękojeść jataganów pogłaskają, a milczą i słuchają, jakby spali, a nie śpią, używają światła Bożego i uroku piękności Jego utworu. Muzykanci Żydzi, Cygani, Armianie pobrzękują w strony, nucą pieśń, do spoczynku duszy, do rozpamiętywania i do rozpatrywania. A majtkowie Grecy, raja sułtańska, sprawiają nawy, rychtują broń, wszystko przygotowują, żeby było na rozkaz Turków, prawowiernych Islamu.

Na kapudańskim okręcie była jańczarska muzyka: waltornie, trąby, puzony, flotrowersy, klarynety, flety, jednym słowem to wszystko, w co dąć można, a przytem żele, brzeszkoty, bębenki i wielki bęben, w który waliło czterech pałkierzy i wygodnie im było stać do koła, jeden drugiego łokciem nie potrącał, nie dotykał nawet. Na chlubę narodu polskiego Polak był kapelmistrzem i grał na fleciku. Bąk nazywał się u Turków, dla Franków dodano mu oski, żeby był szlachcic. Po ojcu rodem Kaliszanin, po matce ślepy Mazur, nie wielka sztuczka, ale pękaty i na fleciku takie trele wycinał, że jak zaczął solo, to wszyscy się pospali, a jak dał sygnał i zabrzmiała muzyka, to wszyscy się ze snu budzili, dokazywał cudów jak Orfeusz, pierwszy kapelmajster Wschodu.

Pan koszowy często był zapraszany na te gody, Kapudan sadzał go koło siebie, poił kawą, częstował cybuchem z fajką, a często gęsto podawali mu sorbety. Na biesiadach swoją

własną ręką rwał barana na kawałki i wtykał w gębę panu koszowemu, nawet ze swej dłoni pilaf mu w usta wpychał, dla pokazania, że z nim wszystkiem się dzieli, że go uważa jak drugiego samego siebie. Kiedy muzułmanin kogo potrzebuje, choćby giaura, to mu wygadza jak czuła matka dziecięciu, jak rozkochany kochanek kochance; ale jak potrzeba przejdzie, to staje się macochą dla pasierbiątka, mężem dla znudzonej żony. Wszystko zapomina, bo u muzułmanów nie ma wdzięczności, nie ma zasługi, tylko przeznaczenie; nie człowiek to zrobił i robi, tylko przeznaczenie tak chciało i chce, i dla tego on na wszystko obojętny oprócz na siebie — i dla tego mu dobrze na ziemi, a zapewnie dobrze będzie i w niebie; nie troszczy się o drugich, tylko o siebie.

Kapudan Huzrew kulawy, w wielkich miał względach atamana Moroza, nazywał go jagnięciem, duszyczką, lwem, sokołem swoim; wiedział, że waleczny, że rozumny, że będzie dobrze kierował, a jeszcze lepiej wojował. A on pod flagą kapudańską będzie na to wszystko patrzał, słał gońców po gońcach do sułtana i do Wysokiej Porty, odbierał urzędy, podarki, bo to się dziać powinno wedle przeznaczenia, i dla tego hołubił koszowego, bo i w tem było przeznaczenie.

Mnie polubił pan Bąk, chciał nawet uczyć na flecie; był on bardzo przystępnym do Kapudana, a pan koszowy był z nim grzeczny, ale nie poufny, więc na mnie padła jego łaska, na mnie małego chłopczyka, ale trzymającego pióro przy atamanie i nieodstępnie będącego przy jego boku. Bąk był dobre człowieczysko, jak pies wiernie służył kapudanowi, za bakszysze, na to był łasy, bo je chował na dalsze gorsze czasy; bo kto wie, czy to tak zawsze będzie. Bąk mówił, że w Kaliszu i na Mazowszu uczą, żeby być oględnym i zawsze i wszędzie. Nie było Hładkiego, dawnego towarzysza, został na Siczy, wśród kozaczej dziczy; rad byłem, że znalazłem, może on brat szlachcic, przynajmniej nas będzie dwóch, z mojej strony i ja przylgnąłem do Bąka.

Z miesiąc staliśmy na Białem morzu, aż nareszcie jednego dnia, przy odgłosie strzałów wszystkich harmat, przeszliśmy dardanelską cieśninę. Za cieśniną już było Greckie morze i na niem Grecy buntownicy, giaury przeklęte; mówiono o jakimś Marku Bozarisie, o jakimś Kanarisie, a na-

wet o Greczynie Bobelinie, że pieką Turczynów, jak złapią, a jedzą jak upieką, i czekają na nas za Dardanelami, na brzegach dawnej Troi. Dla tego tak huczno z harmat strzelano i ze wszystkich muzułmańskich dłoni na morze piasek sypano, żeby odstraszyć te zasadzki, a wypędzić wroga na czyste morze.

Kapudan, sprytna głowa, oszczędny krwi muzułmańskiej, puścił w przednią straż pana koszowego z mołodzcami, a sam wszedł w przechowory z admirałami angielskim, francuskim, rosyjskim, jako widze, dla przeszkodzenia przelewu krwi ludzkiej, dla obrony chrześciaństwa, dla niedania zaguby muzułmaństwa, żeby się tak wszystko skończyło, żeby i wilk był syty i koza cała. Kulawemu Huzrewowi przypadło do smaku; mówi im: I ja przedawać krwi nie chcę, bo choć to nie muzułmanie, ale nie poganie, mają swoje pismo Ewangelją, pismo Boże, jak my Koran, a ten nakazuje, żeby mieć za ludzi, a nie za bydło, ludzi z pismem. Niech uciekają, ja gonić nie będę, pomaleńku do miejsca dopłynę, i jakoś tam między sobą się zładzimy, tylko dajcie nam pokój i czas, nie mięszajcie się w nasze domowe sprawy. Nie dajcie się nam bić, na to zgoda, to wasza powinność, boście przyjaciele Wysokiej Porty, a Chrześcianie — więc nie dajcie rozlewać krwi waszych przyjaciół, ani waszych jednowierców; Bóg was za to nagrodzi!

Tak się umawiał Kapudan z admirałami, a pan koszowy z mołodzcami, zatapiał greckie nawy, zajmywał wyspy i w nich ład urządzał, żeby było tam wszystkiego potroszę: branie w jasyr, wieszanie, na pal wbijanie i topienie w worach z kamieniami, a nawet ścinanie, bo to takie były czasy, wlazłszy między wrony, trzeba było krakać jak i ony. Pan koszowy wyszedł wojować, a nie baraszkować, więc wojował — a flota kapudańska przychodziła na gotowe, na spokojne. Kapudan tak się rozrządzał w zajętych wyspach: Starce i baby zostawiono na wyspie dla pilnowania budowli i ziemi, żeby im nie było tak ciężko, więc wszystkie kosztowności i cały dobytek zabierano i odsyłano do miast sułtańskich pod straż sułtańskich władz. Młode niewiasty i dziewice zabierano do haremów, żeby się tam poprawiły, nauczyły porządku i szanowania władzy. Dzieci przezywano po muzułmańsku, chłopców Selim, Edem, Mustafa, Mehmed,

dziewczynki Fatma, Ajsza, Rukkia, Emina, żeby rosły i żyły przykładnie w muzułmanizmie, kiedy ich rodzice nie umieli cicho siedzieć i Boga chwalić w Chrześciaństwie. Mężów czynu, zdolnych do broni i do wiosła, a tem samem do buntu, na osobne nawy pakowano, żywność dawano, a że widać, po doświadczeniu nie byli mądrzejsi i nie chcieli cicho siedzieć, a pokłady statków nie z granitu, więc pokłady łamali i szli na dno morza, żeby tam cicho i spokojnie siedzieć i już nikt o nich nie słyszał. Krwi rozlewu nie było, ani widoku okrucieństw kaźni wymierzanych, w milczeniu był lad i porządek przywrócony, i taki był spokój na zajętych wyspach, jakby tam nigdy buntu nie było i nigdy o nim nie słyszano.

Bąk powtarzał, żeby nie ci arnauci, przedawacze płuc ludzkich, nie ci zadżumieni Egipcjanie, byli wmięszani w tę całą sprawę, a zostawiono czas do prowadzenia naszemu Kulawemu, to nie byłoby wojny; bunt byłby spokojnie przytłumionym i na wieki wieków z greckich ziem wykorzeniony. Baby z dziadami nowego by pokolenia nie napłodzili, nie byłoby Abrahamów i Sar, coby sobie Izaków u Pana Boga wyprosili. Selimy, Edemy zostaliby takimi muzułmanami jak byli Michalbeglowie i Ewrenosy, a po haremach pod ojcowską chłostą Eunuchów greckie Ireny i Heleny zapomniałyby o Chrystusie i o Matce Dziewicy, a chwaliły Allacha i Resiullallacha, przybierając się w jaskrawe stroje, w błyszczące klejnoty i wyglądając przez kratki, jak ptaki z klatki. Napływaliśmy się spokojnie i swobodnie po morzach, nazbierali dostatków na stare lata, a za lat kilkanaście takby gadano o Grekach jak o olbrzymach wielkoludach, albo o cyklopach i chłopach — takby było, bo Huzrew Pasza, choć kulawy nogą, ale rozumny głową.

Bąk zapewnie miał prawdę za sobą; ale nie tak było, cudzoziemskie floty wciąż po morzu się szwędały, zalecały nam umiarkowanie, a buntownikom chrześcianom opiekę zabezpieczały. Anglicy kupcy, bo to tacy handlarze jak Żydzi, jeźli nie lepsi, sprzedawali buntownikom broń, armaty, prochy, ołów, nawet statki palne, wprawdzie przez przyjaźń tradycyjną dla muzułmanów; wszystko co im sprzedają jest w najgorszym gatunku, i to lepiej dla Wysokiej Porty, bo

inni mogliby sprzedawać sumiennie dobry gatunek, coby daleko większe szkody przynieść mogło. I Reis Efendy musiał dziękować posłowi angielskiemu za to współczucie angielskie, za tę pomoc uczciwą angielskich kupców, może nawet i wynagrodzenia pieniężnego zażądano i takowe z pokwapnością dano, bo musiano dać.

Niemcy pospieszyli się na jurgielt służyć buntowi, bo w Paryżu, w Londynie, w Wiedniu i w Berlinie zawiązały się stowarzyszenia bankierów, miłośników chrześciaństwa i heleńskiej sprawy, składali pieniężne dary i płacili jurgielt z góry, i jakże Niemcy nie mieli lecieć i lądem i morzem, kiedy dobrze płacono. Francuzi wiercipięty, ale sercowy, Boży naród, przybiegli walczyć za ludzkość, za wiarę i za sławę, którą tak kochają jak Anglik pieniądz. Wszystko to się kręciło i wojna była na prawdę. Tak mówił Bąk, i potem się przekonałem, że prawdę mówił, bo wtenczas jeszcze nic nie zrozumiałem, bo mleko było pod nosem, a wróble w głowie.

I panom młodzcom i Turkmanom nieraz dostało się po uszach, i byłoby gorzej, żeby nie surowe rozkazy Kapudana, żeby nie wojować, ale lawirować, wytrzymać, znudzić i wtenczas dopiero zdusić, kiedy można, a kiedy nie, to na drugi raz, nawet na trzeci zostawić — wyczekiwać bez końca dobrej pory, to po turecku, zmęczyć zająca wozem zaprzężonym wołami.

Jakkolwiekbądź, choć to nie słowiański, ale dzielny to ten grecki naród; palikarcy, klefty nie ustąpią młodzcom kozackim, nawet takim, jacy byli za Sahajdacznego, za Brzuchowieckiego, a tak kochają tę swoją Grecję, jak szlachta polska kocha swoją Polskę. I na lądzie i na morzu zuchwali, waleczni, wściekli nawet, niebezpieczeństwa nie widzą, męstwem ślepną i na oślep na pewną śmierć lecą, jak na tańce niedzielne, jak na gody weselne. Bąk nie zawsze podymał we flecik; widać, że kiedyś w książkach czytał, bo gadał o starych Grekach, jak na lądzie odparli całą perską nawałę, a na morzu wytępili perską flotę, jak z jakimś Aleksandrem, swoim carem, chodzili po całym świecie, jakby świat do nich należał, jak gdyby ich Aleksander był Wielkim Napoleonem, a oni byli Francuzami i Polakami. Wszystko to nam powtarzał; naród dzielny, nieśmiertelny, ale niestety ani muzykalny, ani wokalny.

Nie potrafiłbym opowiedzieć, skąd to wziął się ten bunt, to powstanie, dla czego to się wszystko w wojnę przeobraziło i jak się ona prowadziła, bo o tem wszystkiem plótłbym jak o żelaznym wilku; powiem po prostu, że to nie było przy mnie pisanem, a pan Bąk, choć więcej wiedział odemnie, ale jeszcze nie tyle ile trzeba. Prawiłbym smolone duby, a wybyście temu wierzyć gotowi i ciężyłby mi grzech na sumieniu. Inni pewnie już o tem pisali i napiszą, a ja wam po prostu powiem, co się z nami, co ze mną stało.

Byliśmy pod wyspą Chios, piękna to wyspa i bogata; pan Kapudan tam po swojemu pałamarował, ale dochodziły wieści, że Grecy chcą uderzyć na flotę Kapudana. Chociaż flota była w porcie, a Kapudan przemieszkiwał na lądzie, jednakże u stracha wielkie oczy; myślał sobie, a nuż z nienacka Marko Bozaris z palnemi statkami zaskoczy, a Kanaris wyląduje palikarców na ląd, a Bobelina z kleftami wyspę zajmie — kusa będzie rada, więc po rozum do głowy. Zaprosił się w gościnę na okręt angielski, na dni kilka dla zmiany powietrza, a że okręt kapudański kazał oczyszczać, przewiewać i przerzucać przez dni kilka, więc kasę sułtańską, klejnoty złożył na okręt Lach i oddał pod straż, pod opiekę panu koszowemu.

«Mój ty baranku — moja ty duszko — mój ty sławny hetmanie, na twoje sokole oko, na twoje lwie męstwo rachuję, tobie oddaję skarb sułtański; tak on będzie pewnym, jak gdyby był pod kluczami w skarbcu Padyszacha!»

Przemówił, uściskał — popłynął na okręt angielski, a skarb został wniesionym na atamańską nawę. I wierzono i nie wierzono tym wieściom postrachu, ale zdwojono czuwanie — wysłano lekkie statki na morze, na wsze strony, dzień i noc czuwano.

Noc była ciemna, pan Bąk mówił, że księżyc nad Ameryką świeci, a nasza ziemia obróciła się w przeciwną stronę; ten flecista utrzymywał, że ziemia to jak kula, i tak się obraca na swojej osi jak koło na swojej, kiedy wóz konie ciągną. Prawda to, czy nie, Bóg to święty wie, i ja ani za nią, ani przeciw niej nie stoję. Dość, że nie było ani księżyca, ani gwiazd, a tak ciemno jak w lochu, wiatr wiał od Zachodu, ale burzy jeszcze nie było, jednakże stare wygi z pomiędzy młodzców utrzymywali, że na burzę się zanosiło.

Pan koszowy był niespokojnym, żeby nie być wziętym w porcie jak w matni, pojechał do kapudana po rozkazy, przedstawiał, że lepiej wyjść na morze, jak czekać, żeby w noc tak ciemną, z wiatrem tak przyjaznym statki palne wpadły, i w tłumie, w zgiełku i w zamięszaniu zniszczyły całą flotę bez możności obrony.

Anglik przytomny zdaniu sprawy — wypił szklannicę dżynu.

«Na Boga, jak stary angielski wilk morski, ten młody Kozak gada; tak być powinno, a nie inaczej!»

Huzrew Pasza zapytał tylko, czy jeszcze nie widać, czy nic nie pokazało się na morzu i na lądzie; zaspokojony z tej strony, rzekł:

«Rób, co chcesz, a co zrobisz, będzie dobrze.»

Cała flota kozacka i z połowę floty tureckiej zostały wyciągnięte na morze, na czółna wsadzono żeglarzy, uwiązano okręty sznurami do czółen, i tak je wysunięto przynajmniej o półgodziny odległości od lądu, a w odstępach szerokich jeden od drugiego. Sam pan koszowy obrał miejsce na swój okręt, naprzeciwko brzegu, gdzie były najpłytsze wody.

Ciemno było i cicho i głucho, tylko wiatr powiewał od Zachodu, pan koszowy stał na pokładzie, oczy wodził na wszystkie strony; ja stałem obok niego.

Nie wiem, czy to z przywidzenia, czy z wzroku natężenia, zdawało mi się, że jakieś jakby błędne ogniki zdawały się przewijać po ciemni obłoków i od zachodu i od południa. Chciałem powiedzieć panu koszowemu, ale on już to musiał widzieć, bo w stronę błędnych ogników wzrok wodził. Wtem nagle trzy rakiety strzeliły w górę, w niebo, z trzech miejsc wyspy. Koszowy drgnął, ale wnet się uspokoił — wydał rozkazy, żeby wszyscy byli na pokładzie, przy armatach, przy broni, a wioślarze przy wiosłach na czółnach. Znakami latarni kolorowych powtarzano rozkaz całej flocie, potem rozkaz drugi; żeby czółna obróciły okręty przodem ku wyspie. Sam nastawił na kierunek rudel naszego okrętu; trzeci rozkaz, porozpinać żagle i być gotowym.

To urządziwszy, popatrzył mi w oczy, ale tak jakby przejrzeć chciał na wskroś moją duszę, i przejrzał.

«Za mną chłopcze!»

I zeszliśmy do jego komnaty — znowu na mnie popatrzył.

«Słuchaj chłopcze, tyś Lach i szlachcic —»

«Bożysław Bech, herbu Janosza!»

Odrzekłem i zaciąłem zęby.

«Rachować na ciebie mogę —»

«Jak na siebie samego!»

«Słowo szlacheckie!»

«Słowo Becha!»

«To dosyć.»

Zaprowadził mnie aż na sam spód okrętu, gdzie były prochy, pod jego kluczem — pokazał na beczki.

«To są prochy.»

Rozbił jedną beczułkę i sypał ścieżkę aż do swojego mieszkania, z pochyłością schodów — obok komnaty było drugie, gdzie był skarb rządowy; pokazał.

«To złoto sułtańskie; nie trzeba, aby dostało się w ręce buntowników, albo zatonęło w głębiach morza — na płytkiej wodzie i na wyspie znaleść je mogą.»

Skręcił sznur wełniany i całkiem go nabił prochem, pokazał mi skrzynię żelazną, pełną kobierców i futer.

«Tu wejdź, a dobrze się omotaj, Bóg wielki, bywają cuda!»

Zapalił lampę, dał mi do rąk, a sznur przedemną położył jednym końcem, a drugim przytknął po prochowej ścieszki.

«Za trzecim strzałem armatnim z Lacha, kiedy gwizdnę, zapalisz sznur — rozumiesz chłopcze, rozumiesz panie Bechu?»

«Rozumiem; zapalę i w powietrze ulecę.»

«A potem?»

«Czy do nieba pójdę, czy na ziemię wrócę, zawsze jak Lach i szlachcic!»

«Dobrze chłopcze, do zobaczenia się; ale prawornie a śmiało!»

«Jak Bech!»

Pocałunek złożył na moje czoło, i odchodząc odsunął połap sufitu, tak że nad głowami mojemi widziałem czarne niebo.

Strachu we mnie nie było, bo do mojego szlachectwa, i rzecz dziwna, przepowiednia Cyganki mi przyszła na myśl: Ulecisz, ale wrócisz na ziemię między ludzi; miałem otuchę, choć dość było i tej, żem był Bech, herbu Junosza, szlachcic polski.

Ale do dziś dnia stoi mi przed oczyma pan koszowy; o jakiż on był piękny, jak prawdziwy archanioł, spokojny, łagodny, we wszystkiem co robił, ani pospiechu, ani trwogi. Oko jego jak niebo było czyste, o nigdy nie zapomnę tego hetmańskiego oblicza; ono mnie natchnęło taką odwagą, że ani na chwilkę o niebezpieczeństwie, o śmierci niepomyślałem, tylko o spełnieniu rozkazu i o tem, żem Bech, Junosza, Lach i szlachcic, i verbum nobile dane. Trzymałem lampę w dłoni, jak pałasz w boju, bo i to był bój.

Szlachecka głowa w bójce choćby jakiej, to na rozum nie chora, choć mi zaledwie mech mszył się pod nosem, jak u dziewczyny, ale już konetowałem, że pan koszowy chce w pole wyprowadzić solonych Greków. Miał on wprzódy wiadomość i doświadczenie, że Anglicy, wojenni handlerze i amatorowie, zapewnie dla przyjaźni muzułmanów i okazania wiernego, na angielskie kopyto, przymierza ku Wysokiej Porcie, doradzili Grekom, żeby statkami palnemi wojowali.

Statek palny, ta wielka łódź, z masztami i żaglami, cały wypchany, czy wyfaszerowany, siarką, saletrą, fosforem i wszystkiemi ingredjencjami palnemi z przymieszką prochu, ale taką, żeby przytykał a nie wysadzał. Na tak urządzonego smoka, czy żmiję, bo to właściwe nazwiska tych statków, smok ognisty, albo żmija ziająca ogniem, siada czterech, pięciu Greków na ochotnika, u Greków o tych nie trudno, śmierci zazierać w oczy, to u nich gratka, prawdziwe łakocie; za smokiem, czy żmiją, malutka łódeczka uwiązana na sznurku. Te smoki, czy żmije, płyną przed floty, jak harcownicy przodują przed wojskiem. Jak zaoczą nieprzyjacielską flotę, każdego smoka, czy żmiję, skierowają na osobny okręt, rozpuszczają żagle, pędzą z wiatrem, bo taka wyprawa pod wiatr nie idzie, zapalają smoka, smok się żarzy, a Grecy na nim siedzą, kierują smoka w sam okręt nieprzyjacielski, jak już zaziajana żmija z paszczy ogniem zieje na wraży okręt, wtenczas ochotnicy na łódeczkę i w nogi do floty, a flota wtenczas taszczy się na zapalone okręty, i Grecy skaczą gasić pożar krwią ludzką i zabierać, co się uda z pożaru. Piekielny to bój taki, i tylko djabli i Grecy w taki bój chodzą — pierwsi przez nienawiść Boga i ludzi, drudzy przez miłość ojczyzny i wiary.

Pan koszowy przez szpiegów był zawiadomiony, że taka wyprawa przygotowana na muzułmanów, gdyby wpadła w przystań, nic by z floty sułtańskiej nie uszło od ognia i miecza Greków. Wyprowadził flotę z przystani, rozwinął w szeroki front, na pełnem morzu, zakrył przystań, a latarniami zawieszonemi na okrętach wskazał Grekom cel, zmusił ich do rozpierzchnięcia się z kupy, i w gorszym razie przerabiał szkodę na szkódki. W rzędzie rozkazał wymierzyć armaty na morze, przodami nawy obrócić ku lądowi, palić w smoki i żmije, jak się ukażą, a jeźli ich nie można w morzu potopić, to żaglami i wiosłami ku lądowi zmykać, żeby nie dać wziątku Grekom i zachować muzułmanów przy życiu. Takie było rozporządzenie pana koszowego do ocalenia od zagłady floty sułtańskiej. A teraz czekał i ja czekałem; on widział, co się w około dzieje, co się święci, co trzeba robić — a ja widziałem tylko lampę w mojej dłoni, sznur przed lampą i czarne niebo nad głową, i powtarzałem sobie jak pacierz powszedni, dla ochoty, dla otuchy:

Szlachcic na szlachcica rachować może, Lach Lachowi dopisze, bom Bech, herbu Junosza, szlachcic i Lach jak pan hetman!

Dały się słyszeć strzały armatnie na innych okrętach, jedne po drugich, ale z rzadka, w wielkich przestankach, na naszym jeszcze nic — milczenie, ale takie, że mi się zdało słyszeć dygotanie serc na pokładzie, może to moje dygotało. Poprawiłem się w mojem schowaniu, modlitwa mi przyszła do duszy, ledwiem wymówił — Archaniele Michale, święty wodzu nasz, daj, żebym skończył jak przystoi na szlachcica, na Becha — kiedy huknął strzał z naszego statku, jeden, drugi, a potem i trzeci. Żagle zaszumiały, okręt zdał mi się lecieć, usłyszałem gwizd hetmana.

Hula babula!

Lampę do sznuru i skryłem się z głową między dywany — huknęło, zabolało i nic nie czułem, skonałem.

Kiedym oczy otworzył, znalazłem się w jakiejś ciemni, w podziemiu, ale mi nie przyszło na myśl ani piekło, ani czyściec — tylko wołałem: Gdzie pan koszowy, gdzie hetman Moroz? Żadnej odpowiedzi, milczenie, a jednak musiałem być między ludźmi. Pod sobą czułem miękkie posłanie, czułem ręce, które mi skronie moczyły, do nosa jakieś za-

pachy przytykały, do ust wlewały napoje, ale było milczenie; ani słowa ludzkiej mowy.

Nie wiem jak długo tak leżałem, ale kiedy zacząłem rozczumiać, przychodzić do siebie, widziałem, że jestem w jakiejś grocie, leżę na miękkich kocach wełnianych, że koło mnie chodziły same kobiety i stare i młode, po słowach poznałem, że były Greczynki, bo dawniej nauczyłem się kilku dziesięciu wyrazów greckiego języka, słyszałem piosnki majtków greckich, w greckiem narzeczu.

Pielęgnowano mnie, jak gdybym był u rodziny, u matki, między siostrami. Były między niemi bardzo piękne, między młodemi większość pięknych, ale wszystkie na jedno kopyto, i o nich można było powiedzieć — oczami ranią, a sztyletami gotowe dobijać.

Kiedym zaczął podnosić się z łoża, przebrano mnie po kobiecemu i wyglądałem jak prawdziwa dziewica. Szalwary, kucawejkę, którą przezwano Santa Marka, na cześć Marka Bozaris, jednego z najdzielniejszych rycerzy Grecji, z zawojem i na migi i słowami kazano mi udawać niemego, bo inaczej życie moje będzie w niebezpieczeństwie; nauczono mnie, jak mam kłaniać się mężczyznom, jak im usługiwać i jak się modlić — nawet tańca greckiego, jak tylko mogłem chodzić. Czego się człowiek i to młodziec nie nauczy, kiedy jest uczonym przez kobiety, i to młode a piękne. W krótkim czasie byłem siostrą, taką Greczynką. Jak zacząłem wychodzić na świat Boży, dowiedziałem się, że jestem na Chios, że mnie znaleziono w wodzie na brzegu, w mojej żelaznej skrzyni i zaniesiono do groty, gdzie się przechowywali Grecy. Wybiegli na zdobycz; ja byłem znalezionym i wziętym przez same kobiety. Kilka tylko okrętów z floty sułtana zostało spalonych, wysadzenie się w powietrze okrętu Lach tak popsuło szyki Grekom, tak ich zatrwożyło, że cała ich flotylla cofnęła się, a nazajutrz Huzrew Pasza nakazał rzeź i rabunek ogólny w całej wyspie; nakazał, bo z oddaleniem się flotylli greckiej ściegi i żyły były uschnięte i można było pozbyć się ręki. Wszyscy mężczyzni, nawet i starce, zostali wyrznięci, stare baby takoż; tylko młode kobiety, dziewice i dzieci zabrane; miasta i wsie zrabowane i spalone do szczętu; tylko to się zachowało przy życiu, co zdołało się skryć w groty, albo na czółnach uciec na morze.

Turcy do grot nie zazierali, żeby śpiącego djabła nie zbudzić, a za czółnami na morze nie gonili.

Gdyby pan koszowy, nasz sławny hetman Moroz, Kijowianin, był poganinem, albo Indjaninem, śmierć jego byłaby wielce uczczoną, bo więcej dziesięciu tysięcy ludu Bożego wyrznięto, wykłuto, spalono w pomście za hetmana. Bo tak rozkaz, emirname, brzmiał Kapudana, że ta rzeź to pomsta za śmierć Moroza, hetmana, koszowego pana, wiernego sługi Padyszacha, wodza sławnego nie tylko między chrześciaństwem, ale i między muzułmaństwem. A że zwłok sławnego hetmana nie można było znaleść, ani na lądzie, ani morzu, Kapudan nakazał, żeby nie grzebiono cial pomordowanych Greków; niech tak jak zwłoki hetmana, znajdą grób we wnętrznościach ryb, dzikich ptaków, dzikich zwierząt, a koście ich niech woda myje, a wiatr suszy i bieli. Dodał na rozkazach: — Taka moja wola, Huzrewa Paszy, Kapudana, żeby tak było na cześć i na pomstę sławnego Moroza hetmana.

Mołodzce zaś byli pewni, że pan koszowy uleciał w objęcia srebrnego hetmana, i teraz święty Michał, mając przy boku dwóch Lachów, dwóch koszowych atamanów, gotów na hane i na taniec ze wszystkimi djabłami piekła, gdyby ci nawet w niemieckie stroje, w teutońskie zbroje się przybrali, jak to mniema Boża Ukraina.

Turcy zaraz opuścili wyspę, nie było tam co siedzieć, na ziemi same trupy, a na morzu znowu Bozaris i Kanaris przyjść w odwiedziny mogli, a nie było Moroza hetmana, koszowego pana; więc się wynieśli.

Kiedy chodziłem po wyspie, już było po wojnie. Sprzymierzone floty, pod Nawarinem, położyły tym bojom koniec, pokazały jak im miły sprzymierzony sułtan muzułmański, dały mu pocałunek serdeczny i nastąpiła zgoda, dla Greków Hellady wolność i swoboda. Turcy straciwszy flotę, wrócili lądem do otomańskiego państwa, a Huzrew Pasza został Seraskierem, a potem Wielkim Wezyrem.

Palikarcowie i klefty wracali w swoje dawne siedziby, ale tak byli rozjadli na Turczyna, a tem bardziej na Kozaka chrześcianina, że byliby każdego na kawałki, na szmaty rwali, byliby żywcem jedli, zgłodniali zemstą i rozwściekleni nienawiścią. Grek miłosierdzia nie ma, mężny, waleczny,

prawdziwy lew w boju, ale hiena, gadzina w pokoju, nie przebacza, nie utula wroga jak Słowianin. Własne urazy przebaczyć może, ale nigdy nie przebaczy uraz swojej Hellady.

Niewieście serce inne, nawet u Greczynek, w zapale, w gniewie, w miłości ojczyzny, idzie na sztylety i na noże; ale po skończonej walce ile w tem sercu było nienawiści i srogości, tyle się potem wciska pomiłowania i litości. Inaczej być nie może; bo w sercu niewiasty wszystko iść musi na przemiany, jedna namiętność w tym samym tonie długo się nie utrzyma, bo by pękła strona, a z nią życie. Dla tego Greczynki wzięły mnie pod opiekę, i byłem pod ich opieką jak pod opieką samego Boga.

VI.

Życie mi płynęło spokojnie, może błogo nawet: stare niewiasty były mi matkami, młode siostrami, pieszczonem dziecięciem; i palikarcom i kleftom to dziwnem nie było, bo byłem upośledzonym od Boga niemową, a u ludzi Wschodu każde upośledzenie natury jest powodem do pożałowania ludzi, do pociechy, do opieki. Bo upośledzenie nie jest u nich upośledzeniem, ale próbą woli Bożej, i dla tego upośledzony jest niejako wybranym u ludzi Wschodu. Co mu natura odmówiła, to mu ludzie dodają pożałowaniem, pociechą, i mają to za prawdziwą zasługę przed Bogiem. Choć żal po młodzcach, żal po hetmanie, tęskno po Ukrainie, nie było mi źle między tylu siostrami, między tylu matkami, ale czegoś mi brakowało, i sam nie wiedziałem czego. Kochałem wszystkie, nie kochałem żadnej, wszystkie mi były siostrami, żadna kochanką, i inaczej być nie mogło, ja jednej nad drugą wybrać nie mogłem, bo wszystkie były takie dobre, takie ładne, i żadna z nich jedna drugiej mnie ustąpić nie mogła i nie chciała. Ten stósunek dziwny trwał między nami, kiedy zaczęli przybywać coraz w większej liczbie i palikarcy i klefty na Wielką wyspę, raj Hellady. Jeden z nich, towarzysz Bozarisa, ulubiony jego namiestnik, piękny, hoży, zamożny w dostatki i w sławę, zachciał koniecznie mnie poślubić, dla tego żem był niemową. Według niego żona niema to dar Boży, i może miał prawdę za sobą, po-

jąć w małżeństwo upośledzoną, to zasługa przed Bogiem i świętą Parają; a on był wiernym sługą i wielbicielem Parai.

Na naszej Ukrainie dziewczyna z chłopem wprzódy się dobrze poznają, nim przyjdzie do swadby i zaręczyn. Grecy przez długą niewolę przejęli się zwyczajem tureckim, kryli swoje dziewice przed okiem tureckiem po domach, bo Turczyn kobiety poniewiera, a haremy tylko szanuje. Żeniono się tedy, jak Turczyni, na niewidziane, na chybił, trafił, bo żona to albo sługa, albo lalka męża. A potem z uzyskaniem swobody żeniono się na widziane, ale nie na pytane, bo od razu do poszanowania niewiasty przyjść nie mogli; i u nas mówią: Nie od razu Kraków zbudowany, nie od razu Berdyczów Żydami zaludniony.

Mawros Czarny, tak się ów Grek nazywał, nie nawykł napotykać przeszkody swojej woli, jak co chciał, to tak być musiało, jak kto stał na drodze, to nożem go zepchnął z drogi na tamten świat, nikt mu nie był ani przyjaciel, ani brat, kiedy mu chodziło o dopięcie swego. Niewiasty, i stare i młode, o tem wiedziały, bo nie od dziś czarnego Mawrosa znały. Biedzą się, co tu robić, i ja się nie pomału biedziłem, ale nie mogłem wymyśleć, co tu począć między temi niewiastami. Siostrzyńską miłością tak zniewieściałem, że zapomniałem, żem Bech, szlachcic i Lach. Jednej nocy myślałem, co tu robić, i już chciałem pójść w ślady pana hetmana i wysadzić Mawrosa, jak on wysadził Lacha, ale nie w powietrze, ale pod ziemię, i już pomyślałem sobie, nie ma innej rady, tak zrobię jakem Bech, Lach i szlachcic, zrobię hula babula, i zabierałem się do snu, żeby się przespać trochę, nabrać woli i siły — kiedy stanęła przedemną niewiasta; była to jedna z moich siostrzyc, Irena się zwała.

Młoda, lat dwadzieścia, więcej nie miała, oko czarne, włosy czarne, a takie rysy twarzy, że i oko i serce pada przed niemi na kolana, by ją wielbić, by jej służyć, żeby być jej kochankiem, niewolnikiem, i ona ze swego ognistego oka, ze swej dumnej twarzy mówiła — kochać umiem, ale panować jeszcze lepiej, rządź mną, ale słuchaj mnie, byłem panowała, będę ciebie słuchała i kochała. Takie piętno tej dumy, takie uczucie jej serca wybijały się na jej licu.

Była przybraną jak do podróży, zbrojna w pistolety i w kindżał, i dla mnie przyniosła kindżał i pistolety.

«Uchodźmy póki czas, bo jak Mawros się obudzi, to będzie po czasie. Czarne jego lice, ale czarniejsze jego serce nie zna litości, uchodźmy!»

Moja palikarka była rodem z wyspy Tinos, pokrewna Bobeliny, daleka krwią, ale bliska sercem i duszą — nieraz jej towarzyszyła w kierowaniu ognistym smokiem na tureckie nawy; umiała i kierować i hamować tego wodnego rumaka i pchnąć go na śmiertelny skok. Bobelina spoczywała i błogo marzyła o Wielkiej Helladzie, kiedy młoda dziewica harcowała tym Neptunowym Trytonem. I wtenczas budziła się z marzeń, kiedy trzeba było wskakiwać na łódkę ochrony. Smok rozżarzał płomienie pożaru nawy tureckiej, palikarcowie wskakiwali na pokład gasić krwią muzułmańską pożar muzułmańskiej nawy — a obie niewiasty, na wiotkiej łódce, już nie kołysanej, ale rzucanej falami morskiemi, ściskały się z sobą i modliły się do Boga i do świętej Parai.

«Oby żaden z Turczynów nie wyszedł żywym, oby żaden z palikarców nie szwankował życiem, ich tak mało, a Hellada taka wielka — Boże daj, święta Parajo umódl u Boga!»

Znała się z morzem, mknęliśmy czołnem po tafli morskiej, gładko, prosto, jak łyżwiarz po tafli lodu. Ona siedziała u rudła i patrzyła na mnie takim wzrokiem, że mi serce zaszalało w łonie, a myśli tak się zmąciły, że zapomniałem o Kozactwie, o dwóch sławnych hetmanach i o mojem własnem szlachectwie, zapomniałem, a raczej nie myślałem — a całym wzrokiem serca, myślą duszy, zawładnęła palikarka: ją tylko przed sobą widziałem, o niej tylko myślałem. Ona to zrozumiała — uśmiechnęła się.

«Czy wygodniej jak latać po powietrzu?»

Chciałem odpowiedzieć z tobą zawsze i wszędzie, ale nie powiedziałem — tchu zabrakło na słowo, rzuciłem się przed nią na kolana, całowałem ręce, nogi, i pocałunkami zastępywałem słowa, bo na te trudno byłoby się zdobyć nie tylko Kozakowi, ale nawet Bechowi szlachcicowi. Bo tego nas nie uczono w szkole u ojców Bazyljanów i ksiądz Michalski o tej wymowie nigdy nie perował. Nie uczono nas, jak się potem o tem dowiedziałem, na Demostenesów Knidyjskiej bogini, ani na Cyceronów Kupidyna — choć to byli Grecy i Rzymianie, a w programacie szkólnym był język łaciński i grecki, a pan Nestor Baranowski mawiał:

«Jak ci dziewczyna przypadnie w smak, a zobaczysz z miłosnych oczek, z uśmiechającej się minki, że jej nie wstrętny — złap, całuj, ściskaj, przydal, a nawet zduś, nie będzie się gniewać, i wszystko skończone. A te komplementa to djabła warte, to menuet, a nie mazurek; dziewczyna się zawstydzi i zaraz komplementcistę wyszydzi.»

To mi zostało w pamięci i nam wszystkim, bo to po kozacku i po lacku; kiedy szlachta wojowała, na ceregiele czasu nie miała. Co zdobył, to zdobył, to jego — a co się nie udało, to i przepadło, bo nie było czasu. Szlachcic nie zagrzewał miejsca, dziś tu, a jutro Bóg wie gdzie — czasu nie było na androny, a na pocałunki znalazł się zawsze czas.

Wskutek tej nauki pana Nestora i ja tak postąpiłem z moją palikarką, i nie zgniewała się, nawet buziaczka nie wzbraniała i trochę pocałowała. Słowa — kocham i kocham jakby jednorazowie wyszły z ust naszych, i ona była moją i ja byłem jej. Tak płynęliśmy trzy dni, aż pod brzegi ateńskie, otarliśmy się o Salaminę.

Ona mi śpiewała wojenną pieśń o walce Ateńczyków z Persami, o Temistoklesie, o Cymonie, o Periklesie, czego nigdy nie słyszałem, nawet od księdza Michalskiego, ani od Nestora Baranowskiego, który miał um i słuch i wzór wszystkowiedza — nawet słyszał jak trawa rośnie. Palikarka moja, bo już była moja, wszystko mi tłumaczyła i tak dobrze wytłumaczyła, że już byłem filologiem. Nie darmo to mówią Francuzi, ci mistrzowie praktyczni cywilizacji wszechświata, że najlepsza gramatyka kobieta, zwłaszcza kiedy ładna i i składna — od niej się wszystko człowiek i nauczy i we wszystkiem wyuczy.

Choć na malutkiem czołenku i na żywiole wodnym, byłem jak w siódmem niebie Machometa, jak w raju chrześciańskim — bo byłem przy niej i z nią; ona mi była wszystkiem.

Za Salaminą zwróciliśmy w prawo i we dwie doby przybyliśmy do Tinos, miejsca urodzenia mojej palikarki, co za radość była ojca, matki, sióstr, braci, całej rodziny i całej ludności z przybycia palikarki, bohaterki, przybocznej Bobeliny. Witano, ściskano, całowano, fajerwerki puszczano, a strzelano na wiwaty, jak na wojnie.

I ja się kłaniałem, ściskałem, całowałem, nie pytając, czy

szlachcic, czy szlachcianka, patentowe i herbowe — ona powiedziała:

«To mój narzeczony dziś, jutro będzie mój mąż!»

Tego było dość; nikt mnie nie pytał, kto ja i skąd ja, nawet i ja nie występowałem, żem szlachcic Bech, herbu Junosza, z czarnobylskiej dzielnicy, choć mnie język świerzbiał; ale przyzwoitość włożyła hamulec skromności. Nigdy człowiek nie jest tak przyzwoitym, skromnym i potulnym, jak się zakocha, ale zakocha na dobre.

Nazajutrz był ślub w kościele parafialnym — pobłogosławieni wyszliśmy z niego, ona moją żoną i ja jej mężem.

Pięć lat trwało to błogosławieństwo. Mogłem sobie powiedzieć, żem uleciał w powietrza z okrętu Lach wprost do nieba, bo tylko krótkie chwile byłem pod ziemią w grocie, ale już i tam zaczął się raj — a od wsiędnięcia na czółenko było prawdziwe niebo.

Piękna to wyspa ta Tinos — skały z granitu i z marmuru, wciąż myte falami morza. Pomiędzy niemi gaje oliwne, pomarańczowe, cytrynowe, granatowe z kwieciem czerwonem jak krew, drzewa figowe, mnogie winnice, róże, jasminy i weselne rozmaryny i smętne cyprysy i bohaterskie laury; wszystkiego na przesyt. Śpiczaste góry, siedziby orłów i sokołów. Żyzne doliny, pokryte stadami owiec i rogatego bydła; wszystkiego na przesyt, i w raju nie było obficiej, nie było bogaciej.

Bóg nasz związek błogosławił i dał nam czworo dziatek, jedno po drugiem. Takie śliczne jak aniołki, cherubiny, a oczki z czarnych djamentów, jak u mojej palikarki. Jedno już słowa wymawiało, drugie wybąkiwało, trzecie szczebiotało, a czwarte beczało — miła muzyka mojemu uchu ojca; lubowałem się nią. Zajęty mojem błogiem szczęściem, zapomniałem o Bożym świecie, a żyłem w Tinos, tak jakby innej ziemi nad Tinos w świecie nie było i jakby nie można było być szczęśliwym tylko w Tinos.

Ale inaczej się stało, zaraza straszliwa, nielitościwa, jak piorunem w naszą rodzinę uderzyła, w jednym tygodniu czworo dziatek umarło, jedno po drugiem. Za niemi poszła biedna matka, piękna matka, i ja sam zostałem bez mojej Heleny, wszystko co miałem najdroższe w świecie, pogrzebałem, i umrzeć nie mogłem.

Zostałem wdowcem, sierotą, sam jeden na tym Bożym świecie i byłem przy życiu — młody, z sercem rozdartem rozpaczą, człowiekiem, ale niepodobnym do siebie. W kilku tygodniach zgrzybiałem na starca, a zaraza mnie nie brała; rzucałem się w jej objęcia, a ona odemnie uciekała, i żyłem a żyłem. Nareszcie zaraza uciekła z wyspy, ustała, i ja rzuciłem były raj mojego życia, który mi się stał piekłem boleści i tęsknoty — rzuciłem i popłynąłem z pielgrzymami na Górę Świętą, zostać Czernicem, mnichem.

VIII.

Góra święta, po grecku Mont Atos zwana, na wybrzeżu Macedonji, rzeczpospolita mnichów, państwo płci męskiej, kraj cerkiew i monasterów, obszar sześćdziesięciu werstw do koła, zakazany płci żeńskiej. Nie masz tam ani klaczy, ani krowy, ani suki, ani kotki, ani kury, ani kaczki, same samce ze zwierząt i z ptaków domowych. Z dziczy mnichy myśliwi wytłukli wszystko, co tylko samicą było, żeby samce samotnie chodzili, rozmyślali i między zwierzętami mnichami byli. Góry i doliny, a między temi górami strugi kryształowej wody, lasy z drzew niebotycznych; z trzech stron woda morska myje brzegi obszaru tej mniszej rzeczypospolitej.

Dwadzieścia i cztery głównych monasterów, a każdy należy do innego narodu, ale do wyznającego prawosławie. Sam nadbrzeżny świętego Mikołaja, dla Rosjan, Chilendar, świętego Sawy, dla Serbów, Zagrafos, świętego Symeona, dla Bułgarów, ruski świętego Michała archanioła, dla Kozaków. Do tego ostatniego monasteru przybyłem i na trzy lata w posługaczy się zapisałem; trzeba było wybyć trzy lata ciężkiej pracy, wszystkich zmartwień ciała i duszy, nim się Czernicem-mnichem mogło zostać. Trzy lata ciężkiej pokuty, nim się mogło przystąpić do modłów i do rozmyślania. Choć moje życie tak było zaprzątnione ruchem, prawnem szczęściem i nieszczęściem nieprawnem, że nie miałem czasu grzeszyć ani myślą, ani uczynkiem, że nie tylko Bernardyn Cudnowski, za podpasionego barana, Karmelita Bosy i Berdyczowski, za grzesznicę w trzewiczkach, ale sam Bazyljan z sumienia dałby mi rozgrzeszenie do raju. Tak

mnie zgryzota, tęsknota i nieszczęście przybiło, że miałem siebie za wielkiego grzesznego i za większego jeszcze pokutnika.

Od zejścia zorzy aż póki słońce nie schowało się w morze, pracowałem jak wół w pługu, bez odpoczynku, w milczeniu, w pokorze, przez rok cały nikt do mnie słówka nie przemówił i ja też do nikogo nie mówiłem, byłem jak niemowa; tą razą sam sobie postanowiłem, za to że udawałem niemą. A choć w monasterze byli sami Rusini, jedli jak burłaki, a pili jak Kozaki, opowiadaniami szumieli, pieśniami brzmieli, na chwałę Bożą pożywając i spijając dar Boży, co wszystko według praw tej mniszej okolicy, bo na strawie i napoju nie dopatrzeć płci żeńskiej, więc grzechu nie było. A woleli Boga bawić kozaczemi pieśniami, jak go nudzić litanjami i koronkami. I święty Michał, nasz archanioł, wolał wojenną dumkę, albo ukraińską sumkę, jak nosowe antyfony.

Uciekałem od tego gwaru, od tego przypomnienia. Żona i dzieci mi były przed oczyma na jawie, a we śnie zaraza mi jedno po drugiem brała, a ja do niej wyciągałem ramiona, a ona mnie odpychała — i to było co dnia, co nocy. Choć jeszcze do trzydziestki lat trzeba było doliczać, stałem się zgrzybiałym młodzieńcem, kiedy inni byli jędrnymi starcami. Żywiłem się kawałkiem chleba i otroszyną ryby solonej, popijałem źródlaną wodę i myślałem, Bóg mnie prędzej powoła do mojej Ireny, do moich dzieciątek. Najstarsze już skakało, średnie bełkotało, a najmłodsze jeszcze niemowlę — a takie były śliczne, takie żwawe i takie dziarskie, że aż dusza się radowała: co to będzie za ród, po matce Polikarce, po ojcu szlachcicu i Lachu, co to by kiedyś była za pociecha tej Bożej Ukrainie; Bóg dał i Bóg zabrał. Takiemi myślami żyłem i pracując łzy połykałem, a czasami nawet się rozbeczałem; ale dusza we mnie była rogata, nie wychodziła z ciała, choć ją wyganiałem bezprzestanną zmorą tęsknoty, zgryzoty, a nawet rozpaczy. Żyć nie chciałem, a jednak żyłem. Prawie nigdy nie spałem w monasterze, tylko w jakiejś szczelinie; myślałem, może duch mojej Ireny przyjdzie do mnie, nie zatrzymają go ani wrota, ani ściany, z obłoków przyjdzie otwartym, wolnym szlakiem; wyglądałem, a on nie przychodził.

Kiedy umierała ta droga moja polikarka, dała mi pas

skórzany z prośbą, bym go nosił na mojem ciele, nie patrzył, co w nim jest, aż póki nie będę między swoimi. Nie słuchałem, myślałem sobie, jak ją zatrzymam na tej ziemi, Bóg mi jej nie wydrze, albo zabierze mnie z nią razem; ale pas musiałem włożyć, bo tak chciała, a potem objęła mnie oburącz za szyję, i ja ją przycisnąłem i tak skonała. Ludzie oderwali mnie żyjącego od zakochanej, ale już trupa, bo ona, moja polikarka, nie była między żywymi. Pas został, jej wspomnienie, przyciskałem go do siebie, ale nie zazierałem, co w nim było; z nim żyłem i myśląc i marząc i śniąc o mojej Irenie.

Tak przeszedł rok cały i tak się zaczął drugi, kiedy zaczęli się schodzić rozmaici Kozacy; ucho moje zaszłyszało, że to rozbitki z zaporoskiego kosza. Do żadnego z nich nie przemawiałem, bo takie było moje postanowienie, i oni do mnie nic nie mówili, szanowali stronienie i milczenie mojej pokuty. Ale wszystkiemu musi być koniec, nawet temu światu, tylko jeden Bóg bez początku i bez końca, z jego utworem; z jego stworzeniami tak być nie może. Moje życie przechodziło w odrętwienie, duch upadał, a dusza szła w niemoc; w takim byłem stanie, że moja zgryzota, moja rozpacz w swoich nawiedzinach były jedynem ożywieniem mojego życia.

Widziano, że zaniemogłem; ludzie litościwi, bo Rusini i chrześcianie, złożonego chorobą, przebraniem cierpienia, złożyli mnie na łożu spoczynku i pielęgnowali. Myśleli, że skonam, i jak skonam, będę błogosławionym, a może nawet świętym, bo musiałem być wielkim grzesznikiem, kiedy byłem takim pokutnikiem. Ale nie skonałem; po kilku miesiącach zacząłem przychodzić do siebie, Bożem powietrzem wolniej oddychać i po Bożym świecie okiem przecierać. Pierwszym moim ruchem, przychodzącego do siebie, było chwycenie się za boki, pasa mojej Heleny nie ma, oczy zatoczyłem do koła i jakiś dziwny, niepojęty krzyk wydobył mi się z piersi.

Starzec będący przy mnie zrozumiał, wstał z miejsca i w milczeniu podał mi mój pas; porwałem go, całowałem i jak dziecko się rozbeczałem.

Starzec mi potem mówił, bo on wiedział, co w tym pasie było, o czem ja nie wiedziałem, że te moje oznaki

bardzo ckliwe zrobiły na nim wrażenie, że pomyślał sobie, że musiałem być wielkim zbrodniarzem i szalbierzem pokuty, kiedy mam takie przywiązanie do światowej mamony; ale mi nic nie powiedział. Może uniesiony litością, bo są ludzie co litość mają, choćby nad jakim zbrodniarzem, może wiedziony ciekawością, tym pięknym i użytecznym darem dla rodu ludzkiego, począł zemną rozmawiać, rozpytywać, mówić to o tem, to o owem; a jak krople wody, spadając po kroplach, nieustannie, jednostajnie, bo choćby na jaki kamień, granit, muszą przewiercić, wymyć otwór — tak i jego słowa otworzyły mi serce i mowę. Opowiedziałem mu całe moje życie od początku aż do końca, jak przed spowiednikiem tej ziemi, jakbym opowiedział na Józefatowej dolinie przed archaniołem Gabrjelem.

Mówiłem, on słuchał, czasem się uśmiechał, czasem potakiwał; w wyrazie twarzy można było czytać, że sobie przypomina, przypomniał.

«Tak, tak — synu, bracie, mów dalej!»

Kiedym o Morozie mówił, starcowi zabłyszczało w oczach, zapanoszał na rycerza, a kiedym dokończył o wysadzeniu w powietrze okrętu, zapłakał. I obydwa, razem bez żadnej zmowy, zaczęlimy się modlić za duszę hetmana, a raczej do hetmana, by pamiętał o swojem Kozactwie; serca nasze na jedną nótę zagrały.

Dopowiedziałem mu do końca — ściskał mnie, całował.

«Moje dziecko, prawda, prawda, ja ciebie dobrze pamiętam — ty mnie nie znałeś, kiedy pan Lach umierał, a Moroz po nim brał państwo koszowe, wtenczas ja, Wasyl Czerkaski, byłem pisarzem kozaczym zaporoskiego kosza, i po wyjeździe hetmana, jako najstarszy między starszyzną, byłem jego namiestnikiem na państwie.»

I mnie ciekawość wcisnęła się do duszy, choć tylko chwilkę jedną byłem w Siczy, choć tylko jak we śnie widziałem na majdanie kurenie Zaporoża. Wszystko to tak się mi wyryło w pamięci jak gdybym wczoraj kosz opuścił. Prosiłem starca pisarza, by mi opowiedział i on opowiadał.

IX.

«Wkrótce po odpłynięciu waszem z Siczy, pojawił się jeszcze jeden żebrak na wpis w rejestr kozaczy, i ten siebie przedawał za ofiarę swawoli szlachty; nie młody i nie stary, w samej sile wieku. Przyszedł z torbami, a w torbach nie chleb i nie sól, ale pieśni, na pohybel Lachom i Żydom i przydumek Jana Wyhowskiego:

Prodam Bas — prodam rudu,
A zagram Jezuitom w dudu —.

Jakieś pisma z Bożej Ukrainy, wołające o pomoc, bo Lachy gniotą a gniotą, a swoboda ludu grzebie się i wkrótce zagrzebie — jeźli nowa kolisczyzna nie powstrzyma grabarzy. Wyraźnie wołano: Nie siedźcie w koszu jak baby — nie dajcie się ubrać Lachom w szory, a chodźcie pohajdamaczyć do nas — bo już czas, bo już czas!

Zrozumiałem: — Lach hetman Jednokiszki, Lach Moroz, obydwa sławne hetmany, zabliźnili dawne urazy i dawne rany — i znowu Lachy i Kozaki zaczęli chodzić w jedne szlaki, i znowu odrodziło się braterstwo sławy, najserdeczniejsze dla ludzi szabli; i tak zrobił archanioł hetman, ale nie tak chciał i odrabiał szatan. Rozumiałem; ale nie miałem ani czerwonej szuby, ani atamańskiej nahajki, a na dodatek Żyd arendarz takoż przejął się zachcianką hajdamaczyzny — musiałem patrzeć przez palce, żeby nie obudzić większej swawoli, a dałem po naszemu, jakoś to będzie; i jakoś to było, nie stłumiłem złe w zarodku i złe się szerzyło.

Ten nowy przybysz zapisał się w rejestr Kozactwa, a na lepsze obywatelstwo w koszu, w młodym Hładkim poznał swojego syna i nie można było mu tego zaprzeczyć i nikt nie zaprzeczał — a że twój towarzysz był Hładkim i z imienia i postawy, i nowego Kozaka nazwano Hładkim, zwłaszcza że po przebyciu kilku miesięcy, na barszczu i na jaglanej kaszy, na hałaszkach i na świninie, na śliwach i na liniuie, tak się spasł jak kaban, i dla tego ojca nazwano w koszu Hładki Kaban, a syna Hładki Porosionok; obydwa paśli się i obydwa przypadli do smaku kozackiej hołocie. Dobrze jedli, dobrze pili — i o Lachach dobrego słowa nie

mówili; przeciwko Polsce bluźnili, a Lachów jak mogli i mogli, to łżyli.

Zdaje się, że to wszystko było ukartowanem, jakiś nowy nastrój chciano dać i zakonowi Zaporoża, a nawet całej Dobrudży. Naprzód Żydzi z Podola, Wołynia, Ukrainy i Galicji, na stepach, należących do Bejów tureckich, przez nadanie Spahisowskie — zaczęli stawiać karczemki z rozmaitemi nazwiskami: Pohulanka, Zadrypanka, Stepnaja, Dubowaje i tym podobne. I zaledwie te karczemki zostały wystawione, jak chłopi maloruskiego narzecza z obu brzegów Dniepru zaczęli z żonami, z dziećmi, z całą rodziną, z dobytkiem i z manatkami nawet zbiegać z lewego na prawy brzeg Dunaju. Żydzi karczmarze, jakby wiedzieli o tem, czekali ich nad brzegiem rzeki i każdy wiódł dziesiątkami, a nawet setkami rodzin do swojej karczmy. Tam poił, karmił i osiedlał, a wszystko na borg. Paszowie i Bejowie, właściciele spahlaków, wspólnicy Żydów karczmarzy, dawali pozwolenie na wolny wręb w lasy Babadagskie, na budowle, a wszystko to zapisywano na dług. Tym sposobem w kazach (powiatach) Babadagskiej, Tulczańskiej i Isakczyjskiej stanęło w parę miesięcy dwadzieścia i siedem wiosek donośnych ruśniackich — niby to pod opieką, pod skrzydłem Zaporoskiego kosza, dla uśpienia oszukanego ducha w Ruśniakach, a istotnie zapisano ich w poddaństwo paszów, Bejów i Żydów karczmarzy. Paszom i Bejom, właścicielom, odrabiali pańszczyznę za dług, który się nigdy nie zmniejszał, a żony ich i córki, jeźli były ładne, ulegały takiej samej dani, czyli poborowi, jak żony i córki Bułgarów i innych chrześcian rajów (poddanych) otomańskiego państwa. A Żydzi, po austryjacku, fiskalnie wydzierali ostatni grosz i ostatnią siłę dobrodusznemu Ruśniakowi; mogli sobie powiedzieć: wymienił stryjek za siekierkę kijek. Zrozumieli to dobrze nowi przybysze — ale co tu robić, wracać, to wędrówka długa za karę, za Ural, nad Okę, a może nad Lenę; co ich bardzo straszyło, bo tam zimno, śniegi, głód i słyszeli, że tam ani Żydów, ani karczemek nie ma. Tu skarżyć się, niebezpiecznie, bo kije w pięty, dla zdrowia i dla milczenia. Jednak żal być w takiem położeniu i milczeć, więc nie mogąc po koniu, po Turczynie, walili po hołoblach, po Lachach.

Dziwne opowiadania, okropne, o przeszłości panów Lachów — a z temi opowiadaniami przyszły nie z krymską solą, ale z wódką z Mołdawy, z winem z Wołoszy, i zaraz zaczęto próbować i noc całą próbowano, tak, że kiedy pop odprawiał służbę Bożą i wzywał, natchniony od srebrnego archanioła, dla jego rycerstwa już beczki i beczułki były wypróbowane, i Kozactwo upróbowane, a nawet od Żyda natchnione, który nie był srebrnym archaniołem, ale przez dziwny wypadek zwał się Michel, i tyle miał złota, że mógł udawać złotego archanioła. I kiedy po służbie Bożej odczytano pisma i firmany — jednogłośnie krzyknięto:

«Hładki Kaban hetmanem, koszowym panem, a Perosionek asawułą!»

Czapki chmurą w górę wyleciały i nic było rady, klamka zapadła, rzecz skończona.

Panowie młodzce popili się i na przekorę rozumowi i kozaczej sławie, ot tak na żart sobie, na zabawkę, hetmana obrali.

Tak samo i panowie szlachta polska, po dobrych libucjach, wybierali Michała i Stanisława na króla, żeby nie był taki jak u ludzi na żart, na śmieszydło króla. I chcieli nimi wojować tak jak ów łowiec pokojowy, co z pudlami i z mopsami chciał zające i sumaki łowić — i dla tego ani Kozactwo, ani Polska ostać się nie mogły; żartowano z władzy, w końcu z nich zażartowano.

Żyd psoncza o niczem nie zapomniał, wszędzie gdzie było trzeba poposyłał łapowe; w jedno miejsce sajety i bławaty, w drugie konie i karety, w trzecie arabskie dżamety, w inne dukaty, a w inne nareszcie córkę Zelkę i córkę Chajkę, obydwie Żydóweczki i do tropaka i do kozaka, co kto lubił. I tak się rozwinął, że jeszcze Kozacy nie rozszumieli z wyborów, a już biegli gońce po gońcach, od Dżury Paszy, gubernatora Babadagi i Dobrudży całej, od Dzafera Paszy Agi jańczarów naddunajskich straży, od Dżuby Paszy, dowódzcy arnauckiej jazdy, stojącej w Hirsowie, od Władyki i od Ihumenów, z powinszowaniem nowemu atamanowi i z zaprosinami na obiady.

Pan Hładki jeździł z biesiady na biesiadę, i u siebie na czczo nie rozmyślał, tuczył się i popijał; taki się zrobił jak wieża Galaty i tak wyglądał między Kozactwem jak wieża

między domami w około siebie stojącemi. To mi hetman, łomaka, choć nie zabijaka, ale zapijaka, ledwie z miejsca mógł się ruszyć, a brzuch taki, że muzułmanie, choć giaurowi, przyznają mu wielki rozum: mózg nie mieści się w głowie, brzuch rozsadza.

Porosionek w Raj buszował, a Żyd Michel na koszu Zaporoskim panował; fortuna kołem się toczy, przyszła kreska i na Matyska. Jego poprzedników kolejką wywyższano nad majdan na szubienicę — i oni panowali, ale w powietrzu. On się sam wywyższał, panował, ale stojąc na ziemi obydwoma nogami, i oburącz pakował złoto, srebro i miedź do kolitry, nie przebierał, żeby się szczęście nie przebrało; co się dostało, to chwała Bogu, brał i chował. W Siczy było żydowskie panowanie.

Podmawiał panów mołodzców, żeby szli na zarobki, że jeźli nie mogą sławę roznosić i brać zdobycze, bo sułtan z nikim nie wojuje, niech roznoszą po świecie kozaczą pohulankę, a przynoszą do kosza pieniądze; kiedy nie mogą wojować, niechże idą burłakować. Kozakom w to graj: ich hulaszczej duszy Sicz za ciasna, Raja toż samo a toż samo, za nudno, i marcypany swoje tu znudzą, może lepsze cudze, trzeba je zapróbować, wyjrzeć na świat, przewietrzyć się, popodróżować, i Kozactwo szło na zarobki, rade, wesołe, chwaląc pana koszowego, Bóg daj to taka swoboda!

Tymczasem czterdzieści tysięcy taimów ryżu, chleba, masła, świec, mydła, oliwy i grochu, które sułtan dawał na wojsko Zaporoża, po dwa taimy na każdego Kozaka, jako stojące ciągle pod bronią do wojennego poskoku, zabrał Żyd Michel na rachunek długu hetmańskiego, na dom hetmański i na nieprzewidziane potrzeby. Żyd był gospodarzem, kasjerem i rachmistrzem. Pan Hładki niczem się nie frasował, a Żyd na koszu panował.

Po nieboszczyku Lachu serdecznym, ale niebezpiecznym, po Morozie sławnym hetmanie, dziwne to było, to żydowskie panowanie. W Siczy pustynia, w Raj same baby, a mołodzce burłakują po kraju. Pan koszowy jeździ od Paszy do Paszy, od Beja do Beja, wszędzie podarki, bakszysze rozwozi. Żyd tak urządził; ręka rękę myła i szli wszyscy ręka w rękę; ale do czasu dzban wodę nosi.

Nadeszła wojna sułtana z Białym carem. Seraskier na-

kazał, żeby wszystkie kurenie stanęły pod bronią: tyle żeby posłać do Silistrji, na obronę przedrzecznego przekopu, a z resztą przyjść do obozu pod Szumnę.

Pan koszowy nie mógł stracić hłuza, bo go nie miał, cały z głowy osunął się w brzuch; ale trzeba było coś począć. Wielka bieda, więc do Żyda: jakoś namotał, tak i rozmotaj, piwa nawarzyłeś, pijmyż je razem. Żyd wyprowadził do Sylistrji z tysiąc ludzi, ale do Szumny nie można było doliczyć i do trzech tysięcy.

Pod Szumną wówczas dowodził wojskiem sam Wielki Wezyr, Mehmed Reszyd Pasza, Gruzyjec a syn popa; z tym nie było co żartować. Po całym koszu krążyły wieści, jak raz jeden wracając do miasta zajrzał okiem Arnautę, wydzierającego babie garnek z mlekiem i pijącego własność wydartą — baba poczęła wrzeszczeć, Wielki Wezyr kazał ją przywołać do siebie, równie jak Arnautę, a kiedy Arnauta się zapierał, kazał mu jataganem przerznąć brzuch i wyjąć wnętrzności, które polecił sobie podać, i pokazał ślady wypitego mleka. Arnauta zapłacił życiem przestępstwo; taka była sprawiedliwość dzika tego wodza.

W rozkazie swoim panu koszowemu zapowiedział: Za dziesięć dni przyprowadzisz całe wojsko zaporoskie pod Szumnę, a jeźli nie, to przywoź swoją głowę, albo ja po nią poślę!

U syna popiego co się rzekło, to musiało się dotrzymać, a i Żyd z całym swoim sprytem nie mógł nic wymyśleć na odwrócenie niebezpieczeństwa od głowy pana koszowego, które już mu nie groziło z daleka, ale wisiało nad nim. Rada w radę z Żydem, z synem, z samym sobą, wsiadł na łódkę z będącą starszyzną w Siczy, przypłynęli na prawy brzeg Dunaju, i pan koszowy z całym swoim koszem oddał się w poddaństwo Białemu carowi.

Nic dziwnego i nic złego, chrześciański to i słowiański pan, na prawdę rzekłszy, nasz prawy i jedyny monarcha; ale on od Boga mu daną władzę sumiennie wykonywa, jest u niego w państwie ład i porządek, jest i prawo Boże i prawo carskie, on rządzi i lud u niego rządzonym — ale to nie w smak panom Lachom, ani panom młodzcom; i dla tego my za panem Hładkim nie szli z ochotą.

Ja zabrałem księgi, firmany, chorągiew kozaczą, na

srebrnem polu złoty krzyż prawosławia, a na czerwonem srebrny księżyc sułtana, była to chorągiew dana jeszcze Doroszence — i z temi zemknąłem do Szumny, unosząc skarbiec kozaczego bezprawia; ze mną było kilku ze starszyzny i kilkunastu niepoprawnych burłaków.

Chorągiew ze srebrnym archaniołem na tle malinowem, przyniesiona nad Dunaj przez Mazepę, zostawiłem; niech idzie w ręce chrześciańskie, to nie muzułmańskie; a tamta dana przez sułtana, niech zostaje w jego kraju.

Młodzców ze trzy tysiące poszło z Hładkim. Baby w Rai się zbuntowały, pod prawo iść nie chciały, i one w swoim babim koszu przywykły do bezprawia, do swawoli, i broniły tej swojej swobody; a jak się baby wezmą do roboty, to trudna z niemi rada, przyszło do bójki: na kamienie, na wrzące wody z garnków, z kotłów, i na słowa jeszcze gorsze od tych pocisków, jeszcze bardziej bolące jak oparzenie gorącą wodą. Ale baby tą razą nie postawiły na swojem: zabrano, popędzono za młodzcami; Bóg, widać, nie chciał jak chciały kobiety. Tak się skończyła bezpańskość kozaczej Siczy.

Powieziono Kozactwo na Azowskie morze, do dawnych braci Czarnomorców; tamci tubylce, starsi bracia nad Kubaniem, przyprowadzeni przez pana Hołowatego i pana Czepihę, na pieszo i na konno gonili Czerkiesa po krzakach jak zająca; a młodsi, w przybystwie z panem Hładkim, dostali czajki i brzeg morza, by nie puszczać Czerkiesa, wałęsać się między jego górami a Carogrodem.

Wielki Wezyr gniewny i groźny i nas i załogę silistryjską, która walecznie się broniła w swoim przekopie: starszyznę kazał pokuć w kajdany, młodzców powiązać na powrozy, i tak posłał wprost do Carogrodu, do Terstan, na ciężkie roboty i na cięższe jeszcze uwięzienia. Za pana Hładkiego my odpowiadaliśmy, bo jego pociągnąć do niej nie można było. Paweł przewinił, powiesić Marcina, Hładki skrawił rękami wszystkich Otuzbirów, i dopiero nas nie wypuszczono; ale rozpuszczono jak stanął pokój między Białym carem a sułtanem, w sławnem mieście Adrianopolu, nad trzema bułgarskiemi rzekami.

Rozpuszczono nas po dwóch, po trzech w świat, gdzie oczy poniosą, ale nie w jedną stronę; a kto nie mógł iść

w drogę, to go sparowano z pejsatymi Żydami, których na poniewierkę kozaczemu imieniu nazwano Kozakami, Otuzbirami, i dano im solonego Greka za Pogłowasa z nazwą Kozak baszy, głowa Kozaków, i temu solonemu Grekowi dano pieczęć kozaczą; nikt bez tej pieczęci nie mógł chodzić po świecie sułtańskim. Otuzbiry, rycerstwo wolne i swobodne, zakon chrześciański, musiało iść na jednej stronie z parszywymi Żydami i nosić paszporta solonego Greka. Kosz sławny do takiej przyszedł sromoty. I smutno i sromno było; powędrowałem na Sicz i Siczy nie ma — i Sicz i Rajc tak Turcy zniszczyli, że kamienia na kamieniu nie zostawili. Chciałem a nie śmiałem iść nad Azowskie morze, ze łzą w oku porzuciłem nasze koczowisko: na mogile pana Lacha pomodliłem się i wróciłem nazad i szedłem, szedłem aż do Świętej góry. Chorągiew kozacza została złożoną w patrjarchacie, a księgi tu przyniosłem.

Pozostali młodzcc na zarobkach, wypuszczeni z więzienia, porozłazili się jak mrowie po sułtańskim kraju; gdzie jezioro, gdzie spławnie, gdzie kamysze, tam wszędzie znajdziesz sumujących Zaporożców. Starszyzna po większej części, po monasterach, poszła w Czerńcy; w zakonie śmierć rozdawali, a teraz także w zakonie na śmierć czekają. Tak się rozbił kosz, i rozbitki jedne poszły Bogu służyć i pokutować za grzechy, drugie szły na rozstajne drogi życia, dalej służyć djabłowi.

Tak było na tym świecie naddunajskim, kiedy panowie szlachta polska w Warszawie wyrwała się jak Filip z Konopi, zadarłszy ogony, dalej wojenny taniec, ale na to tylko, żeby tańczyć, bo nie wiedzieli, czego chcieli; uprzykrzyło się dobre, trzeba było szukać złe na przemiany. Wojowali, wojowali i rozbiegli się po świecie na rozbitki takoż. I gorzej jeszcze popisali się od Zaporożców, bo ci przynajmniej z szablą wyszli, szable przy boku tyle lat nosili i jeszcze noszą, a Polaki nieboraki zaraz szable rzucili, przerobili na rożny, na piły, a wzięli się szermierzyć językami i błazgać papier czarną posoką. Aż sromota powiedzieć, na jakich wyszli jabedów; słowa z wiatrem leciały i papier nie na lepszy poszedł użytek, a Polsce z tego nic, tylko same szkody. Włóczą się Polacy tak dobrze jak się włóczą Kozacy; gorzej od Żydów, bo Żydzi pieniądze mają i jedni

drugich się trzymają, jakby byli bliźniacy; gorzej od Cyganów, bo ci króla mają. A my jak prawdziwe rozbitki, ni ojca, ni matki, ni niwy, ni chatki, dziś tu, jutro Bóg wie gdzie, dziś żołnierzem sułtańskim, jutro czobanem, albo najmytą czobańskim. Oj smutnaż to nasza dola, do czego to nas doprowadziła prywata i swawola!»

Tak narzekał Wasyl, a był z Waszecia, pisał jak djaczek i jak djaczek czytał — człowiek hramotny; zarzekał się, że nie ruszy z miejsca, że już też na Górze Świętej kości swoje położy, żeby nie wędrowały po świecie.

I ja mu w tę samą nótę grałem, bo i mnie świat był niemiłym, dzieci i żona wciąż stały przed oczyma, i na jawie i we śnie, w dzień i w nocy, z zarazy mi umierały jedno po drugiem, i co dnia i co nocy jedno po drugiem, każde grzebałem i rzewnie płakałem.

Każdy z nas, wsiadłszy na swoją biedę, ja na zarazę, on na włóczęgę, poddawaliśmy sobie ochoty do podróży na tamten świat; może tam będzie lepiej, a przynajmniej nie tak jak tu. Takie było codzienne zakończenie naszego pacierza powszedniego, i tak nam czas płynął na zrzędzie i na narzekaniu; takeśmy do tego nawykli, że jużby nam bez tego może było przykro na tym świecie: przywyczka to druga natura.

Tak to było, kiedy się zjawiło na naszej Świętej Górze dwóch Polaków, czy Kozaków, młodzi, w samym kwiecie wieku, ludzie porodzeni do konia i do szabli; obydwóch swoim urokiem obwiała nasza Ukraina. Jeden smukły, cienki jak Lach Jednokiszki, z twarzy do ptaka podobny, przypominał starszyznę kozaczą, z pustyni świętych Pańskich, świętego Bazylego, świętego Pawła. Drugi barczysty, okrągły, trochę ryży, pucułowaty, zarodkowaty do Wielko-Rusa, więcej jak do Polaka, albo do Kozaka podobny. Przyjechali z jakiejś dalekiej strony, modlili się jak prawosławni i bili pokłony, zwiedzali monastery; wszędzie ich grzecznie podejmowano. Z początku z Wasylem patrzyliśmy na nich z pod oka, jak na włóczęgów: Bóg wie z jakiego kosza, z jakiego kazana; ale kiedy zasłyszeliśmy jak między sobą to po lacku perorują, to po kozacku chortają i jeden z nich piał pieśni kozacze jak Zuzala, jak słowik Ukrainy, byliśmy jak na szpilkach, i w uszach szumiało i język świerzbiał, byliśmy jak

te bociany przy kuchni chowane, dobrze karmione, doglądane, zupełnie przyswojone, kiedy zobaczą bociany wolne, dzikie, zaraz skrzydła próbują, na jednej nodze podskakują i podlatują; zachciewa im się. Tak i my przysunęliśmy się do dwóch nowych wołokitów i jak łyse konie pozerkaliśmy okiem, jedni na drugich, zarżeliśmy trochę i potaszczyliśmy się po bezdrożach wołokitskich rozhoworów.

Pan pisarz koszowy, choć się nie przyznawał i jak najwięcej zapierał, był bezzawodnie Polakiem, i to nie z naszej Rusi, ale gdzieś z Wielkopolski z pod niemieckiego panowania, jak to mówią, niemiecki Polak, bo dwa razy byliśmy przez Ihumena wysyłani ze sprawunkami do Saloniki — to tam spijał piwo jak smok, zjadał barabole jak wieprz i nie nazywał ich ziemniakami, ale perkami, kartoflami, erdepflami, po niemiecku, i przywiózł z sobą do klasztoru sporą beczułkę piwska i z pięć kil kartofli. Wyraźnie się przebijała zniemczona natura, a kiedy posłyszał niemiecki szwargot, to tak za nim drobniutko a sporo potakiwał, jak jarząbek na wabik; a byłoż tych Niemców Szwabów po Salonice, i Żydów i nie Żydów, i kupców i konsulów, i rzemieślników kolonistów aż strach, bo to tego niemieckiego kwiecia teraz pełno po całym świecie — jak pluskwy rozlazły się po sułtańskim domie i jak pluskwy się rozmnożyli; bo to Niemki od macior płodniejsze, jak się poobjadają morskiej ryby, to każda po pięć, po sześć Niemiaszków na raz rodzi. Pan pisarz Niemeczkom w oczy zaglądał, a ślinka mu leciała po ryżej brodzie, spluwał, oczami się palił, a potem piwem ogień gasił. A jak zobaczył jakiego opasłego Niemca z galonem u kaszkieta, to choć mnich, Czerniec, przed nim sztajf, we front stawał; widać, że mu się dobrze dali we znaki, że z białych farbowali mu na czerwone raki: nie na kopy, jak u nas na Ukrainie, ale dwadzieścia i pięć, finf und cwancyg, jak sam mawiał. Bo to najlepsza pomęta na Słowianina, kto bije ten kocha, a bity zawsze z poszanowaniem przypomina odebrane kije. Pan pisarz, kiedy zobaczył Niemca, stawał w miejscu jak igła magnesowa, kiedy dotknie biegunów północy i południa, a jak Niemiec szedł, to ciągnął za nim, jak żelazo ciągnie za magnesem; i to dla mnie było przyznaką, że zemknął gdzieś z pod niemieckiego obucha; jak trusia przy Niemcach, a jak nie było Niemców,

to udawał zucha, językiem ciął od ucha każdego Szwaba i niemieckiego druha.

Pan pisarz nazwał się Wasylem i niczem więcej, ani ojcowskiego imienia nie przydawał, jak robią Rosjanie i inni Słowianie, ani rodowego nazwiska, jak robią Polacy i Kozacy, ani nawet przydomku żadnego, goło — Wasyl, pisarz koszowy, jak był Lach — hetman kozaczy. Miał ryżą brodę jak pasiecznik, ryże wąsy jak u suma, na dół obwisłe, oczy błękitne, łagodne jak u baranka, nos karmazynowy, widać, że szlachcic od karmazyna, nogi tak podsłużone, że po jednej desce by nie poszedł, choć na czczo, a cóż dopiero we dwie godziny po rozbudzeniu się, bo wtenczas nóżkami plątał na prawo, na lewo, naprzód się kiwał jak Żyd w borachach, zataczał się jak cietrzew, kiedy tokuje — a czasem przysiadał jak gdyby chciał dać niemieckiego szpringla.

Ale był rozumny jak bakałarz, jak wyzuwita, ale nie chytry, tylko szczery, co w myśli, to w słowie, a serce jak na dłoni, kiedy ma, to da, kiedy nie ma, to pożałuje więcej drugiego jak siebie. Łagodny, rozumny, uczciwy i poczciwy, a tak pisał, że aż miło było patrzeć kiedy piórkiem ślizgał po papierze; a kiedy czytał, co napisał, to choć człowiek nic nie rozumiał, to tak się w nim dusza radowała, że ledwie nie wyskakiwała z ciała. Pan Lach wielce go cenił i szanował, a nawet miał dla niego przyjaźni zachowanie; po godzinach całych się z nim naradzał, sam na sam, ale kiedy pan pisarz był na czczo, albo po przespaniu się — bo inaczej to trudna była rozmowa. Pan pisarz, ciekawa sztuczka, szczególnie kiedy szło o dobro kosza, pro bonum publicum, był tego przekonania, że zawsze trzeba było szukać u dołu prawdy, lub nieprawdy, która się knuła u góry. U góry trzeba było sobie skarbić serca czapką i papką, i jeszcze nie można było się dowiedzieć, nic a nic — kiedy u dołu, prawda siedziała w kieliszku na dnie, trzeba było tylko spijać nieprawdę szumiącą, czy nie szumiącą, a w podniebienie skrzypiącą nieprawdę, na czysto, a zawsze się doszło do dna i do prawdy na dnie. A że pan pisarz plebsowi, czyli motłochowi, u którego prawdy szukał, chciał pokazać, że to co myśli, to i czyni, chciał przykładem czynu zachęcać do czynu, że szukając prawdy, tyle się napił nieprawdy, czyli tyle jej się musiał napić — że mu się i w sercu i

w myśli tak zaszołomiło, że nie mógł wybełkotać językiem fermentu, jaki w sobie nazbierał, musiało się w nim jak w kufie wyszumieć, albo wystać robota, snem lub innym sposobem, nim wydał panu Lachowi czystą prawdę jak okowita.

Takim był pan pisarz, z panem Lachem kilkanaście lat razem przeżył, nie mało soli z sobą zjedli, i z panem Hładkim żył w dobrej zgodzie, prawdy się dowiedział u dołu, a że tyle było nieprawdy na tym Bożym świecie, więc ciągle był w oszołomieniu.

Dopiero kiedy przyszło do opuszczenia Siczy, choć na czczo wiedział, że lepiej było pójść nad Azowskie morze i raz przecie być u siebe, między swoją wiarą, pod swoim carem — ale kiedy chciał się przekonywać o prawdzie, po swojemu u dołu, tak mu zamarkotniało, zaszumiało, że zabrawszy rejestra kozacze i insygnie, poszedł w świat i zaszedł do Świętej Góry, i to było po polsku — zostać na włóczędze, usque ad finem, do końca.

Dalej tedy z Lachami, Kozakami, bo to byli i Lachy i Kozacy, w rozhowory o tem co było, o tem co jest i co będzie. I żeby nie skończyć miłej pogadanki, z Lachami opuściliśmy Świętą Górę i znowu na burłaczkę. Bóg dozwolił, żeby była burłaczka na tym świecie; musi i ona być na coś potrzebna; nie myśmy stworzyli burłaczkę, nie nam ją zakazywać.

Bez namysłu i rozmysłu, ot tak sobie rzuciliśmy nasze, u siebie i znowu na wędrówkę, Bóg wie gdzie i po co. Wasyl mówił, że on z klechdów ludowych wystudjował, że taka natura Polaka; inni Słowianie radzi siedzieć na miejscu jak kura na jajach i grzebać się w ziemi — a Polakom miło podróżować, a jeszcze milej wojować: dziś tu, jutro tam i nie umierać w babiem łożu. I to według klechdów najwybitniejsza protestacja, że nie chodzimy w spodnicach i w czepkach, ale w szarawarach i czapkach — bo w każdym innym razie, zawsze i wszędzie, baby nas za nos wodzą i ubierają w szory jak chcą i kiedy chcą. Ja temu nie przeczyłem, bo z tego com zapamiętał w Bechowie i w Czopówce, konetowałem, że tak jest; a z tego com doznał na sobie w Tinos, wnioskowałem, że nie inaczej — więc nie było sprzeczki, tylko prelekcje, pedancka, niemiecka, oparta na

temacie hec molia homo est — a homo molji uległość debest.

Nasi nowi towarzysze w te rozprawy się nie wdawali — między sobą po francusku szwargotali. Chudy, jednokiszki, po siołach, po grodach, po drogach nawet bożych ludzi wypytywał i w pugilares zapisywał. Wasyl mówił: oblicza Słowiany i kreśli jakieś plany. Miał dwa charty i sokoła, drogą polował, bo byliśmy na konno. Co dzień mieliśmy albo udziec zajęczy na pieczeń, albo przepiórki do piłafu. Był dyplomata; Wasyl mu to przyznawał, a ja w łowionych zającach i przepiórkach widziałem najsolidniejszą część jego dyplomacji; miałem takie już nie domniewywanie, ale dotykalne przekonanie.

Pucułowaty, trochę na Wielkorusa podobny, był uczniem nauk przyrodzonych ze szkoły alfordskiej; zwierzęcą anatomię jak na palcach posiadał i o niej też najwięcej gadał — i to na coś się zda, boć i to nauka. Była to misja dyplomatyczna, dobrze złożona — chudy poetyzował, pucułowaty realizował i czas czwałował nam: po dwudziestodniowej podróży przyjechaliśmy do Trajimiennego grodu — Konstantynopola greckiego, bo tam Konstantyn panował i założył fundamenta na Bizantyńskie cesarstwo. Oddzielał politycznie Wschód od Zachodu — Carogrodu słowiańskiego, bo Słowianie tam pragną swojego cara posadzić, uświęcić początek Konstantyna i rozdzielić świat na Wschód i Zachód — Islambolu muzułmańskiego, bo go napełnili muzułmanie, niwecząc fundamenta Konstantego, a zawadzając budowie słowiańskiej.

Przybyliśmy do tego wielkiego grodu i zdało się nam, żeśmy wczoraj, czy pozawczoraj wyjechali ze Świętej Góry — tak nam szybko czas przeleciał, chociaż nie gnaliśmy koni, jak Farys Adama Mickiewicza, albo jak Kozak Malczewskiego, tylko stępą, liczykopską, od miedzy do miedzy, w zygzaki, żeby się dowiedzieć, gdzie zające, gdzie przepiórki siedzą.

W Carogrodzie, bo dla mnie on był Carogrodem, bo i ja tam pragnąłem widzieć słowiańskiego cara, to mu się należy, to się należy Słowianom, w nagrodę za długie i bardzo długie obchodzenie się z niemi jak ze szklawami (niewolnikami); Bóg sprawiedliwy — i tak kiedyś będzie. Tam zastaliśmy mozajkę rozmaitych narodowości i wyznań, jan-

czarów już nie było, sułtan Mahmud z nimi się rozprawił, i Derebegów, ziemskich właścicieli naszych, Jaśnie Wielmożnych dziedziców do siedmiu niebios muzułmańskich wyprawił, które się komu należało, i sam przed prorokiem się stawił. Syn osiadł na ojcowskim tronie z rozumem Turczyna, z sercem Słowianina, i w jego państwie było błogo, swobodnie. Każdy był jak u siebie, i można było powiedzieć, że tam była prawdziwa złota wolność. Zachód handlował i zbierał pieniądze, a Wschód politykował i rozżarzał polityczne żądze. Polaków było niemało, ci nie handlowali, ale politykowali. Byli między nimi i ambasadarowie i konsule, i agenci polityczni i instrukturowie wojskowi, i medycy polityczni; a kandydatów do wszystkiego i na wszystko bardzo liczno. A że Kozactwa i na nasienie, Korennego nie było, bo kosz stambulski przepełnił się Żydami — w miejscu Kozaków Iwanów, Mychalków, Semenów, Stepanów byli Kozacy Icki, Mortki, Berki, Chaimy i tak dalej; a Kozak baszi, solony Grek, jakiś Arystarski, kiedy mówiono o Kozakach Dobrudży, Majnosu — uśmiechał się: To mity, urojenia, a nam nie żyć w marzeniach z urojeniami. Więc poszliśmy z Wasylem do Kosza polskiego.

Co się kiedyś u Ojców Bazyljanów z książki nauczyłem o Polsce, co od pana Nestora Baranowskiego i księdza Michalskiego — od dzielnego Lecha do nieszczęsnego Stanisława — nigdy nie było takich sejmików gwarnych i swarnych jak na stambulskiej Galacie u konsula Janka, demokraty. Bracia żołnierze, kosyniery, węglarze — wszystkiego tam było; radzili, gwarzyli i nic nie uradzili, w końcu się poczubili, a na walkę się popili — bo Janek był zarazem szynkarzem, szewcem i konsulem, obrany ogółem, utwierdzony patentem sekcji centralnej Poatierskiej. Był niehramotnym, ale z samej Warszawy, służył w pociągach jeszcze za Napoleońskich czasów, a od tego czasu za granicą kraju. Tak pomięszał rozmaite narzecza, że jak mówił, nikt go nie rozumiał, ogół zakonkludował — musi być rozumny, kiedy go nikt nie rozumie i jednogłośnie obrał konsulem. Mnie to było nie w smak; Wasyl tem się lubował, zacierał ręce, podśmiechał się — element jest, jędrny, energiczny w słowach, zawsze w ustach nieprawda. Łajdaki podli — i inne epiteta przekupek i fagasów warszawskich;

trzeba go wyrobić — i można — ja tem się zajmę, to moja święta powinność. I pozostał z nimi.

Rzuciłem Carogród, bo tam cara nie było i Bóg wie kiedy będzie. Przybyłem statkiem do Warny, ale w mieście się nie zatrzymałem; poszedłem na pobojowisko, gdzie zginął nasz młody Jagiellon. Pomodliłem się: — Boże odpuść mu błąd polityczny, a nagrodź cnotę chrześciańską, tak jemu jak i Janu Trzeciemu. To byli nasi królowie, a jam Polak, Bech i szlachcic. Stamtąd prosto stepami i jarugami pospieszyłem nad Dunawiec, na grób Lacha Serdecznego, modliłem się i płakałem — i ten może popełnił błąd, ale kochał sławę kozaczą.

Noc przesiedziałem z wilkami i z słowikami; myślałem sobie, może mnie pierwsi zjedzą, a drudzy po mnie będą śpiewać, i to byłaby śmierć szlachecka, bo nie taka jak u ludzi, ale inaksza. Siedziałem i czekałem, ale ani wilk żaden nie zawył, ani słowik zaśpiewał, tylko chmury szumiały nad głowami, deszcz płukał mnie aż do koszuli; nie chowałem się, bo nie było gdzie się chować, a niebo grzmiało; to srebrny archanioł tak swój gniew, czy żal, obwieszczał.

Z białym dniem, powiedziałem sobie, nie ma co tu robić, nawet umrzeć tak jak trzeba, tu się nie uda, a potem kiedy się już nie umarło, to trzeba życie próbować, iść dalej i dalej.

Szedłem i zaszedłem do Prysławia, zapiszę się na matrosa na jaki statek, może będzie lepiej na morzu jak na lądzie. Może gdzieś znowu wylecę w powietrze i nie spadnę na ziemię, a tak się wszystko skończy. Ale tam zastałem czajkę z Kozakami, także z naszymi Zaporożcami, z Azowskiego morza burza ich zapędziła aż na Dunaj. Opowiadali jak to im tam dobrze, na niczem nie zbywa, nawet na bójkach z Czerkiesami na morzu; jakie to tam Czerkieski branki, jakie to tam rybołóstwa — jaka sława kozacza. Było w Prysławiu kilku dawnych Zaporożców, którzy nie takiem uchem jak ja słuchali tych opowiadań; cmokali, głowami staremi potrzęsując jak tabuńskie konie.

«O nie wprowadzicie wy starych wróblów w samotrzask — lisy z was, poobcinano wam ogony i chcecie, żebyśmy wszyscy byli bez ogonów!»

Ale ja im wierzyłem; powiedziałem:

«Jadę z wami Kozakami!»

A słowo się rzekło, Bech szlachcic, trzeba dotrzymać, i pojechałem; myślałem sobie, posłużę wiernie i statecznie carowi lat kilka, a potem pójdę w rodzinne strony.

Panowie młodzce choć mnie ledwie znali, przyjęli jak rodzonego brata. Hładkiego i ojca i syna już między nimi nie było, ale byli i tacy, którzy chodzili na wyprawy z hetmanem Morozem, znali mnie i o mnie dziwne rzeczy opowiadali. Jak z człowicka stałem się ptakiem, po powietrzu latałem, a potem na ziemię bech, i że dla tego mnie zwano Bech. Darmom przeczył, darmom się upierał przy szlacheckim klejnocie, przy moim herbie Junosza — ja swoje, a oni swoje; zostać musiałem kozackim Bechem, ptakiem. Zaraz mnie zrobiono watażką nad dwunastu czajkami; sto i dwudziestu młodzców miałem pod swoją władzą.

Oj życież to było życie, na tem Tamańskiem wybrzeżu. Pan Zawadowski hetmanił Kozactwu, Czarnomorcom i Azowcom; była to krew z krwi, kość z kości, starszyna kozaczy, szlachcic polski, przystępny, hojny, szczodry, a wielki pan i z pierza i z mięsa — ot z nim tak rozmawiałem jak z wami, i nieraz u niego za stołem siedziałem. Przed jedzeniem do mnie przepijał wódeczkę, a za stołem na jego skinienie szumiącym szampanem piliśmy za zdrowie, za długie życie cara.

Kozactwo się pożeniło, gospodarowało, ryby łowiło, kozaczęta się płodzili, i byliśmy jak u Pana Boga za plecami. A kiedy przyszedł rozkaz: — Na czajki, to w mig Kozacy byli na czajkach, wiosłami w morze, pieśnią w obłoki, i już czajki hulają na morzu i gonią Czerkiesa jak po stepie. O biadaż jemu biada: jak zając się wykręca w prawo, w lewo, nawa skacze w górę, przypada w wodę, a czajki za nią tuż, tuż — pukanina z armatek, z samopałów, bójka na szaszki i na noże — i zawsze górą nasza. Czerkiesi pobici, zabrani, co było na nawach zrabowane, nawy spalone; niech znają Azowców, i znali i dobrze ich się bali.

Hołotaż bo to wielka, ci Czerkiesi, u nich na lekarstwo nie masz prawdy i za grosz dobrej wiary. Rabusie, złodzieje, swoje własne dzieci jak bydlęta sprzedają, ojciec córkę, syn matkę, brat siostrę, mąż żonę, kochanek kochankę, byle spieniężyć. Na wykręty chwaty, ale na szable to daleko kucemu do zająca, z nami im nie iść w zapasy. Bi-

liśmy tę hołotę jak na zabawkę, kiedy już przyszło na dobre do bójki; ale trzeba było się namęczyć, spocić się do wykręcenia koszuli, nim ich złapać, zatrzymać. Bo to Czerkiesi nadczarnomorscy, to nie Czeczeńce, nie Dogiestanie, tamte ludy wojenne, dzikie, ale rycerskie, można było się z nimi popróbować. Ale tamci swoich nie sprzedają, ale w jesyr biorą szablą; te narody takie, jakiemi byli dawni Tatarowie Krymu i Budżaku, Sybiru i Kipczaku — ale nie te oberwańce, co to ich Czerkiesami zowią; wojowaliśmy ich, śpiewając i baraszkując, i zawsze powojowaliśmy.

Dziesięć lat jak rybie oko przesłużyłem Białemu carowi, zarobiło się stopnie, byłem majorem i świętego Jerzego mi dano za waleczność, i było trochę grosiwa dawnego i teraz uzbieranego; Bech porosł w pierze. Ale że Bech ptak, nie zwierzę, więc mu się latać chciało. Kiedy mnie Kozacy zrobili ptakiem, trzeba nim było być, żeby zakonowi kłamstwa nie zadać i czarowniczego uroku z siebie nie zdzierać.

Miałem trochę grosiwa i z dawnego skarbca mojej Heleny, i watażkując, uciułało się niemało, bo to chcącemu nie ma nic trudnego, i na wodzie można mieć obfite żniwo, kto ma rozum w głowie; wszystko można, tylko ostrożnie. Przepis i zwyczaj mówi, zdobyte statki spalić, ładunek zatopić, załogę, jeźli nie można zabrać w niewolę, w pień wyciąć. Gdyby palono statki, węgiel i rybom by na nic się nie zdał; toż samo z ładunkiem, ani ołowiu, ani prochu, ani stambulskich rupieci ryby by nie jadły, a karmić je trupami ludzkiemi, możeby to było na szkodę zdrowiu żyjących, którzy je łowią i pożywają. Prawo tego nie przewidziało, ale rozum ludzki przewidzieć mógł i powinien. Udawano się tedy do rozumu i do Żydów, Berdyczowskich czy Brodzkich, których było pełno wszędzie w Kierczu, w Anapie, w Suhum Kale, a nawet w twierdzy świętego Mikołaja i w Dzubie. Z Żydkami tylko się wdać ręka w rękę, zaraz myje i z niemi można iść jak demokraci ręka w rękę, bo u nich, tak jak i u Żydów, przyjaźń przyjaźnią, a rachunek rachunkiem. Ołów i proch Żydzi przedawali Czerkiesom, dla nich to było przeznaczonem, i im się to dostawało; taka wola Boża. Niewolników i niewolnice kupcy Turcy, stambulscy, misirscy, nabywali od Żydów. I haremy na naszych bójkach głodu nie cierpiały, i drzewo sprzedawano temu,

kto zapłacił. Lepiej, że ten towar zostawał na ziemi dla użytku dobrych ludzi, jakby miał gnić w wodzie, albo ulecieć dymem w powietrze. A myśmy dokładali grosz do grosza, i jak kropla wody do kropli tworzyła staw, tak u nas kabzy ładowały się srebrem i złotem. Byłem tedy tant nym panem, i tak się wybrałem w podróż jak przystało na kozackiego majora.

Cztery tarantacze, i w każdym trójka jednomastek, rysak i dwa przystiażne w dartego osła grały, a na duhach poprzywięzywane kałakoły w takt ruchem końskim przegrywały; były i dwa bachmaty czarnomorskie, oba wrone jak kruki, i cztery charty kudłate, dwa sokoły siwe i dwa wyżły bez ogonów i bez uszów, żeby po szuwarach się nakaleczały, zwoszczyki, kozaczki, praczka, kucharka; zebrał się zwód dobry, jechałem tedy dwornie.

W czystym stepie się popasało i w czystym stepie nocowało; pasza i woda darmo. Za ogień też się nie płaciło, a kozaczęta zawsze dostarczyli mięsa, czy to zwierzyny, czy to drobiu, a nawet baranów, bo i to zwierzę; były jagody. Wygodnie się jechało, a tanim kosztem, bo nawet nie trzeba było mówić Bóg zapłać; tak się było jak u siebie. Koczujące to życie, ale pełne swobody i wygody.

Tak przyjechałem do Wielkiego Bechowa. Rodzice już nie żyli, z braci i z sióstr żadne nie pozostało w domowiźnie; jedni pomarli, drudzy pozaginęli się w dalekie strony, tak daleko od Bechowa, jak gdyby byli w grobie. Ale Bechów, i małych i wielkich, była dobra trzoda. Jak się dowiedzieli o przyjeździe pana majora, odstawnego i to Becha, choć to było w czasie żniwa, wszyscy wyszli na przyjęcie i to za wieś o pół mili. Jak zabrzęczały kałakoły, wszyscy chcieli w nogi drała, może to jedzie isprawnik, albo pan stanowy. Ale dziewczęta były najodważniejsze, stanęły choćby do stanowego i czekały, i gromada się wróciła. Kiedy przekonali się, że to jedzie pan Bech, taki jak i oni, opadli mnie, i dawaj całować ręce, ściskać kolana, padać do nóg, a kobiety i dziewczęta całować w twarz, w łysinę.

«Wujaszku, stryjaszku, dziaduniu, pradziadku — ja jestem Koźma, syn Damiana i Urszuli, co to pod zieloną gruszką mieli chatkę; dziadunio musi pamiętać, tuż podle obory pana Ambrożego!»

«A ja jestem Kundzia maleńka, Jagusina córeczka, mama mi mówiła, że z wujciem przewracała koziołki po kapuście i często za tę swawolę dostawali placki w gółkę!»

«A ja jestem Pietraszek, starej cioci rodzoniuteńki synek; ona mi mówiła, że stryjcia pacierza uczyła i targała za uszy jak cielaka, żeby podrastał!»

«A ja jestem stara Basia, którąś nieraz, Bożysiu, pokrzywą chłostał, tak że bąble były po całem ciele!»

Jak zaczęto przypominać, ściskać, całować, tak mnie w uściskach ściągnięto z tarantarza, na ziemi ściskano, obejmywano, popychano, jak wieprza wysadzonego z zada pchają do rzeźni. A malutkie Bechątka jak raczki przyczepiły się do nóg, i szedłem jak gdybym był w dyby okuty. A na tarantarze i w tarantarze powlazili Bechowe, Bechówny, Bechowie i podrostki Bechątka. Na każdym bachmacie siedziało z pięciu Bechów, a każdego charta wiodło po cztery, po pięć Bechówien. Nawet sokołom za berła służyły głowy Bechów, a że wyżły nie miały uszów, więc za kuse ogony je chwytano, i tak szła do wsi karawana. A we wsi bito we dzwony, pop wyszedł z ewangelją, djak z wodą święconą i z cechami. Stare baby i stare dziady niosły chorągwie, chleb i sól. Tak mnie przyjmowano, tak mnie fetowano, jak gdybym był relikwią świętą z tamtego świata; okadzano nawet mirem i bursztynem jak trzej królowie okadzali Zbawiciela świata.

Nie prowadzono mnie, ale popychano do gospody dla mnie przygotowanej, i wepchnięto. A tam stoły zastawione darami wszystkich, co kto miał: kołacze, pirogi, kasze, pieczyste, ryby, miód, łamańce z makiem, kapusty, knycze, mleczywo, śmietana, sery, jagody, jak na wielkanocną ucztę; ta obfitość pokazywała, że gromada wielki człowiek.

Biesiadowano przez trzy dni i trzy noce, do tych dób byłem gościem, jak świeża ryba, już czwartego cuchnie. Trzeba było iść na swoje gospodarstwo — i poszło się na swoje, bo było czem.

Zaraz zrobiłem obrachunek z procentami za gęsi i gęsiory Czopowszczanek i Czopowszczaków, i sam zawiozłem dług do Czopowiec. Wypłaciłem, co się komu należało i na wszystko wziąłem kwity — dowód rzetelności na papierze, bo słowa wiatr, a papier grunt. Dobrą godzinę modliłem

się na grobie pana Rocha, nawet mu krzyż kamienny z napisem na grobie moim kosztem postawiłem, a stamtąd, czysty na sumieniu, bez długu żadnego, nikomu, pojechałem do Owrucza do księży Bazyljanów, ale niestety, już Bazyljanów nie zastałem; na pojezuickich murach jeszcze sterczały kruki, na których pan Jan Wyhowski kazał zaczepiać Wyzuwitów śpiewając:

«Prodam Bar i Rudu,
A zagram Wyzuwitom w dudu.»

I zagrał, osadził na ich miejscu Bazyljanów, ale i tym zagrano w dudy, nie na hak, ale na wędrówkę i powędrowali — w gmachu został proboszcz, na szczęście Bazyljan.

U niego się wyspowiadałem, przyjąłem komunią świętą, złożyłem fundusz na wieczne czasy na dzień świętego Michała, srebrnego archanioła, żeby uprosić szczęście i sławę naszej Ukrainie.

Tak oddawszy ludziom, co się należało ludziom, a Bogu, co się należało Bogu, powróciłem do Bechowa, żeby zostać hreczkosiejem, domatorem; postanowienie było takie, ale widać, że nie taka była wola Boża.

Sąsiedzi, jak na odpust, jak na jarmark, do mnie się zjeżdżali oglądać tego majora Becha, tego naszego Becha — i z wielką ciekawością oglądali, jak obraz cudowny na odpuście, jak szejne katarynkę, albo niedźwiedzia smorgońskiego na jarmarku. Ale trzeba było to wszystko karmić i poić, ich i ich służby i konie. A nie można było zawstydzać ani klejnotu szlacheckiego Becha, ani dystynktorium majora, kawalera świętego Jerzego. Ale ten mus nie był dla mnie przykrym, był on jak przyuka dla pijaka; jak nie było gości, ciągle w okno wyglądałem, nawet do wrót wychodziłem, żeby przyjechali — narzekałem, nie kochają mnie, zapominają o mnie; bierz ich djabli. W głowę się skrobałem, biedząc się, że trzeba pójść po gospodarstwie, żeby czas zabić. Ale jak tylko powóz zaturkotał, a nawet prosty wóz, to humor wracał, podkręciłem wąs, postukiwałem obcasami, rżnąć kury, indyki, warzyć strawy, napełniać butelki, żeby pokazać, że tem dom rad, czem dom wład. Powitania, gawędki, a dla odświeżenia gardło, wypróżniało się kieliszeczki po kieliszeczkach, najwięcej węgrzyna, a nieraz

i szampana. Gawędka, a nieraz i karteczki, z początku na grzywienki, a potem na ruble, a w końcu na petki i na imperiały. Z kabzy srebrny i złoty pieniądz ubywał, a nawet i miedziany do niej nie przybywał, ale na to się nie zważało, zawsze się mówiło, jakoś to będzie i jakoś to było, póki kabza nie zaczęła zakrawać na suchoty. Posprzedawałem trójki, posprzedawałem tarantarze, mówiąc że mi doktorowie dla zdrowia kazali chodzić piechotą; nie piłem wódki, wina, utrzymując że mnie doktorowie wskazali na wodę, na kuracją Prisznica. Ale sąsiedzi niebici w ciemię, zwąchli pismo nosem i odlecieli od mojej chaty jak gołębie od spalonego budynku.

Tą razą na prawdę na ludzi się zagniewałem. Bierz ich djabli — i już ich nie wyglądałem. Rozdałem co miałem, Bechom na szkółkę przeznaczyłem moją domowinę. Żaden nie odradzał mi, żaden nie zapraszał, żebym został — brał i życzył szczęśliwej drogi. Kiedym wychodził z Bechowa, na apostolskich nogach, ani jedna żywa dusza mnie nie wyprowadziła za kołowrot. Pewnie między sobą mówili: Jak przyszedł, tak i poszedł; jak mu lekko przyszło, tak mu lekko poszło. Rzadko który powiedział: Bóg z nim — a gromada pewnie mówiła: Bierz go djabeł!

Tacy są ludzie na tym Bożym świecie, dla czegóżby mieli być inni Bechowie, wszak i oni ludzie?

X.

Szedłem tą samą drogą, którędy szedłem przed laty, w Czopówce nie poznano, ani małego Beszka, ani odstawnego majora. Czopowszczaki podszczuwali psy na dziada, a Czopowszczanki uciekały do chat, by ich dziad w torby nie zabrał; ale że nie prosiłem jałmużny, więc i ręki nie wyciągałem po datek i nie odciągałem z próżną dłonią. Serce trochę bolało, boć to boli, choćby jak, opuszczać swoją domowinę. Ale wołokitska natura brała górę i dodawała otuchy i ochoty nawet. Bogdaj to burłakować, albo kozakować, nie zagrzewać miejsca, od nudy i od żmudy uciekać, nie dać im się przyczepiać do duszy, ruchem się otrząsać, i dalej, a dalej!

Szukałem ścieżek, któremi pędziliśmy gęsi z nieboszczykiem panem Rochem — co krok to przypomnienie, jakaś spalenizna na ścianach, to może gęsie pierze spalone; kijem pielgrzymskim podłubałem ziemię i zdało mi się, że okruszynki kostuszek gęsich, niedojadków Botucha i Chajki, widzę. Mówią, że fortuna kołem się toczy, co dziś na dole, jutro u góry, a zawsze jedną drogą. Tak i człowiek chodzi po jednej drodze, tylko jednego dnia głowa do góry, drugiego oczy w dół, i tak życie nosi, póki je nie znosi.

Już mi tą razą nie cisnęła się w serce i na usta piosnka: Nad Dunaj — ale myśl do starego Kijowa, do tej wszechsłowiańskiej stolicy. Marzyłem o sławnym hetmanie, o panu Piotrze Konaszewiczu Sahajdacznym. Ja Bożysław Bech, zaściankowy szlachcic z Bechowa Wielkiego, odstawny major, wprawdzie kawaler świętego Jerzego, stawiałem siebie obok bohatera pod Chocimem, wodza zwycięzcy i na lądzie i na morzu. O za prawdę! podobny byłem do owej żaby, która widząc jak konia kuli, nadstawiała swoje nogi, żeby i je pokuli. Ale któryż to człowiek, robak mizerny, proch marny, nie równa siebie z dostojnikami świata, z archaniołami, Wielmożami nieba? Djabeł, widać, na przekorę Bogu, ciągle mu szepce: Dla czegóż i ty nie możesz być takim? Słodki to podszept i któż go nie posłucha. I ja kiedy nie mogłem być takim hetmanem jak pan Sahajdaczny, może będę mógł być takim mnichem, Czerńcem, jak pan Piotr Konaszewicz, i choć w tem z nim być podobnym. Szedłem tedy rzeźwo, żwawo, z dobrą myślą, rad z siebie.

Czy jest na świecie człowiek słowiańskiego rodu, chrześcianin, czy muzułmanin, prawosławny, czy katolik, poganin nawet, byle Słowianin — w którymby dusza nie zatrzepotała się, jak do wylotu, na podzwon kijowskiego dzwona, któregoby oczy nie topiły się w widoku starego Kijowa, tego grodu srebrnego archanioła, wodza i opiekuna Bożego słowiańskich dusz, tej domowiny Białego cara, tego namiestnika Bożego nad słowiańskimi ludźmi, nad słowiańską ziemią?

Kiedym zobaczył ten słowiański gród, tę stolicę Słowiańszczyzny, padłem na kolana i modliłem się, i w Kijów jak w tęczę patrzyłem. Burze życia szły w zapomnienie, z chmurami, z wiatrem, który poganiał chmury, a przedemną Kijów, tęcza, spoczynek i zbawienie.

Jak świat zaszarzał mrokiem przednocnym, powstałem na nogi i szedłem prosto do miasta, żeby nie patrzeć na mamony światowe, nie oskomić duszy i serca do pozostania na jasnym świecie — burłakiem, Kozakiem, bo czułem, że to mi jeszcze nie wyszumiało z chcenia, z chwilowego życzenia, stłumiłem wolę, stłumiłem dumę: zostaniesz takim jakim był pan Piotr Konaszewicz.

Przeszedłem mimo złotej bramy, ale nie szukałem nawet okiem szczerbca szabli Chrobrego, ani na ziemi śladów kopyt rumaka Śmiałego. O moje wy Bolesławy, jedyni z królów polskich Słowianie! I oni chcieli Kijów na stolicę, bo to stolica słowiańska, a oni chcieli być królami słowiańskimi. Dzielne było z nimi rycerstwo: Jastrzębce, Jelity, Szreniawy, Nałęcze, Stare konie, Doliwy i tysiące ze znakami herbowemi, z sercami słowiańskiemi, z polskiemi szablami i kopjami. Wszystko to przeminęło w podaniu polskiem jak sen uroczy, jak sen sławy i potęgi, i już się więcej nie powtórzyło. Polacy poszli wstecz Bolesławów drogi, na niemieckie pokłony, na niemiecką niewolę, i Bóg w słusznym gniewie i stary Kijów i starszą jeszcze Słowiańszczyznę oddał Białym carom. Święć się Jego wola, a Polaków spotkała zasłużona niedola.

Wszedłem na Peczerskie, przed carskim sadem, obszar jak step, do koła po domach, i po placach w latarniach światła jak wilcze oczy po prawdziwym stepie migają. Niebotyczne drzewo carskiego sadu to jak niebotyczna paszcza, mocniej się czerni na już czarnem sklepieniu niebios. Znałem Kijów — po placu krzyżują się we wszystkich kierunkach dorożki, trójkami i dwójkami, jakby z kulikiem polowano na wilki błyszczące oczyma, a zwoszczyki zawodzą dzikim a dźwięcznym głosem, i jeden drugiemu podaje, żeby głos się nie urwał. To ruch, to życie, do życia i do ruchu zachęcały, a nie do spoczynku — a mnie się chciało być Sahajdacznym mnichem. Śpuściłem się szybko do Pieczarskiej ławry.

Noc była, bramy zamknięte, śpią ludzie jak śpi świat Boży, siadłem pod orzechem, może pod tym samym, pod którym siedział mnich Sahajdaczny, wyglądając Asawułę przed wyprawą Chocimską; może pod tym samym, bo o skały nogi opierałem, u podnóża skał mył Dniepr kozaczy.

Mył, ale jak myje gniewna matka kapryśne dziecko, pluskał i chlupał wodą, i odbryzgi tryskały z szumem w górę, nim wróciły w koryto rzeki.

Dumałem o starych dobrych czasach, i zasnąłem, ale we śnie znowu zmarа: zaraza dzieci jedno po drugiem brała, czworo wzięła i żonę; a ja zostałem ich grabarzem — kopię ziemię oboma rękoma, a z obydwóch oczów łzami ją zraszam, kiedy się nagle obudziłem.

W cerkwi, w ławrze pieśń grobową pieją, a słońce z Dniepru wychodziło, jak gdyby w nim się kąpało. W cerkwi śpiewano: Hospody Boże, Hospody Welyki, Hospody Bezsmertny pomyłuj nas — i ja powtarzałem: pomyłuj nas. I pomiłował — bo po tym śnie, po tym śpiewie tak się zrobiło w duszy błogo, że już ani żdźbła żalu nie było za światem i wszedłem do domu Bożego. Pokłoniłem się przed Ihumenem, uderzyłem czołem o ziemię, wielki ze mnie grzesznik — spowiadałem się i po spowiedzi, po chlebie, po winie, krwi i ciele Zbawiciela, zostałem mnichem Czernicem, na moje własne żądanie przeznaczony do służby w pieczarach.

Z dobrej woli chciałem się zakopać w monasterze, w tej podziemi świata, bo już na świecie nie szło mi w smak, wszystko, i w sercu i w duszy, obracało się na opak, i żal i nuda ciągnęły od świata, a fantazja szlachecka dokazała reszty; bo u szlachcica wszystko inaczej jak u ludzi, inaczej życiem zasypia, inaczej się życiem budzi — trzeba było zasnąć, kiedy szlachta schyrlała na proletantów. U nas w Owruckiem, w starym Kijowie, gdzie zgliszcza złotej bramy jeszcze stoją, gdzie Dniepr jeszcze pieśnią na cześć Konaszewicza szumi, gdzie w powietrzu brzmi jeszcze butność lasza, kozacza sława i ruska swoboda nasza — Żydom i Niemcom i wszechcudzoziemcom ziemię praojców ustępuje, z dobrej woli czy z musu, tu mu wszystko jedno. Bechowi z taką szlachtą nie żyć, Bechowi nie być ani Żydem, ani mieszczaninem. Kiedy nie może być królem, niechże będzie Kapucynem, a kiedy i na to nie stanie, kiedy Bech szlachcic nie może być w świecie niczem, niechże zmyka z tego świata; takem pomyślał i takem zrobił — słowo się rzekło i stało się czynem. Pół dnia do Pana nad Pany modły wznosiłem, a drugie pół dnia po nad Dnieprem się włóczy-

łem, i tak przeszła roku połowa, dla ludzi ani jednego spojrzenia, ani jednego słowa. Myśl obudzona i myśl senna były dla Boga, co w niebie i dla Ireny pod ziemią.

Wstyd, a jednak z całą skruchą, z całą pokorą wyznać muszę, że więcej się mi chciało jechać do Tinos, jak na tamten świat, choćby nawet do nieba.

Tak sobie sumowałem i chodziłem po wielkim grodzie, z ulicy na ulicę, strzelając okiem na strony, a poziewając, jak to mówią, na złapanie wrony. A był to czas jarmarkowy: pełno szlachty na ulicach, a gwarna rozmowa. Jeden mówi, że pałac ojców przerobił na cukrownię, drugi, że z matczynej oranżerji sporządził browar; ten, że rajtszulę, w której praojcowie gonili na palcaty, gdzie wyjeżdżali dżumety i bachmaty, oczyścił, przyrządził na składy buraków; ten, że praojcowskie pałasze, miecze i dżyryty jako z dobrej stali przerobił na szczypce i łopaty do rafinerji. A każdy prawił o wieku realnym, o realizmie, o specjalizmie i o Bóg wie jakich nowych pomysłach, że trzeba się rozstać i z dawnemi mrzonkami i z dawnemi pamiątkami; trzeba być technikiem, żeby wiedzieć co robić. Że technik wykazuje trud i kieruje trudem, a trud daje dochód, i kto ma pieniądze, ten ma realną, nie idealną zasługę, ten ma otwartą drogę do urzędów i do narodu względów. Co tam gadać o rycerstwie, o sławie, o poświęceniu się; to czcze dymy, a dym ulatuje i nic po sobie nie zostawia — nawet dobrego imienia, bo na cóż to imię, kiedy pustki w kieszeni? Każdy spojony ruszy ramionami: — Szkoda, przemarnował życie, żeby się był trudził realnie, byłby miał kawałek chleba na starość. Bieda, żal — choć mam, to mu nie dam, bo kto wie co jutro będzie: może jaka spekulacyjka, trzeba być na pogotowiu; teraz każdy za siebie i dla siebie, teraz realizm panuje nad wszystkiem. Trzeba być technikiem realnym, żeby być uważanym i poważanym, trzeba mieć pieniądz, pobłyskiwać nim, pokazywać go, ale nie dawać, to więcej uroku wywiera się na serca obywatelskie; każdy myśli: ma, może mnie da — i nadskakuje i służy, sprawdza przysłowie: Kto ma pobrzękacze, ten ma i posługacze. Dawać, to się odwraca od siebie udatkowanych myślą, więcej nie da, już dał i niemiecką wdzięcznością płacą za dar — lepiej na to się nie narażać. W tem wszystkiem, co słyszałem, było i

wiele prawdy, i zapewnie tak być musiało, kiedy ogólnie o tem i w ten sposób mówiono — a vox populi vox Dei. Ale dla mnie, dla Becha, szlachcica czarnobylskiej dzielnicy, dla Kozaka, to było ckliwem — więc unikałem spotkań się i stosunków z technikami i realistami. W monasterze, w pieczarach było nudno, smutno, nawet przy uroku naśladownictwa Sahajdacznego Konaszewicza — nie wystarczało to, żeby żyć, a nie tęsknić. Włóczyłem się tedy po ulicach i po okolicy.

Jednego dnia na askoldowej mogile zdybałem dwóch mnichów, nie kijowskich, znane mi twarze, znane postawy — patrzę, wpatruję się i poznaję. To dwaj mnichy z Białokrynicz, ze starobradzkiego monasteru w Galicji: Ojciec Paweł i Ojciec Olimpi. Znałem ich na Górze Świętej, gdzie u nas gościli przez miesiąc cały. O Starowierzu rozprawiali z Wasylem, i zyskali u niego wielkie zachowanie tem, że uznawali papieża rzymskiego za pierwszego patrjarchę kościoła Chrystusa, a obok niego patrjarchów carogrodzkiego, antiochańskiego, aleksandryjskiego i jerozolimskiego, i według Starowierza nie czterech ale pięciu patrjarchów składało namiestnictwo, sobor, Chrystusa Pana na ziemi. I taki tylko sobor z pięciu patrjarchów mógł rozstrzygać rozprawy i nadawać nowe ustawy, zmieniać i ulepszać stare w kościele Chrystusa. Choć w Wasylu burłactwo i Kozactwo sterało wiele z dawnych ubiegłych wrażeń o wierze i o kościele, jednak zostały jeszcze ślady nauki matczynej o kościele katolickim, apostolskim rzymskim i o papieżu, Ojcu świętym, głowie widomej tego kościoła. Z rozrzewnionem sercem słuchał uznanie za pierwszego patrjarchę głowy kościoła katolickiego rzymskiego i uszanował tych uznawców czcią i braterską miłością. I ja uznałem, jak za panią matką pacierz, bo on mi był matką w wiedzy i rozumie.

Powitanie nasze było serdeczne, braterskie, bo między Kozactwem, choćby jakich wyznań, a Starobradztwem jest braterstwo święte, choć niepojęte; toż samo udalstwo tułactwo, toż samo poświęcenie się i taż sama gromadna spójnia i siła. Poszliśmy nad sam Dniepr i tam na brzegu, przy dziwnych rozgłosach wody swarzącego się i gniewnego Dniepru, bałakaliśmy aż do wschodu słońca — ale o chrystusowej wierze i o chrześciańskich ludach. Oni udawali się

w objazd wszystkich Słowian wyznania Chrystusowego — do jakich kościołów by oni nie należeli. Byto to votum zakładnicze monasteru białokrynickiego, co trzy lata taki objazd odbywać. Najprzód udawano się do starego Kijowa po podarki dla ludu Chrystusowego — do starego Kijowa, tej jedynej i pierworodnej stolicy chrześciaństwa słowiańskiego, odświeżać święte wspomnienie świętego grodu Słowian, żeby o nim nie zapomniano, bo Kijów jest i będzie po wiek wieków, do skończenia świata duchową stolicą Słowian.

Zapytali mnie:

«Czy woła z nami — Panie Bechu — panie Kozaku?»

«I dla czegoż nie — kiedy kozakować, to kozakować, czy to szablą tępić wrogów wiary Chrystusa Pana, czy to pokrzepiać Jego świętą wiarę słowem i podarkami; wszystko to oznacza dopełnienie obowiązku zakonu kozackiego — więc jadę!»

Zaraz zebrałem swoje manatki, niewiele ich było; którakolwiek z panien Bechówien, Czopkowskich, lub Waćkowskich w węzełek by je zabrała, bo to skrzętny i oględny ród — ja wpakowałem w worek i byłem gotów.

Nie mieliśmy iść pieszo, jak pielgrzymi za odpokutowanie grzechów, ani konno, jak Kozacy na pełnienie nowych grzechów — ale jak skarbnicy i szafarze białokrynickiego monasteru, swoim własnym pociągiem, ale nie furgonami, lecz talerzami, zaprzężonemi po jednym koniu, ale po koniu kacapskim, u którego kapy jak najświętszy talerz, łeb jak beczułka, a kloc jak u słonia; z tej porody, którą Piotr Wielki udarował Rosją, której każdy członek trzysta pudów jak nic pociągnie — i z jednej trójki myszaków, zaprzężonej do tarantarza, dla nas, składała się nasza karawana.

Na telegach były ewangelie prawosławne, moszcze, czyli kosteczki, relikwie świętych i błogosławionych Pańskich, pierścionki srebrne świętej Barbary, woda święcona z Dniepru, książki do nabożeństwa, psalmy, olej świętego Jana, krzyżyki, medaliki i paciorki święte. Wszystko to dary kościoła starowierskiego innym bratnim kościołom prawosławia w roku takowe wysyłano. A dwie telegi były pełne obrazów świętych kijowskiej szkoły, na drzewie pełno złota, srebra i jaskrawych barw. Kosztowne to i drogie dary dla serc i dusz prawowiernych. Piękny to zwyczaj starowier-

skiego kościoła, przechowany od wieków, żeby rok rocznie dzielić się z maluczkiemi i wielkiemi kościołami, temi skarbami wiary. Łamano się niemi jak w kościele łacińskim opłatkiem w wigilją narodzenia Bożego.

Pięć teleg, z czubem wyładowanych, każda po jednym koniu, w hołoblach, z dubą; jeździliśmy od sioła do sioła, od kościoła do kościoła; wszędzie składaliśmy podarek i oddawaliśmy pozdrowienie od starego, od świętego Kijowa — od Kijowa słowiańskiego.

Rzemiennym dyszlem wędrowaliśmy jak Bernardyni, jak Kapucyni po kwescie, ale nie po kwestę za baranami, za groszami, za jarzyną, za leguminą, ale z darem serca i wiary, po kwescie braterstwa serca i wiary.

Rok cały tak przejeździliśmy, nim dojechaliśmy do Świętej Góry — a co to się widziało krajów, co obyczajów, co dziwnych rzeczy, tegobym nie spisał nie tylko na wołowej, ale nawet na słoniowej skórze.

Na naszem Podolu miodu i mleka pełno jak dawniej, ale nie była to już kraina śpiewana przez Trębeckiego — płynąca miodem i mlekiem. Kosztowałem wody, w żadnej nie znalazłem słodyczy miodu; dobrze im się przypatrywałem, nigdzie nie dostrzegłem białej barwy mleka. Ale mleko było w hładyszkach, a miód w plastrach; więc trochę się zmieniło, ale zawsze jeszcze toż samo było.

Na Czerwonej Rusi, nad Dniestrem, nad Dunawcem, nad Zbruczą było czarno, ale za to za Sanem, między Mazurami i Krakowianami było czerwono: wyuczeni przez Niemców salbierstwa, krwią szlachecką zaczerwinili sioła, grody i ziemię całą — na złość Rusinom, żeby nie byli czerwonymi, a ich Ruś czerwoną, ale żeby sobie zawłaszczyć tę przezwę i tę barwę. Ruś i na to przystaje i wyciąga ramiona do Białego cara, bo tam nie czerwienią czambułem Bożej szlachty. Boże świeć im na szczęście, na sławę!

Za Karpatami była wojna i na dobre: Madziary wzięli się z Niemcami za czuby, Polacy przyszli w pomoc Madziarom, bo to bratanki, do szabli i do szklanki. Kroaci stanęli przy cesarskiej chorągwi, i Słowianie żarli się między sobą, póki wojsko Białego cara nie położyło temu końca. I Madziary i Polacy umknęli do Turczyna w gościnę, a cesarz wiedeński urządzał porządek u siebie, i dobrze go

urządził. Żal mi było tej szlachty polskiej, że tak się marnuje po błędnych bezdrożach; klęli ich Słowianie i przepowiadali, że jak który Madziar, oberwaniec od stryczka, uchowa się, a wyjdzie na Welikana, to ich rozbrata i rozpolaczy, żeby w cudze sprawy się nie wdawali i nie walczyli przeciwko swoim Bóg wie za co i po co. Przypomni im Huniada i Warneńczyka, że nie iść Polakowi z Madziarem w jednej parze, jak nie iść psu i kotowi na jednej sforze. Co Bóg rozprzągnął, tego człowiek nie sprzęże, choćby jaki miał niemiecki rozum; trzeba się trzymać swojej krwi, swojego rodu: kiedy Pan Bóg stworzył Słowianinem, trzeba Słowianinem być i ze Słowianami w parze żyć, przeciw wodzie nie płynąć, nie iść przeciw woli Bożej.

Jeździliśmy po Serbji, po Bosnji, po Bułgarji, przypominaliśmy słowami i podarkami stary Kijów, kolebkę wiary chrześciańskiej w Słowiańszczyznie, skąd słowa Cyryla i Metodego niosły się po słowiańsku między słowiańskie ludy. Piękne to ludy, a każdy inakszy; u Bośniaków szlachta rodowa taka dawna jak u Polaków, buńczuczna, bundiuczna, górnej fantazji, szlachta amarantowa; księża Franciszkanie rozumni jak Jezuici, jak Pijarowie, a narodowi jak Bazyljanie. Lud chrześciański i muzułmański ochoczy do konia i do szabli, do bijatyki i do pijatyki jak nasze Kozaki, i u nich jest Ukraina jak nasza Ukraina. Serby to samoluby, rozumni jak Humanów, z cudzego woza biorą, a na swój kładą, jak dobrze wyuczone dzieci, chleba powszedniego chcą, a piroga nie porzucą, a kochają swoją ziemię, swoją domowinę jak siebie samych; choćby jaką łakocią nie wywabisz ich od siebie, jak dobre ogary, kiedy ich podróżny myśliwiec nadybie w kniei i wabi kołaczami, i kołacze zjedzą i za wozem nie pobieżą. Krzepią się w rozum, krzepią w siły, pieniądz zbierają, a czekają, póki nie przyjdzie czas, nie wyrywają się naprzód jak szlachta, ale i nie zostają w tyle, w środku się trzymają.

Bułgarowie, to tabun koni bez ogiera powodyra, trzymają się kupy, bo to huńskie plemię, choć zesłowiańszczone; nie rozbiegają się na strony, tylko razem, razem, ale nie idą naprzód, bo nikt ich nie wiedzie. Ale jest u nich i wiara, i cześć i sława, tylko przybita; ale to są centaury, jak na koniu, to pół konia i pół człowieka, czyli jedno serce bije

w jeźdzcu i w koniu jeden duch ich ożywia; czekają na jakiegoś Atylę, a byliby jeszcze raz biczem Bożym.

Jeździliśmy między Czarnogórcami, między Uskokami; do Morlaków, do Dalmatów wstępowaliśmy w odwiedziny. Czarnogórce patrjarchę na księcia przerobili, i pod jego berłem swobodnie, udzielnie żyją. Uskoki po górach i borach nie na zwierza, ale na ludzi polują. Morlaki Szwabom popasu nie dają, a Dalmaty wożą się po morzu, nie na swoich, ale w cudzych nawach, nie panami, ale najmytami — ale wszyscy wiedzieli o starym Kijowie; praojcowie modlili się przed kijowskiemi obrazami i prawnukowie przed niemi się modlą. Przez obrazy kijowskie chcą wymodlić pożałowanie, pomiłowanie i łaskę u starego Kijowa, bo to carski, słowiański gród, gród Białego cara.

Takeśmy się włóczyli przez rok cały, dobrze jedli, dobrze pili, była i wygoda i swoboda, nikt nam w drogę nie zajechał — bo choć Ojcowie potulne gołąbeczki, trusili na widok Szwaba, albo Turczyna; ale był z nimi pan Bożysław Bech, major, kawaler, Otuzbir, Kozak i polski szlachcic, który sobie nie dawał pluć w kaszę, nie dał sobie dmuchać pod nos nikomu, ale sam byle co każdemu dmuchał w ślepie. Pana Becha szanowano, bo się go bano.

Ojcowie przedemną na łapkach skakali, bo byłem ich patronem; wiem, że do Kijowa pisali, że tak się sprawuję, tak wiernie służę, że wart jestem być błogosławionym, gdybym był im na nic niepotrzebnym, toby mnie byli oświęcili przed czasem; taką bogobojną miłością płonęli ku mnie. Modlili się nie tylko o mnie, ale nawet do mnie, a posługiwali mnie, jakby chamskiem poczuciem tknięci, służyć panu i szlachcicowi. Spanoszałem i byłbym tak się włóczył po wiek wieków, gdybyśmy nie byli dojechali do Świętej Góry. Zajechaliśmy wprost do ruskiego monasteru; nad samem morzem, na skale zaczepiony, wspaniały jak pałac króla, a w nim cały pułk mnichów, ruskie chłopy, chłop w chłopa, aż miło popatrzeć, jak zabrzmią pieśń do Boga Jedynego, albo do Matki Dziewicy, to srebrny archanioł z nieba w obłoki wylatuje, a święty Piotr podwoje nieba na rościerz otwiera, żeby Pan Bóg lepiej mógł słyszeć śpiew słowiański na swoją chwałę.

Tam zostawaliśmy się na spoczynek i opływaliśmy we

wszystko, czego dusza zachciała: w morskie ryby, w zwierzyny, w zamorskie wina i we wszelkiego rodzaju bakalje.

Ojcom zachciało się do Jerozolimy; chcieli być hadżemi, pielgrzymami, a mnie to było nie na rękę, bo choć to święte miejsce, grób pański, ale żydowskie miasto, od wieków przesiąkło zapachem żydowskim. Jak wiatr powieje, o dziesięć werstw czuć nosem Żydostwo, a ja takie mam drażliwe nerwy, że Żyda poczuję choćby przebranego w purpury, słabo mi i na nudy się zbiera. A nie chciałbym chorować, bo póki człowiekowi zdrowie służy, to można nie dbać o nic, ale jak choroba zawita, to wówczas ze wszystkiem kwita, trzeba kawęczyć, męczyć się i umierać jak chyrlak, a nie jak Kozak, któremu zdrowa dusza ze zdrowego ciała z kopyta się wyrywa, a niechorowana wyłazi ze schorowanego ciała. Wyprosiłem się od tej podróży. A że na Świętej Górze byli monachy ze strzyżonych świń, więc z nimi się zabrałem i pojechałem odwiedzić to bractwo kozackie; kiedy się włóczyć to włóczyć.

XI.

Na stronie azyjskiej, nad jeziorem Manioskiem, o pięćdziesiąt werstw od miasteczka Erdek, a o trzydzieści od miasteczka Banderma, mieszkali Nekrasowcy, czyli Kubańcy, a jak oni sami siebie zwali: Wojsko Ihnata Nekrasy. Kozaków sama szlachta dońska i patentowa i herbowa. Kiedym przyjechał między nich, na wojnę się wybierali, wrone koniki siodłali, jasne szabelki ostrzyli, a postrzemienne haust po hauście pili — i ja z nimi piłem.

Chwaccy to byli te Ihnat Kozaki, granatowe czunie, czerwone kołpaki, czworograniaste czapki, jak u hetmańskich na Ukrainie, w większej części same młokosy, krew dobra, męstwo lat nie czeka, dżyguny śmierci nie znają, więc się śmierci nie boją, w bój idą jak w taniec. U nich bułaty damasceńskie, korozany, a pod niemi dżamety; za każdego śmiało zapłacić można czapkę złota z góry, bez strychowca, a tak końmi harcowali, jak gdyby balet tańcowali. Oj Kozaki to Kozaki: czerwone kołpaki, przez plecy nahajki, a w niektórych u siodeł bałabajki; bułatem siecze, w bałabajkę brzęczy, a głosem pieśń pieje; takie to manioskie Ko-

zaki. Na wojnę pojechali, bo tak sułtan kazał; a to ich padyszach, oni mu służą z prawdą i z wiarą, jak przystoi na wojsko Ihnata Nekrasy. Starców, niewiasty pożegnali i na wojnę pojechali; dzieci ich wyprowadziły w step daleko, a ja zostałem ze starcami i monachami.

Serce mi bolało patrzeć jak ta młódź raźna, ochocza biegła na wojnę przeciw swoim, przeciwko swojej krwi, przeciwko swojej wierze. Praszczurowie to tych harcarzy, którzy na kulikowskich polach, z Dymitrem Dońskim, pokazali hordom Dżengiskana i Timurlenga, że nie iść im dalej, że Rosja słowiańska pokaże koniec ich zagonom, że szlaki ich czambułów pokryją się kłosistem zbożem, jaskrawem kwieciem, że lud po siołach nie będzie ze strachem wyglądał Tatarów i uciekał od nich w stepy, w lasy, ale będzie siedział w domowiznie, w praojcowskich zagrodach i chwalił Boga Jedynego i Białego cara słowiańskiego.

Praszczurowie to tych buńczucznych i bandiucznych harcarzy Jermaka, którzy świat Sybiru garstkami rycerstwa zawojowali i dziwne ludy i dziwne kraje wierze chrześciańskiej i słowiańskiemu carowi w panowanie oddali.

A ich potomkowie, Ihnackie Kozaki, noszą czerwone kołpaki jak ich praojcowie nosili, ale nie idą drogami jakiemi tamci chodzili. Serce mi bolało, nie dla tego, żebym ja Bożysław Bech miał być rozumniejszym, albo skuteczniejszym od innej szlachty polskiej, o nie! I we mnie grają narowy rodowe; ale tyle się nawłóczyłem po tym Bożym świecie, tyle się nasłuchałem, tyle widziałem, że uznałem, jak uznaję Boga Jedynego i Syna Jego żywego i Ducha Świętego — że nie masz prawdy słowiańskiej, tylko w starym Kijowie, prawdy chrześciańskiej, tylko w ławrze pieczarskiej, i prawdy władzy, tylko pod panowaniem Białego cara.

Ale gorzej mi serce jeszcze zabolało, kiedym przybył do Carogrodu; z kornem sercem, z korną duszą szedłem kłonić się sofijskiej ławrze Carogrodu, dziś meczetowi Aja Sofji Islamu — aż tu, oko w oko, spotkałem się z hufcem konnych. Patrzę, przypatruję się — nasze ukraińskie, zaporoskie Kozaki: kontusze na wyloty, karmazyn na żupanach, baranie czapki i krasne kołpaki, przy bokach jasne szabelki, a w dłoniach spisy z proporcami, czerwony mak nad głowami. A pod nimi arabskie dżamety, arabskie z pustyni,

a same źrebce, oczami jak brylantami błyszczą, nozdrzami ogień zieją, ledwie kamieni kopytem dotykają, w powietrze chcą lecieć. Przed hufcem jechał ten sam Lach Jednokiszki. On im hetmanił; atamańska u niego mina, bo też to atamańska dziecina, ale pod trop goni, szkoda imienia, szkoda sławy, wszystko na marne imię pójdzie, bo ani w zasadzie, ani w celu nie ma prawdy.

Poznałem i naszą chorągiew kozaczą, Doroszenka, Mazepy, ta sama, którą po raz pierwszy widziałem nad śmiertelnem łożem hetmana Lacha, tego sławnego koszowego pana. I on marnie zeszedł z tego świata, i kosz na marne imię poszedł, bo i on i młodzce byli w nieprawdzie — nieprawdy wiatr i teraz tą chorągwią powiewa, złoty krzyż Zbawiciela krył się w fałdach srebrnego pola, tak że go i widać nie było, a srebrny księżyc Islamu błyszczał na czerwonem polu, on przywodził chrześciańskim harcarzom, jak przywodził pod Orlikiem; szkoda i wielka szkoda, jak było tak i będzie. Przeszli te Kozaki, te nasze junaki, a ja w miejscu stałem i żałowałem, a nawet gorzko zapłakałem.

O nie pójdę ja na Dunaj, patrzeć na te bratobójcze bójki, serce by mi pękło, choć szlacheckie. Smutno mi było; trzeba było klin klinem wybijać. W przystani zdybałem statek płynący do Tinos, z solonymi Grekami sam popłynąłem.

XII.

Dziwne to stworzenie ten człowiek; tyle smutku, tyle rozpaczy i tyle żalu miałem na tej wyspie. Tam zakopałem moją młodość, moje szczęście, a jednak z upragnieniem wyglądałem tej ziemi, gdzie mi przed nieszczęściem tak dobrze było. W przypomnieniu przeszłości, jeźli człowiek ubiegłego nieszczęścia nie zapomina, to jednak jego wspomnienie zdaje mu się jeszcze czynem od tego co ma, choćby to co ma, nie było zupełnie złe; ale co było to minęło. A szczęście, a dobre dnie tak jasno, tak żywo wracają do pamięci i stoją w niej słodkiem, lubem, uroczem wspomnieniem. Dziwnem to się zdaje temu, który nie kładzie na szalę, że przeszłość była złączona z młodością, a teraźniejszość idzie w parze ze starością. Młodości kwiat i po burzy jeszcze się rozwija i jaśnieje, a kwiat starości sam z siebie więdnie i opada.

Ja pielgrzym, pokutnik, wystroiłem się w co najlepszego miałem, wyczesałem brodę, wymuskałem wąsy, jak gdybym dawny szlachcic owrucki, Bech, miał się stawić przed Jaśnie Wielmożnym opatem księży Bazyljanów owruckiego, pojezuickiego klasztoru, nawet zaczepiłem na sukni moje kawalerstwo świętego Jerzego.

Ledwie przybiliśmy do brzegu, zaraz wyskoczyłem na ziemię, znanemi ścieżkami ominąłem wieś i szedłem wprost na smętarz. O jakże pięknie było na tych grobach, i one widać przybrały się do mnie w co miały najśliczniejszego. Na grobie mojej Heleny cztery wierzby płaczące liściami jakby łzy spadały na biały marmur, a do koła marmuru jasminy białe i róże, a całe w kwiecie. Około tego grobu cztery grobiki moich małych dzieci, kołem każdego pełno róż kwitnących i po cztery rozmarynowe drzewa po rogach; rozmaryny, drzewa niewinności, miłe Bogu, miłe ludziom. Najprzód się pomodliłem na każdym grobie, a potem siadłem i z grobu na grób okiem wiodłem, i zdało mi się, jak widzę każde z moich pięciu drogich istot: w grobie spoczywają i witają mnie uśmiechem na licach. Tak mi dobrze było, że zapomniałem o Bożym świecie, a cieszyłem się moją żoną, mojemi dziećmi, z niemi żyłem. Tak dumałem, tak się radowałem i błogo zasnąłem. We śnie lubowałem się z tą moją ulubioną rodziną; Bóg mnie uszczęśliwił.

Kiedym oczy otworzył, już słońce nad ziemią błyszczało i obok siebie zastałem kobiałki ze strawą i dzbanki z wodą i winem. Dobrzy ludzie mi je przynieśli, ale tak żeby mi nie przerywać ani snu, ani rozmyślania; oni odgadywali, że tu moje szczęście. Dobrzy ludzie ci Grecy, oni kochać umieją.

Już nie pamiętam, jak długo przebywałem na wyspie, ale przebywałem długo. Lepiej tam było mojemu sercu jak gdzieindziej; ludzie okazywali mi współczucie bez ciekawości, nikt mnie nie pytał, skąd przybywam, co robię i dokąd myślę się udać. Oni rozumieli życie mojego serca, bo sami mieli serca. Kochali swój kraj, kochali choć nienawidzieli, gwałtownie wszystko czuli, bo mieli wzniosłe dusze, gorące serca — o ileż oni mnie dobrego zrobili, Bóg im zapłać!

Tak mi płynął czas, i nie było nudy, nie było troski, kiedy jednej nocy, kiedym spoczywał wśród moich grobów, we śnie, ale tak jakby na jawie — stanęła moja żona, a

przy niej czworo dzieci, wszyscy w bieli, dzieci jak aniołki Boże, jasne oświetleniem główki, a żona, piękna moja Palikarka, lwica dawna, teraz była taka słodka, łagodna, choć zawsze dumna jak błogosławiona Pańska — dotknęła mnie ręką, aż moje serce ku niej zadrgnęło, i głosem arfy wypowiedziała, a raczej wyśpiewała mi: «My już jesteśmy w raju Bożym i na ciebie czekamy, nie trać czasu!»

Czworo było dzieciątek: dwóch synów, Michał i Jerzy, dwie córki, Marja i Anna; wszystkie czworo mnie rączkami dotykały.

«My w raju, ach jakże to tam dobrze; przyszliśmy po ciebie, przychódź prędzej, będziemy razem!»

Głosik ich brzmiał słodko w moich uszach, tak mi było słodko, tak uroczo, że chciałem wstać i iść — ale kiedy otworzyłem oczy, zdało mi się, że pięć postaci ludzkich, jak białe ptaki, wyleciały z grobów i leciały w górę, w górę, pod same słońce, i zniknęły mi z oczów w promieniach słonecznego światła.

Padłem na kolana, dziękowałem Bogu — z grobu moich dzieciątek wziąłem po gałązce rozmarynu, z grobu żony gałązkę wierzby płaczącej, róże i kwiat jasminu. Oto je macie, widzicie jak dobrze zachowane, jakby wczoraj zerwane, to znaki wyraźnej woli Bożej, że mi wolno spieszyć do moich. Urwawszy te pamiątki, długo jeszcze żegnałem na kolanach moje groby, całowałem drzewa, całowałem kwiaty, marmury, ziemię nawet, potem nagle wstałem, bo mi w uszach brzmiało: — Spiesz się, już czas!

U dobrych ludzi, bo to byli dobrzy ci Grecy, nabyłem łódki z żaglem i z wiosłami, i sam powoziłem się po morzu; po tem wzruszeniu, jakiego doznałem na wyspie, trzeba było tej podróży, żebym przyszedł do siebie.

Bóg mnie widocznie prowadził do mojego przeznaczenia, kilkanaście dni byłem na morzu, sam jeden, i ani razu burzy, ani razu ciszy. Wietrzyk podymał w żagle, a ja siedząc u rudla, dumałem i kierowałem łódź na wolę Bożą.

Przejechałem Dardanele, jak po szkle ślizgałem łódkę po powierzchni Białego morza. Nie wzięła mnie chętka wstąpić do Carogrodu, ciekawości nie miałem; przejechałem Bosfor i znalazłem się na Czarnem morzu. Nasze to morze, bo groźne, hulaszcze, jak kiedyś był zakon nasz. Nasze to morze, bo już na nim zdybywałem czajki kozacze, i w huku

wichru homoniła po niem pieśń kozacza. Po drodze od naszych się dowiedziałem, że już po wojnie. Siła złego, wielu na jednego: Anglicy, Francuzi, Niemcy Szwaby, Madziary, Włochy, Turcy, Araby — ludy z azyjskich krain, z całego Zachodu, Słowianie nawet, jedni z musu, drudzy z szału, z błędu, rzucili się na wojsko Białego cara, a wojsko carskie samo słowiańskie. Nieufni w sobie, by mogli stawać boje w czystem polu, bo na to trzeba rozumu i sprytu cara Bożego i mężnego serca, zmiejscowali wojnę, oblegli Sebastopol, jak niegdyś Grecy oblegli Troję. Wielka armada na morzu, wielka siła wojska na lądzie, z książki podkopywali się pod twierdzę, z książki harmatami rozsadzali mury, natracili krocie ludzi, miljony złota, nałamali murów, nie zdobyli się na szturm, żeby wziąść cały Sebastopol, część tylko zniszczyli, spalili. Nastąpiło zawieszenie broni, a potem pokój; jak przypłynęli, tak odpłynęli, ale nie wszyscy. Pojechali kończyć piórem na papierze, czego nie zdołali bronią na ziemi.

Wojska Białego cara, zwycięskie na azyjskich polach, jeden przeciwko dziesięciu, pokazały światu, co to mogą dziarscy pułkowódzce, co to mogą odczajdusze rotnicy. Laury te zwycięskie, uzbierane na polach sławy, osłodziły ostatnie konanie Wielkiego cara.

Nowy car udarował pokojem świat cały, i mógł go obdarzyć tym darem bez uszczerbku sławy, bo napad półkuli świata odparła zwycięsko sama jedna Rosja. Cześć jej między słowiańskiemi ludami, cześć jej w Białej Moskwie, cześć jej w starym Kijowie!

Kiedy tak się wszystko skończyło, to chwała Bogu; chwała świętemu Michałowi, archaniołowi; chwała świętemu Jerzemu, rycerzowi; chwała świętemu Mikołajowi, opiekunowi Rosji; chwała świętemu Andrzejowi, patronowi Słowian; chwała świętemu Aleksandrowi, Newskiemu patronowi rodu Białych carów; chwała wszystkim świętym i błogosławionym rodu słowiańskiego po wieki wieków. Amen!

I mnie Amen; trzeba kończyć. Już skończyłem; komu w drogę, temu czas. Ojcze Ihumenie, o paszport i o kopijki drożne proszę; a was, mili bracia, o żywność i o napitek na drogę, bo daleko, i o modły o szczęśliwą podróż! Pokój wam, a mnie nowe życie w starym Kijowie!»

XII.

I już więcej nie mówił. Ihumen mu dał paszport, w którym wyraźnie było wypisane:

«Bożysław Bech, herbu Junosza, szlachcic szóstej księgi, przyznany przez komisją dworzańską szlachecką i potwierdzony dekretem rządzącego senatu i Najwyższym ukazem.»

Dał mu Ihumen dziewięć kopijek, bo za chłopa dość dwie, za mieszczanina trzy, za jednodworca cztery, za dosłużonego pięć, a za urachonego i herbowego sześć za mało, kiedy przyjdzie do targu, to trzeba dać i dziewięć.

Dwie wielkie torby były naładowane żywnością wszelkiego rodzaju, że aż czuby przez górny otwór wyłaziły. Dwie spore bakłaszki, jak beczułki, z winem jedna, druga z wódką — bo wody w drodze nie zabraknie.

Schował pan Bech paszport w zanadrze, kopijki w kalitę i w kieszeń. Torby i bakłaszki przewiesił przez plecy, jak sańce żołnierskie, nóż zatknął za pas, w jednej ręce kij pielgrzymski, w drugiej czapka siwa — i tak przyklął przed Ihumenem w cerkwi. — «Błogosław Ojcze!»

I ojciec Ihumen błogosławił w imię Ojca, w imię Syna, w imię Ducha Świętego, w imię całej Świętej Trójcy.

A pan Bech bił pokłony i krzyże na sobie znaczył. Potem włożył siwą czapkę na głowę, kijem pielgrzymim postukał, bo mu było pilno, niecierpliwie. I pokłonił się jeszcze raz Ihumenowi i wszystkim braciom Czerńcom — i poszedł w drogę. Wszyscy Czerńce, Ihumen nawet, odprowadzali go w pieczarę, aż do miejsca, w którem dzieliła się na dwa kierunki.

Tu się zatrzymali, prześpiewano akafort; potem nalano wódki w byczki, wszyscy przepili — na pożegnanie Kozaka, Czerńca, Orła — drugi na pomyślność pana Becha. I Orel i pan Bech odpił na podziękowanie, a potem przeżegnał się trzy razy krzyżem świętem i ruszył sporo do starego Kijowa.

Tak się rozstali Czerńcy z bratem Orłem, i wrócili napowrót, każdy swojej kolei czekać. Komu wola, do Białej Moskwy — komu wola, do starego Kijowa.

Carogród, 29. Września 1872.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

Państw. Lic. Pedag. Biblioteka Nauczycielska

1993 -01- 0[illegible]

21. 05. 1999

2009 -09- 02

2011 -03- 18

2013 -09- 09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
Sp 13595